80 lat pana Piotrusia. Niezapomniane role Fronczewskiego

▶28

Broni praw zwierząt: Widziałam już chyba wszystko

▶31

WYSOKIE OBCASY

Latem odebrano mnie matce – mówi Uschi Waser

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK/AGENCJA WYBORCZA.PL (2)

MAGAZYN wyborcza.pl

wyborcza

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

Co czeka Izrael?

„Jeśli stanie się pariasem, nie przetrwa”

▶4

FOT. ERIK MARMOR/GETTY IMAGES

GAZETA wyborcza
Wydaje Wyborcza Sp. z o.o. nr indeksu 348198
ISSN 0860-908X
9 770860 908167 23>

Kwaśniewski i Michnik o wyborach '89
„Jaruzelski dostał 3 kandydatury”

▶12

Kulisy porażki Trzaskowskiego
„Piliśmy wino, jedliśmy przekąski”

▶8

Jak pracuje mariscadora
Ania: 8 kg małży w 4 godziny

▶22

Kod dostępu do Wyborcza.pl na weekend

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI

Sobota – czwartek, 6-11 czerwca 2026 | Redaktor prowadzący Andrzej Kulasek | Cena gazety 12,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 130.11229, 1 Nakład 71 tys. + 322 tys. prenumerat cyfrowych

eprasa.pl 43ba3d7546

Jarosław Mikołajewski

„I had a dream…”

Przyśniło mi się, że prezydent Polski napisał taki list do prezydenta Ukrainy.

Kochany Wołodymyrze, Drogi Przyjacielu…

Po pierwsze pytam – jak się czujesz? Jak Ci jest po czterech latach wojny, której końca nie widać pomimo tylu starań Twoich i Twoich przyjaciół? Wobec tylu epizodów niezrozumienia, z jakimi się spotykasz, napięć jak te, którym zostałeś poddany w Gabinecie Owalnym prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Opowiedz, proszę, bo nie wyobrażam sobie, w jakiej udręce musi żyć człowiek, który co dzień, co noc żyje w ukryciu, prowadząc wojnę obronną, zamiast prowadzić spokojne życie męża i ojca. I który pomimo heroicznych starań opłakuje kolejne ukraińskie istnienia.

Żywiąc najgłębsze współczucie, współodczuwanie i wdzięczność, piszę dziś do Ciebie zaniepokojony, a nawet wzburzony Twoją decyzją o nadaniu jednostce wojskowej imienia Ukraińskiej Powstańczej Armii.

Przyjacielu – dlaczego? Pragnę zrozumieć racje, które doprowadziły Cię do tego – jątrzącego, fatalnego zdaniem moim i w opinii wielu Polaków – kroku, a także prosić o wycofanie się z niego

Przyjacielu – dlaczego? Pragnę zrozumieć racje, które doprowadziły Cię do tego – jątrzącego, fatalnego zdaniem moim i w opinii wielu Polaków – kroku, a także prosić o wycofanie się z niego.

Jesteś kawalerem najwyższego polskiego odznaczenia – Orderu Orła Białego. Polacy przyznają to wyróżnienie tylko tym, którzy ponoszą niekwestionowane zasługi dla bezpieczeństwa i dobrego imienia naszej ojczyzny, z poszanowaniem ich pamięci.

Jako polski prezydent mam więc prawo oczekiwać po Tobie wyjątkowego słuchu na naszą wrażliwość. Wiesz przecież, że wiele polskich rodzin wciąż opłakuje ofiary zbrodniczych działań UPA. Wiesz zatem, że Twoja decyzja musi odnawiać w nich wielkie cierpienie.

Wołodymyrze, jesteś moim osobistym bohaterem, i bohaterem wielu Polaków. Powiedz, proszę: jak mogę Cię zrozumieć? Jak prosić skutecznie o zmianę Twojej niepojętej decyzji?

„I had a dream…”

Przyśniło mi się, że prezydent Polski napisał w miniony weekend taki właśnie list do prezydenta Ukrainy. Oryginał zgubił się z innymi snami, cytaty mogą więc być niedokładne. Jestem jednak przekonany, że sens pozostaje ten sam. ●

Jaan akrobata
Pół kilometra nad Warszawą

FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL

Estoński linoskoczek Jaan Roose przespacerował się między dwoma najwyższymi budynkami w Warszawie: wieżowcem Varso Tower (do szczytu iglicy ma 310 m) i Pałacem Kultury (do czubka iglicy 237 m). Na rozpiętej na wysokości 500 metrów linie. Niezwykły wyczyn zajął mu około 45 minut.

Kod dostępu do Wyborcza.pl

Rekordziści mundialu
19 piłkarzy z jednego klubu

Jedenastego czerwca meczem Meksyk – RPA rozpoczną się najdłuższe mistrzostwa świata w historii, które potrwają aż do 19 lipca. Turniej nie tylko z tego powodu będzie wyjątkowy. Po raz pierwszy w dziejach w światowym czempionacie zagra aż 19 zawodników grających na co dzień w jednym klubie. Mowa o Manchesterze City, który ma wielkie szanse, by któryś z jego piłkarzy wrócił do drużyny z tytułem mistrza świata. Wicemistrzowie Anglii na turniej wysyłają bowiem zawodników z kadr mających spore szanse na tytuł. Na boiskach USA, Kanady i Meksyku zobaczymy czterech Anglików: Jamesa Trafforda, Johna Stonesa, Marca Guehiego i Nico O'Reilly'ego. W kadrze Portugalii są Bernardo Silva (on akurat odchodzi z City), Matheus Nunes i Ruben Dias. Francję na mundialu reprezentować będzie Rayan Cherki, zaś Holandię Nathan Ake i Tijjani Reijnders. W ekipie Hiszpanii zagra Rodri Hernandez, u Chorwatów Josko Gvardiol i Mateo Kovacić, w drużynie Algierii Rayan Ait-Nouri, u Belgów Jeremy Doku, w Ghanie Antoine Semenyo zaś w Uzbekistanie Abdoukodir Khusanov.

FOT. ACTIONIMAGES VIA REUTERS/LEE SMITH

Wreszcie Norwegię reprezentował będzie super snajper Erling Haaland. Lista piłkarzy City mogłaby być dłuższa, ale Thomas Tuchel, trener Anglików nie powołał Phila Fodena, zaś Włosi odpadli w eliminacjach, więc Gianluigi Donnarumma turniej obejrzy w domu. ●

Filip Macuda, Sport.pl

Andrzej rysuje

Liczba tygodnia

344

– tyle sklepów sieci Dealz w całej Polsce chce sprzedać Grupa Pepco, której Dealz jest częścią

Czy chciałby pan mieć takich dwóch w ataku, mnie i Lewego?

EMMANUEL OLISADEBE,
były reprezentant Polski urodzony w Nigerii (grał na MŚ 2002) do Jana Urbana, selekcjonera kadry przed towarzyskim meczem z Nigerią

1 RP

eprasa.pl 43ba3d7546

Chcę jakiegoś radosnego święta narodowego

Czy nas tragedie bardziej łączą niż sukces? Polacy lubią świętować klęski, a PiS od lat buduje grupową tożsamość wokół cierpienia. Dość tego!

Agnieszka Kublik

Niedziela 4 czerwca 1989 roku to moment historyczny pod każdym względem. Nie tylko dla mojego pokolenia, które pamięta ten dzień nie z podręcznika, a z własnego życia.

– Wyniki pierwszej tury wyborczej do Sejmu i Senatu wytworzyły w Polsce nową sytuację. Od tej chwili nic już nie będzie takie jak dawniej – pisał Adam Michnik w czerwcu tamtego roku, gdy wiedział, że komuniści rządzący Polską przez 45 lat przegrali pierwsze wolne wybory.

Czy pamiętamy, że wtedy kandydaci „Solidarności", wspomagani zdjęciami z Lechem Wałęsą, zdobyli 252 mandaty na 261 – czyli wszystkie, o które mogli walczyć? A lista krajowa – czyli pewne mandaty dla rządzącej PZPR i jej przystawek – przepadła z kretesem.

I nic już nie było jak dawniej. Profesor Tomasz Nałęcz pisał, że „wynik głosowania z 4 czerwca 1989 okazał się drugim (po wielkiej wiktorii z sierpnia 1920 roku) Cudem nad Wisłą".

Zgoda, celebrujemy jako państwo i obywatele Cud nad Wisłą i odzyskanie niepodległości – lecz choć to święta upamiętniające narodowy sukces, to naznaczone świadomością gorzkiej odmiany losu, nad którymi cieniem kładzie się klęska wrześniowa, wojna, Zagłada, komunizm. A oprócz nich celebrujemy 1 września 1939, celebrujemy powstania – warszawskie, czyli hekatombę, listopadowe i styczniowe, czyli kosztowne klęski czy – bardziej udane, ale też z daniną krwi, martyrologią, kombatanckim wymiarem – wielkopolskie i śląskie. I „żołnierzy wyklętych". Oraz katastrofę smoleńską, było już 190 smoleńskich miesięcznic.

A nie celebrujemy 4 czerwca, choć jak żadna z narodowych dat nadaje się na świętowanie.

Wszak to jeden z najpiękniejszych w polskiej historii, kojarzony na całym świecie upadek komunizmu, bezkrwawy – przecież tego samego dnia w Pekinie czołgi zmasakrowały studentów protestujących na placu Tiananmen – początek zmian w Europie Środkowej i Wschodniej.

Które doprowadziły nas – to prawda, kosztem wyrzeczeń i nie wszystkich, jak każda rewolucja – do wolności słowa i do Erasmusów, do prawa do głosowania czy to na Mejzę, czy na Brauna oraz do nowego domku pod miastem, do całkiem już przyzwoitej na tle Europy średniej krajowej pensji i do wakacji w Tunezji oraz weekendu w Barcelonie.

A jednocześnie to jeden z najpiękniejszych dni w roku, u progu lata, nie w cieniu nadchodzącej jesieni lub zimy.

Więc 4 czerwca idealnie nadaje się na święto pełne zachwytu nad tym, co osiągnęliśmy i nadziei, na to, co możemy jeszcze. To dlaczego co roku się tym nie zachwycamy aż do upojenia?

„Nie wolno nam nigdy zapomnieć, że iskra wolności przyszła z Polski" – mówił o tej rocznicy w 2014 roku Barack Obama, przywódca najważniejszego państwa świata. Słuchało go około 40 prezydentów i koronowanych, które stawiły się w Warszawie, by z nami świętować.

„Dziękuję, Polsko! Dziękuję za twoją odwagę, dziękuję za przypomnienie światu, że niezależnie od tego, jak długa jest noc, chęć wolności i godności nigdy nie blaknie" – czemu nie świętujemy tego, za co dziękował prezydent Ameryki, hucznie co roku, zapraszając gości z całego świata?

Kto zdoła nauczyć Polaków radować się w rocznicę pierwszych wolnych wyborów, ten wygra. Nie tylko wybory

Dziś takiej nadziei potrzeba nam tu w Polsce, naszym sąsiadom i całej Europie wyjątkowo – na wschodzie wojna, a po zwycięstwo w wielu krajach idą brunatni nacjonaliści lub obskurancy cynicy.

A demokraci jakby nie czuli tego niebezpieczeństwa.

W 2013 roku Sejm ustanowił 4 czerwca Dniem Wolności i Praw Obywatelskich. Lecz rutyny radosnego marszu zbudować się nie udało. Przyznajmy: nie tylko dlatego, że małostkowa, gotowa zniweczyć długofalowy sukces dla doraźnego politycznego zysku bogoojczyźniana prawica starała się wpisać zohydzić ten dzień jako „symbol zdrady i zmowy elit".

Mam marzenie, by 4 czerwca stał się świętem euforycznym, przyjaznym, całym w skowronkach, rozszalałym, beztroskim, ale i nieco wzniosłym.

Beztroskie świętowanie własnych sukcesów – tego potrzebują Polacy. Świat zresztą też.

A demokraci potrzebują momentu, wokół którego skupią tych wszystkich, którzy nie chcą odwrócenia w Polsce demokracji. Tej, co ją sobie wygraliśmy 4 czerwca.

Kto da radę nauczyć Polaków radować się 4 czerwca, ten wygra przyszłość. ●

1 RP

REKLAMA Kraj/34437835

NOWOŚĆ

2 posiłki dziennie

Wybierz się w podróż do serca Hiszpanii i zanurz się w fascynującą historię Andaluzji, zachwycające widoki i ciepłe słońce Costa del Sol.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Malagi, transfer do hotelu w La Cala de Mijas. **Dz. 2** Wycieczka do białego miasteczka – Frigiliany i nadmorskiego miasta Nerja. **Dz. 3** Zwiedzanie Malagi jedną z trzech tras oraz degustacja wina w lokalnym barze winiarskim. **Dz. 4** Wycieczka do Rondy – spektakularnie położonego górskiego miasteczka. **Dz. 5** Wycieczka do Sewilli – zwiedzanie, spacer po historycznej dzielnicy miasta i czas wolny. **Dz. 6** Wycieczka do Granady – miasta spotkania kultur i słynna Alhambra. **Dz. 7** Dzień do własnej dyspozycji lub wycieczka do Gibraltaru (nie wliczona w cenę). **Dz. 8** Wylot z Malagi do Warszawy.

8 dni | Wylot z Warszawy 03/02 2027 | od 3.948,–

Zwiedzanie i wypoczynek na egzotycznej wyspie Bali oraz poszukiwanie waranów w parku narodowym Komodo.

Program wycieczki: Dz. 1 Wylot z Warszawy do Denpasar. **Dz. 2** Przylot na Bali i przejazd do Candi Dasa. **Dz. 3** Candi Dasa. Zabytkowa wioska oraz pałac wodny Tirta Gangga. **Dz. 4** Candi Dasa – Munduk. **Dz. 5** Munduk. Wycieczka do Wodospadu Czerwonych Korali i wykład poświęcony darom ofiarnym. **Dz. 6** Munduk – Ubud. Gorące źródła Banjar. Bliźniacze Jeziora, Świątynia Bogini Wody i lokalny targ w Bedugul. **Dz. 7** Ubud. Kurs gotowania. Czas wolny. **Dz. 8** Ubud. Zwiedzanie na własną rękę lub na rowerze (za dodatkową opłatą). **Dz. 9** Ubud. Świątynia Tanah Lot. Przelot na Flores. **Dz. 10** Labuan Bajo. Całodniowa wycieczka łodzią do Parku Narodowego Komodo. **Dz. 11** Przelot na Bali. Przejazd do Sanur. **Dz. 12–13** Wypoczynek w Sanur. **Dz. 14–15** Wykwaterowanie z hotelu. Wylot z Bali i przylot do Warszawy.

15 dni | Wylot z Warszawy 28/10 2026 | od 11.598,–

albatros.pl | rezerwacja +48 22 128 48 81
Warszawa, ul. Marszałkowska 76, 8 p.
Kod reklamy: GW21

Cena zawiera: BILETY WSTĘPÓW, opiekę polskiego pilota, przeloty rejsowe, zakwaterowanie w pokojach 2-os., wyżywienie i transport zgodnie z programem, ubezpieczenie podstawowe.

eprasa.pl 43ba3d7546

WAŻNY TEMAT

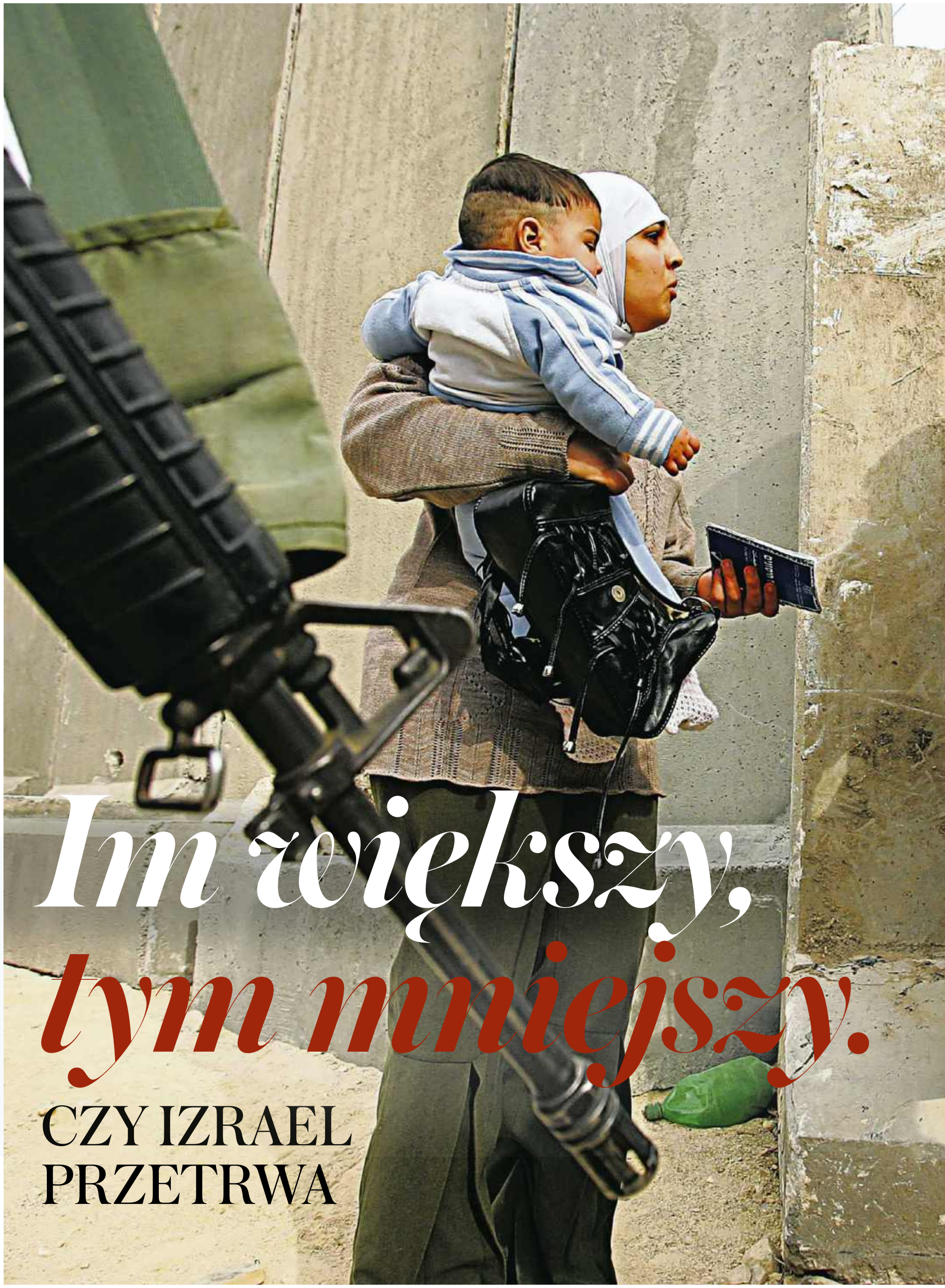

Im większy, tym mniejszy.

CZY IZRAEL PRZETRWA

• **Palestynka z dzieckiem kłóci się z izraelskimi żołnierzami, bo próbuje przejść przez mur graniczny w Abu Dis na Zachodnim Brzegu do Jerozolimy Wschodniej**
FOT. PAULA BRONSTEIN/GETTY IMAGES

eprasa.pl 43ba3d7546

1 RP

FOT. WIKIMEDIA COMMONS CC BY-3.0

Moi dziadkowie nie rozpoznaliby w niektórych izraelskich żołnierzach Żydów

Z **PROF. OMEREM BARTOVEM**
ROZMAWIA **KASPER KALINOWSKI**

Profesor Omer Bartov

• ur. w 1954 r., izraelski historyk, absolwent Uniwersytetu Telawiwskiego i St. Antony's College w Oksfordzie, profesor Uniwersytetu Browna. Autor wielu książek, m.in. wydanych w Polsce **„Anatomii pewnego ludobójstwa"** oraz **„Opowieści z pogranicza"**. Urodził się i wychował w kibucu, jest potomkiem zdeklarowanych syjonistów, służył w armii podczas wojny Jom Kipur. Mieszka w USA.

• Właśnie ukazał się przekład jego najnowszej książki. **„Izrael. Co poszło nie tak?"(Znak).** Jest dostępny także na stronie wydawnictwa Znak oraz w formie e-booka na Publio.pl.

Twierdzi pan, że na Izraelu spoczywa „znamię Kaina". Jedna ogromna tragedia – Holokaust – umożliwiła powstanie państwa, ale jednocześnie dała początek kolejnej tragedii, o której nie chcemy pamiętać. Co ma pan na myśli?
– Sposób, w jaki nastąpiło wskrzeszenie żydowskiej państwowości. Coś, w co wierzyło wielu ludzi, w tym ja, osoba urodzona już w tym państwie, odbyło się kosztem zniszczenia innej grupy.

Pod koniec wojny, określanej w Izraelu jako wojna o niepodległość, wypędziliśmy ogromną większość Palestyńczyków zamieszkujących tereny, które stały się państwem Izrael. To było celowe działanie mające zrealizować wielki syjonistyczny cel: stworzenie kraju z żydowską większością. Przed drugą wojną światową zamierzano to osiągnąć poprzez sprowadzenie żydowskich osadników z Europy – ale w 1945 roku większość z nich już nie żyła, zginęli w Holokauście.

W ten sposób obie tragedie łączą się ze sobą i dlatego tę drugą – wypędzenie Palestyńczyków, czyli Nakba – nowo powstałe państwo musiało wyprzeć i zapomnieć. Nie można było komplikować poczucia dokonania cudu, jakim było utworzenie państwa żydowskiego zaraz po ludobójstwie Żydów. To leży u podstaw wszystkiego, co wydarzyło się w Izraelu od tamtego czasu: narastające upamiętnianie i nadawanie coraz większego znaczenia Holokaustowi przy jednoczesnym wypieraniu pamięci o Nakbie, która jednak wciąż „wrze" pod powierzchnią. Bez powrotu do tych wydarzeń z 1948 roku, bez opowiedzenia ich i rozliczenia Izrael nigdy nie rozwiąże fundamentalnego problemu swojego istnienia – relacji z Palestyńczykami.

Pana książka nosi tytuł „Izrael. Co poszło nie tak?". Kiedy pańskie pokolenie – pierwsze urodzone w państwie żydowskim, dorastające w poczuciu dumy z silnego, nowoczesnego, równościowego kraju – zdało sobie sprawę z tego, że powrót do ojczyzny i sukces nowoczesnego narodu żydowskiego odbyły się kosztem katastrofy innej społeczności, dla której to też była ojczyzna?
– Wielu ludzi z mojego pokolenia nigdy nie doszło do takiego wniosku.

My wychowaliśmy się na dwóch wielkich zaprzeczeniach. Pierwszym było Shlilat Galut, wyparcie diaspory – ważny element syjonizmu, według którego mieliśmy patrzeć tylko w przyszłość, nie zadając pytań o to, skąd pochodzili nasi rodzice czy dziadkowie. Z tym zaprzeczeniem mierzyło się coraz więcej osób z mojego pokolenia – pierwszej generacji obywateli Izraela – gdy byliśmy po czterdziestce, czyli w latach 80. i 90.

Drugim wielkim zaprzeczeniem było właśnie wypieranie Nakby. Dla mnie ten proces zaczął się wraz z wybuchem pierwszej intifady pod koniec 1987 roku. To wtedy pojawili się „nowi historycy", tacy jak Ilan Pappé czy Benny Morris, którzy zaczęli inaczej patrzeć na historię 1948 roku. Ale byli mniejszością, a ich odkrycia później zepchnięto na drugi plan.

Dzisiejsza debata publiczna jest znacznie mniej otwarta na te kwestie niż w latach 80. i 90.

Golda Meir, legendarna „żelazna premier" przełomu lat 60. i 70., czyli czasów, gdy krzepła i rozwijała się palestyńska walka polityczna i zbrojna, w tym terroryzm – to wtedy miała miejsce masakra izraelskich sportowców na igrzyskach w Monachium – skwitowała, że „nie ma czegoś takiego jak Palestyńczycy".
– Golda powiedziała to w mojej szkole średniej Tichon Hadash, postępowej placówce w Tel Awiwie. To było chyba w 1971 roku. Powiedziała: „Nie ma narodu palestyńskiego", i stwierdziła: „Ani Palestinian" ["Ja jestem Palestynką"]. Mówiła po hebrajsku z silnym amerykańskim akcentem, co dla nas, nastolatków, było zabawne, bo brzmiała jak obcokrajowiec. Pokazywała swój dokument tożsamości z czasów mandatu brytyjskiego, w którym po angielsku widniał napis „Palestine", ale po hebrajsku „Palestina E.I.", gdzie E.I. oznaczało Eretz Israel. A powiedziała to, ponieważ kolega z klasy krzyknął z wi-

eprasa.pl 43ba3d7546

downi: „A co z Palestyńczykami?”. Już wtedy istniała niewielka mniejszość, do której i ja się zaliczałem, myśląca: „To nie może być prawda, przecież oni istnieją”.

Od tego czasu wydarzyły się dwie sprzeczne rzeczy: z jednej strony Izrael formalnie uznał Organizację Wyzwolenia Palestyny za reprezentanta narodu palestyńskiego, z drugiej obecnie większość Izraelczyków zaprzecza istnieniu tego narodu. Palestyńska flaga jest w Izraelu kryminalizowana, mimo że to oficjalna flaga przedstawicielstwa grupy uznanej przez to samo państwo.

Swojego ojca nazywa pan „ostatnim syjonistą”. Czy dzisiejszy Izrael bardzo różni się od kraju z czasów młodości pana ojca?
– To już całkowicie inny kraj, nie do poznania. Mój ojciec urodził się w Palestynie w 1926 roku, gdy nie było jeszcze państwa żydowskiego. Był żołnierzem w czasie drugiej wojny światowej, gdy w wieku siedemnastu lat zgłosił się na ochotnika do brytyjskiej Brygady Żydowskiej motywowany chęcią walki z nazistami, ale także, co tu kryć, pragnieniem ucieczki z trudnej sytuacji ekonomiczno-religijnej w rodzinnym domu, a potem w 1948 roku. Uczestniczył w tworzeniu państwa, lecz już na początku lat 50. odczuwał rozczarowanie, uważając, że Izrael staje się coraz mniej idealistyczny, coraz bardziej zdeprawowany.

Powiedziałbym, że nakładają się tu na siebie dwie zmiany. Mój ojciec zmarł dziesięć lat temu, mając dziewięćdziesiąt lat – więc mówiąc o „jego czasach”, mówimy o całym wieku. Przez stulecie kraje się zmieniają. Pana Polska też nie wygląda dziś jak międzywojenna Polska lat trzydziestych.

Ale Izrael zmienił się inaczej, przede wszystkim dużo bardziej ideologicznie. Nie w sensie stricte ustrojowym – bo pan mógłby mi odpowiedzieć, że wy też mieliście przed wojną miękką autokrację, a potem komunizm, a potem wolny rynek i demokrację – ale polityczno-mentalnym. Za mojego życia stał się miejscem rządzonym przez religię i ideologię, które są całkowicie obce większości ludzi mojego pokolenia, szczególnie tym wywodzącym się z tego środowiska społecznego, z którego ja pochodzę – świeckich Żydów aszkenazyjskich. Mówi się, że jesteśmy elitą państwa, nasi rodzice je stworzyli, my rozwijaliśmy. Ale to nieprawda. Może byliśmy, ale to państwo, z którym się utożsamialiśmy, już całkowicie zniknęło.

Syjonizm, który dziś dominuje, z idei prometejskiej stał się ideologią ucisku, przemocy i żydowskiej supremacji uzasadniającą ludobójstwo. To nie jest ta ideologia, którą wyznawali mój ojciec czy dziadkowie. Z dzisiejszym syjonizmem nie chcieliby mieć nic wspólnego.

Pana dziadkowie pochodzili z Polski?
– Tak, dziadek ze strony ojca pochodził z Pyzdr, a dziadek ze strony matki z Buczacza, który leży teraz w Ukrainie. Jedna z moich poprzednich książek dotyczy właśnie Buczacza i tamtejszego ludobójstwa.

Może największym problemem Izraela jest to, że nie można być jednocześnie państwem żydowskim – czyli formalnie definiującym się etnicznie – i demokratycznym?
– To kwadratura koła możliwa tylko wtedy, gdy ogromna większość populacji jest żydowska. Przez pierwsze 20 lat Izrael w pewnym sensie taki był, choć i wtedy 20 procent populacji stanowili nie-Żydzi – Palestyńczycy, głównie muzułmanie, ale też arabskojęzyczni, ale etnicznie odrębni druzowie – którzy żyli pod rządami wojskowymi aż do grudnia 1966 roku. Można więc powiedzieć, że Izrael był demokracją tylko przez sześć miesięcy swojego istnienia – między grudniem 1966 a czerwcem 1967 roku. Bo dopiero w grudniu 1966 roku zniesiono rządy wojskowe narzucone palestyńskim obywatelom wewnątrz granic państwa. Przez pół roku wszyscy w ówczesnych granicach Izraela podlegali temu samemu systemowi prawnemu – aż w czerwcu 1967 roku wygraliśmy wojnę sześciodniową i Izrael zajął tak zwane terytoria okupowane, czyli Strefę Gazy i Zachodni Brzeg.

• **Izraelscy żołnierze czytają Torę i modlą się w bazie na obrzeżach Kirjat Szemona w Izraelu. Trwa przerwa w ostrzale artyleryjskim celów Hezbollahu w południowym Libanie (20.07.2006).**
FOT. CHRISTOPHER FURLONG/GETTY IMAGES

Gdyby Izrael miał tylko bardzo niewielką mniejszość nieżydowską, być może mógłby funkcjonować jako państwo czysto etniczne. Proszę jednak pomyśleć o różnicy między dzisiejszą Polską a Polską międzywojenną. Druga Rzeczpospolita była tylko w mniej więcej 60 procentach etnicznie polska i rzymskokatolicka. Resztę stanowili Ukraińcy, Żydzi, byli też Niemcy, Litwini, Białorusini – ludzie innych religii, innych narodowości, innych języków. To było wyzwanie. Demokracja rzeczywiście nie działa dobrze, gdy próbuje się budować państwo etniczne, etnonarodowe, ale ma się duże mniejszości.

Po wojnie sześciodniowej, gdy obroniliśmy się przed koalicją państw arabskich i zajęliśmy ziemie z blisko milionową społecznością arabską, Izrael stał się państwem „50 na 50”. Nie ma znaczenia, czy nazwiemy to okupacją, czy nie – to wciąż państwo określające się jako żydowskie, w którym połowę stanowią nie-Żydzi. W takiej sytuacji idea bycia jednocześnie państwem żydowskim i demokratycznym jest wewnętrznie sprzeczna.

A co gorsza, z czasem bycie Żydem w Izraelu zaczęło oznaczać nie tylko przynależność etniczną, ale i religijną. Judaizm, który wyewoluował w Izraelu pod wpływem ruchu osadniczego, jest bardziej zbliżony do fanatyzmu zelotów walczących z Rzymianami niż do czegokolwiek rozpoznawalnego w nowoczesnym judaizmie od czasów oświecenia.

Problem nie polega a tym, że żołnierze i oficerowie są religijni. Chodzi o to, że reprezentują szczególną odmianę żydowskiej religii. Moi dziadkowie nie rozpoznaliby w nich Żydów. Widzieliby fanatyków wracających do tradycji zelotów z czasów rzymskich

Czy Izrael jest wciąż krajem demokratycznym? Jego obrońcy często podkreślają, że to może i niedoskonała, ale jednak to jedyna demokracja w rozumieniu zachodnim na Bliskim Wschodzie.
– Jeśli jest demokratyczny, to kuleje bardzo poważnie. Pod rządami Izraela żyje 7 milionów Żydów i 7 milionów Palestyńczyków. Z tych 7 milionów Palestyńczyków zaledwie 2 miliony to obywatele Izraela. Pozostałe 5 milionów żyje pod narzuconą władzą wojskową, a 2 miliony w Gazie żyje obecnie jak psy, bez żadnej infrastruktury humanitarnej. Ale nawet te 2 miliony Palestyńczyków będących obywatelami Izraela miało bardzo ograniczone prawa, a od czasu ustawy o państwie narodowym z 2018 roku oficjalnie są obywatelami drugiej kategorii.

Od 7 października 2023 roku, czyli najazdu i masakry dokonanej przez Hamas na izraelskim pograniczu, demokracja została silnie nadszarpnięta także wobec Żydów – wolność słowa, wolność zgromadzeń i wolność akademicka są brutalnie ograniczane. Owszem, Izrael jest dziś demokracją, ale taką, którą trawi przewlekła choroba mogąca okazać się śmiertelną.

Jeśli komuś zależy na Izraelu w takim kształcie, w jakim teoretycznie był pomyślany – na demokracji, prawach człowieka i prawach obywatelskich – nie można zrobić niczego sensownego bez zmierzenia się z relacją między Izraelczykami a Palestyńczykami. A kierunek jej zmiany jest bardzo ponury.

Rozmawiałem niedawno z amerykańskim filozofem Markiem Lillą, który kreślił czarną przyszłość nie tylko świeckiego, demokratycznego, ale wręcz nowoczesnego Izraela ze względu na demografię – ultraortodoksyjni Żydzi mają znacznie więcej dzieci.
– Często słyszę to od liberalnych Izraelczyków, ale nie jestem zwolennikiem tej teorii. To brzmi nieco elitarystycznie i lekceważąco. Demografia nie jest przeznaczeniem. Nigdy nie wiadomo, co zrobią nasze dzieci. *Haredim*, starozakonni, mogą mieć wiele dzieci, ale nie wiemy, kim te dzieci będą. Wiele dzieci z rodzin ultraortodoksów opuszcza ich świat, bo jest on pełen beznadziei. Dlatego myślenie o nieuchronnej antyracjonalistycznej teokracji w Izraelu to rodzaj kapitulacji.

Już w latach 80. w Izraelu mówiono o „bombie demograficznej”. Chodziło o coś innego, tak wówczas, także w środowisku Partii Pracy, określano prognozy i lęk, że Arabów będzie znacznie więcej niż nas. Co zresztą pokazuje szerszą prawdę, że przywoływanie logiki demograficznej jest często podszyte, nawet jeśli nie intencjonalnie – nacjonalizmem. A tymczasem okazało się, że Palestyńczycy zaczęli mieć mniej dzieci, ponieważ chcieli poprawić swoją sytuację ekonomiczną, a Żydzi zaczęli mieć ich więcej. I nieuchronność wynikająca z rzekomej demograficznej logiki odwróciła się do góry nogami.

Głównym problemem Izraela nie są haredim, lecz to, że świeccy, progresywni Żydzi od pokoleń odmawiają zmierzenia się z kwestią palestyńską. Nawet podczas wielkich protestów w 2023 roku przeciwko reformie sądownictwa, która miała podporządkować niezależne sądy rządowi, protestujący nie chcieli mówić o okupacji.

Wygląda na to, że częścią problemu jest armia, konkretnie – wychowanie żołnierza. Pan już w 1988 roku napisał list do Icchaka Rabina, wyrażając zaniepokojenie indoktrynacją w Israel Defence Forces, porównując ją wręcz do Wehrmachtu. Rabin – rzecznik porozumienia z Palestyńczykami, późniejszy pokojowy noblista i ojciec porozumień, dzięki którym powstała Autonomia Palestyńska, zresztą zamordowany za to przez nacjonalistę ultrasa – odpowiedział?
– Ku mojemu zaskoczeniu dostałem oficjalną odpowiedź z ministerstwa obrony. List zawierał jedno zdanie: „Jak śmiesz porównywać Israel Defence Forces do Wehrmachtu?”. Użyłem tej analogii, gdyż byłem wściekły, bo to rabin jako minister obrony wydał rozkaz łamania rąk i nóg palestyńskim nastolatkom rzucającym kamieniami – owszem, rozkaz retoryczny, ale powinien przewidzieć, że żołnierze wezmą to dosłownie.

Napisałem mu drugi, długi list, wyjaśniając moje badania nad zbrodniami na froncie wschodnim, że jako naukowiec dostrzegam niebezpieczne podobieństwa i że moje obawy wynikają z patriotyzmu, z troski o naszą armię i o państwo. Na co dostałem to samo jednozdaniowe pismo.

Zapewne zadziałała źle rozumiana lojalność zwierzchnika sił zbrojnych wobec podwładnych, postawa „murem za mundurem”, co nie zmienia faktu, że rabin był świadomy, iż sytuacja okupacji jest nie do utrzymania – mi-

eprasa.pl 43ba3d7546

litarnie, politycznie i moralnie. To doprowadziło go później do procesu z Oslo, który zrujnowało jego zabójstwo. To był jeden z najskuteczniejszych zamachów XX wieku, a Beniamin Netanjahu ma krew rabina na rękach, bo wielokrotnie przeciwko niemu podżegał.

Rezultat jego zabójstwa był taki, że po pierwsze, podstawowy problem między Izraelem a Palestyńczykami został odłożony aż do dziś. Po drugie, IDF z czasem stała się całkowicie inną armią niż to, w której ja służyłem w 1973 roku.

W jakim sensie?
– Po pierwsze, zmieniła się struktura dowodzenia – od najwyższego dowództwa przez kolejne szczeble w dół, zwłaszcza w jednostkach bojowych i elitarnych.

Kiedyś jednostki bojowe były niemal całkowicie świeckie. Wielu ludzi pochodziło z egalitarnych socjalistycznych kibuców albo ze świeckich, liberalnych środowisk. Teraz wojsko jest coraz bardziej infiltrowane przez ruch narodowo-religijny. W Gazie widzimy dowódców wydających rozkazy o charakterze religijnym, mówiących o prowadzeniu świętej wojny. Widzimy żołnierzy idących na wojnę z tałesami modlitewnymi pod mundurami.

Problem nie polega po prostu na tym, że są religijni. Chodzi o to, że reprezentują szczególną odmianę żydowskiej religii, obcą większości Żydów na świecie, również wierzących czy religijnych. Moi dziadkowie nie rozpoznaliby w tych ludziach Żydów. Widzieliby w nich fanatyków wracających do tradycji zelotów z czasów rzymskich.

Nie chodzi tylko o armię. Ruch narodowo-religijny wprowadził swoich ludzi do wszystkich szczebli władzy w Izraelu. Szef Szin Betu vel Szakabu, czyli potężnej służby kontrwywiadu, również wywodzi się z tego ruchu. Netanjahu komplementował go, nazywając „mesjanistą", rok przed tym, zanim go mianował.

To znaczy, że ci ludzie nie tylko nie są demokratami. Oni żyją w zupełnie innym wszechświecie. Nie myślą w sposób racjonalny, ich cały wzorzec myślenia jest religijny. A są dziś we wszystkich instytucjach siłowych – również w policji, w służbie więziennej.

Wracając do żołnierzy, bo to oni są na pierwszej, najwrażliwszej linii relacji z Palestyńczykami, i bojownikami, i cywilami. Armia stała się nie tylko bardziej fanatyczna, ale też gorsza pod względem operacyjnym. Kampania w Gazie to fiasko w sensie dowodzenia, planowania, taktyki, rozwoju kompetencji bojowych, zbierania doświadczeń, elastyczności, ewaluacji metod – po prostu niszczą wszystko jak leci z północy na południe, bo mają mnóstwo bomb i artylerii. Działają podobnie jak armia rosyjska w Groznym podczas wojen czeczeńskich, nie ma w tym żadnej strategii. W sensie wojskowym, bo strategia polityczna jest – czystka etniczna.

Podczas inwazji na Liban w 1982 roku było wielu oficerów, którzy odmówili wykonania rozkazów, słali raporty do dowództwa, do ministerstwa, ponieważ uznali je za bezprawne, gdyż dotyczyły atakowania cywilów. Armia stworzyła wtedy cały aparat prawny, który miał rozwiązać ten problem.

Rzecz w tym, że obecnie ten aparat prawny skupia się nie na przestrzeganiu reguł humanitarnych i kontroli nadużyć czy ograniczaniu zbędnej przemocy, ale ma legitymizować – za pomocą określonych interpretacji prawa międzynarodowego – coś, co z zasady nie może być legalne: zabijanie ogromnej liczby cywilów jako tak zwanych strat ubocznych. Ten aparat działał przez długi czas, a w Gazie doszedł do punktu kulminacyjnego. Oficerowie nie muszą już myśleć, czy rozkaz jest zgodny z prawem i etyką, bo algorytm i prawnicy robią to za nich. Dają dowódcom operacyjnym poczucie, że działają lege artis, zdejmują z nich odpowiedzialność za zabicie ponad 70 tysięcy cywilów i inne popełnione zbrodnie.

W IDF nie znajdzie pan już nawet jasnych instrukcji, kiedy można strzelać – to kwestia lokalnych decyzji. Precyzyjne zasady otwierania ognia zastąpiono założeniem, że każdy Palestyńczyk stwarza potencjalne zagrożenie, co przenosi ciężar decyzji o zabiciu kogoś na poszczególnych żołnierzy i dowódców niższego szczebla.

Czy to wszystko znaczy, że Izrael dopuszcza się ludobójstwa? Czy mamy na to dowody?
– Oczywiście, inaczej bym tego nie mówił. Jedyna definicja, która ma znaczenie, to Konwencja ONZ z 1948 roku: akty ludobójcze popełnione z zamiarem zniszczenia grupy narodowej, etnicznej, religijnej lub rasowej w całości lub w części. Aby to wykazać, potrzeba udowodnić zamiar i jego realizację.

Zamiar był artykułowany wielokrotnie po 7 października przez najwyższych urzędników. Minister obrony Joaw Galant już 9 października oświadczył: „Walczymy ze zwierzętami w ludzkiej skórze i działamy odpowiednio do tego". Prezydent Icchak Herzog – wcale nie prawicowy ultras ani jastrząb – określił Palestyńczyków „potworami w ludzkiej skórze"; wiceprzewodniczący Knesetu Nissim Vaturi twierdził, że w Strefie Gazy „nie ma osób postronnych" oraz że należy „tam wejść i zabijać, zabijać, zabijać". Natomiast Netanjahu odwołał się do fragmentu z Księgi Powtórzonego Prawa: „Pamiętaj, co ci uczynił Amalek". A ten cytat ma w tradycji żydowskiej bardzo konkretne znaczenie. W ramach zemsty za atak Amaleka, wodza koczowników wrogich Izraelitom, Biblia wzywa do całkowitej eksterminacji: „Zabijaj tak mężczyzn, jak i kobiety, młodzież i dzieci".

Drugim sposobem wykazania zamiaru ludobójstwa jest wzorzec operacji: systematyczne, celowe niszczenie domów, szpitali, szkół, uniwersytetów, muzeów i ujęć wody, aby uczynić Gazę miejscem niezdatnym do życia.

Moim zdaniem pierwotnym zamiarem były czystki etniczne, ale ponieważ mieszkańcy Gazy nie mieli dokąd uciec, czystki stały się ludobójstwem.

W dużej mierze odebrano Palestyńczykom zdolność odtworzenia się jako grupy, ponieważ wszystko jest dziś w ruinie. Z tego punktu widzenia ludobójstwo jest niepodważalne. Zresztą, kiedy ostatnio pisałem o tym w lipcu 2025 roku, istniał już konsensus wśród większości badaczy ludobójstwa i ekspertów prawa międzynarodowego, że nie ma innego terminu na opisanie sytuacji.

Krytycy odpowiedzą: „Hamas ukrywa się wśród cywilów", a argumenty takie jak pańskie odmawiają Izraelowi prawa do samoobrony.
– To nie tylko błąd w rozumowaniu, to totalny nonsens.

Po pierwsze, nic nie usprawiedliwia ludobójstwa. Nawet gdyby w tunelach pod szpitalami było dwa razy więcej ludzi Hamasu, to nie daje prawa do popełnienia zbrodni. To tak, jakby ktoś mówił: „Zabiłem tego człowieka, bo jego pobratymiec kogoś zabił" – to nie czyni czynu legalnym.

Po drugie, zakłada się, że to była jedyna możliwa reakcja na masakrę 7 października. Nie chodzi tylko o to, że IDF mogło uderzać punktowo, minimalizując śmierci cywilów, przecież ma technologię i wywiad. Chodzi o to, że Izrael mógł podjąć działania polityczne, mógł powiedzieć mieszkańcom Gazy: „Chcemy wam pomóc pozbyć się Hamasu i stworzyć lepszą przyszłość". Tylko że to nigdy nie była polityka Izraela. Netanjahu nie miał żadnego interesu w stworzeniu alternatywy dla Hamasu.

Po trzecie, opór wobec okupacji i ucisku jest legalny w świetle prawa międzynarodowego. No a jeśli spojrzymy na Hamas – zostawiając na boku fakt, że zdławił młodą palestyńską demokrację i terroryzował samych Palestyńczyków – jako na partyzantkę czy ugrupowanie narodowowyzwoleńcze, to gdzie, jeśli nie pośród infrastruktury cywilnej, jego bojownicy mieliby działać w tak gęsto zabudowanym i małym obszarze jak Gaza? Zresztą Żydzi robili to samo w latach 1945-47, wysadzając budynki, zabijając brytyjskich żołnierzy i urzędników w odwecie za akcje przeciwko partyzantom, a są dziś w Izraelu uważani za bohaterów.

Zbrodnie Hamasu z 7 października były nieludzkie, nic ich nie usprawiedliwia, ale izraelski argument o „żywych tarczach" to logika ludobójcza: „jeśli się przeciwko nam buntują, mamy prawo ich wybić". Każdy, kto używa tej logiki, musi zmierzyć się z faktem, że legitymizuje ludobójstwo i staje się współwinny.

Wielki socjolog Zygmunt Bauman w książce „Nowoczesność i Zagłada" zauważa, że Holokaust w wielu kręgach służy usprawiedliwianiu niesprawiedliwości popełnianych przez państwo Izrael.
– Bo tak jest. W Izraelu, zwłaszcza od lat 80., ukształtował się pogląd, że każde zagrożenie dla Izraela ma charakter egzystencjalny, a zatem jest porównywalne z nieuchronnym Holokaustem. A skoro grozi nam ponowny Holocaust, to usprawiedliwia stosowanie nieproporcjonalnej przemocy względem każdego zagrożenia, bo każde może ewoluować w Zagładę. To dlatego były premier Izraela Menachem Begin powiedział, że legendarny palestyński przywódca Jaser Arafat w Bejrucie jest jak Hitler w swoim bunkrze. Dlatego wszystkie izraelskie media po 7 października twierdziły, że Hamas to naziści, więc Izrael nie ma obowiązku przestrzegać międzynarodowego prawa humanitarnego. To powszechny argument w Izraelu.

Paradoksalnie, gdy potęga militarna Izraela stała się niekwestionowana na Bliskim Wschodzie, obawy przed kolejnym Holokaustem, podsycane przez kolejne izraelskie rządy w celu uzasadnienia przemocy wobec Palestyńczyków, tylko rosły.

Oburza pana używanie zarzutu antysemityzmu jako narzędzia do uciszania krytyki Izraela. Ale antysemityzm istnieje – i świętoszkowato wykorzystuje błędy i zbrodnie rządu Izraela, żeby uderzyć w Żydów jako takich, nie tylko obywateli Izraela. Gdzie leży granica między uzasadnioną krytyką państwa a nienawiścią do Żydów?
– Antysemityzm to przypisywanie negatywnych cech i złych intencji osobom lub grupom, które są żydowskie lub które ktoś za żydowskie uważa. Na przykład będzie nim zaatakowanie na ulicy w Warszawie osoby uważanej za Żyda za działania Izraela w Strefie Gazy, bez pytania, jakie jest jej zdanie. Będzie nim również twierdzenie, że skoro Stany Zjednoczone popierają ludobójstwo Izraela w Strefie Gazy, oznacza to, że „Żydzi" kontrolują amerykańską politykę, media i finanse.

Natomiast nie jest antysemityzmem krytyka państwa Izrael, krytyka polityki izraelskiej lub syjonizmu jako ideologii politycznej. Jest wielu takich krytyków, którzy sami są Żydami lub Izraelczykami i z pewnością nie są antysemitami.

Izraelem rządzi obecnie ideologia syjonistyczna, która wrodziła się w ideologię supremacji żydowskiej, rasistowską, militarystyczną i ludobójczą. Co doprowadzi do tego, że Izrael stanie się państwem-pariasem na arenie międzynarodowej, a wewnątrz kraju – brutalnym, autorytarnym państwem apartheidu

Twierdzi pan, że Izrael stoi obecnie w obliczu najtrudniejszego momentu w swojej historii. Dlaczego?
– Ponieważ Izraelem rządzi obecnie ideologia syjonistyczna, która wyrodziła się w ideologię supremacji żydowskiej, rasistowską, militarystyczną i ludobójczą. Co doprowadzi do tego, że Izrael stanie się państwem pariasem na arenie międzynarodowej, a wewnątrz kraju – brutalnym, autorytarnym państwem apartheidu. W związku z tym albo będzie tracił kolejnych sojuszników i sympatię opinii publicznej, więc gdy przyjdzie co do czego, jako mały kraj pozbawiony zasobów nie przetrwa długo, albo będzie musiał przejść radykalną transformację, prawdopodobnie w procesie, który spowoduje jeszcze więcej przemocy i cierpienia.

A dlaczego Zachód milczy? Mam na myśli Zachód w sensie instytucjonalnym, państwowym, nie opinię publiczną, jej trzeba oddać, że wyraża sprzeciw i ból. Lecz jako państwa czcimy minutą ciszy żydowskie ofiary z 7 października, ale nie czcimy minutą ciszy ofiar wojny w Gazie. Może dlatego, że ona trwa i nie ma jednego symbolicznego momentu. Ale gorzko myślę, że może dlatego, że minuta ciszy za każde zabite palestyńskie dziecko oznaczałoby ponad 300 godzin milczenia.
– Ta cisza – która jest również biernym, a w wielu przypadkach aktywnym współudziałem – wynika z kilku czynników. Z poczucia winy za Holokaust, szczerego ideowego zaangażowania w bezpieczeństwo Izraela, strategicznej kalkulacji, że Izrael jest cennym partnerem w polityce bliskowschodniej i największym sojusznikiem w regionie. Ale też z kolonialnej pogardy dla Arabów i muzułmanów, z pewnej identyfikacji z izraelską przemocą wobec nich oraz ze zbieżności interesów Izraela z dążeniem europejskich i amerykańskich prawicowych populistów do usunięcia innych grup etnicznych i religijnych.

Netanjahu jest partnerem wielu skrajnie prawicowych europejskich i amerykańskich polityków i ideologów.

Tylko jak Izrael, nawet gdyby chciał, może negocjować z kimś, kto odrzuca wszystkie propozycje pokojowe z przeszłości? Palestyńscy przedstawiciele odrzucają propozycje pokojowe. A hasło: „Palestyna od rzeki do morza" bywa tłumaczone jako niewinne – ma chodzić o zjednoczenie ziem historycznej Palestyny – ale Hamas nie ukrywał, że w tym celu należy pozbyć się ich obecnych mieszkańców. Czyli Izraelczyków.
– Ta teza to po prostu nieprawda. Hamas w 2017 roku zgodził się na *hudnę*, czyli zawieszenie broni, oraz na państwo palestyńskie współistniejące z Izraelem we współpracy z Autonomią Palestyńską. Izrael kłamał na temat porozumień z Autonomią Palestyńską, z Hamasem oraz ofert pokojowych ze strony sunnickich państw arabskich – ofert sięgających ponad 20 lat wstecz. Polityka Izraela pod rządami Netanjahu polegała na utrzymywaniu Hamasu na tyle silnym, by móc argumentować, że nie można osiągnąć pokoju z Palestyńczykami – co swoją drogą jest już jedynym warunkiem normalizacji stosunków z Izraelem, jaki stawiają inne państwa arabskie.

Netanjahu zawsze uważał Hamas za atut, a nie za zagrożenie. To podejście wybuchło mu w rękach 7 października i doprowadziło do decyzji o czystce etnicznej w Strefie Gazy jako alternatywie. Która również poszła nie tak, jak planował, prowadząc do ludobójstwa.

Ma pan jeszcze nadzieję na rozwiązanie, które przyniesie pokój?
– Tak. Ale ono będzie możliwe tylko w wyniku presji Stanów Zjednoczonych, a następnie Europy, która obejmie sankcje wojskowe, polityczne, gospodarcze i kulturowe oraz wyznaczy granice izraelskiej władzy. Bo one obecnie są ustalane w Waszyngtonie, a nie tam, gdzie powinny, czyli w Jerozolimie. ●

eprasa.pl 43ba3d7546

KRAJ

017. wszyscy szli do

Arkadiusz Gruszczyński

„Piliśmy wino, jedliśmy przekąski, widziałem szczery uśmiech na twarzy Rafała”. **Spin-doktorzy Trzaskowskiego opowiadają kampanię prezydencką. Dzień po dniu, błąd po błędzie**

Czwarte piętro kamienicy przy ulicy Wiejskiej w Warszawie, trwa kampania wyborcza. Sławomir Nitras, czyli nieformalny szef sztabu Rafała Trzaskowskiego, nerwowo pali e-papierosa, wokół stołu siedzą inni politycy.

Chwilę wcześniej Koalicja Obywatelska zamówiła badania, które miały sprawdzić, dlaczego z tygodnia na tydzień rośnie poparcie Sławomirowi Mentzenowi i kto chce w nadchodzących wyborach prezydenckich zagłosować na kandydata Konfederacji.

– Wychodzi na to, że młodzi są osobiście przerażeni i wkurzeni perspektywą płacenia podatków po skończeniu 26 lat. Czyli rozwiązanie wymyślone i wprowadzone przez PiS napędza wynik Konfie – relacjonują sztabowcy. Chodzi im o tzw. ulgę dla młodych, którą w 2019 roku wprowadził rząd Morawieckiego: wszyscy studenci, którzy pracują, a mają mniej niż 26 lat, nie płacą PIT-u.

Zaczyna się burza mózgów.

Politycy i spece od prowadzenia kampanii, którzy mają za sobą wiele wygranych i przegranych wyborów, przerzucają się pomysłami.

W pewnym momencie ktoś rzuca prostą obietnicę: podnieśmy ten próg o cztery lata. – Niech młodzi zobaczą, że Rafał się nimi interesuje i ma dla nich konkretną, sensowną, łatwą do opowiedzenia propozycję – ekscytuje się jeden z polityków.

Ktoś wyciąga kalkulator, wylicza na szybko, ile to może kosztować. Wychodzi około 5 miliardów złotych rocznie dla pięciu kolejnych roczników. Z perspektywy budżetu państwa – waciki. Dla porównania: obniżenie akcyzy na paliwa miesięcznie kosztuje budżet państwa miliard. Kolejna osoba rzuca inną liczbę: możemy dotrzeć aż do 1,2 miliona osób, część na pewno nagrodzi pomysłodawcę i zagłosuje na Trzaskowskiego.

– Dobra, rząd może się nie zgodzić aż na takie obciążenie, więc obiecamy podniesienie wieku do 28 lat – umawiają się sztabowcy.

Ale Rafał Trzaskowski nie zaproponował młodym wyborcom przedłużenia podatkowej ulgi. – Usłyszeliśmy od premiera, że sprawa nie została uzgodniona z ministrem finansów, więc mamy o niej zapomnieć – relacjonuje mi uczestnik tamtej narady.

•

Pod koniec maja spotykam się w biurze jednego z kluczowych sztabowców Trzaskowskiego. Siedzimy na wygodnych, obitych skórą fotelach. W pomieszczeniu nie ma okien, zasięg jest słaby, nikt nam nie przeszkadza, wydaje się, że jesteśmy sami na całym piętrze, choć z daleka słyszę co jakiś czas przyciszone kobiece głosy.

Od razu przypominam sobie anegdoty o pieczarze Grzegorza Schetyny, który na IV piętrze w kamienicy przy Wiejskiej w czasach swojej świetności, gdy jako zaufany Tuska trzymał KO żelazną ręką, knuł z innymi politykami, paląc i popijając whisky. Rozmowę przerywa nam co jakiś czas dźwięk z telewizora.

– Kampania Trzaskowskiego miała opierać się na kilku filarach. Centralnego Okręgu Przemysłowego 2.0, czyli inwestycji w Polsce lokalnej. Szeroko rozumianego bez-

1 RP

eprasa.pl 43ba3d7546

Radość w sztabie Rafała Trzaskowskiego po ogłoszeniu exit poll wyborów na prezydenta RP. Przedwczesna. Muzeum Etnograficzne w Warszawie, 1.06.2025

FOT. KUBA ATYS / AGENCJA WYBORCZA.PL

domu

pieczeństwa. Oraz przywiązania do wartości liberalnych z mrugnięciem do konserwatywnego elektoratu – usłyszałem kilka dni wcześniej od polityka Koalicji Obywatelskiej.

Bezpieczeństwo i prawicowa narracja to dwa motywy, które już podczas kampanii prezydenckiej przewijały się regularnie w analizach publicystów, politologów i komentarzach wyborców, ale COP 2.0 brzmi zagadkowo. Pytam mojego rozmówcę w opustoszałym biurze, o co chodziło w haśle nawiązującym do wielkiej dumy Drugiej Rzeczypospolitej, największego przedsięwzięcia przedwojennej Polski mającego zamienić rolniczy kraj w kwitnące państwo nowoczesnych fabryk i elektrowni wodnych. I dlaczego nie przebiło się do świadomości społecznej.

– Uznaliśmy, że Rafał może zyskać głosy w małych miastach, w których upadł wielki przemysł, szczególnie w miejscowościach na wschodzie i południu kraju. Dlatego zaproponowaliśmy wielkie projekty inwestycyjne, które miałyby dać pracę ludziom. Myśmy wiedzieli, że nie odbijemy wsi, nie mieliśmy tam czego szukać. Rafał jeździł więc po takich miastach jak Stalowa Wola, Radomsko, Mielec czy Mikołów i opowiadał, że Polskę stać na reindustrializację – tłumaczy sztabowiec.

W praktyce wyglądało to tak: sztab przygotowywał obietnice i hasła adresowane do konkretnej miejscowości, lokalni działacze KO drukowali ulotki i roznosili po wszystkich skrzynkach pocztowych w mieście. Potem odbywało się spotkanie z Trzaskowskim. Sztabowiec: – Rafał na tym etapie kampanii cały czas powtarzał, że inwestujemy w kolej, drogi i bezpieczeństwo, a na horyzoncie widać nowe pomysły, których on jako prezydent będzie pilnował.

Problem polega na tym – jak słyszę od pewnej znanej posłanki KO – że za ogólnikowymi obietnicami nie szły kolejne, już konkretne. Mówiąc językiem kampanii wojennych – po przygotowaniu artyleryjskim nie następował szturm.

– Co z tego, że rozdaliśmy ulotki, skoro po miesiącu nikt nie wysłał nowych plakatów do regionów, bo Wiola Paprocka, szefowa sztabu, nie odbierała telefonów. Po co Rafał to wszystko obiecywał, skoro rząd nie przedstawił listy konkretnych inwestycji. Tusk to zrobił – ale dopiero przy okazji programu SAFE. Proszę zwrócić uwagę, że kasę na rozwój zbrojeniówki dostanie wiele małych miast. Dopiero teraz ma to kształt taki, jaki powinno mieć wtedy. Polityki mogącej odbić prawicy ludzi w naszym polskim pasie rdzy – zżyma się posłanka.

Faktycznie, lista miejscowości, które skorzystają finansowo dzięki unijnemu programowi SAFE, odpowiada strategii opracowanej przez sztab Trzaskowskiego. Pieniądze popłyną m.in. do Stalowej Woli, Kobyłki, Radomia czy Lublina. Czyli głównie na południowy wschód od Wisły, gdzie od lat króluje bogoojczyźniano-ludowa prawica.

Kiedy pytam, dlaczego obietnice dla Polski lokalnej nie były dopracowane i powtarzane regularnie i z takim przekonaniem, z jakim opowiadali rządzący z PiS o Centralnym Porcie Komunikacyjnym, z różnych części sztabu i partii słyszę tę samą odpowiedź: bo kampania Trzaskowskiego rządziła się prawami chaosu.

Mimo że aspiracyjne wyzwania, o jakich dzisiaj marzą Polacy, zostały dobrze zdiagnozowane jeszcze za rządów Zjednoczonej Prawicy, która również na nich, nie tylko na „rozdawnictwie", jak początkowo uważała liberalna opozycja, utrwalała przez lata poparcie dla siebie po podwójnym zwycięstwie w 2015 roku. I mimo że, bazując na tych doświadczeniach, tę samą pracę, co Trzaskowski – tylko z zaangażowaniem i konsekwentnie – wykonał sztab Karola Nawrockiego. Opowiadał na kampanijnym szlaku o CPK, o inwestycjach lokalnych we wszystkich gminach, o budowie elektrowni atomowej, o rozbudowie portów morskich.

•

Ale z tym założeniem sztabu, które konsekwentnie realizowano, czyli prawicowym językiem, też był problem.

Strona liberalna od samego początku kampanii krytykowała Trzaskowskiego za mało wiarygodne umizgi do konserwatywnego elektoratu: mało, że nie działają, to są przeciwskuteczne. Bo zniechęcają wyborców liberalnych i lewicujących pod względem społeczno-obyczajowym, a konserwatywno-wolnościowo-narodowych nie przekonują. Gdyż dawno temu przyklejona prezydentowi Warszawy etykietka „tęczowego Rafała" przylgnęła zbyt mocno. No i wszyscy widzą, że Trzaskowski udaje.

Ale sztab do dzisiaj uważa, że pod tym względem nie popełniono żadnego błędu.

– Ludzie zapamiętali z całej kampanii dwa obrazki: Rafała proponującego ograniczenie wypłat 800 plus dla ukraińskich dzieci oraz schowanie na debacie tęczowej flagi, którą wręczył mu Nawrocki – opowiada starszy poseł KO.

Kandydat KO rzucił pomysł wypłat 800 plus wyłącznie dla tych dzieci z Ukrainy, których rodzice pracują w Polsce. Po sejmowych korytarzach krąży legenda, że na pomysł wpadł Cezary Tomczyk, zaufany przyjaciel Trzaskowskiego, jadąc z nim samochodem na spotkanie wyborcze. Z kolei otoczenie prezydenta Warszawy opowiada o burzach mózgów w sztabie i wyczytaniu emocji społecznych z szeroko zakrojonych badań.

Liberalne media i część opinii publicznej krytykowały Trzaskowskiego za ten postulat. Podnoszono, że państwo prawa i politycy odwołujący się do wartości i trzeźwego namysłu, nie do populizmu, nie powinni dyskryminować mniejszości i wchodzić w buty prawicy.

Rzecz jasna taktycznie, ale ugruntowując w społeczeństwie antypatie i stereotypy. Szybko też policzono i przypominano, że ukraińscy pracownicy co roku dokładają do polskiego PKB 2,7 procentu i zostawiają w kasie państwa 15 miliardów złotych podatków.

– Popełnia pan jeden błąd: nam nie zależało na dotarciu do prawicowego elektoratu, tylko do naszych wyborców – uśmiecha się ważny sztabowiec, kiedy kończę ten wywód.

Z badań zamówionych przez sztab jasno wynikało, że Polacy jako ogół, również ci z grupy dawniej nazywanej inteligencją i z wielkomiejskiej klasy średniej, są realnie zaniepokojeni pomocą, jaką od państwa otrzymują Ukraińcy.

– Odpowiedzieliśmy na społeczne emocje naszego elektoratu, który, no cóż, w tej sprawie niczym nie różni się od wyborców PiS – dodaje mój rozmówca, ten z pustego biura.

Od jeszcze innego sztabowca słyszę, że Trzaskowski próbował „pozbyć się łatki lewaka z Warszawy, który chce wprowadzać homoseksualne małżeństwa". – Rafał sam zdecydował, że będzie chodził na czele Parady Równości. Tłumaczyliśmy mu, że to niepotrzebna manifestacja i że bierze na siebie odpowiedzialność za wszystkie prowokacje aktywistów LGBT+ – relacjonuje mi polityk. – Ale z tym poradzilibyśmy sobie, „tęczowością" okłada się Rafała od lat i wszyscy się do tego przyzwyczaili. Poważnie to się przejęliśmy, kiedy pan napisał w „Wyborczej" o sprawie krzyży. Rafał dowiedział się o sprawie z pańskiego tekstu, zresztą jak cała KO.

W 2024 roku ujawniłem, że Trzaskowski podpisał rozporządzenie wprowadzające zasady równego traktowania w urzędzie miasta. Jeden z punktów zakładał zdjęcie krzyży w całym magistracie.

– Rafał wezwał wtedy urzędniczkę, która przygotowała dokument. I chyba pierwszy raz słyszeliśmy, jak na kogoś krzyczał. Wrzeszczał, że właśnie przez nią przegrał wybory – słyszę na korytarzu warszawskiego ratusza.

– Ale co, ona sama z siebie je wpisała w dokument, bo ma takie poglądy? A nawet jeśli, to nikt nie czytał tego, co podsuwa się Trzaskowskiemu do podpisu? Ja rozumiem, że prezydent nie da rady zgłębiać każdego rozporządzenia administracyjnego, ale równe traktowanie to materia, która powinna budzić czujność w sztabie politycznym ratusza. Zwłaszcza w przeddzień najważniejszej kampanii, o której wiadomo było, że będzie brutalna i wykorzystująca wojny kulturowe – nie mogę się nadziwić.

Ano owszem. Trzaskowski nie przeczytał rozporządzenia przed podpisaniem. Co więcej, nie zrobił tego nikt z gabinetu politycznego prezydenta. – Wydaliśmy wiele miesięcy wcześniej zgodę na sporządzenie nowych przepisów. Osoby, które za nie odpowiadały, skonsultowały je ze wszystkimi dyrektorami w urzędzie, część z pracowników nie akceptowała tych zmian, były spore opory przed wprowadzeniem języka neutralności płciowej, którymi mieli posługiwać się urzędnicy obsługujący mieszkańców. To na ich biurkach nie miało być krzyży, choć nikt nie zabraniał nosić religijnych medalików – relacjonuje jeden z ważnych urzędników.

Odpowiedź na pytanie, dlaczego rok przed wyborami wypuszczono z ratusza taki gorący kartofel, zaskakuje, choć jest bardzo ludzka: – Zabrakło nam czujności.

– Te krzyże spadły prawicy z nieba. Od razu wiedzieliśmy, że 20 procent Polaków zostało trwale zaimpregnowane na wszystko, co miał powiedzieć Rafał – kwituje z żalem sztabowiec.

Ale w KO jest spora grupa, która nie zgadzała się i nadal nie zgadza ze sztabowcami broniącymi konserwatywnego skrętu. Jej przedstawiciele mówią mi, że gra Trzaskowskiego z jego ugruntowanym wizerunkiem była największym błędem sztabu. – Jedni wyborcy oskarżali prezydenta o chwiejność i zmianę zdania zgodnie z panującą modą. Drudzy poczuli się zwyczajnie oszukani: niby prezydent chodził w Paradach Równości, ale w czasie telewizyjnej debaty schował pod pulpit tęczową flagę. Alarmowaliśmy sztab, że to wszystko wygląda niewiarygodnie. Ale na tamtym etapie oni nikogo już nie słuchali, wszystko wiedzieli najlepiej i tłumaczyli, że robią politykę od 20 lat i nie potrzebują dobrych rad – słyszę od progresywnego polityka KO.

Po „tamtej" stronie i najtwardsi pisowcy, i maczystowscy „konfederaci" i tak uważali, że Rafał jest tęczowy. A pokazując się jako człowiek zdecydowany, z kręgosłupem ideowym, jasno obstający przy swoich wartościach – tak jak Nawrocki, tylko à rebours – można było zaskarbić szacunek umiarkowanych centroprawicowców. Wyborców, którzy są przywiązani do tradycji, ale antyklerykalni i nie mają nic do miłości gejów czy lesbijek, byleby „się nie obnosili".

•

To wydaje się nieprawdopodobne, ale prezydent Warszawy nie został prezydentem Polski, bo nie wypalił mu na-

„Nie wiem, ile razy rozmawiałem z Rafałem, żeby musi być bardziej konkretny. A on wychodził przed ludzi, gadał coś przez godzinę i nikt z tej paplaniny niczego nie zapamiętywał. Najgorsze były te przerywniki: I o to chodzi!"

eprasa.pl 43ba3d7546

wet stuprocentowy samograj, czyli bezpieczeństwo.

Sztabowiec: – Proszę zobaczyć, że Donald Tusk dokonał rzeczy niemożliwej: europejski liberał, według prawicy poplecznik Angeli Merkel i multikulti, stał się obrońcą granic. Jest dziś twardym politykiem jednoznacznie kojarzonym z bezpieczeństwem, umacnianiem granicy białoruskiej, surowym podejściem do migrantów, z wojskiem. Tusk to ten, który buduje międzynarodowe sojusze militarne i przestrzega Zachód przed atakiem Rosji. Mówię o tym nie bez powodu, ponieważ aż do grudnia 2024 roku mieliśmy spójną politykę komunikacyjną, która pokazywała ludziom, że rząd troszczy się o ich bezpieczeństwo. Czego przykładem była „Tarcza Wschód" i mur na granicy z Łukaszenką.

Z innego źródła wiem, że premier na pytania, co zrobi z murem, jaki na granicy polsko-białoruskiej postawił rząd PiS, odpowiadał krótko: – Zbuduję większy.

– Rafał miał idealny punkt wyjścia: rząd był pod względem granic i wojny dobrze oceniany, Tusk kojarzył się z bezpieczeństwem, a nam wyszło z badań, że bezpieczeństwo grzeje politycznie. Ale wszystko się rozlazło, nasza strategia zderzyła się z rzeczywistością – mówi mi ten sam rozmówca.

Na przełomie 2024 i 2025 roku partie tworzące koalicję rządzącą postanowiły wystawić własnych kandydatów w wyborach prezydenckich. I, jak słyszę od jednego z młodszych ministrów, publiczne kłótnie, granie na siebie, skupienie się na indywidualnym wyniku, a nie na spójności koalicji wygrało z nadrzędnym celem, czyli zwycięstwem obozu liberałowie-ludowcy-lewica w wyborach prezydenckich. – W ciągu kilku miesięcy zaufanie do rządu spadło o 10 punktów. Dlaczego? Bo jednego dnia Krzysiek Paszyk z Polskiego Stronnictwa Ludowego rano mówił jedno, potem Szymon Hołownia dodawał drugie, wieczorem swoje dodawała Anna Maria Żukowska z Lewicy, a Rafał w tym czasie podróżował po kraju. No przecież to był totalny chaos komunikacyjny – słyszę od ministra.

Ale jest coś jeszcze. – Szybko ujawniły się wady Rafała, który był zbyt... żeby nie powiedzieć powierzchowny, obły... zbyt zagadkowy, nieprzenikniony. Już po kampanii przypomniałem sobie, co żeśmy mówili 30 lat temu o Bronisławie Geremku. Erudyta, wspaniały historyk, piękna karta opozycyjna, zasłużony dyplomata i minister, wielkiej klasy Europejczyk. Tylko że jak chodził po schodach, to nie wiadomo było, czy wchodzi, czy schodzi. To powiedzonko idealnie charakteryzuje Rafała – śmieje się nerwowo inny sztabowiec Trzaskowskiego.

FOT. JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Miał być zerowy PIT dla młodych, coś na kształt 800+ dla studentów, stypendia dla uczniów. Wszystko sprofilowane pod młody elektorat rozdarty między Mentzenem a Razem. A na koniec „usłyszeliśmy od premiera, że sprawa nie została uzgodniona z ministrem finansów"

– Nie wiem, ile razy rozmawiałem z Trzaskowskim, że musi być bardziej konkretny na wiecach i w wywiadach. Ale on nikogo nie słuchał. Wychodził przed ludzi, gadał coś przez godzinę i nikt z tej paplaniny niczego nie zapamiętywał. Najgorsze były te jego przerywniki, kiedy powtarzał: i o to chodzi! Ale na koniec nikt nie pamiętał, o co chodzi. Ludzie nie mieli pojęcia, co miał na myśli i z jakim programem idzie po władzę – narzeka kolejny polityk, który pracował w czasie kampanii z prezydentem Warszawy.

Kolejni rozmówcy opowiadają mniej więcej to samo. – Rafała wsadzali rano do samochodu, wieźli do jakiegoś miasta. Miał od rana trzy spotkania: w mleczarni, w dużym zakładzie czy u rolników, a wieczorem występował na wiecu. Bardzo rzadko odwoływał się do lokalnych problemów, tylko opowiadał, że jest silny i zadba o bezpieczeństwo – referuje jedna z posłanek.

Trzaskowski od stycznia 2025 roku aż do końca maja, kiedy kampania dobiegła końca, odwiedził każdy zakątek kraju. A mówiąc konkretniej: każde większe miasto. Na tle wcześniejszych kampanii Platformy Obywatelskiej – z wyjątkiem tej z lata 2023 roku pod hasłem „wóz albo przewóz", gdy PiS chciał zabetonować trzecią kadencję – naprawdę się wyróżniał. Nie można mu było odmówić pracowitości, bywały tygodnie, kiedy jednego dnia był w dwóch, a nawet w trzech miejscach, jak 12 maja, kiedy odwiedził Bolesławiec, Głogów i Jelenią Górę. – Ale nie był to marsz jak Pétera Magyara, kiedy jednego dnia przyszły premier Węgier odwiedzał po sześć miejsc. U nas tak robił Sławomir Mentzen, a myśmy śmiali się z jego hulajnogi, zamiast dokonać korekty metod i przekazu po katastrofie w Końskich – ocenia kolejny poseł KO.

– Rafał nie jest stanowczy, słucha każdego uważnie, każdemu chce dogodzić. No i ufa ludziom w polityce, a to bardzo naiwne podejście do naszej profesji – mówi mi kolejna osoba, tym razem z rządu.

Specjalista od wizerunku politycznego, który pracował przy kampanii Trzaskowskiego: – Prezydent postanowił wykreować wizerunek męża stanu, który nie nagrywa krótkich i śmiesznych filmików w trakcie śniadania, tylko poważne orędzia i odezwy. Zespół, który miał zadbać o wizerunek kandydata, nie potrafił przekonać ani sztabu, ani prezydenta do zmiany nastawienia. Dlatego portale społecznościowe zostały położone, dlatego nie potrafiliśmy budować na nich zasięgu, ponieważ Trzaskowski miał zaciśnięte usta, a nie roześmianą twarz. Doszło do kuriozalnej sytuacji, że sztab i pan prezydent nie chcieli pójść do Kanału Zero, który oglądała wtedy cała Polska. Kilka tygodni namawialiśmy Trzaskowskiego i Sławka Nitrasa do zmiany zdania – opowiada na jednym wdechu.

Kolejna osoba pracująca dla prezydenta Warszawy w kampanii: – W pierwszym tygodniu usłyszeliśmy, że skoro sondaże dają nam przewagę nad wszystkimi kandydatami, to nie ma sensu prowadzić intensywnej kampanii. Odniosłem wrażenie, że cały sztab uwierzył w sondaże i w to, że Rafałowi należy się prezydentura. Trudno było przebić się przez mur niezrozumienia z informacją, w jaki sposób działają nowoczesne sztaby i dlaczego metody pracy Nitrasa i Paprockiej szkodzą Trzaskowskiemu.

Inny spin doktor: – Nigdy w życiu nie spotkałem się z sytuacją, w której kandydat byłby tak radykalnie oddzielony od sztabu.

– On nie spotkał się z ludźmi, z którymi pracował. Dostawał gotowy plan, omawiał go w bardzo wąskim gronie. Nie wiem, czy kiedykolwiek pojawił się w biurze na Wiejskiej – mówi mi doświadczona analityczka.

– Pracowałem od pierwszego dnia w sztabie, przychodziłem codziennie do pracy, za którą mi płacono. I ani razu nie spotkałem Trzaskowskiego na żywo – mówi mi jeden z kampanijnych najemników.

Nie spotkał, bo były tak naprawdę trzy sztaby:

oficjalnie przy kampanii pracowało ponad 20 osób: od polityków takich, jak: Nitras, Barbara Nowacka, Agnieszka Pomaska poprzez szefową Wiolettę Paprocką, dyrektora technicznego Michała Marcinkiewicza oraz koordynatora medialnego Łukasza Pawłowskiego, po ludzi wysłanych przez Radosława Sikorskiego – na czele z jego synem Aleksandrem – oraz innych młodych, zdolnych pościąganych z rynku.

Ale w drugim sztabie, który nie dopuszczał do siebie absolutnie nikogo, pracowali Nitras, Nowacka, Tomczyk, Pomaska i Paprocka. Tylko oni mieli prawo kontaktować się z Trzaskowskim.

Sławomir Nitras, minister sportu, to jeden z najaktywniejszych posłów za czasów rządów PiS, który zasłynął hasłem „opiłowania katolików z pewnych przywilejów". Zasiada w Sejmie od 2005 roku z krótką przerwą na pracę w Parlamencie Europejskim. W czasach młodości był „kucem Korwina", należał do Unii Polityki Realnej, legendarnej libertariańskiej partii Janusza Korwin-Mikkego. W 2014 roku był głównym doradcą Ewy Kopacz, która zajęła gabinet premiera po przenosinach Tuska na fotel przewodniczącego Rady Europejskiej, czyli prezydenta Unii.

Choć nie wiadomo, czy stał za wszystkimi pomysłami premierki, jeden z nich wydaje się decydujący dla zrozumienia działalności liczących się polityków KO w czasie kampanii wyborczych. Tuż przed wyborami prezydenckimi w 2015 roku, kiedy Bronisław Komorowski ubiegał się o drugą kadencję z przekonaniem, podzielanym przez ekspertów, że wygraną z mało znanym Andrzejem Dudą ma w kieszeni, Kopacz zarządziła, że partia nie będzie pomagała prezydentowi. – Powiedziała swoim najbliższym ludziom, że Komorowski i tak jest pewniakiem, a nie zaszkodzi go trochę osłabić, żeby Kopacz była najważniejszą osobą w państwie. Wyszło tragicznie: najpierw przegrał Komorowski, a potem partia i cała liberalna Polska – opowiadał mi jakiś czas temu były minister z tamtego „potuskowego" rządu.

Wioletta Paprocka to szefowa gabinetu politycznego Rafała Trzaskowskiego w ratuszu. Prezydent Warszawy niejako wypożyczył ją Tuskowi w 2023 roku do koordynowania kampanii. Dobrze zorganizowanej, skoordynowanej i energetycznej, dlatego po jej sukcesie kierowała kolejnymi sztabami w wyborach – już mniej udanych – samorządowych i europejskich. Wcześniej mało znana radna Mazowsza, w ratuszu zawsze w cieniu prezydenta, ale w istocie szara eminencja – w urzędzie miasta odpowiada za politykę kadrową i dostęp do Trzaskowskiego.

Barbara Nowacka – wiadomo. Obecna **ministra edukacji** to zasłużona w roli młodej, nowoczesnej, żyjącej życiem zwykłych ludzi, „normalnej" polityczki działaczka lewicy, która w 2015 roku stała się twarzą kampanii Zjednoczonej Lewicy. Pech chciał, że obóz socjaldemokratyczny akurat się skłócił, „młodzi" z Razem Zandberga poszli osobno i pierwszy raz po 1989 roku i lewica nie weszła do Sejmu. Po czterech latach dołączyła do Koalicji Obywatelskiej, do której w tym roku włączyła swoją kanapową Inicjatywę Polską. Świetnie wypada na wiecach wyborczych, skraca dystans z ludźmi, ale jest fatalnie oceniana w rządzie jako szefowa resortu edukacji, głównie z powodu reformy, której nikt do końca nie rozumie.

Agnieszka Pomaska to posłanka z Pomorza, jedna z twarzy młodej Koalicji Obywatelskiej. Firmowała projekt finansowania zabiegów in vitro z budżetu państwa, a w latach

eprasa.pl 43ba3d7546

2015-23 stała się jedną z bardziej znanych posłanek głośno krytykujących działania PiS-u.

Cezary Tomczyk – wiceminister obrony narodowej, w którego mocno inwestuje Tusk. Poseł, człowiek Trzaskowskiego, stał się popularny pod koniec rządów PiS-u.

– Ten skład grupy doradców przyjaciół był fatalny, ponieważ nie da się prowadzić kampanii z doskoku, a przecież Nitras i Nowacka byli wtedy ministrami, mieli na głowie duże resorty. Proszę spojrzeć na sztab Nawrockiego: tam byli sami posłowie, którzy nie pełnili żadnych funkcji sejmowych, mogli więc skupić się wyłącznie na robocie – zauważa jeden z analityków pracujących w kampanii dla Trzaskowskiego.

Wreszcie ostatni sztab – bardzo nieoczywisty i zorganizowany na osobistą prośbę prezydenta Warszawy – w którym zasiadali giganci kampanii wyborczych. Po pracy tego nieformalnego sztabu nigdzie nie ma śladu. Pracowało w nim – za darmo – kilkanaście osób, które w ostatnich 25 latach odpowiadały za wszystkie kampanie wyborcze, zarówno dla Platformy Obywatelskiej, jak i lewicy czy Polskiego Stronnictwa Ludowego. Są majętnymi ludźmi, nie zajmują żadnych stanowisk politycznych, rzadko ze sobą pracują, od czasu do czasu skrzykują się, żeby pomóc Tuskowi wygrać wybory. Są wśród nich znani analitycy wysokiego szczebla, znani w środowisku pracownicy wielkich korporacji doradczych, byli sztabowcy. Koalicja Obywatelska raz korzysta z ich usług, a raz nie, wszystko zależy od trendów i osobistych relacji premiera z zapleczem eksperckim.

„Sztab zasłużonych", który bliscy doradcy Trzaskowskiego ukształtowali na jego wyraźne życzenie, spotykał się co tydzień z Wiolettą Paprocką. – Co siedem dni, analizując zamówione przez nas dane, za które płaciliśmy z własnej kieszeni, przedstawialiśmy kilkanaście pomysłów: obietnic, które mógł złożyć Trzaskowski, przez występy w mediach, gesty, słowa i spotkania – opowiada mi jeden z ekspertów, który pracował w nieformalnym sztabie. – Odnieśliśmy wrażenie, że niektóre z naszych pomysłów spodobały się pani Paprockiej, ale po czasie okazywało się, że dwa pierwsze sztaby – formalny i „przyboczny" – nie chciały ich realizować. Powiem więcej: przedstawialiśmy empiryczne dowody na to, że strategia zaproponowana przez ówczesny sztab główny zaczyna przynosić szkody. Nikt nas nie słuchał, po debacie w Końskich Paprocka przestała nas odwiedzać.

Grupa specjalistów przy sztabie trzecim, „wielkich zasłużonych", pracowała do samego końca. – W końcu część z nas wypracowała inny model komunikacji: omijaliśmy sztab formalny i spotykaliśmy się w tajemnicy przed Paprocką i Nitrasem z panem prezydentem. Wiem, że w ostatnich dwóch tygodniach kampanii chętniej realizowali nasze pomysły – słyszę od kolejnego eksperta.

Pytam, dlaczego nie machnęli ręką, skoro pracowali bez wynagrodzenia, zaangażowali się społecznie, a nikt ich nie słuchał. – Motywacje były naprawdę różnorodne. Jedni są na tyle bogaci, a jednocześnie przejęci krajem, że poświęcają swój czas. Drudzy liczą na zlecenia partyjne po wyborach, inni są rekomendowani przez wielki biznes – odpowiada szczerze jeden z moich rozmówców.

W największej grupie, czyli oficjalnym sztabie, teoretycznie wszystko było nowocześnie, w stylu profesjonalnych zachodnich kampanii.

– Ściągnięto z rynku sporo osób od marketingu, od serwisów społecznościowych, piaru, statystyk, specjalistów różnych dziedzin. Kilkanaście osób przychodziło codziennie do sztabu na Wiejskiej i pracowało nad kolejnymi kreatywnymi sposobami na utrzymanie kampanijnej uwagi na Trzaskowskim. Mieliśmy też opracować działanie profilów społecznościowych, a także różne techniczne, ale kluczowe elementy kampanii – gdzie konkretnie powiesić baner, gdzie i jak sprofilowaną wykupić reklamę, dokąd i których wysłać ludzi, jakie nieoczywiste zamówić badania – opowiada sztabowiec.

– Po dwóch miesiącach stwierdziłem, że sztab nie działa prawidłowo: nie mieliśmy dostępu do kandydata ani do kluczowych osób w kierownictwie, Wiola nie potrafiła delegować zadań, więc na końcu zajmowała się wszystkim samodzielnie, 90 procent naszych uwag i pomysłów zlekceważono, a kiedy wszyscy zauważyli, że kampania nie idzie w dobrym kierunku, to nie odbyła się żadna kryzysowa narada. Za to do sztabu regularnie wpadał Nitras, coś krzyczał i zaraz znikał.

Spin doktor dodaje, że w biurze przy ulicy Wiejskiej światła gasły o godzinie 17.00, wszyscy szli do domu, nikt nie wymagał od ludzi pracy całą dobę. – Dlatego w gronie nastu osób pracowaliśmy do samego końca po godzinach, w weekendy, na dysku w chmurze, którą założyła nam koleżanka. Praca w sztabie wyborczym, zwłaszcza w wyborach takiego szczebla i gdy gra idzie o taką stawkę, powinna trwać non stop, każda osoba zatrudniona przez Trzaskowskiego, która wierzyła w jego zwycięstwo, powinna być codziennie mobilizowana do pracy, ktoś powinien codziennie weryfikować ich przydatność. Przecież to abecadło, tak działają Republikanie, Demokraci, AfD, ludzie Macrona, no wszyscy. A my siedzieliśmy po osiem godzin, wymyślaliśmy sporo fajnych rzeczy, które lądowały w koszu – rozkręca się sztabowiec.

– A po wszystkim nikt nam nawet nie podziękował. Trzaskowski chyba nie wiedział, że miał na pokładzie grupę młodych, zdolnych i doświadczonych specjalistów. Nitras ani Paprocka nawet nam maila nie wysłali na koniec – kończy z goryczą.

•

Rzecz w tym, że na zapleczu kampanii był ktoś jeszcze: premier Donald Tusk.

„Kierownik" spotykał się ze sztabem co tydzień, był na bieżąco o wszystkim informowany. Choć po wtopie z Rafałem Brzoską, współwłaścicielem InPostu i filantropem kreującym się naraz na polskiego Jeffa Bezosa, czyli innowacyjnego przedsiębiorcę celebrytę, i na Jensena Huanga, założyciela Nvidii, czyli człowieka, który bogaci się dzięki determinacji, intuicji i dalekowzroczności – zaufanie po stronie sztabowców Trzaskowskiego zostało wystawione na próbę.

– Brzoska był dogadany z naszym Rafałem, że stanie się jego twarzą jakiejś komisji czy rady przedsiębiorczości. Chcieliśmy wysłać komunikat i do ludzi biznesu, i do młodych, aspirujących wyborców Konfederacji, którym imponuje taki osobisty sukces. I proszę sobie wyobrazić, że nie minęło kilka dni od naszej narady z Tuskiem, a ten zaprosił Brzoskę na konferencję w Giełdzie Papierów Wartościowych i ogłosił, że milioner będzie twarzą deregulacji. „Kierownik" ukradł nam pomysł! – śmieje się mój rozmówca z rządu. I zaraz się zasępia: – Tylko po co? Co mu to dało? Przecież to nie były wybory parlamentarne, tylko prezydenckie, wszyscy powinni grać na kandydata. A deregulacji ludzie nie zrozumieli, bo kojarzyła się z prawem i zakazami.

Spotkania z premierem trwały po kilka godzin, omawiano na nich nie tylko bieżące sprawy, ale też plany na najbliższe dni. To na tych spotkaniach mówiono o obietnicach, których ostatecznie Trzaskowski nie ogłosił prawie wcale. A na stole leżało prócz zerowego PIT-u dla młodych chociażby coś na kształt 800+ dla studentów, obniżenie cen prądu czy stypendia dla uczniów. Wszystko sprofilowane pod młody elektorat rozdarty między Mentzenem a Razem. – Wiem, że rozważano również scenariusz rezygnacji Rafała z funkcji wiceprzewodniczącego partii. Co było kluczowe, ponieważ Nawrocki w każdym wystąpieniu do tego nawiązywał, sklejał go, że przywołam język pisowskich publicystów i influencerów, z „Ryżym", z „unijczykami", „eurokratami", „platfusami". Ale nie wiedzieć czemu pomysł takiego taktycznego wizerunkowego odseparowania upadł – mówi mi osoba z otoczenia premiera.

Do poważnego załamania w kampanii doszło podczas debaty telewizyjnej w Końskich.

– Pomysł był banalnie prosty: skoro Końskie są wyborczym symbolem, bo kilka lat temu Grzesiek Schetyna rzucił, że wybory wygrywa się tam, a nie w Warszawie, i podchwycili ten bon mot wszyscy, od politologów po polityków PiS, to ściągnijmy na debatę Nawrockiego. Wszystko wymyślił Nitras, szef się zgodził, zaczęło się dogrywanie szczegółów – opowiada jeden ze sztabowców.

Schody zaczęły się przy wyborze telewizji, która miała transmitować rozmowę. – Wykluczyliśmy Republikę, TVN kłócił się z Telewizją Polską, to był cyrk. W końcu postawiliśmy na TVP, ale powiem panu szczerze, że z perspektywy czasu był to najpoważniejszy błąd w całej kampanii.

– Po pierwsze – zaczyna wyliczankę przejęty i zamyślony polityk KO – żadna z osób prowadzących kampanię Trzaskowskiego nie zauważyła, że telewizja i tradycyjne media przestały się liczyć. Nikt nam nie powiedział, że wystarczy postawić dwa telefony na statywach i transmitować debatę na YouTubie. Duże zasięgi, oglądalność gwarantowana, a bez wszystkich tych ceregieli, logistyki, ryzyka politycznego związanego z zarzutami o faworyzowanie tych czy innych dziennikarzy, o wykorzystywanie państwowej telewizji i tak dalej. My robiliśmy kampanię według zasad starego świata, a reszta kandydatów wyprzedzała nas w social mediach, inaczej komunikowali się z wyborcami, omijali dziennikarzy. Do was też przychodzili, jasne, ale na końcu – słyszę.

Pracowałem od pierwszego dnia w sztabie, przychodziłem codziennie do pracy, za którą mi płacono. I ani razu nie spotkałem Trzaskowskiego na żywo. A po wszystkim nikt nam nawet nie podziękował. Nitras ani Paprocka nawet nam maila nie wysłali na koniec

– Po drugie – przejęcie i refleksyjność zastępuje na twarzy mojego rozmówcy wściekłość – media i influencerzy z kanałów politycznych rozszarpali Trzaskowskiego po debacie.

A czemu rozszarpali?

– Hołownia nas zatopił, ponieważ postanowił przyjechać do Końskich. Za nim pojawili się inni kandydaci, zrobił się chaos, Rafał wypadł na nieudacznika, zmęczonego faceta, który nad niczym nie panuje.

Tylko czy lider Polski 2050 zatopił Trzaskowskiego z premedytacją? W dwóch źródłach udaje mi się potwierdzić, że w dniu debaty Jacek Cichocki, czyli szef sztabu wyborczego Hołowni, próbował wielokrotnie dodzwonić się do Paprockiej. Chciał z nią ustalić plan działania. Nie odebrała.

– Po trzecie – nie ma dobrego określenia na wyraz twarzy mojego rozmówcy – plan był zupełnie inny. Najpierw Trzaskowski miał debatować z Nawrockim, a tydzień później z Mentzenem. Mieliśmy te rozmowy organizować na własnych zasadach. A tak, zamiast bić się jeden na jednego, do czego był przygotowany, Rafał musiał nagle odpierać tuziny ataków na każdy temat – zasępia się polityk.

•

Na koniec kilku osobom z polityki i okolic zadaję proste pytanie: mimo tych wszystkich potknięć Rafał Trzaskowski do końca miał wszystkie narzędzia w rękach – pieniądze, dostęp do ekspertów, mediów i doświadczenia mądrych ludzi. Mimo sumy wszystkich błędów do samego końca był faworytem, mógł wygrać. Dlaczego przegrał? Nie wierzę w łatwe odpowiedzi, które dostaję: że sztab był blokowany przez premiera, że winę za wszystkie decyzje ponosi Nitras czy że Trzaskowski był źle dobranym kandydatem. Ta ostatnia nuta pojawia się w rozmowach często, choć jest nielogiczna – skoro prezydentem Polski został Karol Nawrocki, a więc mało znany polityk z niewyjaśnioną przeszłością i średniowiecznymi poglądami. Wychodzi na to, że wniosków z tego tekstu – rozliczeniowego, ale z jasnym przekazem na przyszłość, że pewnych błędów nie warto popełniać – jednak nie da się zamknąć w jednym czy dwóch efektownych przestrogach.

Zwięzłą sumę wszystkich błędów dostarczają mi dwie osoby, z którymi rozmawiam na koniec.

Pierwszą analizę usłyszałem, siedząc w ogromnym gabinecie, z sekretariatem większym od typowego mieszkania w Warszawie, z biurkiem, przy którym zmieściłoby się 10 osób, i typową dla takich miejsc ciszą.

– Wokół sztabu nie został zbudowany ekosystem sprawdzonych doradców, ludzi prowadzących popularne profile na portalach społecznościowych, czy wolontariatu. Albo inaczej – zbudował się częściowo intencjonalnie, częściowo sam, ale nie został zinternalizowany, przyjęty przez sztab, dwór i partię. Wokół Rafała non stop powinni siedzieć wybitni specjaliści od Instagrama, TikToka i tak dalej, ludzie organizujący mu objazdy, przed którymi zawsze powstaje nowe, konkretne przemówienie, oraz psycholog. Takich osób tam zabrakło. Zabrakło również lidera, wyraźnego szefa sztabu. Wioletta dostała narzędzia, ale większe przełożenie na Trzaskowskiego miał Nitras. Nie opracowano również kierunku kampanii, która od wczesnego okresu dotyczyła tego, czy Trzaskowski jest wiarygodnym politykiem – mówi mój rozmówca.

Rozjaśnieniem niektórych wątków zajmuje się druga osoba, z którą widzę się w zatłoczonej kawiarni. Nie jest osobą publiczną, nigdy nie pojawia się w mediach, ale szeroko rozumiane zaplecze polityczne doskonale zna tę postać. I co najważniejsze: z bliska – od kuchni – obserwował kampanię Trzaskowskiego.

– Wyjaśnię przyczyny upadku Trzaskowskiego w żołnierskich słowach. W październiku 2024 roku sztab powinien opracować plan na całą kampanię, z rozpisaniem miejsc, geografii wyborczej, grup, do których trzeba dotrzeć, obietnic, programu i hasła. Od stycznia szef sztabu powinien złożyć te puzzle i konsekwentnie realizować plan oraz na bieżąco sprawdzać w badaniach, jak działają konkretne postulaty. Trzaskowski, tak jak każdy poważny kandydat, powinien przez pierwsze pięć miesięcy umacniać swoją bazę wyborców, do niej adresować najważniejsze hasła, a dopiero na samym końcu skierować przekaz do prawicy – wylicza mój rozmówca. – Zrobiono odwrotnie: najpierw odcięto się od środowiska LGBT+ i wrzucono propozycję ukraińską, a gdzieś pod koniec przypomniano sobie o własnej bazie. Sztab Trzaskowskiego miał zasadniczy problem: był źle zarządzany, nie wykorzystywano jego potencjału i izolowano Rafała od kreatywnych ludzi. Zdziwiłem się rok temu, że mimo tych błędów, o których rozmawialiśmy w naszym środowisku politycznym, Trzaskowski dostał aż tyle głosów. Wniosek? Kandydat miał ogromny potencjał – słyszę.

•

Po oficjalnej części wieczoru wyborczego Trzaskowski z kilkudziesięcioma współpracownikami pojechał do Hotelu Warszawa. – Impreza trwała nawet po pierwszych wynikach late poll, z których wynikało, że przegraliśmy.

Do nikogo to nie dotarło. Piliśmy wino, jedliśmy przekąski, widziałem szczery uśmiech na twarzy Rafała. On naprawdę wierzył, że wygrał. Pyta pan, jak to możliwe. Sztabowcy mu przekazali, że sondażownie specjalnie zaniżyły mu wynik. I on w to uwierzył.

– Tusk był z wami? – dopytuję.

– Nie, po wyłączeniu kamer wsiadł do samochodu i pojechał do siebie. ●

eprasa.pl 43ba3d7546

O SŁAWNYM MEBLU, WYBORACH I SUSHI

Michnik: Czy wtedy czegoś się bałem? Buntu w obrębie władzy. Przyjścia zamordystów.

Kwaśniewski: Strach? Na to byliśmy zbyt zajęci. Najpierw negocjacjami, później kampanią.

Z UCZESTNIKAMI OKRĄGŁEGO STOŁU I WYBORÓW 4 CZERWCA 1989 ROKU ROZMAWIA **BARTOSZ T. WIELIŃSKI**

BARTOSZ T. WIELIŃSKI, wicenaczelny „Wyborczej": Mamy dzisiaj 37. rocznicę częściowo wolnych wyborów z 4 czerwca 1989 r., więc mamy też specjalnych gości: prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego i mojego szefa Adama Michnika, naczelnego „Wyborczej".

Panowie są świadkami tamtych wydarzeń. Porozmawiajmy więc o tym, jak przypieczętowany został upadek komunizmu w Polsce, i nie tylko: we wrześniu 1989 r. mieliśmy u nas pierwszy niekomunistyczny rząd, a w listopadzie zawalił się mur berliński. A po dziesięciu latach od tych wydarzeń Polska była już w NATO, po 15 latach w Unii Europejskiej.

Chciałbym zacząć od Okrągłego Stołu. Mamy tutaj taki mały okrągły stolik. Prawdziwy Okrągły Stół z Pałacu Namiestnikowskiego został wyeksmitowany do Muzeum Historii Polski przez obecnego pana prezydenta. Jako pomnik historii prezydentowi Kaczyńskiemu nie przeszkadzał, prezydentowi Dudzie też nie. Prezydent Nawrocki z dumą kazał go po prostu zdemontować.

Czy to jest jakiś symbol zakończenia czegoś? Zmiany stosunku do Okrągłego Stołu? Czy po prostu akt chuliganerii?

ALEKSANDER KWAŚNIEWSKI, były prezydent: Rozdzielmy dwie rzeczy. Sama decyzja o przeniesieniu mebla zapadła jeszcze za prezydenta Dudy. Trafił na Cytadelę w Warszawie, do nowego Muzeum Historii Polski.

To, że tam znalazł się ten mebel, jest w porządku. To jest ważna część polskiej historii i artefakt interesujący. Natomiast wystąpienie prezydenta Nawrockiego to było chuligaństwo. Bo chciał nam powiedzieć, że wraz z demontażem tego mebla kończy się w Polsce postkomunizm. Taki ideologiczny koncept przedstawił, co jest nieprawdziwe i fałszuje też historię Okrągłego Stołu.

Adam powiedział kiedyś, że gdyby Pokojową Nagrodę Nobla dawali meblom, to Okrągły Stół powinien ją dostać. W pełni się pod tym podpisuję, bo to była koncepcja ewolucyjnej, bezkrwawej zmiany ustroju politycznego, ekonomicznego, sojuszy międzynarodowych, geopolitycznego układu sił w Europie Środkowej.

Oczywiście nie ze wszystkiego zdawaliśmy sobie wtedy sprawę, np., że potrzebna będzie poważna wymiana kadrowa, wymiana elit. Okrągły Stół zapoczątkował wszystkie te procesy.

Mebel przełomu.

KWAŚNIEWSKI: Mebel przełomu. I on dalej promieniował, bo później na Węgrzech to powtórzono, podobnie w NRD. No i najbardziej chyba godną kontynuacją naszego Okrągłego Stołu były rozmowy prowadzone w RPA przez Afrykański Kongres Narodowy, czyli czarną większość, i biały rząd, co też przyniosło przełomowe historyczne efekty. Tam przecież powoływano się wtedy na nasz Okrągły Stół.

Już nie ma tego ducha

Adamie, brakuje ci Okrągłego Stołu w Pałacu Prezydenckim?

ADAM MICHNIK, naczelny „Wyborczej": Sama decyzja o jego przeniesieniu nie budzi jakicgoś mojego oburzenia. Ale uzasadnienie prezydenta Nawrockiego wydaje się absurdalne, bo z tego by wynikało, że postkomuna istniała w czasie, kiedy premierem był Jarosław Kaczyński, a prezydentem Lech.

Dla mnie Okrągły Stół ma tę wartość, że otworzył drogę do pewnego ucywilizowania sporu polsko-polskiego, że po Okrągłym Stole, nawet jeżeli były ostre różnice, to jednak podczas wyborów 4 czerwca nie sięgano po takie chwyty, jakie oglądamy dzisiaj, kiedy pan Czarnek mówi, że Tusk jest pod niemieckim butem.

Okrągły Stół to był przykład, że można się różnić i zarazem mówić kulturalnym językiem, który zakłada istnienie wspólnego dobra. On przez swój przebieg i konkluzje otworzył drogę do wolnych wyborów, choć jeszcze nie w pełni demokratycznych. Ale to się okazało bez znaczenia. Ważne było to, że wynik tych wyborów był miażdżący dla rządzącej formacji.

Kartka wyborcza zmieniła świat, bo obie strony zgodziły się, że respektujemy tę kartkę. Władza komunistyczna, gen. Jaruzelski i gen. Kiszczak, uznała ten rezultat. W tym sensie Polska jakby zrealizowała hiszpańską drogę do demokracji, czyli zmianę przez ewolucję, kompromis.

KWAŚNIEWSKI: Najsmutniejsze w wystąpieniu prezydenta Nawrockiego jest to, że on właściwie, wyprowadzając ten mebel z pałacu i mówiąc o końcu epoki, nie tyle mówi, jaka to ideologicznie epoka się skończyła, tylko de facto chce zamknąć ten czas ducha okrągłostołowego. Bo niezwykle istotny przy Okrągłym Stole był pewien duch porozumienia, poszukiwania kompromisu, słuchania siebie nawzajem, dialogu.

Kiedy patrzę na prezydenta Nawrockiego i jego działania, to tam z ducha okrągłostołowego nie ma nic. Tam jest koncepcja polaryzowania społeczeństwa.

Myśmy z Adamem spędzili fascynujące miesiące przy Okrągłym Stole i nie mieliśmy tej wyobraźni, jak dalece ten świat się zmieni w wyniku tego początku, jakim ten Stół był. Ale to właśnie było niesamowite, że stworzyliśmy możliwość działania wspólnego w interesie ogólnym, niezależnie od różnic między nami. I ten duch okrągłostołowy dał nam parę bardzo konkretnych efektów później.

Z tego ducha były oczywiście czerwcowe wybory. Ale z tego ducha była również reforma Balcerowicza: w kontraktowym Sejmie można było przygotować ogromnie skomplikowany pakiet ustaw, które zmieniły gospodarkę.

Z ducha Okrągłego Stołu urodziła się konstytucja 1997 r., bo ona dała nam możliwość porozumiewania się, całkiem dobrego, w wielu trudnych kwestiach. I ostatni akt tego ducha okrągłostołowego to było wejście do Unii w 2004 r. - udało się wtedy dużo większe niż partyjne siły zgromadzić razem, żeby powalczyć o to członkostwo. No i gdzieś od roku 2005 ten duch okrągłostołowy gaśnie, a w wypowiedziach prezydenta Nawrockiego zgasł już ostatecznie.

Dlaczego części naszej prawicy, tej populistycznej, ultrakonserwatywnej, Okrągły Stół tak bardzo przeszkadza? Przecież bracia Kaczyńscy byli jego współarchitektami i wielu innych polityków prawicy także przy Okrągłym Stole zasiadało.

MICHNIK: Logiki w tym, co mówią politycy PiS-u czy Konfederacji, brak. Tam sens jest tylko jeden. Wszystko, cokolwiek oni mówią i robią, jest podporządkowane jednej tylko idei: zniszczyć rząd, który jest proeuropejski, prorynkowy i trzyma się konstytucji, a samemu sięgnąć po władzę i budować system na podobieństwo premiera Orbána - teraz już można powiedzieć: byłego premiera.

Patrzę na to z niepokojem, bo to się wszystko dzieje w kontekście tego, co widzimy za wschodnią granicą i co widzimy w USA. Mam poczucie, że ta putinizacja polityki objęła Amerykę. I to jest niebezpieczne dla Polski. Mam wrażenie, że Trump w gruncie rzeczy próbuje zbudować putinowski model państwa w swoim kraju. Oczywiście mam nadzieję, że mu się nie uda, że instytucje demokracji amerykańskiej temu zapobiegną.

Język, którym się posługują politycy PiS-u, to jest język putinowski, to jest antyrosyjskie, ale putinowskie. Chodzi o retorykę, o stosunek do instytucji obywatelskich, wolnych mediów, kultury.

Kwaśniewski: Kaczyńscy byli przy Okrągłym Stole, ale odgrywali role nieporównanie mniejsze niż Wałęsa, Geremek, Kuroń, Michnik, itd. Więc być może bracia nie mieli poczucia, że to „nasze".

Zarazem dopóki żył i wypowiadał się o Okrągłym Stole Lech Kaczyński, prezentował w tej sprawie stanowisko obiektywne. Jarosław Kaczyński, odrzucając koncepcję okrągłostołową, zachował się jak cyniczny polityk, który wie, gdzie stoją konfitury i co zrobić, żeby je lepiej dla siebie wykorzystać.

Okrągły Stół ewidentnie był sukcesem tych środowisk solidarnościowych, które do niego doprowadziły i które tam były. No i w jakimś sensie był również przepustką do historii dla tych postaci bardziej reformatorskich [po stronie ówczesnej władzy].

MICHNIK: Bez Jaruzelskiego by nie było tego sukcesu.

Kompromis? A po co?

KWAŚNIEWSKI: Dla środowisk PZPR-owskich, do których sam należałem, znalezienie tego miejsca autorskiego było trudne. Później Jarosław Kaczyński przyjął koncepcję - którą nasze środowiska, te centrolewicowe, przegapiły: że ten wielki awans Polski, który dokonuje się od 1989 r. i ma wielu beneficjentów, ma również swoich „przegrywów", tych, którzy mają poczucie, że na przemianach stracili.

On zaczął kolekcjonować to środowisko. Wzmocniło go w tym też odejście czy wyrzucenie z ekipy Wałęsy, bo przecież bracia Kaczyńscy odgrywali na początku jego prezydentury bardzo istotną rolę.

Wielu rzeczy można Jarosławowi Kaczyńskiemu odmówić, ale nie skuteczności politycznej. Mniej więcej od przełomu wieków za-

Michnik: Okrągły Stół ucywilizował spór polsko-polski. Wtedy nie sięgano po takie chwyty, po jakie sięga dziś pan Czarnek, kiedy mówi, że Tusk jest pod niemieckim butem

1 RP

eprasa.pl 43ba3d7546

4 czerwca 1989. Pierwsze, częściowo wolne wybory do Sejmu i Senatu. Głosowanie w jednej z komisji wyborczych w Radomiu
FOT. SŁAWOMIR SIERZPUTOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

czyna w świecie odgrywać ważną rolę nowy paradygmat polityczny: nie wygrywasz wyborów, idąc ku centrum. Wygrywasz, kiedy jesteś brutalny. Musisz mieć wroga. Jak go nie ma, wymyśl go: to liberał, postkomunista, LGBT, gender, migrant, itd., itd. A potem eksploatuj to. Atakuj go, polaryzuj scenę.

I to jest, by tak rzec, zła informacja dla „idei okrągłostołowych", dla ludzi dialogu, kompromisu, myślenia wielostronnego. Dzisiaj tacy ludzie są ewidentnie w defensywie, bo ci „macho" prą naprzód.

Bardzo liczę na listopadowe wybory połówkowe w USA, ale jakiś Trump bis i tak będzie istniał. On zepsuł politykę amerykańską na pokolenia.

MICHNIK: Kilka lat temu było spotkanie w rocznicę 4 czerwca. Brali w nim udział Aleksander Kwaśniewski i Bronisław Komorowski, który mówił, że on bojkotował Okrągły Stół i te wybory uważał za błąd. Ale w rozmowie obaj się zgodzili, że wtedy wygrała Polska.

I to jest niesłychanie ważne, bo można się w różnych sprawach różnić, ale Okrągły Stół uznaliśmy wspólnie za coś dobrego. To jest fundament demokratycznej Polski. A to, co nastąpiło po Okrągłym Stole i 4 czerwca, to są najlepsze dziesięciolecia w ostatnich czterech stuleciach.

Wyobraźmy sobie, że Kaczyński, Nawrocki, Cenckiewicz wymazują Okrągły Stół z polskiej historii. I wtedy na czym mamy tę historię budować? Na upadku rządu Olszewskiego, nocy teczek w 1992 r.?

KWAŚNIEWSKI: Można ją zbudować szczególnie dziś, kiedy można manipulować opinią publiczną, poczynając od sztucznej inteligencji, a kończąc na platformach algorytmicznych. Pytanie tylko, czy ludzie to zaakceptują.

Podczas obrad Okrągłego Stołu nie mieliście świadomości, że dokonujecie epokowej zmiany. Was interesowało to, jak zapełnić półki w sklepach, jak dać ludziom jakieś godne życie.

KWAŚNIEWSKI: Gdybyśmy mieli tę wyobraźnię, być może nie starczyłoby nam odwagi. Ale było przekonanie, że dokonujemy czegoś historycznego i że ta zmiana może później przyspieszyć wiele innych. To było rzeczywiście odważne otworzenie drzwi.

Polska w swojej długiej, trwającej ponad tysiąc lat historii często z tą historią się mijała. Kiedy organizowaliśmy powstania, one były moralnym zwycięstwem. Ale rzadko politycznym sukcesem. Udało nam się wykorzystać historię, mieliśmy to szczęście, w 1918 r., kiedy w wyniku upadku mocarstw można było odrodzić Polskę, której nie było na mapie przez 123 lata. To bardzo długo. Wiele państw takiego okresu nieistnienia nie przeżyło.

I drugi moment wykorzystania historii to jest rok 1989. Moment, w którym społeczeństwo upomniało się nie o demokratyzację, nie o mniej wypaczeń, tylko o demokrację.

Pamiętam spotkanie [wyborcze w 1989 r., Aleksander Kwaśniewski kandydował na senatora, przegrał z kandydatami „Solidarności"] w Koszalinie, w zakładach elektronicznych, z młodymi ludźmi. Ja tam mówię te swoje rzeczy, że będziemy teraz zmieniać, poprawiać, rozwijać, liberalizować, itd. I oni są ok, są sympatyczni, ale w oczach jest niezgoda, bo oni już nie chcą słyszeć jedynie o demokratyzacji, oni chcą spróbować, nawet jeżeli to jest ryzykowne, co to oznacza demokracja. I myśmy wtedy weszli na drogę, kiedy demokracja była rozumiana jako demokracja, nie jako coś, co podlega manipulacjom algorytmicznych platform.

Generał jedzie taksówką. Pierwszy raz

We wczesnym 1989 r. panowie spotkaliście się w akcji po raz pierwszy. Adam Michnik jeszcze jako dysydent, jeszcze nie naczelny „Wyborczej". Opowiadałeś mi kiedyś, że twoim największym, zabawnym zaskoczeniem było wtedy to, że ludzie z PZPR-u, ze strony rządowej odkrywali, że Michnik to nie jest diabeł, ani Kuroń. To nie są jakieś potwory, tylko normalni ludzie, z którymi można pogadać.

MICHNIK: Słyszałem to od wielu ludzi, ale akurat nie od Olka, bo myśmy dość szybko potrafili nadawać na podobnych falach. Ale pamiętam spotkanie w jakiejś ambasadzie, tuż po Okrągłym Stole, tam był Mieczysław F. Rakowski i był Jaruzelski. Podszedłem do niego się przywitać. A ten ambasador mówi do Rakowskiego: „Towarzyszu premierze, dlaczego myśmy tak niszczyli tego Michnika?". A on na to: „W tej sprawie proszę do Jaruzelskiego".

KWAŚNIEWSKI: Razem z gen. Jaruzelskim byliśmy na konferencji w Hiszpanii, w San Sebastián. Gospodarze zaprosili nas na kolację. Jaruzelski niechętny, mówi, że chce odpocząć. A ja mu mówię: „Nie, trzeba tam jechać, warto. Hiszpanie sympatyczni, tu jest międzynarodowe towarzystwo, dużo ludzi z Europy Środkowej". Pojechaliśmy.

Po dwóch godzinach tej kolacji generał mówi, że jest już naprawdę zmęczony. Ok, jedziemy. Nie mieliśmy tam samochodów i trzeba to było zorganizować. Mówię: „Dobra, wezmę taksówkę". No i jedziemy tą taksówką.

Generał milczy. Pytam: „Coś nie tak? Źle się czujesz?". „Nie, ale słuchaj, muszę ci coś powiedzieć". Czekam na jakąś wiadomość straszną. Że zawał będzie miał za chwilę. A on mówi: „Wiesz, ja pierwszy raz w życiu jadę taksówką".

Ja się roześmiałem. Ale później myślę: a kiedy on miał jechać taksówką? Przed wojną jeździł powozem. W czasie wojny na Syberii taksówek nie miał. A później już tylko albo czołg, albo jeep, albo jakiś łazik, albo konno. A później już służbowe samochody. Kiedy miał jeździć taksówką? Bo generał ze względu na swój życiorys był trochę oderwany od codzienności, od rzeczywistości. I w związku z tym komunikaty esbeckie, jaki to zły jest Kuroń, jaki fatalny Michnik, odgrywały istotną rolę.

Generał, kiedy to zweryfikował, mówi: „Słuchaj, ja się myliłem. Jak w ogóle mogłem w te rzeczy uwierzyć?". Ja na to: „Jakbyś poszedł na wódkę z Michnikiem, to byś wiedział, że on taki nie jest". No ale generał nie pił.

Okrągły Stół to było ważne doświadczenie także dlatego, że on zmieniał obraz wroga. Ten obraz był weryfikowany przez real, przez to, że dotykaliśmy siebie nawzajem.

eprasa.pl 43ba3d7546

Chińczycy trzymają się mocno

MICHNIK: Kiedy prof. Janusz Reykowski na jakimś spotkaniu z aktywem partyjnym zdawał sprawę z przebiegu obrad przy stoliku politycznym Okrągłego Stołu, mówił: „Ja was, towarzysze, zaskoczę, ale wyjątkowo konstruktywną rolę odgrywają Kuroń i Michnik". Na sali buczenie - aktyw zdumiony, że takie rzeczy ten Reykowski mówi, kto to w ogóle jest? A on był wtedy członkiem politbiura KC.

KWAŚNIEWSKI: No tak, nie po to tworzysz obraz diabła, żeby później tak łatwo z tego rezygnować.

MICHNIK: Oczywiście. Dlatego mam ogromny szacunek dla gen. Jaruzelskiego i tego nie ukrywałem nigdy. A dlatego, że on mógł wybrać tę drogę, którą wybrali inni: twardego oporu wobec zmian. Jak Honecker. Albo rządzący w Chinach. 4 czerwca to data historyczna dla Polaków, ale jeszcze bardziej dla świata. Tiananmen.

Komunizm pokazał dwie drogi. Jedna to była polska droga, wybory jako rezultat Okrągłego Stołu. I Tiananmen, czyli jak na te aspiracje demokratyczne odpowiedzieć przy pomocy czołgów, mordów, okrucieństwa, itd.

A potem komuniści chińscy doprowadzili swój kraj do potęgi. No i pojawiają się tacy, którzy mówią, że trzeba było iść chińską drogą. I trzeba wspierać Putina. Ale czy w Polsce taki model zmian byłby możliwy? I taki sukces gospodarczy jak w Chinach? A do tego nie wiemy, czym to się skończy. Jak długo może odnosić sukces państwo autorytarne, bez demokracji?

KWAŚNIEWSKI: Model chiński zyskuje w tej chwili na popularności.

MICHNIK: Bo sukces.

KWAŚNIEWSKI: Bo sukces. On wynikał przede wszystkim z potencjału chińskiego wobec globalizacji. Ale też ten model jest atrakcyjny dla wszystkich niedemokratycznych przywódców politycznych, bo daje usprawiedliwienie: dlaczego u nas nie ma demokracji.

Ale wracając do tych modeli: co można było zrobić, czego nie? Byłem już od dawna prezydentem i był u mnie na jakiejś konferencji Gorbaczow. Dziennikarz zadał mu takie pytanie właśnie: „A nie lepiej było, Michaile Siergiejewiczu, pójść drogą chińską? Reformować gospodarkę, ale zachować jednak tę wiodącą rolę partii komunistycznej?". Na co Gorbaczow odpowiada: „Tak, macie rację, myśmy długo o tym dyskutowali z mądrymi ludźmi" - ale na końcu zawsze dochodzili do wniosku, że nie wybiorą chińskiego modelu, bo brakuje im Chińczyków.

W Polsce żaden model autorytarny na tamtym etapie by nie przeszedł. Pytanie, czy dzisiaj nie nastąpi zmęczenie demokracją, słabościami procedur demokratycznych, a do tego dojdą możliwości manipulacyjne tych algorytmicznych platform. Wejdzie w życie nowe pokolenie, które już nie przywiązuje takiej emocjonalnej wagi do demokracji, do Unii. Czy może to przywieść Polskę do bardziej autorytarnych konceptów? Wierzę, że nie, ale to tylko wiara. Pewności stuprocentowej nie ma. W Niemczech mają ten sam problem, we Francji.

Dochodzi to, co zaczął Trump. On, jak mówisz, putinizuje Amerykę. Ja używam innego słowa, kiedy rozmawiam z Amerykanami, którzy zaczynają się obawiać o autonomię uczelni, a gazety zaczynają się bać, czy mogą wszystko napisać: to jest sowietyzacja USA, coś, co w ogóle wydawało się niewyobrażalne.

Opowiem historię prawdziwą: kiedy Ukraińcy negocjowali układ z Amerykanami o rzadkich minerałach, zwrócili się do wielu wybitnych [amerykańskich] firm prawniczych, żeby reprezentowały ich interesy. Żadna z tych firm się nie zgodziła ze strachu, że straci licencję, itd. Dopiero w Wielkiej Brytanii znaleziono firmę prawniczą, bo tam chodziło też o język, żeby to wszystko się odbywało w języku angielskim, bez tłumacza. Więc słuchajcie, to jest dopiero zły znak.

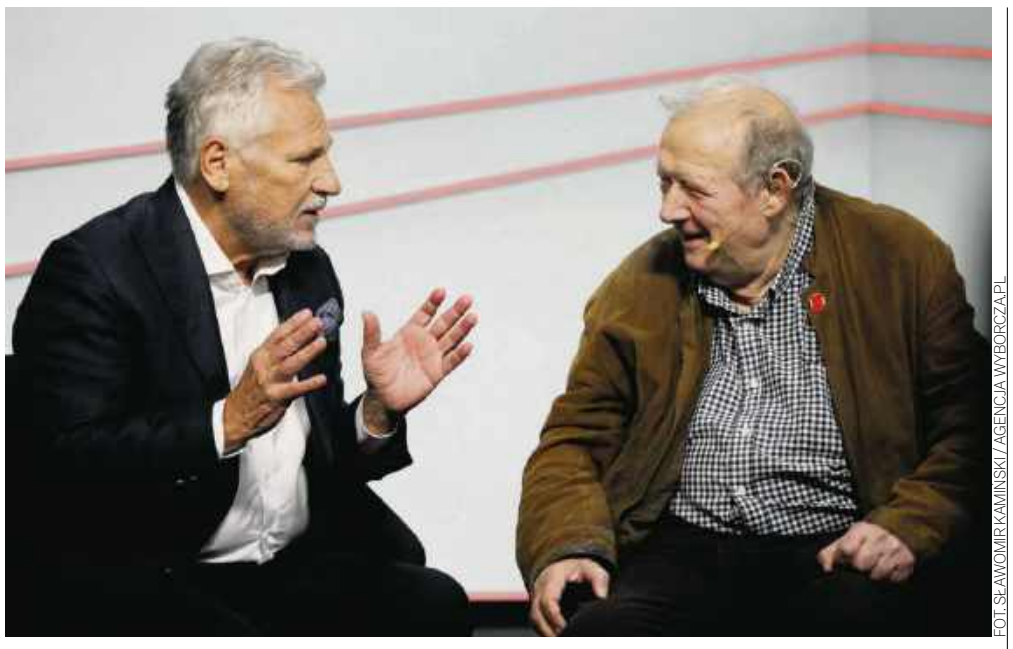

FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Michnik:
Pamiętam moje rozmowy z Mazowieckim latem 1989 roku. Krytykował moje pomysły. No i napisałem ten mój artykuł „Wasz prezydent, nasz premier"
Kwaśniewski:
I wpadł we własne sidła: został pierwszym niekomunistycznym premierem

To ten dylemat, przed którym stoją współczesne społeczeństwa: czy chcecie mieć wolność, czy bezpieczeństwo? Chcecie mieć pełną demokrację czy wolicie być zamożni?

KWAŚNIEWSKI: Ten dylemat się pojawił grubo wcześniej, bo de facto po 11 września 2001 r. To administracja Busha juniora pierwsza przedstawiła taki dylemat: chcecie więcej bezpieczeństwa? Czyli więcej kontroli, ingerencji państwa w różne rzeczy? I na to odpowiedź może być, niestety, mizerna: trzeba starać się zapewnić jedno i drugie, ale nie kosztem jednego lub drugiego. Czyli nie może być mowy o takiej wolności, która oznacza, że strach wyjść na ulicę. Ale też o takiej walce o bezpieczeństwo, że strach się odezwać.

Bezpieczeństwo trzeba zapewnić, ale dając ludziom również bezpieczeństwo wypowiedzi, czyli wolność w rozumieniu Adama.

Budapeszt, wygrana bitwa

Wróćmy do 1989 r. Jest dziesięć dni, tydzień przed wyborami. Co wtedy robisz, Adamie? O czym myślisz?

MICHNIK: Kandydowałem do Sejmu z Bytomia. Na początku kampanii nie wiedziałem, jak to się skończy. W jej trakcie miałem przekonanie, że wygramy. A pod koniec uznałem, że zwycięstwo będzie miażdżące.

Na jakiej podstawie?

MICHNIK: Na podstawie tego, co słyszałem na wiecach. I tego, jak wyglądała kampania kandydatów ze strony partyjno-rządowej. Tam było takie przekonanie, że dojdą u nas do władzy jacyś nieodpowiedzialni gówniarze. Ale żadnego projektu nie było. „Solidarność" też nie miała projektu. Miała jednak mit i dawała nadzieję na zmianę.

Było takie powiedzenie wtedy, że gdyby się krowa sfotografowała z Wałęsą, to też by weszła do Senatu czy Sejmu. No tak, była wielka potrzeba zmiany. I jest tu pewna analogia paradoksalna z tym, co wydarzyło się ostatnio w Budapeszcie. Tam też była taka wielka potrzeba.

KWAŚNIEWSKI: Po 16 latach.

MICHNIK: Ta koalicja wokół Magyara jest bardzo pstrokata. Nie wiadomo, co z tego wyjdzie na koniec. Głosy są różne, ale jedno jest pewne: Węgrzy odrzucili rządy autorytarne jako rządy de facto zabetonowane i nieusuwalne. To jest nadzieja dla świata demokracji. Ale to jest dopiero wygrana bitwa, nie wojna.

KWAŚNIEWSKI: Sporo tych wojen.

MICHNIK: To będzie bardzo skomplikowana droga. Ale jestem optymistą, bo trzeba być optymistą, Trzeba wierzyć w to, że dyktatura nie musi wygrać.

Adamie, pamiętam, jak mówiłeś, że pesymiści są nudni, bo zawsze mają rację.

KWAŚNIEWSKI: Kto to jest pesymista? To dobrze poinformowany optymista. Ze względu na ilość informacji stracił resztki nadziei.

MICHNIK: Mnie chodziło o to, że w Polsce pesymizm oczywiście ma znaczenie, ale w gruncie rzeczy prowadzi do pasywności. Do przekonania, że i tak nie ma żadnych szans na zmianę, więc nie będziemy się o to starać. Ja cały czas wiedziałem, że zawsze coś można zmienić na lepsze.

KWAŚNIEWSKI: Zawsze. A poza tym wszystkie te typowe koncepty autorytarnych liderów... Rzesza tysiącletnia. Albo: zmienimy konstytucję tak, że zabetonujemy system na lata, tak jak zrobił Orbán. I wpadł we własne sidła: po 16 latach musiał oddać prawie wszystko w parlamencie, bo taką ordynację przygotował.

W liczbach bezwzględnych dostał podobną liczbę głosów co w poprzednich wyborach, jego Fidesz ciągle pozostaje dużą siłą polityczną. Ale ze względu na ordynację wynik jest taki, jaki jest.

Tak samo jak u nas [w 1989 r.] w istocie większościowa ordynacja do Senatu to był ten spektakularny wyraz woli narodu, bo przecież gdyby było proporcjonalnie, wynik byłby 70 do 30, 65 do 35, itp. Zwycięstwo wyraźne, bezdyskusyjne, ale przecież nie druzgocące. Tymczasem wynik to było druzgocące 99 do 0.

„Wasz prezydent, nasz premier"

MICHNIK: Mnie skłoniło to wtedy zresztą do przeorientowania swojego własnego myślenia. Na początku bałem się, co z tego będzie. Potem zobaczyłem po pierwszej turze, że coś tu się stało niezwykłego. Ten wynik druzgocący jest, ale po naszej stronie mało kto sobie to uświadamiał.

Pamiętam moje wielogodzinne spacery z Mazowieckim [latem 1989 r.]. Mówił, że „nie ma nic gorszego niż te twoje pomysły". Chodziło o to, żeby działać na drodze kompromisu. Dlatego napisałem ten mój artykuł „Wasz prezydent, nasz premier". To był wariant kompromisowy.

Mazowiecki ci powiedział, że prędzej piszesz niż myślisz.

MICHNIK: Napisał.

KWAŚNIEWSKI: I to jest kolejny przykład, jak wpada się we własne sidła: został pierwszym niekomunistycznym premierem. A został nim m.in. dlatego, że prezydent Jaruzelski dostał wtedy trzy kandydatury do wyboru: Mazowieckiego, Geremka i Kuronia. I on zdecydował się na Mazowieckiego. Pytałem go po latach, dlaczego. Otóż Mazowiecki z tego grona był najbardziej strawny dla, nazwijmy to, zaplecza Jaruzelskiego.

MICHNIK: I dla Kościoła.

KWAŚNIEWSKI: To jest najważniejsze, bo całe Biuro Polityczne w latach 80. uważało, że prawdziwą reprezentacją społeczeństwa są biskupi, a nie jakaś tam „Solidarność". Więc Mazowiecki, mający dobre kontakty z Kościołem, był dobrym kandydatem. Do tego jako były poseł dysponował praktycznym doświadczeniem politycznym.

No i okazał się świetnym wyborem - na ten czas, na potrzeby tej wielkiej zmiany, z tą swoją wewnętrzną integralnością. I bardzo dobrym premierem.

Stan wojenny bis? Wykluczone

MICHNIK: Bałem się, że po naszej stronie pojawi się triumfalizm, wielkie masy wylegną na ulice. Miałem poczucie, że chodzimy po kruchym lodzie, nie wiemy, co w Rosji będzie. Do tego w tamtych przemianach byliśmy wtedy pierwsi.

KWAŚNIEWSKI: Był też Tiananmen. Obrazy z tego placu były znane.

Czy naprawdę niczego się wtedy nie baliście? Mówicie pozytywnie o gen. Jaruzelskim. Ale to był człowiek, który wprowadził stan wojenny, zdławił pierwszą „Solidarność". Nie baliście się, że on znowu zrobi to samo?

MICHNIK: Ja się mniej bałem, bo gdyby on chciał, to już by to zrobił. Nie dopuściłby do Okrągłego Stołu. Bałem się czegoś innego: że będzie jakiś bunt w obrębie władzy. Tak w końcu było w Chinach. Tam dwóch sekretarzy generalnych zostało odsuniętych, a przyszli zamordyści.

Bałem się czegoś takiego jak to, co się stało w 1991 r. w Moskwie i wtedy się nazywało puczem Janajewa. Tego, że w Rosji powstanie formacja, która obali Gorbaczowa i Jelcyna. Bałem się siły obecnej w wojsku, w KGB, itd.

KWAŚNIEWSKI: Czy byliśmy przerażeni? Myślę, że na to myśmy wtedy byli zbyt zajęci. Najpierw Okrągłym Stołem, później kampanią wyborczą.

Ważne było nawigowanie tym całym procesem. I tu niewątpliwie wielką rolę odegrał Jaruzelski. Po upadku listy krajowej [w wyborach 4 czerwca; 33 na 35 obecnych na niej kandydatów na posłów z obozu władzy nie uzyskało wystarczającej liczby głosów] przedstawiciele małych środowisk politycznych, głównie związanych z Kościołem, przychodzili i mówili, że to jest niekonstytucyjne, bo Sejm musi mieć 460 posłów, a będzie miał mniej, bo listy krajowej nie ma. I jakby namawiali, żeby nie uznawać tych wyborów.

A Jaruzelski powiedział: „Panowie, nie sądzicie chyba, że możemy zrobić stan wojenny w Polsce?". Był absolutnie przekonany, że trzeba zaakceptować nową sytuację. A po roku prezydentury zrezygnował z niej i to w sposób absolutnie pokojowy.

MICHNIK: Pierwszy raz w historii komunizmu coś takiego się wydarzyło.

KWAŚNIEWSKI: Oto w historii świata mamy dyktatora, który organizował stan wojenny, a kończy jako demokratycznie wybrany prezydent i odchodzi ze stanowiska po roku.

MICHNIK: Generał rozumiał, że świat się zmienia i on nie chciał być hamulcowym tych

eprasa.pl 43ba3d7546

zmian. Jednocześnie chciał być przydatny Polsce i to był jego świadomy zamysł. Kiedy słyszę, że tak zrobił, bo musiał, odpowiadam: - Nic nie musiał. On szedł tą drogą, bo chciał nią iść.

Ameryka na opak

W 1918 r., kiedy powstała niepodległa Czechosłowacja, Tomáš Masaryk powiedział: „Mamy demokrację. Teraz potrzebujemy demokratów". Jak to było z naszymi demokratami?

KWAŚNIEWSKI: Polska miała wtedy trochę demokratów. Myśmy byli inni niż większość krajów bloku, bo jednak istniały środowiska opozycyjne, znani ludzie, z twarzami, z publikacjami.

Partia, PZPR, też podlegała procesowi, który w Polsce był dużo bardziej intensywny niż gdziekolwiek indziej, bo mieliśmy Październik '56. Partia po Październiku jest inną partią niż wcześniej. A potem mamy rok 1968, 1970 i 1976, w końcu „Solidarność" w 1980 r. Więc ludzi, którzy rozumieli potrzebę zmiany, jest więcej, by tak rzcc, na kilometr kwadratowy niż np. w NRD.

Druga rzecz to rola Kościoła. No i niewiadoma, jak ta demokracja ma wyglądać, przy jednak sporej pasywności społeczeństwa. Bo frekwencja w wyborach 1989 r. była taka sobie, trochę powyżej 60 proc. To nie było tak, że społeczeństwo otrzymało tę kartkę wyborczą i wreszcie z tej kartki skorzystało. Może się odezwała typowa polska przekora, że skoro mamy demokrację, to znaczy, że mogę głosować, a mogę też zostać w domu.

Uważam, że z demokracją daliśmy sobie radę i ona broni się sama. Natomiast demokracja polska przeżywa problemy związane z tym, co dzieje się w świecie. Bo tradycyjna demokracja niewątpliwie ma kłopot: z nowym językiem komunikacji, z mediami. Z własną wiarygodnością. I to wykorzystują politycy niedemokratycznej strony, którzy uważają, że trzeba iść w stronę systemów bardziej zdyscyplinowanych, a mówiąc wprost autokratycznych. Społeczeństwo obywatelskie w Polsce na szczęście jest silne i pozostaje silne. Co widzieliśmy podczas marszów kobiet.

Do tego Polska jest samorządowa. Społeczeństwo obywatelskie ma się dobrze. Większy kłopot mam, gdy chodzi o liderów politycznych, bo tu jakaś zmiana pokoleniowa byłaby konieczna.

Inny punkt: ta nowa scena medialna, czyli te algorytmiczne platformy, i to, że największym przyjacielem człowieka dzisiaj jest już nie żona, nie dzieci, nie pies, tylko ekran smartfona, z którym się nie można rozstać. Czy my znajdziemy sposób komunikowania się z pomocą tych nowych metod, taki, żeby przekonywać do wartości demokratycznych?

A te wartości przeżyją. Dlaczego jestem optymistą, tak jak Adam? Bo ludzie potrzebują wolności. I szacunku, który wynika z ochrony praw człowieka. Chcą, żeby ich głos miał sens i znaczenie. W związku z tym wartości wynikające z demokracji czy z praw obywatelskich muszą się przebić.

Jednak z mojej pewności wytrąciły mnie wydarzenia amerykańskie, bo tam wszystko jest na opak. W Ameryce trwa proces putinizacji czy sowietyzacji. A facetem, który najlepiej korzysta z nowych mediów, jest 80-letni Donald Trump. Gdyby to był jakiś 30-latek, którego ja ze względu na mój wiek mam prawo nie rozumieć... A on jest starszy ode mnie, ale lepiej te wszystkie nowinki kuma niż ja.

MICHNIK: Tak, jestem optymistą. Kisiel mówił, że on wieszczy, że będą wielkie konflikty, nuklearne, itd. I co on na to? Nie boi się: „Ja wierzę w nieśmiertelność duszy". To mi się bardzo spodobało.

Otóż ja wierzę, że pęd do wolności jest na tyle zakorzeniony w naturze ludzkiej, że on jest nie do wyplenienia. Ktoś, kto pogardza tym rodzajem aspiracji, skazuje się w dłuższym czasie na przegraną, choć w krótkim może wygrać. W końcu w wyniku wyborów tekę kanclerza otrzymał Hitler. Nie wolno o tym zapominać.

Nie ma dzisiaj wypracowanych sposobów obrony przed degeneracją zdobyczy technologicznych. Jeszcze tego nie wiemy, ale kiedyś wydawało się, że przekleństwem jest Gutenberg, wynalazek druku. Bo nagle chamstwo ma wydrukowaną Biblię i sobie może czytać!

Internet jest jak nóż, którym można ukroić chleb i człowieka zabić. Jeszcze nie wymyślili sposobu, jak się przed tym bronić, ale myślę, że znajdą się szczepionki na to. Ale w rocznicę wyborów w 1989 r. mamy wspaniałą okazję, żeby sobie powiedzieć, że w Polsce jest wszystko możliwe. Nawet zmiany na lepsze.

Oni żyją tu i teraz. Ich prawo

To jest chyba najlepsze podsumowanie tych 37 lat. Ja jestem trochę dzieckiem roku 1989. Miałem wtedy 11 lat. Rozwiesiłem trzy plakaty „Solidarności". Jeden mam w domu, bo go sobie po wyborach zdjąłem na pamiątkę. I martwi mnie to, że moje dzieci przechodzą wokół tego dosyć obojętnie. Ich nie grzeje ani „Solidarność", ani Wałęsa, ani Jan Paweł II. Ta historia, o której mówiliście, przechodzi do lamusa.

KWAŚNIEWSKI: Jakoś przechodzi, ale chyba tak musi być.

MICHNIK: Przechodzi, ale wróci. Kiedy byłem w wieku twoich dzieci, też się historią nie interesowałem, a potem się wciągnąłem.

KWAŚNIEWSKI: Naszym obowiązkiem jest mówić o tej historii. Najgorsze byłoby, gdyby młodzi ludzie nie czuli tej historii, bo nic o niej nie wiedzą. Oczywiście oni będą żyli swoim życiem, to ich święte prawo. Nie dziwmy się, że przechodzą obojętnie obok tych plakatów. Żyjemy tu i teraz, dniem codziennym.

Na koniec historia sprzed dwóch dekad. To był rok 2005, ostatni rok mojej prezydentury. Jest akurat rocznica „Solidarności", 25 lat od jej powstania. Uroczystość w Stoczni Gdańskiej. Jest Lech Wałęsa z żoną, ja z żoną. I dwóch kandydatów w wyborach prezydenckich, Donald Tusk i Lech Kaczyński.

Jednym z pomysłów na tę rocznicę były etiudy filmowe zrobione przez wybitnych polskich reżyserów. Juliusz Machulski, wspaniały reżyser polskich komedii, zrobił 7-minutową historyjkę. Marek Kondrat gra szefa piarowskiej agencji. Dostaje zlecenie - ma zrobić film na 25 lecie „S".

Woła swoich młodych współpracowników. Wszyscy siadają w nowoczesnym open roomie. No i on mówi: „Słuchajcie, co by tu zrobić?". Przypomina sobie siebie samego z czasów karnawału „S": broda, włosy, ulotki, tu protesty, no wspaniały czas.

Żadnej reakcji ze strony tych młodych, żadnego większego zainteresowania, nie ma też pomysłów. On już nie wytrzymuje i mówi: „Słuchajcie, no zastanówcie się, co musimy zrobić, co nam dała »Solidarność«". Cisza wśród tych młodych. Co nam dała „Solidarność?". Pukanie do drzwi. Drzwi się otwierają. Wchodzi sushi.

Wałęsa spadł z krzesła. Myśmy wszyscy ryczeli ze śmiechu, bo było oczywiste, że to już jest sprawa, która trafia do młodych. Że dostaliśmy sushi, bo Polska tak bardzo się zmieniła. ●

Rozmawiał Bartosz T. Wieliński

Więcej: Wyborcza.pl/magazyn
Zapis dźwiękowy rozmowy (podcast Wyborczej „8:10"): wyborcza.pl/podcast/0,172673.html#s=nav-menu

REKLAMA

Kraj/34434583

KSIĄŻKI

Nowa seria Przemysława Piotrowskiego to jedno z najgłośniejszych wydarzeń roku.

Mgła wisząca nisko nad ziemią. Wieś, która wygląda, jakby zatrzymała się poza czasem. I las, przed którym mieszkańcy ostrzegają od pokoleń, bo od lat giną w nim młode kobiety.

„W ciemnym, głodnym lesie" – nowa powieść Przemysława Piotrowskiego – od pierwszych stron wciąga czytelnika do świata, w którym granica między rzeczywistością a paranoją zaczyna się zacierać. Autor buduje historię nie tylko wokół zaginięć młodych kobiet, ale przede wszystkim wokół narastającego poczucia osaczenia – jakby sam las obserwował bohaterów i tylko czekał na ich błąd. Tym samym tworzy jedną z najbardziej sugestywnych i niepokojących przestrzeni w polskiej literaturze gatunkowej ostatnich lat.

TYLKO NIE WCHODŹ DO LASU...

Akcja powieści rozgrywa się w Czyśćcu – niewielkiej miejscowości ukrytej w Bieszczadach i otoczonej kompleksem leśnym Borek. To właśnie tam przed laty bez śladu zaginęła siostra Niny Baceli. Kiedy po latach w tej samej okolicy znika kolejna dziewczyna, Nina – dziś dziennikarka – rozpoczyna własne śledztwo. Szybko odkrywa, że podobnych zaginięć było więcej, a mieszkańcy od dawna żyją w cieniu lasu i strachu, który wokół niego narósł. Każdy w Czyśćcu powtarza to samo: „Las zabiera i nie oddaje".

Borek nie jest tu zwykłym tłem wydarzeń, lecz pełnoprawnym bohaterem powieści. Drzewa zdają się obserwować bohaterów, mgła tłumi dźwięki, a mieszkańcy zachowują się tak, jakby od dawna podporządkowali swoje życie regułom narzuconym przez las. Z każdą kolejną stroną atmosfera staje się coraz bardziej duszna, a czytelnik – podobnie jak Nina – zaczyna tracić pewność, gdzie kończy się rzeczywistość, a zaczyna obłęd.

KIEDY CZŁOWIEK PRZESTAJE UFAĆ SOBIE

– Od początku chciałem napisać kryminał, w którym czytelnik będzie czuł narastający dyskomfort niemal fizycznie. Taki, gdzie z każdą stroną coraz trudniej odróżnić realne zagrożenie od paranoi. Interesował mnie strach, który nie pojawia się nagle, ale powoli wchodzi człowiekowi do głowy. W „W ciemnym, głodnym lesie" sam Borek staje się częścią tego lęku. To nie jest zwykły las, ale coś, co stale wisi nad bohaterami i sprawia, że nigdy nie czują się bezpiecznie – mówi Przemysław Piotrowski.

Autor podkreśla, że od początku zależało mu na stworzeniu historii balansującej pomiędzy kryminałem a psychologicznym niepokojem.

– Najbardziej fascynuje mnie moment, w którym człowiek przestaje ufać własnym zmysłom. Kiedy nie ma już pewności, czy to, co widzi i czuje, jest prawdziwe, czy może strach zdążył już przejąć nad nim kontrolę. Właśnie na tym opiera się „W ciemnym, głodnym lesie" – na poczuciu, że zagrożenie może czaić się zarówno w lesie, jak i w głowie bohaterów – dodaje autor.

NAJGŁOŚNIEJSZA PREMIERA SEZONU

Jeden z najpopularniejszych autorów polskiego kryminału po raz kolejny pokazuje, dlaczego od lat pozostaje w ścisłej czołówce gatunku. Nowa seria Przemysława Piotrowskiego jeszcze przed premierą stała się jednym z najgłośniejszych wydarzeń polskiego rynku książki. „W ciemnym, głodnym lesie" wykracza poza klasyczną powieść kryminalną, zamieniając śledztwo w duszną historię o paranoi, osaczeniu i strachu, który powoli przejmuje kontrolę nad bohaterami.

Bo w Czyśćcu nie chodzi wyłącznie o to, kto zniknął. Najważniejsze jest pytanie: co naprawdę czeka w lesie.

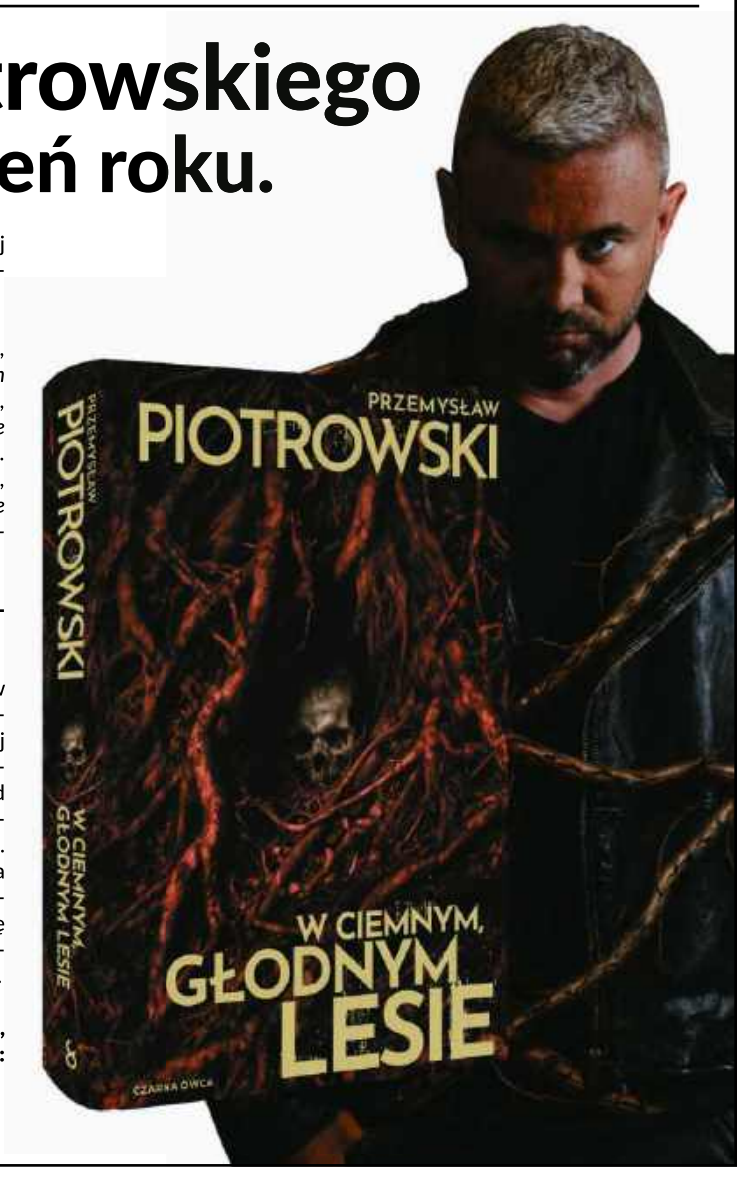

1 RP

eprasa.pl 43ba3d7546

Dwa znaczenia „narodu”

Politycy prawicy chcą jak zawsze odpowiedzialności moralnej całego narodu ukraińskiego za dawne, realne zbrodnie jednostek i dzisiejsze, wyobrażone grzechy grupy.

Marcin Matczak

Nie wiadomo, czy Piłsudski rzeczywiście to powiedział, ale dla naszych rozważań nie jest to istotne. „Naród wspaniały, ale ludzie k...wy” – to zdanie wielu podziwia za błyskotliwość i dziwną celność. Oto jest wielka wspólnota, ze swoją długą historią, podziwianą kulturą i bohaterstwem. I są mali ludzie, niedorastający do tej wielkości: cwaniacy, kombinatorzy oszukujący państwo i siebie nawzajem. Sacrum i profanum, abstrakcyjny ideał i konkretna miałkość.

Nazwanie Polaków kur...mi w tym powiedzeniu jakoś nikogo nie obraża. Ale patrzcie teraz! Co się stanie, gdy powiedzenie Marszałka odwrócimy? „Ludzie wspaniali, ale naród k...wa”? Natychmiast falangi prawicowców rzucą się do obrony abstrakcyjnego dość pojęcia, chociaż wcześniej wyzywanych ludzi jakoś nie kwapili się bronić. Tak już jest, że niektórym łatwiej się troszczyć o coś, czego nie widać, niż o to, co jest obok i potrzebuje pomocy.

Pytanie do mieszkańca Hrubieszowa

„Naród” ma dwa znaczenia – dobre i szkodliwe. Kiedy jest zbiorem ludzi, którzy są dumni ze swojej kultury, języka i historii, wszystko jest okej. Konkretna osoba nie jest wtedy odsuwana na bok przez abstrakcję, którą się „kocha”, choć osoby można jednocześnie nienawidzić.

Ale jest i drugie znaczenie „narodu” – gdy on sam staje się osobą, podmiotem moralnym, który coś „robi”, „czuje”, jest „obrażany” i na to obrażenie musi odpowiedzieć. Z konkretnej wspólnoty ludzi staje się wówczas bytem niemal osobowym, który ma honor, dumę, interesy i którego dobro może w razie potrzeby przeważyć dobro konkretnych ludzi, którzy go tworzą. Ten drugi naród jest jak odległy Bóg, którego tak się kocha, że można w jego imię zabić kogoś, kto jest całkiem blisko.

Załóżmy, że pewnego dnia znajdujesz w lesie niemowlę w wiklinowym koszyku. Załóżmy, że bierzesz je na wychowanie i potem wyrasta z niego geniusz. Po latach się okazuje, że dziecko, które znalazłeś, było Żydem albo Niemcem, ale ty o tym nie wiedziałeś. Co stoi za jego geniuszem – krew i biologia czy wspaniała polska kultura? Kto zasługuje na chwałę z jego dokonań – wielki naród polski, wielki naród żydowski, czy wielki naród niemiecki?

Albo mieszkasz w Hrubieszowie. Czy więcej łączy cię z mieszkańcem Szczecina, czy z ukraińską matką, która ucieka przed wojną? Sprawdzasz, czy jej dziadek był w UPA, zanim pomożesz? Ludzie w sytuacjach konkretnych myślą o innych, konkretnych ludziach. Tylko z wygodnego, dalekiego fotela przed X [Twitterem] łatwiej jest wielbić abstrakt i nienawidzić osoby.

Prostacki stereotyp

Mądry Roger Scruton słusznie pisze, że oprócz miłości do kultury, tradycji i języka potrzebujemy narodu jako wspólnoty politycznej, która uzasadnia nasze obowiązki: łożenie na wspólne cele, obronę przed zagrożeniem, wybieranie władzy. Ale taki naród to naród polityczny. Tymczasem prawica opowiada nam często o narodzie jako podmiocie moralnym i ta opowieść jest żenująco słaba filozoficznie. Ten naród jest idealny (jeśli jest nasz) albo okrutny (jeśli jest innych).

Działa tutaj prostacki stereotyp – jeśli jakiś Polak robi coś dobrego, przenosi się to na naród polski jako całość. Jeżeli więc święta rodzina Ulmów (bez żadnej ironii!) oddała życie za ukrywanie rodziny żydowskiej, my wszyscy jesteśmy święci. Jeśli jednak jakaś inna polska rodzina zagoniła rodzinę żydowską do tej przeklętej stodoły w Jedwabnym, to ona albo jej nie zagoniła, albo ktoś ją zmusił, albo tak naprawdę nie była polska. W każdym razie złe czyny Polaków na naród polski nijak się nie przekładają – nie bez przyczyny „szmalcownik” to słowo obce.

Oczywiście odwrotnie jest z innymi narodami. Jak jeden Niemiec okazał dobro Szpilmanowi, gdy ten opuszczał kryjówkę na Alei Niepodległości, to był to jeden Niemiec, a kto wie, czy nie Austriak. Ale jak inny Niemiec czy Ukrainiec torturował Polaka, to wina odwieczna spada na cały naród niemiecki czy ukraiński. Oni mają to we krwi, co nie? Nam się zło przydarza indywidualnie, ot, zawsze się znajdzie jakaś czarna owca. Oni złem żyją zbiorowo.

Benedict Anderson, amerykański politolog, pisał, że naród to wspólnota wyobrażona. Jej członkowie w większości się nie znają, nigdy się nie spotkają (jak ci z Hrubieszowa i Szczecina), niewiele o sobie nawzajem wiedzą. I tak musi być – ważne, że łączy ich miłość do tego, co wspólne. Problem w tym, że często łączy ich bardziej nienawiść do tego, co obce.

Widzieć drzewa, nie las

Prawdziwy patriotyzm to miłość do konkretnych ludzi, miejsc, języka, historii – ze wszystkimi jej zbrodniami i chwałami. To miłość dorosła, która nie potrzebuje niewinności, taka, która może powiedzieć: w Jedwabnem Polacy zabili Żydów, na Wołyniu Ukraińcy zabili Polaków – i to jest część mojej i ich historii, nie dlatego, że ja albo oni jesteśmy winni, ale dlatego, że ta historia jest moja oraz ich.

A naród jako podmiot moralny to wizja infantylna – która potrzebuje bohatera, potrzebuje wroga i zawsze znajdzie obu. Odpowiedzialność narodu – czy to niemieckiego, czy ukraińskiego – za zbrodnie to odpowiedzialność polityczna. Sprowadza się do przeprosin, odszkodowań, troski o pamięć. Ale odpowiedzialność moralna dzisiejszych Ukraińców czy Niemców za zbrodnie historyczne sama ma potencjał zbrodniczy. I to jasno widać.

Decyzja Zełenskiego, by nadać jednostce wojskowej imię „Bohaterów UPA”, jest głupotą i brakiem wrażliwości. Jako taka powoduje odpowiedzialność polityczną i jego, i wspólnoty, którą reprezentuje. Naszej wspólnocie należą się przeprosiny i powrót do szacunku, na którą Polacy za swoją pomoc Ukrainie zasłużyli.

Ale wokół nas dzieje się o wiele więcej. Politycy prawicy chcą jak zawsze odpowiedzialności moralnej całego narodu ukraińskiego za dawne, realne zbrodnie jednostek i dzisiejsze, wyobrażone grzechy grupy. Potrzebują do tego wizji narodu jako wspólnoty z bajki – który jest albo idealny, albo podły.

I za ich namową nasza wspólnota wyobrażona wyobraża sobie dzisiaj inną wspólnotę i tak jak sobie przypisuje świętość, tak tamtej przypisuje potworność. Nie widzi drzew, widzi las, a gdy odpowiednio długo będzie namawiana, pomyśli, że coś bardzo złego z tym lasem trzeba zrobić. ●

Filozof Szefernaker to Polak

Rozumiemy, że każdy filozof chciałby zapisać się na kartach historii filozofii jako patron jakiegoś przełomu, Szefernaker ów przełom więc postuluje, a nawet wieszczy.

Michał Rusinek

Filozofia (z greckiego: umiłowanie mądrości) to dziedzina ludzkiej działalności sprowadzająca się do stawiania fundamentalnych pytań o rzeczywistość, istnienie, wiedzę, moralność, a także język. W jej obrębie ontologia zajmuje się naturą bytu i pyta o to, co istnieje, jak istnieje i dlaczego. Epistemologia zajmuje się naturą i ograniczeniami ludzkiego poznania. Etyka analizuje zasady moralne, dobro i zło, a estetyka – pojęcie piękna. Jest jeszcze logika, która jest nauką o poprawnym rozumowaniu.

Nurtów filozoficznych nie będziemy wymieniać, ani tym bardziej nazwisk filozofów i filozofek, bo zabrakłoby nam miejsca w tym felietonie. Odnotujmy jednak – z nieukrywaną radością – pojawienie się nowego polskiego filozofa.

●

Niefortunnym zrządzeniem losu jest – a może po prostu tradycją – że najwięksi i najbardziej znani polscy filozofowie noszą niepolskie nazwiska (np. Roman Ingarden czy Józef Tischner), także i tym razem trzeba będzie tłumaczyć na zagranicznych naukowych salonach, że Paweł Szefernaker to Polak. W przeciwieństwie do ogrodniczych czy stolarskich konotacji Ingardena i Tischnera, nazwisko tego ostatniego wydaje się idealne dla filozofa, oznacza bowiem tego, kto tworzy (niem. macher) księgi (hebr. sefer), a w księgach zapisana jest przecież mądrość, czyli filozofia. Prędzej czy później szef Gabinetu Prezydenta RP, sekretarz stanu w jego kancelarii, były minister spraw wewnętrznych i administracji, polityk, prawnik i samorządowiec – musiał ujawnić swoje prawdziwe ja, do którego predestynowało go nazwisko.

Ujawnił je na razie w wypowiedzi logicznie i semantycznie dość zawikłanej, ale niektórzy filozofowie, zwłaszcza początkujący, mają to do siebie. Brzmi ona tak: „Jeżeli nie będzie zmian w tej ustawie [o statusie osoby najbliższej w związku], jeżeli nie będzie zmiany filozofii myślenia, czyli dalej będzie filozofia myślenia o związkach partnerskich, o quasimałżeństwach [...], to wtedy będziemy informować o kolejnych działaniach”.

Prezydent Nawrocki „życzliwie patrzy” na takie rozwiązania, które wprowadzą „status osoby bliskiej”, a nawet „najbliższej”: „My przedstawiamy filozofię funkcjonowania instytucji osoby najbliższej. To są dwie różne filozofie. Chcemy ludziom pomóc w codziennym funkcjonowaniu, ale nie tworzyć prawa, które pozwoli na to, żeby de facto powstały związki, które mają te same przywileje, które mają małżeństwa”.

●

Pomijając meritum, o którym już wiele pisano oraz niełatwy do sforsowania gąszcz składniowy tej wypowiedzi, zwróćmy uwagę na śmiały podział, jaki proponuje filozof Szefernaker: „filozofię myślenia”, czyli zapewne analityczną (choć w tym sformułowaniu jest jakiś niepokojący naddatek semantyczny) i „filozofię funkcjonowania”, czyli prawdopodobnie pragmatyczną.

Rozumiemy, że każdy filozof chciałby zapisać się na kartach historii filozofii jako patron jakiegoś przełomu, Szefernaker ów przełom więc postuluje, a nawet wieszczy. Jego zdaniem, do tej pory obowiązuje filozofia myślenia o związkach partnerskich, które – zapewne pod wpływem Ingardenowskich quasisądów – nazywa „quasimałżeństwami”, by oddzielić je od małżeństw i wskazać na ich pozorność (podobnie jak quasisąd jest sądem pozornym, bo nie orzeka o realnym świecie).Ta filozofia nie ma przyszłości, bo pan prezydent nie patrzy na nią życzliwie, czemu zapewne da wyraz nie podpisując stosownej ustawy.

Życzliwym okiem spogląda natomiast na „filozofię funkcjonowania instytucji osoby najbliższej”. Szefernaker wierzy, że filozofia, jak roślinka, więdnie, gdy nie pada na nie życzliwe spojrzenie pana i władcy, więc tylko od pana i władcy zależy, czy dojdzie do upragnionego przełomu.

●

I w tym oto miejscu ujawnia się fundamentalna słabość Szefernakera-filozofa, bo filozofię postrzega on jako naukę uzależnioną od władzy, zapominając o tradycji Kartezjusza, uznającego wolność myślenia za punkt wyjścia dla filozofowania, a także o Kancie i zaczerpniętej przez niego od Horacego maksymie „sapere aude”, czyli miej odwagę być mądry i kieruj się własnym rozumem bez kierownictwa z zewnątrz. Nie wspominając już o Johnie Stuarcie Millu, który był zdania, że wolność myśli jest absolutnie niezbędna nie tylko dla filozofowania, ale i dla intelektualnego i moralnego rozwoju społeczeństw.

Wydaje nam się, że jeśli Szefernaker chce zostać filozofem, to musi przestać być politykiem (nie wiemy, czy filozofia na tym skorzysta, ale z pewnością odetchnie polityka). Proponowalibyśmy, żeby na początek popracował nad stylem, bo zdanie, że „ustawa wprowadza szereg rozwiązań [...], które dziś są dedykowane wyłącznie dla małżeństw” nie jest godne ani filozofa, ani nawet polityka. ●

1 RP

eprasa.pl 43ba3d7546

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

OD 10 CZERWCA W SPRZEDAŻY

Faworyci turnieju: Kylian Mbappe, Lamine Yamal, Harry Kane, Leo Messi

Korespondencje z USA „Za pięć dwunasta”

Rozmowy z Janem Urbanem i Jackiem Laskowskim

Sylwetka Szymona Marciniaka

Program transmisji w TV

Kup w kiosku lub zamów z bezpłatną dostawą do domu lub do paczkomatu na **prenumerata24.pl**

eprasa.pl 43ba3d7546

ŚWIAT

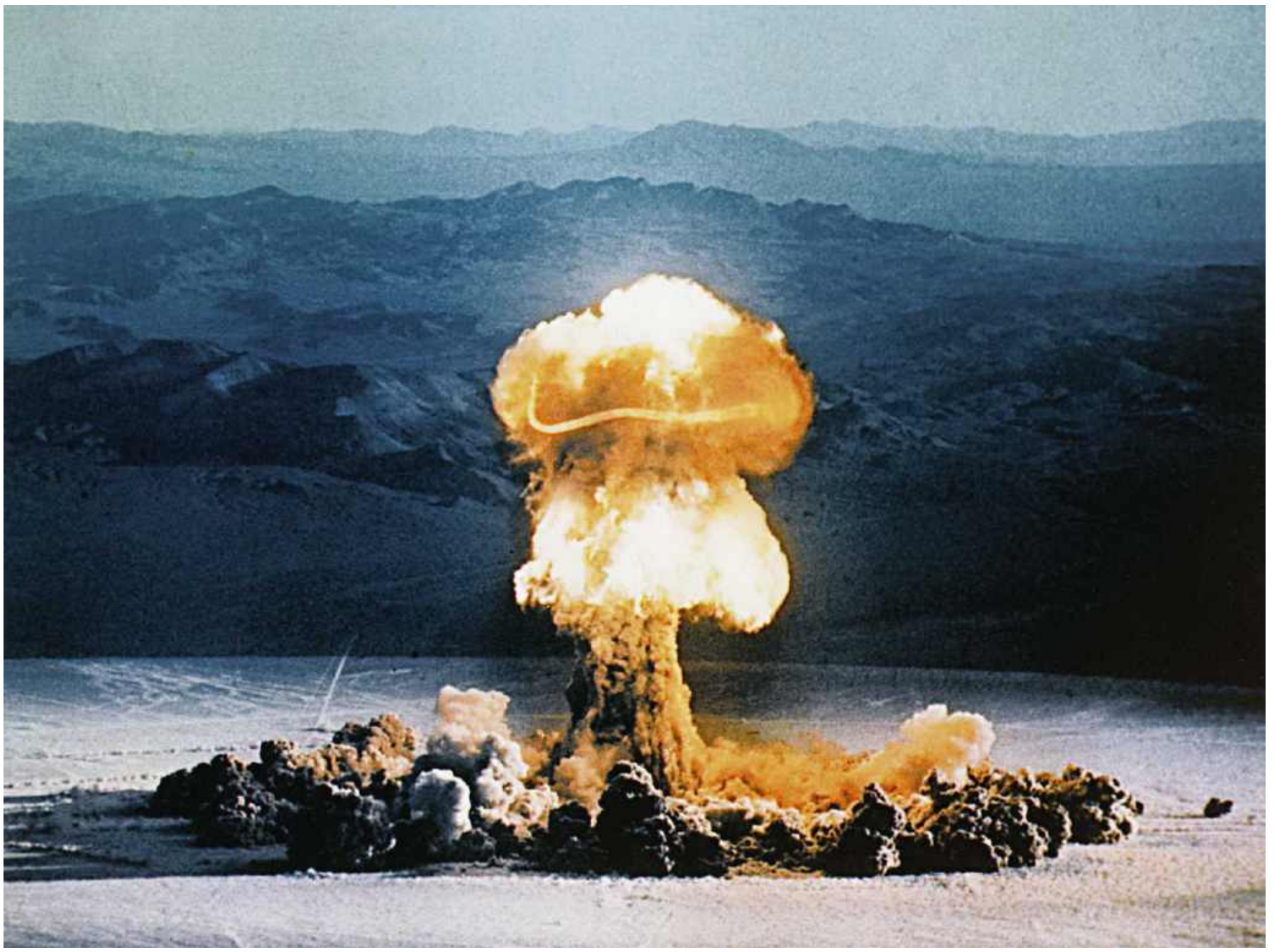

• Na giełdzie Polymarket ktoś się założył, że do końca 2026 r. dojdzie na świecie do eksplozji jądrowej. Na zdj. wybuch jądrowy na poligonie w Nevadzie w 1957 r.
FOT. CORBIS VIA GETTY IMAGES

Lisy wiedzą, CO ZROBI PUTIN

Były Delfy, jest Polymarket. Wróciliśmy do czasów, w których wodzowie opierali decyzje strategiczne na prognozach astrologów i szamanów

Robert Stefanicki

Hazardowe zakłady o przyszłość zaczynają kształtować rzeczywistość. Do końca przyszłego roku Rosja, aby zwiększyć szanse swojego kandydata w wyborach w jakimś europejskim kraju, obstawi jego wygraną na giełdzie. Zakład?

Ludzkość od zawsze cierpiała lęk przed niepewnością i próbowała przewidzieć przyszłość. Ci, którzy przekonywali, że to potrafią, miewali wpływ na losy świata, bo władcy niemal każdej cywilizacji – od starożytnej Mezopotamii po nowożytne imperia – opierali swoje decyzje strategiczne na prognozach kapłanów, astrologów albo szamanów.

Nie było to zajęcie pozbawione ryzyka. Według relacji Tacyta cesarz Tyberiusz swoich wróżbitów zrzucał z klifu do morza, jeśli uznał, że ich prognozy są fałszywe. W klasycznej chińskiej Księdze Dokumentów zachował się opis dekretu przypisywanego cesarzowi Zhong Kangowi, nakazujący egzekucję astrologów, którzy „nie przewidzieli biegu ciał niebieskich, czym wprowadzili lud w błąd i zagrozili stabilności tronu".

Przewidywanie przyszłości od zarania wiązało się z manipulacjami. Władcy często wybierali sobie wróżbitów, którzy mówili im to, co chcieli usłyszeć. Przydawało się to choćby w zarządzaniu ryzykiem. Gdy senat rzymski był podzielony w kwestii strategii wojskowej, „złe znaki" w wątrobie ofiarnej pozwalały elegancko wycofać się z planów ryzykownego ataku bez utraty twarzy przez dowódców.

Wskazówki z zaświatów pozwalały zdjąć z władcy odpowiedzialność. Kiedy król Krezus poszedł na wojnę z Persami po niejednoznacznej przepowiedni wyroczni delfickiej: „Jeśli przekroczysz rzekę Halys, zniszczysz wielkie imperium" – i zniszczył własne, winą obarczono złą interpretację, a nie króla lub jego generałów. Jeśli zaś sprawy szły dobrze, przepowiednia stawała się dowodem geniuszu władcy.

Wreszcie, niebiosa legitymizowały imperia. Obliczenie przez Johna Dee, astrologa Elżbiety I, idealną pod kątem układu planet datę jej koronacji i ogłoszenie, że „gwiazdy sprzyjają królowej", budowało morale armii i lojalność poddanych.

W świecie nowożytnym codziennie mniej lub bardziej świadomie stykamy się z przewidywaniem przyszłości. Choćby w prognozach pogody, które mają też istotne znaczenie w kształtowaniu cen żywności poprzez kontrakty *futures*, czyli zakłady o przyszłą cenę cukru, ryżu czy soku pomarańczowego, zawierane na największych światowych giełdach. Przewidywanie, jak rozwinie się sytuacja polityczna na Bliskim Wschodzie, wpływa na cenę benzyny. Wszelakie projekty budżetów są oparte na prognozach. Cena ubezpieczenia jest pochodną prawdopodobieństwa wystąpienia objętego nim zdarzenia. Firmy najmują i zwalniają pracowników, przewidując wolumen przyszłych zamówień. Stopy procentowe, a co za tym idzie koszt kredytu, zależy nie tylko od aktualnej inflacji, ale i od jej prognozy.

Do tego przywykliśmy. Teraz jednak szybko wkraczamy w nową erę przewidywania przyszłości: hazardową. W języku angielskim słowo „hazard" ma dwa znaczenia: gra o pieniądze i niebezpieczeństwo, dlatego znakomicie opisuje tę sytuację.

•

Pionierami są Amerykanie, którzy ledwie parę lat temu stworzyli dwie największe giełdy predykcyjne, Polymarket i Kalshi.

Żaden inny rynek nie rośnie tak szybko: 400-krotnie w ciągu ostatnich dwóch lat. Wiąże się to z ogólnym boomem na hazard w USA, gdzie ponad połowa mężczyzn w wieku 18-50 lat ma konto u bukmachera online. Organizacje zajmujące się tym problemem niepokoi to, że te rynki przyciągają osoby, które nie identyfikują się jako hazardziści, lecz jako inwestorzy lub analitycy.

Fałszywe poczucie sprawstwa jest jednym z głównych mechanizmów uzależniających. Według danych za 2026 rok, średni miesięczny wolumen obrotu na

eprasa.pl 43ba3d7546

obu giełdach predykcyjnych to 17 miliardów dolarów, a wartość aktualnie otwartych pozycji to mniej niż miliard. Wydaje się to niewiele w porównaniu na przykład z kontraktami na ropę WTI, gdzie obrót jest jakieś 300 razy większy.

Trzeba jednak pamiętać, że towarami handluje się z dźwignią, czyli realnie zaangażowane pieniądze to 5-10 procent tej kwoty. Poza tym wpływu giełd predykcyjnych nie można mierzyć samą wartością zakładów. Od zakładów bukmacherskich różnią się one przede wszystkim tym, że gracze na Polymarket i Kalshi grają przeciwko sobie, a nie przeciwko organizatorowi.

Założyć się można o prawie wszystko. Jeśli wierzysz, że do końca tego roku kosmici wylądują w Słowenii, możesz zaproponować giełdzie utworzenie kontraktu na takie zdarzenie. Każde pytanie ma dwie opcje: TAK i NIE. Giełda ustala początkową wartość tych opcji, czyli prawdopodobieństwo. Jeśli TAK dostanie wagę 5 procent, możesz nabyć dowolną liczbę kontraktów po 5 centów i czekać, aż znajdą się chętni do zakupu opcji przeciwnej, co w podanym przykładzie nie powinno być problemem. Jeśli okaże się, że miałeś rację i kosmici wylądują w Słowenii w założonym terminie, na każdym kontrakcie zarobisz 95 centów. Możesz też sprzedać komuś kontrakt przed zamknięciem, jeśli na przykład w lipcu pojawią się wiarygodne nagrania UFO nad Lublaną i cena opcji TAK wzrośnie.

Tu wyjaśnijmy, że dostęp do obu giełd z Polski jest blokowany mocą ustawy hazardowej i rozporządzenia Ministerstwa Finansów. Trzeba by go obejść przy użyciu anonimizującej użytkownika sieci VPN, co zresztą nagminnie robili sami Amerykanie, którzy w latach 2022-25 – aż do niedawnego uruchomienia uregulowanej wersji krajowej – nie mogli legalnie inwestować na Polymarket, a jedynie na Kalshi.

90 procent obrotu na Kalshi pochodzi z zakładów sportowych, reszta to pogoda i mikrowydarzenia typu „Kto wygra konkurs jedzenia hot-dogów na Coney Island?". Polymarket to giełda wydarzeń politycznych. Jej wersja globalna daje większą anonimowość, płatności dokonuje się w kryptowalutach. Najpopularniejsze są zakłady dotyczące nominacji prezydenckich w USA, wyniku wyborów połówkowych, albo „Czy premier Izraela Benjamin Netanjahu utrzyma urząd do końca roku?". Polymarket dopuszcza też zakłady wojenne, zwane przez krytyków „rynkami śmierci", na przykład czy i kiedy USA zaatakują jakiś kraj. W marcu na „eksplozję jądrową do końca 2026 roku" postawiono 850 000 dolarów i prawdopodobieństwo takiego zdarzenia ustaliło się na 24 procent, zanim platforma skasowała zakład na skutek krytyki i protestów. Taka sama sytuacja była z zakładem na eksplozję misji kosmicznej Artemis II.

Zakłady są traktowane bardzo poważnie nie tylko przez ich uczestników. CNN i CNBC umieszczają kursy kontraktów w transmisjach na żywo, Google Finance nawiązało współpracę z oboma giełdami, Dow Jones ma umowę licencyjną z Polymarket. Ma to uzasadnienie. Analizy wykazały, że trendy cenowe na Polymarket potrafiły wyprzedzać tradycyjne sondaże wyborcze nawet o 14 dni.

Dzięki ciągłemu handlowi rynki te błyskawicznie reagują na nagłe wydarzenia, zanim zostaną one uchwycone i przetworzone przez tradycyjne ośrodki badawcze. Sztandarowym przykładem były ostatnie wybory prezydenckie w USA. Po fatalnej dla Joego Bidena debacie z Donaldem Trumpem gracze masowo skupowali kontrakty na to, że Biden wycofa się z wyścigu, podczas gdy sztab Demokratów jeszcze tygodniami zapewniał, że jest to wykluczone.

Potem rynki predykcyjne lepiej niż sondaże wyceniły zwycięstwo Trumpa nad Kamalą Harris. Komentatorzy zastanawiali się wówczas, czy hazardziści – głównie mężczyźni inwestujący w kryptowaluty, fani MAGA – są bardziej reprezentatywni niż modele statystyczne firm sondażowych, czy też zadziałała magia samospełniającej się przepowiedni.

Zaniepokojeni obserwatorzy wskazują, że coraz łatwiej jest pomylić zakład o przyszłość na jakieś zdarzenie z obiektywną informacją. Gdy na początku kwietnia ktoś szukał w Google najnowszych informacji o cieśninie Ormuz, obok linków do BBC i Reutersa mógł znaleźć link do zakładu z Polymarket, umożliwiającego obstawianie dokładnej liczby statków, które przepłyną przez cieśninę. Algorytm Google'a prezentował go jako news, ponieważ nie potrafił odróżnić zakładów od artykułów dziennikarskich. Po kilku dniach Google naprawił błąd. Jednak i teraz, po wpisaniu w wyszukiwarkę po angielsku „Następny premier Wielkiej Brytanii w 2026 roku?", Kalshi i Polymarket pojawiają się w pierwszej dziesiątce na liście wyszukiwań.

A na końcu zarabia Donald Trump

17 mld dol.
• to średni miesięczny wolumen obrotu na giełdach predykcyjnych Polymarket i Kalshi

850 tys. dol.
• postawił ktoś w marcu na giełdzie Polymarket na „eksplozję jądrową do końca 2026 roku"

Nawet o 14 dni
• trendy cenowe na giełdzie Polymarket potrafią wyprzedzać tradycyjne sondaże wyborcze

Ponad 400 tys. dol.
• zarobił amerykański żołnierz zaangażowany w operację porwania wenezuelskiego dyktatora, obstawiając wcześniej na Polymarket zakład związany z Maduro

Średnio 58 transakcji
• dziennie – więcej niż niejeden zawodowy trader – dokonuje prezydent USA Donald Trump na rynku papierów wartościowych

70 proc. graczy
• na Polymarket odnotowało straty, 0,04 procent zgarnia 70 proc. zysków

1/4 obrotu
• na Polymarket w 2025 r. stanowił fałszywy „wash trading" – użytkownicy kupowali i sprzedawali kontrakty samym sobie, aby stworzyć pozory, że za zakładem stoją tysiące prawdziwych ludzi

Na ponad 70 proc.
• oceniały prawdopodobieństwo pełnoskalowej inwazji na Ukrainę platformy prognostyczne na przełomie stycznia i lutego 2022. Eksperci wtedy wciąż mówili o „racjonalności Putina"

•

„Ten rozwijający się ekosystem zaciera granicę między autentycznymi prognozami probabilistycznymi a narracjami wykreowanymi w celu stworzenia podatnego gruntu dla manipulacji opinią publiczną, rynkami i zaufaniem do kluczowych instytucji", napisał analityk i były doradca Departamentu Bezpieczeństwa Krajowego USA Matthew Wein, ostrzegając w analizie dla Atlantic Council przed otwarciem nowych drzwi dla operacji wpływu ze strony zagranicznych przeciwników Ameryki.

Możliwości manipulacji na rynkach predykcyjnych są niemal nieograniczone. Najszerzej opisywane są przypadki wykorzystywania informacji niejawnych – zakazane zarówno w prawie karnym, jak i w regulaminach giełd, ale trudne do udowodnienia.

W czerwcu 2025 trzynastu użytkowników postawiło łącznie 140 000 dolarów, trafnie przewidując atak Izraela na Iran do końca tygodnia. Śledztwo wykazało, że major armii izraelskiej przekazał informację o dacie ataku swojemu koledze, menedżerowi z branży hazardowej, który założył kilka portfeli kryptowalutowych na Polymarket i skupił kontrakty. Wśród postawionych im w Izraelu zarzutów jest szpiegostwo – nieautoryzowane gromadzenie tajnych informacji z zamiarem zaszkodzenia bezpieczeństwu narodowemu, za co grozi kara dożywotniego pozbawienia wolności.

W lutym 2026 amerykański żołnierz zaangażowany w operację porwania wenezuelskiego dyktatora Nicolasa Maduro zarobił na tej informacji ponad 400 tysiące dolarów. Dzięki współpracy Polymarket z prokuraturą sierżanta aresztowano i oskarżono o wykorzystanie tajnych informacji.

To jedyne dwa znane przypadki pociągnięcia kogokolwiek do odpowiedzialności, lecz podobny schemat widać przy wielu innych okazjach.

W lutym sześć nowo utworzonych kont osiągnęło zysk 1 miliona dolarów, obstawiając trafnie, że Stany Zjednoczone zaatakują Iran do 28 lutego. Inni – a może ci sami – gracze zgarnęli zysk za przewidzenie, że Ali Chamenei zostanie odsunięty od władzy do końca marca. Najwyższy Przywódca Iranu zginął w pierwszym dniu ataków izraelsko-amerykańskich na Iran.

Trump i ludzie z jego otoczenia są powszechnie podejrzewani o zarabianie na zmienności na rynkach powodowanej decyzjami czy nawet samymi wpisami prezydenta na jego platformie społecznościowej. Trump w ciągu jednej doby potrafi kilka razy zmienić zdanie, na przykład co do zgody lub niezgody na pokój z Iranem. A według danych opublikowanych przez federalne biuro etyki, w pierwszym kwartale tego roku prezydent USA dokonał na rynku papierów wartościowych kilku tysięcy transakcji – średnio 58 dziennie, więcej niż niejeden zawodowy trader. Puszczając wodze fantazji, można sobie wyobrazić, że Trump obstawia, na przykład, inwazję na Grenlandię, a następnie jej dokonuje.

•

Jedno z badań wykazało, że 70 procent graczy na Polymarket odnotowało straty, podczas gdy 0,04 procent zgarnęło 70 procent zysków. Już samo to powinno rodzić pytania o handel poufnymi informacjami. Ale inside trading to niejedyne zagrożenie. Tak płytkie rynki są podatne na manipulacje przez inwestorów z grubym portfelem, zwanych w Ameryce wielorybami. Tak jak giełdach papierów wartościowych i derywatów, pozycje zajmowane przez grube ryby tudzież wieloryby, są następnie kopiowane przez ławicę drobnych użytkowników, co jeszcze wzmacnia siłę tych pierwszych. Cenę kontraktu – czyli prawdopodobieństwo zdarzenia – kształtują więc nieliczni, a nie mądrość tłumu.

Pół biedy, jeśli ci nieliczni chcą po prostu zarobić na autentycznie posiadanej wiedzy. Najgłośniejszy jest przypadek Francuza, który wygrał 82 miliony dolarów w serii zakładów na zwycięstwo Trumpa w wyborach. Wygląda na to, że ten akurat człowiek, z doświadczeniem w inwestycjach i bankowości, grał uczciwie. Wcześniej zapłacił renomowanemu instytutowi YouGov za przeprowadzenie sondaży w USA, w których pytano respondentów, na kogo ich zdaniem zagłosują ich sąsiedzi, co ponoć ujawniło zasoby „nieśmiałych wyborców Trumpa".

W listopadzie 2025 roku naukowcy z Uniwersytetu Columbia opublikowali badanie danych z Polymarket z dwóch lat. Stwierdzili, że jedną czwartą obrotu stanowił fałszywy „wash trading" – użytkownicy kupowali i sprzedawali kontrakty samym sobie, aby stworzyć pozory, że za zakładem stoją tysiące prawdziwych ludzi, a nie kilku cwaniaków.

Niekiedy gracze próbują oszukiwać, kreując fake newsa. Rynki predykcyjne nie wiedzą, co realnie dzieje się na świecie – polegają na zdefiniowanych w kontrakcie tak zwanych wyroczniach, czyli na przykład konkretnym portalu informacyjnym. Jeśli manipulator zhakuje konto agencji prasowej na platformie X i opublikuje fałszywy news („Zawieszenie broni podpisane"), automat natychmiast zamknie kontrakt i oszust otrzyma wypłatę, zanim prawda wyjdzie na jaw.

Wyroczniami bywają też profile konkretnych korespondentów wojskowych, co tworzy ryzyko korupcji. Gdy reporter „The Times of Israel" Emanuel Fabian napisał o uderzeniu irańskiego pocisku balistycznego w Izrael 10 marca, zaczął otrzymywać groźby śmierci od graczy, którzy obstawili NIE na pytanie, czy Iran zaatakuje Izrael tamtego dnia. Wolumen tego jednego zakładu na Polymarket przekraczał 14 milionów dolarów, więc było o co się bić. Gracze żądali, by Fabian wycofał newsa. Gdy odmówił, sfabrykowali zrzuty ekranu wiadomości, której nigdy nie wysłał. Niektórzy oferowali reporterowi udział w wygranej, jeśli zmieni relację.

Inny przykład to zakład z listopada o to, czy Rosjanie zdobędą miasto Myrnohrad we wschodniej Ukrainie. Tuż przed jego zamknięciem pracownik renomowanego Instytutu Studiów nad Wojną zmienił mapę na stronie ośrodka, sugerując, że do tego doszło, co poskutkowało wygraną dla tych, którzy taki bieg wydarzeń obstawili. Okazało się jednak, że Rosjanie nie zdobyli miasta. ISW cofnął zmiany i usunął pracownika z zespołu odpowiedzialnego za mapy.

Giełdy predykcyjne mogą być legalnie – inna kwestia, czy moralnie – używane w marketingu. Studio filmowe wykupi kontrakty na to, że przychód z jego nowego filmu przekroczy 100 milionów dolarów w weekend otwarcia. Następnie na konferencji prasowej przedstawi rzekome oczekiwania sukcesu kasowego uwidocznione na giełdzie predykcyjnej jako obiektywny fakt, co zwiększy zainteresowanie filmem.

Analogicznie ten mechanizm zadziała w marketingu politycznym. Przed referendum w Krakowie przeciwni-

eprasa.pl 43ba3d7546

cy prezydenta mogliby obstawić niekorzystny dla niego wynik. O rosnącej cenie kontraktu na upadek Aleksandra Miszalskiego poinformowałyby stacje informacyjne i platformy społecznościowe, wzmacniając przekonanie o nieuchronności takiego wyniku głosowania.

Wspomniany Francuz postawił na zwycięstwo Trumpa 45 milionów dolarów. Analitycy oceniali później, że stworzyło to efekt sprzężenia zwrotnego, który wpłynął na narrację w amerykańskich mediach. Ich zdaniem kapitał wrzucony w Polymarket może wpłynąć na percepcję szans wyborczych kandydata silniej niż tradycyjne kampanie reklamowe, a co za tym idzie, zmienić zachowania darczyńców politycznych, strategów oraz samych wyborców.

Giełdy predykcyjne przestały być jedynie termometrem nastrojów, stały się narzędziem kształtującym rzeczywistość. Na ile realne są zagrożenia z tego płynące – jeszcze nie wiemy. Działania mające powstrzymać szkody przypominają łatanie dziurawego pontonu mknącego górską rzeką.

W kwietniu Senat USA jednogłośnie zakazał swoim członkom i pracownikom handlu na rynkach predykcyjnych. Kalshi zawiesił i ukarał grzywną trzech kandydatów do Kongresu za obstawianie własnych wyborów – jeden z nich, kandydat do Senatu z Wirginii, Mark Moran, powiedział, że postawił na siebie 100 dolarów, „aby zwrócić uwagę na fakt, że można kupić całe wybory".

Kandydujący na burmistrza Londynu w 2021 roku podcaster Brian Rose miał więcej wiary w siebie, bo postawił całe 20 000 funtów na platformie Betfair, dzięki czemu na chwilę wskoczył na trzecie miejsce w wyścigu. Inwestycja się nie opłaciła: w pierwszej turze Rose zdobył marne 1,2 procent głosów.

Optymiści mogą zatem przyjąć, że obawy są przesadzone. Ale jaki efekt można osiągnąć z większymi pieniędzmi, rozpoznawalnym kandydatem, gdy poważne media potraktują kurs giełdowy niczym sondaż? Dopiero się tego dowiemy. W mniejszych państwach wystarczy odpowiednio mniejszy kapitał, co może rodzić poważniejsze konsekwencje.

Wyobraźmy sobie, że Rosja chce wpłynąć na wynik wyborów w jakimś kraju. Na 10 dni przed głosowaniem, gdy sondaże pokazują remis, powiązane z GRU farmy botów zaczynają masowo skupować kontrakty na wygraną kandydata przychylnego Kremlowi, co przesuwa prawdopodobieństwo takiego wyniku z 1:1 na 2:1. Media zaczynają pisać o „nagłym zwrocie akcji", wyborcy drugiego kandydata ulegają demobilizacji...

Pekin mógłby przetestować, jak bardzo USA są gotowe zaryzykować, by bronić Tajwanu. W geopolitycznych kontraktach typu „Czy Chiny ogłoszą blokadę morską Cieśniny Tajwańskiej do końca tego kwartału?" prawdopodobieństwo wynosi zazwyczaj 2-3 procent. Chińczycy mogą nagle zacząć skupować opcję TAK, podnosząc prawdopodobieństwo do kilkudziesięciu procent. Jednocześnie chińska armia rozpocznie niezapowiedziane ćwiczenia w pobliżu Tajwanu.

Algorytmy z Wall Street, które skanują rynki predykcyjne w poszukiwaniu sygnałów ryzyka wojennego, natychmiast zareagują. Nastąpi automatyczna wyprzedaż akcji największej tajwańskiej firmy, kluczowego światowego producenta mikrochipów TSMC, ceny frachtu skoczą o kilkaset procent, a rząd w Tajpej stanie w obliczu nagłego odpływu kapitału i załamania waluty...

Teoretycznie okazje do zarobku są nieograniczone. Ktoś może najpierw skupić kontrakty na to, że cena ropy przekroczy 120 dolarów za baryłkę, a następnie na to, że Iran przeprowadzi zamach na kluczową infrastrukturę naftową w Zatoce Perskiej przed weekendem. Samo wywindowanie prawdopodobieństwa tego drugiego zdarzenia do 80 procent powinno spowodować skok cen ropy. Sam Teheran mógłby zastosować taki chwyt, aby przestraszyć arabskie petromonarchie i wzmóc ich presję na Waszyngton, aby nie atakował Iranu – ostatnie tygodnie pokazały, że Trump bywa podatny na takie sugestie, przynajmniej do czasu, aż nie odbierze telefonu od Netanjahu.

Na Polymarket można nawet legalnie obstawić udane włamanie do konkretnego banku kryptowalut. Wyobraźmy sobie, że specjalizująca się w tym północnokoreańska grupa Lazarus lokalizuje lukę w protokole i tuż przed atakiem stawia dużą sumę na to, że dojdzie do wycieku, co da jej dodatkowy dochód, oprócz zysku ze skradzionych kryptowalut.

Na szczęście grube manipulacje napotykają bariery. To co jest wadą rynku predykcyjnego – jego płytkość – zarazem jest zaletą. W większość zakładów nie da się włożyć naprawdę dużych pieniędzy. A im niższa kapitalizacja opcji, tym mniejsza szansa, że zakład wpłynie na rzeczywistość. Nagły skok wyceny kontraktu na mało prawdopodobne zdarzenie powinien innym uczestnikom rynku zapalić czerwoną lampkę, że może to być robota nie posiadacza tajemnej wiedzy, a jednego, zdesperowanego kupującego, który być może chce ich nabrać. Anomalię cenową zaraz ktoś będzie chciał wykorzystać i zacznie skupować zaniżone kontrakty na opcję przeciwną, spychając kurs z powrotem do realnej wartości. W przykładzie z prorosyjskim kandydatem mógłby to nawet zrobić sztab wyborczy jego rywala.

Dane z rynków predykcyjnych są wykorzystywane przez analityków geopolitycznych, w tym agencje wywiadowcze, stając się trzecim źródłem wiedzy obok wywiadu satelitarnego i nasłuchu

Scenariusz z grupą Lazarus ma inną wadę logiczną. Jeśli hakerzy zaczną masowo obstawiać TAK w zakładzie o rychły atak na dany protokół, gwałtowny skok kursu zadziała jak system wczesnego ostrzegania. Deweloperzy i boty bezpieczeństwa natychmiast zauważą tę anomalię i prewencyjnie zamkną dostęp do banku do czasu załatania luki. Hack nie dojdzie do skutku, rynek zamknie się wynikiem NIE, Korea Północna straci postawiony kapitał.

Dane z rynków predykcyjnych są wykorzystywane również przez analityków geopolitycznych, w tym agencje wywiadowcze, stając się trzecim źródłem wiedzy obok wywiadu satelitarnego i nasłuchu. Kryje się za tym przekonanie, że insajderzy, ale też eksperci w danej dziedzinie, miewają informacje, które spróbują anonimowo zmonetyzować na platformie predykcyjnej. Jeśli cena opcji zakładającej koniec rządów Putina nagle rośnie, analityk wie, że coś się dzieje, zanim oficjalny komunikat trafi do prasy.

Analitycy są świadomi możliwości manipulacji, niemniej kusi ich dostęp do Świętego Graala, jakim byłoby narzędzie pozwalające uniknąć pułapek myślenia stadnego, dające dostęp do zagregowanej, niedostępnej publicznie wiedzy. Myślenie stadne jest uważane za najpoważniejszą przeszkodę w skutecznym prognozowaniu i agencje wywiadowcze od dawna główkowały, jak ją pokonać.

Po drugiej wojnie światowej amerykańskie lotnictwo wojskowe utworzyło RAND – ośrodek analityczny, którego głównym zadaniem było szacowanie potencjału militarnego ZSRR. Kluczowy problem tradycyjnych paneli eksperckich polegał na tym, że charyzmatyczni generałowie lub znani naukowcy narzucali swoje zdanie reszcie grupy, tłumiąc wartościowe, ale niepopularne opinie. Aby to obejść, opracowano Metodę Delficką.

Wybór ekspertów był anonimowy. Zamiast sadzać ich przy jednym stole, RAND wysyłał im kwestionariusze pocztą. W pierwszej rundzie eksperci odpowiadali na przykład na pytanie: „W którym roku ZSRR wyprodukuje 100 bomb wodorowych?". W drugiej otrzymywali podsumowanie statystyczne wszystkich odpowiedzi i byli proszeni o zweryfikowanie swoich prognoz, jeśli skrajnie odbiegali od średniej. Proces powtarzano przez kilka rund, aż do uzyskania stabilnego konsensusu. Metoda Delficka pozwoliła Pentagonowi precyzyjnie oszacować między innymi tempo rozwoju radzieckiego programu kosmicznego i rakietowego.

Dalej poszła w 2001 roku Agencja Zaawansowanych Projektów Badawczych w Obszarze Obronności, słynna DARPA, pragnąc wykorzystać „mądrość tłumu" do prognozowania niestabilności politycznej, zamachów stanu, zmian cen ropy czy ruchów wojsk w regionie. Stworzono prototyp giełdy predykcyjnej: rynek, na którym tysiące ekspertów, dyplomatów i analityków stawiało własne pieniądze na zdarzenia polityczne, na przykład „Czy król Jordanii zostanie obalony w roku X?", „Czy nastąpi atak terrorystyczny w kraju Y?". Projekt przetrwał zaledwie dwa lata. Kiedy liderzy opozycji w Kongresie dowiedzieli się o jego istnieniu, uznali za „odrażające i niemoralne" zachęcanie przez rząd USA do obstawiania zamachów terrorystycznych i zabójstw przywódców. DARPA wycofała finansowanie.

Później do kanonu weszło pojęcie superprognostyków. Biuro Zaawansowanych Projektów Badawczych Wywiadu (IARPA) w latach 2011–15 finansowało turniej prognozowania o nazwie The Good Judgment Project. Prowadził go zespół naukowców pod kierownictwem psychologa profesora Philipa Tetlocka z Uniwersytetu Pensylwanii. Projekt wykazał, że garstka wyselekcjonowanych amatorów – od emerytowanych programistów po

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
Kraj/34414014

W PIĄTEK W WYBORCZEJ

HIGIENA W DOMU. JAK PRAWIDŁOWO DBAĆ O CZYSTOŚĆ?

• Higiena w kuchni. Gąbka, ściereczka, zlew i zmywarka.
• Higiena w sypialni i salonie. Bielizna, pościel, ubrania, materac.
• Higiena w łazience. Ręczniki, pralka, szczoteczka do zębów, szczotka do toalety i inne gadżety łazienkowe

1 RP

eprasa.pl 43ba3d7546

gospodynie domowe – potrafi trafniej o 30-50 procent oszacować prawdopodobieństwo zdarzeń niż etatowi pracownicy agencji wywiadowczych.

Jak to wyjaśnić? Tetlock podzielił prognostyków na dwie kategorie, posługując się metaforą słynnego historyka idei sir Isaiaha Berlina: Jeże i Lisy. Jeże mają jedną dominującą ideologię lub teorię („Zachód upada", „Hiperinflacja jest nieuchronna") i dopasowują wszystkie fakty do swojej tezy. Lisy nie wierzą w wielkie narracje, cechują się brakiem dogmatyzmu, elastycznością poznawczą, są pragmatyczni, ciągle szukają danych, które przeczą ich własnym założeniom, i potrafią rozbijać wielkie pytania geopolityczne na małe składowe matematyczne (tak zwana estymacja Fermiego).

W tradycyjnych agencjach wywiadowczych czy korporacyjnych działach analiz dominują Jeże. Powodem jest kultura instytucjonalna i psychologia strachu. Jeśli analityk napisze, że „Szansa na pucz w Sudanie do końca roku wynosi 62 procent", a pucz nie nastąpi, autor prognozy zostanie uznany za partacza. Dlatego analitycy wolą pisać bezpieczne, rozmyte tezy: „Istnieje realna możliwość niestabilności politycznej". To zdanie jest zawsze prawdziwe i nic nie wnosi.

Ponadto analityk w Pentagonie czy w dużym banku rzadko jest niezależny. Często podświadomie dopasowuje prognozę pod to, co jego szef chce usłyszeć. Koronnym przykładem była inwazja USA na Irak w 2003 roku. Rządzący politycy orzekli, że Saddam Husajn posiada i aktywnie rozwija broń masowego rażenia, a analitycy padli ofiarą myślenia grupowego i błędu konfirmacji. Każdy strzępek niejednoznacznych danych, na przykład zakup aluminiowych rur przez Irak, interpretowano wyłącznie jako dowód na produkcję broni nuklearnej. Ignorowano głosy alternatywne. W efekcie USA wpakowały się w wieloletni konflikt, który kosztował życie setek tysięcy ludzi, biliony dolarów i doprowadził do destabilizacji Bliskiego Wschodu oraz narodzin ISIS, tak zwanego Państwa Islamskiego. Broni masowego rażenia nie znaleziono.

Inną sytuację mieliśmy w 2022 roku. Większość europejskich rządów, dyplomatów oraz francuski i niemiecki wywiad twierdziły, że koncentracja wojsk rosyjskich przy granicy z Ukrainą to jedynie pokaz siły i blef mający wymusić ustępstwa. Wywiad USA, superprognostycy oraz gracze na rynkach predykcyjnych – które naturalnie promują podejście Lisów – mieli inne zdanie. Na przełomie stycznia i lutego prawdopodobieństwo pełnoskalowej inwazji na platformach prognostycznych skoczyło powyżej 70 procent, podczas gdy publiczni eksperci wciąż mówili o „racjonalności Putina".

●

Przyszłość da się przewidzieć częściej, niż myślimy. Problem leży gdzie indziej: ci, którzy to potrafią, zwykle nie mają posłuchu.

W 1973 roku niespodziewane embargo nałożone przez arabskich producentów ropy po wybuchu wojny z Izraelem wywołało światowy kryzys paliwowy. Zirytowany tym Stanisław Lem, który wtedy już żegnał się z futurologią, będącą materią wielu jego powieści, w zamieszczonym w „Kulturze" artykule „Sonda w niebo i piekło przyszłości" zarzucił futurologom przywiązanie do status quo, wskutek czego ich prognozy były zachowawcze, a tym, którzy byli zatrudnieni w instytucjach – wysługiwanie się władzy. „Wygląda na to, że przepatrywaczom przyszłości mąci rachuby jakiś bies, oślepiając ich na to, co pod nosem", ironizował autor „Kongresu futurologicznego".

Tymczasem nie wszyscy byli zaskoczeni kryzysem. Koncern Shell jako jedyny miał gotowe plany logistyczne i finansowe na tę ewentualność. Uprzednio Pierre Wack, szef zespołu planowania rynkowego, zmusił menedżerów do opracowania kilku fikcyjnych, ale prawdopodobnych scenariuszy. Jeden zakładał, że kraje arabskie zrzeszone w OPEC zbuntują się i drastycznie ograniczą produkcję, wywołując kryzys. Przeprowadzono symulację umysłową: Co zrobimy z naszymi tankowcami, rafineriami i kapitałem, jeśli ten scenariusz się ziści? I kiedy się ziścił, Shell zbudował na tym swoją potęgę.

Kolejnym „nieprzewidywalnym" zdarzeniem był globalny kryzys finansowy w 2008. Uwieczniony w filmie „The Big Short" menedżer funduszu hedgingowego Michael Burry odrzucił narrację Wall Street, że „ceny nieruchomości zawsze rosną". Przeanalizował tysiące pojedynczych, ukrytych w obligacjach opartych o hipoteki umów kredytowych i dostrzegł, że system opiera się na ludziach, którzy nie mają żadnych dochodów. Obstawił przeciwko rynkowi nieruchomości, a gdy ten runął zgodnie z jego wyliczeniami, dał dobrze zarobić swoim inwestorom.

Podobnie było z atakami Al-Kaidy na USA w 2001 roku. Czerwone lampki migotały, dzwonki alarmowe dzwoniły, ale decydenci nie chcieli ich zobaczyć i usłyszeć. Opowiada o tym między innymi Lawrence Wright w książce „Wyniosłe Wieże".

Dziś modele sztucznej inteligencji w kilka sekund potrafią przedstawić symulację zachowania całych społeczeństw lub rynków w odpowiedzi na jakiś bodziec, na przykład nałożenie ceł na konkretny surowiec.

Na ile skutecznie? Było kilka eksperymentów, między innymi zespołu profesora Tetlocka, w których postawiono naprzeciw siebie zaawansowane modele językowe (LLM) i ludzi. Okazało się, że w starciu ze zwykłymi ludźmi lub standardowymi analitykami, sztuczna inteligencja wygrywa bez wysiłku. Model LLM podłączony do sieci potrafi lepiej oszacować ryzyko geopolityczne czy gospodarcze niż przeciętny ekspert z syndromem Jeża. Ale w starciu z elitą Good Judgment Project pojedyncze modele AI jeszcze niedawno przegrywały. Dlaczego? Sztuczna inteligencja miała tendencję do uśredniania opinii znalezionych w sieci, a konsensus medialny często jest błędny. I gorzej radziła sobie z tak zwanymi czarnymi łabędziami – wydarzeniami bezprecedensowymi, o których nie miała danych.

Najnowsze badania nad tak zwanymi wieloagentowymi systemami AI – gdzie jeden agent szuka danych, drugi działa jako adwokat diabła i krytykuje wnioski, a trzeci liczy matematyczne prawdopodobieństwo – wykazały, że takie zintegrowane systemy osiągają wyniki statystycznie nieodróżnialne od najlepszych ludzkich superprognostyków.

●

Rynki predykcyjne są jeszcze większą nowością niż sztuczna inteligencja i nie dziwi, że prawodawstwo nie nadąża za ich rozwojem. W USA trwa przeciąganie liny między giełdami, organami regulacyjnymi i przedstawicielami władz różnego szczebla.

Główny konflikt dotyczy tego, czy rynki te należy uznać za giełdy derywatów i poddać nadzorowi Komisji Handlu Towarowymi Kontraktami Terminowymi (CFTC), co jest korzystne dla platform, czy też za hazard, co otwiera drogę do zakazania ich działalności przez poszczególne stany – co już zrobiła Minnesota, ale została pozwana przez CFTC.

W Kongresie ścierają się zwolennicy obu podejść. Krąży tam też pomysł zakazania kontraktów powiązanych z wyborami czy wydarzeniami geopolitycznymi.

Giełdy predykcyjne mają po swojej stronie gracza numer jeden: Donalda Trumpa. Polymarket jest wspierany przez fundację Petera Thiela, słynnego inwestora, samozwańczego filozofa Doliny Krzemowej oraz fundatora ruchu MAGA, syn prezydenta Donald Trump Jr. zasiada w radzie doradczej tej giełdy, a właściciel Nowojorskiej Giełdy Papierów Wartościowych posiada w niej 25 procent udziałów o wartości 2 miliardów dolarów. Trump próbował nawet uruchomić własnego konkurenta Polymarket za pośrednictwem Truth Social, ale projekt nie wyszedł poza fazę testów – być może ze względu na konflikt interesów z Donaldem juniorem.

Inne rządy zwykle tematem się nie interesują, dopóki platformy nie przyciągną uwagi lokalnych organów regulacyjnych. Praktyka wskazuje, że operatorzy giełd sami wychodzą – blokując użytkowników – z tych krajów, w których ryzyko kar finansowych przewyższa zyski z obsługi tamtejszych graczy. Wiele krajów europejskich robi to co Polska, prewencyjnie uniemożliwiając wchodzenie na „hazardowe" strony.

Matthew Wein z Atlantic Council radzi rozważyć kilka kierunków działań.

Po pierwsze, organizacje medialne powinny przyjąć przejrzyste standardy dotyczące tego, kiedy i jak cytowane są dane z rynku prognoz – i wyraźnie zaznaczać, że ceny kontraktów odzwierciedlają tylko przekonania i motywacje ograniczonej grupy graczy.

Po drugie, organy regulacyjne i platformy powinny opracować wymogi dotyczące ujawniania dużych lub skoordynowanych pozycji w zakładach powiązanych z wyborami, ważnymi wydarzeniami związanymi z bezpieczeństwem narodowym lub z działalnością strategicznych firm, a także poddać wzmocnionej kontroli podmioty zagraniczne działające na takich rynkach.

Po trzecie, giełdy predykcyjne powinny inwestować w mechanizmy wykrywania anomalii handlowych, które pokrywają się ze skoordynowanymi kampaniami informacyjnymi.

Po czwarte, władze krajowe i organy odpowiedzialne za bezpieczeństwo cybernetyczne powinny uwzględniać rynki predykcyjne w analizie zagrożeń środowiska informacyjnego.

Gdyż „te same narzędzia, które mogą usprawnić prognozowanie, mogą być również wykorzystywane jako broń do podważania zaufania do uczciwości i legalności podstawowych procesów demokratycznych". ●

REKLAMA
Kraj/34423010

1RP

eprasa.pl 43ba3d7546

POŁAWIACZKI ZIELONEGO ZŁOTA

Wózek, który ciągniemy, grzęźnie w wodzie i piasku. Trzeba pilnować jego zawartości i nieść ciężkie grabie. Ale Ania przekonuje, że dziś mariscadoras i tak mają lepiej. Kiedyś nosiły miski na głowie i zbierały małże w zimnym Atlantyku w spódnicach i fartuchach.

Ludmiła Anannikova
zdjęcia **Jakub Orzechowski**

Łoto Cambados jest szaro-zielone i ma wyraźnie zaznaczone rowki. Powinno też mieć co najmniej 4 centymetry, żeby można było je zabrać z plaży. By to ocenić, używa się specjalnej miarki. Ania nosi ją na sznurku, przywiązaną do paska. Ja dostaję drugą. Pracę grabiami moja przewodniczka bierze na siebie, inaczej spędzimy tu niepotrzebnie wiele godzin. Ale mierzyć i płukać znalezione skarby mogę.

Schylając się lub siedząc w kucki, Ania centymetr po centymetrze przeczesuje dno oceanu – mokry piasek i muł porośnięty trawą. Jesteśmy ponad kilometr od brzegu – tak daleko odpływa woda w Cambados. Zanim nastąpi przypływ, musimy wyrobić dzisiejszą normę – zebrać 8 kilogramów *almeja japonica* (małż japońskich). Mamy na to 4 godziny.

Jedyna Polka wśród mariscadoras

Cambados ma 17 tys.mieszkańców i leży nad nad zatoką Ría de Arousa nad Oceanem Atlantyckim w hiszpańskiej Galicji. To rejon Rías Baixas, z licznymi zatoczkami, które słyną z najlepszych w Europie owoców morza.

Ściągnęła nas tu Anna Celińska, która w Cambados mieszka od 19 lat. Od pięciu pracuje jako mariscadora. To tradycyjny zawód tutejszych kobiet przekazywany z pokolenia na pokolenie. Z informacji w sieci wynika, że w Galicji uprawia go kilka tysięcy osób.

Ania należy też do organizacji turystycznej Guimatur, która pokazuje pracę *mariscadoras* osobom spoza regionu.

– Oprowadzamy szkolne wycieczki, turystów z Hiszpanii i innych krajów, gościłyśmy znanych youtuberów, a nawet słynnego Gordona Ramsaya, który kręcił tu swój program. I wtedy zapaliła mi się lampka, że dla Hiszpanów temat *mariscadoras* jest znany, ale dla Polaków – czysta egzotyka. Napisałam do różnych mediów w Polsce, czy nie chciałyby o tym napisać, i odezwaliście się tylko wy – opowiada Ania.

Pierwszego wieczoru oprowadza nas po miasteczku. Pokazuje centrum Cambados, promenadę, idziemy też na plażę, na której rano będziemy zbierać owoce morza.

Ania: – Dawniej kobiety zbierały na plaży, co, kiedy i ile chciały, ale 25 lat temu władze stwierdziły, że może dojść do naruszenia ekosystemu. Od tego czasu na zbieranie trzeba mieć pozwolenie, a praca *mariscadoras* została uznana za oficjalny zawód. Płacimy składki i możemy liczyć na chorobowe, macierzyński i emeryturę – liczą nam półtora roku stażu za rok pracy, z powodu ciężkich warunków. Jesteśmy też zrzeszone w stowarzyszeniu, które wyznacza nam teren do pracy, liczbę zbieranych kilogramów, orientuje się w cenach i zapotrzebowaniu, zajmuje się obsługą biurową i jest pośrednikiem pomiędzy nami i władzami Galicji (Xunta de Galicia).

Najlepsze owoce morza

© GAZETA WYBORCZA MAPA: JOANNA PATYK

Następnego dnia Ania czeka na nas pod swoim blokiem. Jest tuż po siódmej, w Cambados świta. Trzyma małe grabie, *rastrillo*, i plecioną siatkę na nasze zbiory. Przyjechaliśmy akurat, kiedy do Cambados na dobre zawitała wiosna, co znaczy, że przestało natarczywie padać. – W zimowych miesiącach padało niemal co dzień, czasem odwoływano nam pracę, część owoców morza umarła z powodu tak dużej ilości słodkiej wody – opowiada nasza przewodniczka.

Dziś pogoda do pracy idealna – brak deszczu, 15 stopni, słońce schowane za chmurami. Wyruszymy punktualnie o ósmej, bo tak dziś wypada odpływ. *Mariscos*, owoce morza, zbiera się w okienku, kiedy woda jest daleko – okienko trwa sześć godzin i każdego dnia jego początek przesuwa się o pół godziny, tak samo początek pracy *mariscadoras*.

Kobiety pracują tylko, kiedy odpływy są rano, przez kilkanaście dni w miesiącu. Najpóźniej wychodzą w morze w południe.

Potrzeba bowiem 3-4 godzin na zebranie mariscos, później trzeba je zważyć, ułożyć w skrzyniach i zawieść na aukcję, która zaczyna się codziennie o 16. Popołudniami zbieranie odbywa się tylko w okresie świątecznym, kiedy popyt jest największy.

Mężczyźni są tu od niedawna

Punkt naszej zbiórki jest tuż przy Playa a Mouta, na uboczu miasteczka. Parterowy budynek przypominający duży garaż jest wypełniony wózkami, które mariscadoras zabiorą ze sobą w morze, sprzętem do grabienia i szafkami na rzeczy. Jest też stoisko do ważenia i metalowe stoły, na których później będą układane zbiory.

Pomieszczenie powoli zapełnia się ludźmi. Toczą się poranne rozmowy przy kawie z automatu, kobiety zaczynają wyprowadzać wózki na zewnątrz.

Pojawiają się też mężczyźni, ale mało. Pytam o to koleżankę Ani, która chowa ubrania do szafki. Ma na imię Charo, mariscadorą jest od 11 lat.

Charo tłumaczy: – W Cambados mamy 220 mariscadoras i tylko 27 z nich to mężczyźni. Ale to i tak więcej niż kiedyś, jak zaczynałam, było ich trzech. To od zawsze był zawód kobiecy, mężczyźni raczej wypływali łodziami w morze, kiedy nie było jeszcze silników i trzeba było wiosłować.

1 RP

eprasa.pl 43ba3d7546

25 lat temu hiszpańskie władze stwierdziły, że może dojść do naruszenia oceanicznego ekosystemu. Od tego czasu na zbieranie owoców morza trzeba mieć pozwolenie, a praca mariscadoras została uznana za oficjalny zawód

▲ Anna Celińska – nasza przewodniczka – pochodzi z Ryk na Lubelszczyźnie, w Cambados mieszka od 19 lat. Wyszła za mąż za Galicyjczyka Estebana. Od pięciu lat pracuje jako mariscadora

◀ Mariscadora, zbieraczka owoców morza, to tradycyjny zawód kobiet w Cambados przekazywany z pokolenia na pokolenie. W całej Galicji uprawia go kilka tysięcy osób

▶ Podstawowe wyposażenie zbieraczki: wózek z miską, grabie do przeczesywania dna i wodery czyli gumowe kaloszo-spodnie, bo to praca w wodzie i w mule

▼ Rastrillo to małe grabie do zbierania. Raño - duże, które wyglądają, jak metalowe szczęki. Z wodą i piaskiem ważą nawet 40 kg. Manewrowanie nim to sztuka, zwłaszcza, jeśli np. się stoi w wodzie po pas

I dodaje: – Kobiety zbierały małże przy brzegu. Dopiero niedawno mężczyźni zaczęli się tu pojawiać. Dla nich to raczej dodatkowe zajęcie.

Anna ma na sobie wodery – kalosze połączone ze nieprzemakalnymi spodniami na szelkach – i bluzę. Ja dostaję takie same. Nasz fotograf Kuba – tylko kalosze. Nie było dla niego woderów w odpowiednim rozmiarze.

Tłum zbiera się przy zejściu na plażę. Około 150 osób. Ania tłumaczy, że reszta jest na zwolnieniu lekarskim. Zastrzega, że dla niej ta praca nie jest ciężka, dla wielu kobiet, zwłaszcza starszych, jest wyczerpująca fizycznie. Cierpią na zwyrodnienie stawów barkowych i kolanowych, artretyzm, ból pleców.

Najtrudniej, jak mówi, jest zimą, kiedy północny wiatr chłoszcze po twarzy, czasem pada grad, a temperatura ledwo przekracza zero stopni. Więcej jest też dni, kiedy na plaży z powodu sztormu pojawia się czerwona flaga, wtedy mariscadory nie pracują.

Przy pomarańczowej mogą iść w morze na własną odpowiedzialność. Wiele kobiet to robi, żeby zarobić. Przez resztę roku bywa całkiem przyjemnie. Piękna przyroda, spokój, pracujesz we własnym tempie. Nikt nie pogania i do niczego nie zmusza.

„Zasypiam i widzę almejas"

W końcu docieramy na miejsce. Obszar zbiorów często się zmienia, by na terenach, z których zebrano *mariscos,* miały czas podrosnąć nowe osobniki. Stowarzyszenie współpracuje z biologiem morskim, którzy bada plaże, sprawdza, ile owoców morza zmarło i jakich, gdzie trzeba rozsiać nowe. Jest opłacany ze składek zbieraczek, podobnie jak kupowane w hodowli małe małże. Każdej z nich stowarzyszenie pobiera co miesiąc z wypłaty 250 euro na podatki i obsługę biurową.

Mariscadoras oddalają się od siebie o kilkanaście, a czasem kilkadziesiąt metrów. To

praca indywidualna. Anna, zbierając *almejas* (małże), lubi słuchać muzyki albo podcastów.

Jestem zdziwiona, że nie zabrała wody do picia, tylko jabłko i pomarańczę. Ja mam w plecaku 1,5 litra wody. Po jakimś czasie orientuję się dlaczego Ania nie ma: nie pijesz – nie musisz sikać. Na oceanie nie ma toalety, do brzegu daleko.

Pytam, jak sobie radzą, jeśli jednak muszą.

– Ściągasz spodnie, kucasz i tyle – śmieje się Ania. – Kiedyś było łatwiej, bo nie było z nami mężczyzn. Ale i dziś tak się robi, jak nie ma wyjścia.

Niektóre mariscadory poszły dalej w morze niż my, na głębszą wodę, gdzie zanurzają się po pas. One do pracy używają długich grabi – *raño*. Wyciągają nimi z dna piasek z wodą, a gdy te opadną, na grabiach zostają muszle. Żywe, zamknięte i w odpowiednim rozmiarze lądują w koszu, pływającym obok na gumowym kółku.

Raño wraz z wodą i piaskiem potrafią ważyć nawet 40 kg, więc trzeba wielkiej siły, żeby nimi sprawnie operować. Ale pozwalają też szybciej wyrobić normę.

Ania: – Raño pojawiły się 40-60 lat temu, używali ich głównie mężczyźni, łowiąc *marisco* z łódek. Wcześniej pracowało się mniejszymi grabiami, *rastrillo*. My jesteśmy *„mariscadoras a pe"*, czyli na nogach, i tak to wyglądało od początku. Teraz jest coraz więcej *ranieros*. Ludziom wydaje się, że to łatwiejsze, bo nie trzeba się schylać, ale ręce i tak bolą, pracując tak przez wiele lat można nabawić się różnych schorzeń. Poza tym w styczniu, lutym i marcu *raño* i tak trzeba odstawić i przejść na *rastrillo*, bo zbieramy wtedy na innym terenie, bardziej mulistym, porośniętym algami. Tam inaczej się nie da.

Ania woli *rastrillo*. Praca nimi przypomina plewienie ogródka. Trzeba tylko wiedzieć, na jaką głębokość i z jaką siłą wbić grabie – róż-

eprasa.pl 43ba3d7546

• **Tego dnia w punkcie zbiórki przy Playa a Mouta, na uboczu Camabados, stawiło się do pracy ok.150 osób. Reszta była na zwolnieniu lekarskim. W Cambados jest 220 mariscadoras, w tym tylko 27 mężczyzn**

ne owoce morza znajdują się na różnej głębokości.

Na początku idzie nam wolno. Znajdujemy sporo małży, ale nie mają 4 cm. Ania szuka dalej miejsca, gdzie będzie lepiej. A będzie na pewno, zna teren i wie, że nasze małże tu są.

– Po całym tygodniu pracy w piątek wieczorem zamykam oczy i widzę *almejas* – śmieje się.

Podaje mi grabie, żebym spróbowała. Wbijam je w piasek i poruszam na boki, jak doradza. I nie widzę żadnej muszli, która by się nadawała. Próbuję drugi raz i trzeci. I znów nic. Dłonie bez rękawiczek parzą – mokry piasek, którym oblepiony jest trzon grabi, ściera mi skórę.

Dopiero po kilku razach daje mi się znaleźć małża spełniającego kryteria. Cieszę się, jakbym znalazła złoto. Gdy przypominam sobie, że mamy zebrać 8 kilo tego cholerstwa, jestem załamana.

– Za pierwszym razem nie dałabyś rady, ale potem byś się nauczyła – Ania mnie pociesza. – Wiele osób na początku uważa, że to za trudne, ale mówię „wytrzymaj". I jak w końcu zaczyna im wychodzić, są zachwycone.

Ania też nie od razu wychodziło, dziś robi to lepiej niż niejedna ze starszych *mariscadoras*, które są kolejnym pokoleniem zbieraczek. Ale są osoby, które potrafią jeszcze więcej.

Pokazuje mi siostry Ewę i Laurę, które zaczęły zbierać jako 13- i 14-letnie dziewczynki.

– Używają *raño*, *rastrillo*, specjalnej łyżki, *ganchelo*, którą wydłubują małże z piasku, bo potrafią dostrzec na dnie oceanu ich ślady. Używają też specjalnej skrzynki z szybą powiększającą, *espejo*, przez którą oglądają dno, szukając śladów mariscos – małże mają syfony, które robią malutkie dziurki i je widać. I tam sięgają ręką w głąb. Nie potrzebują do tego grabi, jak ja – mówi Ania.

– Nie łatwiej jest grabić? – pytam.

– Dla nich to nie tylko praca, ale też sztuka. Są w tym naprawdę dobre.

Ewa i Laura chętnie rozmawiają. Przekonują, że kochają tę pracę, a narzędzie dobierają do pogody i stanu morza.

Ewa: – Robię to już 37 lat. Moja mama była mariscadorą, a ojciec rybakiem, miał łódkę. Morze to całe nasze życie. Mnie ta praca relaksuje. Nie zamieniłabym jej na żadne biuro. Jestem wolna, nie mam szefa. To zupełnie inna praca niż „na ziemi".

Ale jej dzieci wybrały inne zawody. Córka jest nauczycielką w szkole, druga jeszcze studiuje. Ewa jest z nich dumna.

Laura także kocha bycie mariscadorą, ale przyznaje, że fizycznie nie jest to łatwe.

– Na zwolnieniu możesz być nawet rok. Podleczyć się i wrócić – tłumaczy mi później Ania.

Podaje kolejne muszelki. Sprawdzam, czy zatrzymują się na miarce. Jeśli tak, wrzucam do wiaderka. Plastikowe, jak od śledzi matijasów, to mniej więcej kilogram. Gdy się zapełni, przesypię małże do plecionej siatki i włożę ją do wody, żeby jak najdłużej pozostawały w swoim środowisku. Na razie mamy połowę.

Po jakichś 20 minutach trafiamy na lepsze miejsce. Coraz mniej małż odrzucam, a coraz więcej wkładam do wiaderka. Po jakimś czasie już bez miarki widzę, które *almejas* osiągnęły wymaganą wielkość.

Wszystko zależy od zasolenia wody

Nie ma jednej stawki, którą mariscadoras otrzymują za pracę. Ona zależy od tego, czy przyjdą w danym dniu do pracy, ile zbiorą kilogramów, a potem od popytu i ceny, za którą owoce morza pójdą na aukcji.

Dopiero po kilku razach daje mi się znaleźć małża spełniającego kryteria. Cieszę się, jakbym znalazła złoto. Gdy przypominam sobie, że mamy w sumie zebrać 8 kilo tego cholerstwa, jestem załamana

• **Koniec dnia. W blaszaku w porcie w Camabdos zaraz zacznie się aukcja owoców morza, w tym małży japońskich zebranych tego dnia przez nasze mariscadoras (18.03.2026)**

Almeja japonica, którą zbieramy dzisiaj, jest gatunkiem napływowym. W odróżnieniu od rodzimych można ją rozmnażać w hodowlach, więc nie grozi jej wyginięcie. Małże, kupowane z pieniędzy *mariscadoras*, są wrzucane do wody, gdy są wielkości paznokcia. Potrzebują dwóch lat, żeby stać się dorosłym osobnikiem.

Na wymarciu jest za to *almeja fina* (małż dywanowy), lokalny gatunek, delikatniejsza i podobno smaczniejsza, która „dorośleje" przez 4 lata. Starsi mieszkańcy Cambados pamiętają, jak bywała wielkości pięści, dziś rzadko spotkasz taką, która ma owe 4 cm.

– Jak trafimy na finę, wrzucamy ją z powrotem do wody. Kiedyś ją zbieraliśmy. Była najdroższa. Latem jej cena dochodziła do 60-80 euro za kilo, ale trzy lata temu nam prawie umarła – opowiada Ania.

I dodaje: – Widzimy ją teraz, ale w tym roku słodka woda znowu jej zaszkodziła i nie wiadomo, kiedy znowu będzie można ją zbierać.

Nie zbieramy też *berberechos* (małże sercówki), drobnych małży, których także jest za mało w odpowiednim rozmiarze.

– Kiedyś zbierałyśmy jednego dnia 4 kg japoniki, 2 kg berberecho, 2 kg finy i jeszcze była *babosa* i *navajas* (brzytwy). Jednego dnia zarabiało się 250 euro, a w okresie Bożego Narodzenia, kiedy popyt jest największy, nawet 500 euro.

Ale w Cambados sytuacja mariscadoras i tak jest dobra. Są plaże, jak np. w miejscowości Noia, gdzie w tym roku zginęło 80 proc. owoców morza i około 400 osób zostało bez pracy. Jak dobrze pójdzie, wrócą w październiku. A w międzyczasie proszą galicyjski rząd o wsparcie finansowe.

Do Galicji za miłością

Póki grzebiemy w piasku, Anna opowiada mi swoją historię. Pochodzi z Ryk w Lubelskim. Po szkole wyjechała do Słupska, gdzie skończyła pedagogikę opiekuńczo-wychowawczą i wychowanie fizyczne. Po studiach pojechała do brata do Londynu, popracować w restauracji i nauczyć się języka.

Tam poznała kucharza, Estebana Pintosa z Cambados. Gdy miłość była w rozkwicie,

eprasa.pl 43ba3d7546

zadzwonili do niego, że jest dla niego praca w Galicji. Postanowił wrócić. Ania przyjechała w odwiedziny trzy miesiące później i zdecydowali, że się przeprowadzi.

Na początku pracowała jako kelnerka, aż się urodził syn Esteban, dziś ma 18 lat. Niecałe dwa lata później przyszedł na świat Xoel. Trzy lata później – Xoana, a po kolejnych czterech bliźnięta Celia i Breixo.

– Zawsze chciałam mieć dużą rodzinę, ale jak dowiedziałam się o bliźniakach, to przyznaję, miałam wątpliwości. Mieliśmy już troje dzieci – mówi Ania. – Ale mąż powiedział: damy radę, mamy ogródek, warzywa, mam pracę.

Dziś bliźnięta mają 9 lat.

Esteban, zawodowy kucharz od 17 roku życia, pracował w wielu krajach. Ania opowiada, że kilka lat temu otworzyli własną restaurację. Jedno lato było świetne, a potem przyszedł COVID i zaczęły się restrykcje. Zamykali, otwierali, aż w końcu stwierdzili, że rezygnują, by się nie zadłużać.

Teraz Esteban pracuje w prywatnym klubie jachtowym, do którego na regaty przyjeżdża emerytowany król Juan Carlos I ze swoimi przyjaciółmi.

Na działce, którą otrzymał od rodziców, hoduje wino albariño, które rośnie tylko w Galicji, zawsze jesienią to dodatkowe pieniądze. Sadzi też pomarańcze, kiwi, cytryny, ziemniaki, kalafior, pomidory, sałatę, cebulę, groszek, czosnek. W ilościach odpowiednich dla dużej rodziny. Pracy w polu nauczył się od rodziców. Wie, kiedy i co należy posadzić według faz księżyca, by rosło silniejsze. Uczy tego dzieci.

– Mamy też kury, co roku hodujemy świnię, którą potem zjadamy. Chcemy być samowystarczalni – mówi Ania. – Mieszkamy jednak w bloku. Kocham nasze wiejskie życie w miasteczku i pracę na morzu. Cambados to dobre miejsce do wychowania dzieci, bezpieczne. Ale dzieci zachęcamy, żeby zdobyły zawód, który da im pracę w różnych krajach, zobaczyły trochę świata, uczę je też polskiego. One kochają Cambados i wiedzą, że zawsze mogą tu wrócić, że w razie konieczności morze da im pracę i wyżywi. Ale niech to będzie ostateczność.

To Esteban namówił Anię, żeby została mariscadorą. – Kiedy już miałam dzieci odchowane, zdałam sobie sprawę, że trzeba wyjść do pracy. Esteban zachęcał, żeby zrobiła uprawnienia mariscadory, bo pracujesz tylko przez kilkanaście dni w miesiącu, po kilka godzin. Miałam wątpliwości, czy to dla mnie, trzeba było też zrobić szkolenie, zdać egzamin i przejść przez losowanie, żeby się dostać. Chętnych do wejścia do zawodu jest więcej niż miejsc. Nie może nas być za dużo, wszystkie musimy zarobić, a morze musi mieć czas odpocząć. Więc się czeka, aż ktoś zrezygnuje albo pójdzie na emeryturę – tłumaczy Ania.

Jej udało się przy trzecim losowaniu, kiedy bliźnięta akurat skończyły trzy lata. Dziś mówi, że ta praca jest jej pasją.

Ania: – Dla mnie nie jest ciężka. Pracowałam jako kelnerka i to było o wiele gorsze. Ale ja lubię ruch, ćwiczę, jeżdżę na rowerze. Ta praca dała mi wolność, której nie miałabym nigdzie indziej. Jak był covid i kraj był zamknięty, my przestałyśmy pracować tylko na miesiąc. Potem stwierdzili, że małże są produktem pierwszej potrzeby i wróciłyśmy do pracy. I to było wspaniałe, można było zdjąć maseczkę i oddychać.

Olbrzym wyciąga korek z wanny

Maria, koleżanka Ani, pyta, jak nam idzie. Po dwóch godzinach mamy prawie 6 kg. Ona już zebrała swoje 8. Ania uważa, że też zdążymy. Nagle woda zaczyna wracać. Szybko, jakby gdzieś w oddali bajkowy olbrzym wyciągnął korek z wanny. Co kilka minut przesuwamy się w nowe miejsce.

Po niecałych 3 godzinach brakuje już 1,5 kg. Jakaś kobieta nam trochę dorzuca. Sprawdzam każdego małża, którego nam dała. Wszystkie mają odpowiedni wymiar.

– Nigdy nie zostawiamy nikogo samego, bo to niebezpieczne. Nagle wody jest po pas, prąd potrafi być silny – mówi Ania.

• Autorka tekstu jako pomocniczka zawodowej mariskadory. Ciągnęła wózek, płukała i mierzyła zebrane skarby. Małża musi mieć co najmniej 4 cm, żeby można było ją zabrać z plaży. Nie wolno zbierać mniejszych. Do mierzenia używa się specjalnej miarki

W końcu mamy swoje 8 kg. Zajęło nam to równo 3 godziny.

– To praca dla ludzi uczciwych, którzy nie skuszą się na zebranie mniejszych małż, by szybciej zrobić normę – mówię.

Ania: – Jak cię złapią przy ważeniu z jedną za małą, to nic, ale zwrócą uwagę, żebyś uważała. Na drugi dzień sprawdzą, czy przypadkiem znowu nie masz za małych. Trzeba być uczciwym wobec morza i kupców.

Jakieś półtora roku temu stowarzyszenie zmniejszyło rozmiar zbieranych almejas z 4,2 cm do 4cm.

– Niby dwa milimetry, ale to ogromna różnica – mówi Ania. – Wcześniej, żeby zebrać 4-5 kg, byłyśmy na morzu nawet przez cztery godziny. Wtedy poprosiłyśmy, żeby nam zmniejszyli i władze Galicji się zgodziły.

Ania wyciąga z piasku dużą muszlę, zdecydowanie przekracza 4 cm. – Zobacz, ma z 5 lat, a są i takie, które żyją 10, a niektóre gatunki – do 20 lat. Ja na takie duże mówię „babunia".

W punkcie ważenia okazuje się, że mamy o kilogram za dużo, musiałyśmy się pomylić. Ważąca od razu zabiera nadwyżkę, wyciągając z naszych zbiorów najmniejsze małże.

Bierzemy plastikową skrzynkę, jak na lotnisku, i idziemy na zewnątrz układać. „Babunie" lądują na górze, mniejsze na dole. Wszystkie ładnie „patrzą" w jedną stronę. Do środka Ania wkłada też kartkę z informacją o dacie, wadze zbioru, a także z numerem identyfikacyjnym zbierającego. Nie ma nazwisk, żeby później nie było podejrzeń, że przy wyborze skrzynek kupujący kierowali się znajomościami.

Ania zanosi skrzynkę do samochodu chłodniczego, którym pojadą na aukcję.

Na tym jej praca się kończy, wraca do domu na śniadanie. Lubi zjeść w spokoju, kiedy dzieci są już w szkole. Po południu mamy pojechać rowerami na subastę.

No i gdzie tyle zrobisz za cztery godziny pracy?

O 16.00 w blaszaku w porcie jest gwarno jak na bazarze. Na długich metalowych stołach stoją skrzynki z owocami morza i rybami. Są tu zamburiñas, czyli przegrzebki, słynne muszle św. Jakuba, navajas – brzytwy, ośmiornice i inne nieznane mi okazy. Są i małże japonica, które zbierałyśmy.

Na zawieszonych pod sufitem ekranach wyświetla się nazwa produktu i cena startowa, która leci w dół, aż jakiś kupiec nie naciśnie guzika na pilocie i jej nie zatrzyma. Wtedy podchodzi do stołu i wybiera skrzynki, które chce zabrać.

Zaczęło się od *zamburiñas*. Pierwszy kupiec zatrzymał guzik na 20 euro za kg. Weźmie za tę cenę 59 kg.

Następna jest *japonica*. Tym razem guzik naciska kobieta. Daje 25 euro za kilo i bierze 72 kg. Wybiera m.in. naszą skrzynkę – sprzedała się na pierwszym zatrzymaniu, za najwyższą cenę.

Po chwili na telefon Ani przychodzi informacja, że za dzisiejsze zbiory zarobiła 194 euro. – 194 euro za 4 godziny pracy. Gdzie w restauracji czy fabryce tyle zarobisz? – pyta.

Owoce morza podczas subasty kupują głównie właściciele *depuradoras*, oczyszczalni. Wkładają skrzynie do basenów z wodą na 24 godziny, by oczyścić je z toksyn. Później sprzedadzą kupcom i do restauracji.

– Nasze owoce morza jadą do Francji, Madrytu, Kraju Basków, do restauracji z gwiazdką Michelin. Jeśli będziesz jadła owoce morza w Cambados, to raczej nie będą to nasze małże, tylko mniejsze i tańsze, z innych plaż – tłumaczy Ania.

Redeiras: jesteśmy ostatnim pokoleniem

Z subasty jedziemy do kolejnego hangaru, by poznać *redeiras*, kobiety, które zajmują się naprawianiem sieci rybackich. Anna tłumaczy, że jedna sieć może kosztować 100 tys. euro i dotąd nie wymyślono maszyny, która lepiej by je naprawiała niż ludzkie ręce.

Brązowe, zielone i szare sieci ułożone w hałdy zajmują niemal całe pomieszczenie, miejscami sięgają aż do sufitu. Część czeka na naprawę, inne będą materiałem na łaty.

Pośrodku, również na sieciach, siedzi kilka kobiet, które je zszywają. Nie umiem stwierdzić, gdzie się kończy jedna sieć, a zaczyna się druga, ani gdzie się kończy ta czy inna dziura, którą naprawiają.

Szefową jest Nera. Zszywa sieci od dziecka, dziś ma ponad 70 lat. Niewysoka, przygarbiona, w okularach, jako jedyna siedzi na taborecie. Zszywa sieć dużą plastikową igłą.

Inne kobiety przyjechały jej pomóc z sąsiedniego miasteczka.

Nera ma łagodny głos, widać, że się cieszy z naszej wizyty. Opowiada, że dziś nie ma chętnych, by uczyć się tego fachu. Przez jakiś czas pomagała jej bratanica, ale wyjechała do większego miasta. – Jesteśmy ostatnim pokoleniem redeiras. Są maszyny, ale żadna tak nie zszyje jak my, bo trzeba dobrze wymierzyć, wiedzieć, co i jak zszyć. Czasem trzeba zmontować sieć z kawałków. To tak samo jak z pracą mariscadoras: musisz wiedzieć, jak zbierać, żeby zrobić to szybko.

Maria, na oko 50 lat, długie włosy związane w kok, pokazuje żebym usiadła obok. Obserwuję, z jaką prędkością operuje igłą. Myślę, że niewiele ustępuje maszynie. – Obecnie nieźle zarabiamy, kiedyś było gorzej, ale nawet wtedy nie chciałam pracować w fabryce. Tu pracujemy od rana, a potem mamy czas dla siebie, dla rodziny. A w fabryce czy w hotelarstwie ludzie pracują od 7 do 20. Z przerwą, ale nie ma ich w domu cały dzień.

Nera: – Na ogół o 16.00 piję już kawę w domu. Teraz zarabiamy po 38-40 euro dziennie, ale jest nas tu kilka. Jak jestem sama, to więcej. Wiosną pracy jest najwięcej, bo zaczyna się sezon wypływów, dlatego przyjechały do mnie koleżanki. Mnie się moja praca naprawdę podoba – przekonuje.

I dodaje, że po tylu latach pracy ma już tak wyrobiony węch, że gdy rybacy przynoszą jej sieć do naprawy, to po zapachu wie, w którym rejonie łowili.

Na robaki w święto

Następnego dnia, w Dniu Ojca, który w Galicji jest dniem wolnym, Ania zabiera nas na łapanie *miñocas*, morskich robaków, potrzebnych w wędkarstwie.

Na tę pracę zapisało się tylko kilka kobiet. Mało komu pasuje wyciąganie z piasku śliskich stworzeń. Wiele osób chce też odpocząć. Te, które przyszły, za jednego robaka dostaną 40 eurocentów.

Żeby wywabić je z morskiego dna, kobiety posypują dziurki, w których mieszkają miñocas, solą morską. Jak tłumaczą, sól drażni robaki, więc wyciągają głowę na powierzchnię. To moment, w którym można je złapać. Jak się nie zdąży, to się schowają.

Nie można robaków uszkodzić. Jeśli uszkodzony osobnik dostanie się do wiadra, reszta – jak tłumaczy nam jedna z kobiet – poczuje krew, zestresuje się i zginie. A martwych miñocas nie da się sprzedać.

– Na początku czekałam i czekałam, a tu trzeba szybko, masz ułamek sekundy, by go chwycić. Oczywiście koleżanki zbierają więcej – Ania pokazuje na kobiety, które mają już pół wiadra robaków – zarobią za jednym razem 100 euro, a ja 50, ale mi to nie przeszkadza. Robię to dopiero od roku.

Robię kilka podejść, ale gdy robak wystawia głowę, czuję wstręt i nie jestem w stanie go chwycić. Trochę jest mi go też żal.

W Polsce łapie się ryby na dżdżownice, tu są robaki morskie. Tak to już jest. W tym zawodzie nie można mieć zbyt miękkiego serca – tłumaczy Ania.

Nasz fotograf Kuba się nie boi, próbuje złapać miñocas, ale one ciągle prowadzą w tej grze. Dopiero za siódmym razem udaje mu się wyciągnąć osobnika mierzącego około 20 centymetrów.

Są z nami znowu siostry Ewa i Laura, a także Izabel, jedna z najstarszych osób w stowarzyszeniu. Zostało jej dwa lata do emerytury.

Pytam je, jaka jest ich zdaniem przyszłość tego zawodu.

Ewa: – Mam wrażenie, że nowe osoby, które przychodzą, nie chcą dogłębnie poznać tej sztuki. Biorą raño, zbierają i kropka. My, starsze mariscadory, jesteśmy z innego świata.

Laura: – Przyszłość jest, jeśli się dba o ekosystem i zbiera odpowiedzialnie.

Isabel: – Pracowałam w czasach lepszych i gorszych. Są ludzie, którzy chcą zarobić natychmiast, dużo, a tu tak się nie da. Ale morze zawsze ma przyszłość. ●

eprasa.pl 43ba3d7546

PÓŁ ROKU CZEKANIA NA WOLNOŚĆ

Demonstrantka w opasce z napisem „Wolność" i wenezuelską flagą podczas protestu związkowców w Caracas. Policja zablokowła marsz w drodze do pałacu prezydenckiego (30.04. 2026)

FOT. GABY ORAA/REUTERS

Od porwania do USA prezydenta uzurpatora Nicolasa Maduro w **Wenezueli** dyktatura trwa. Tyle że od pół roku działa pod dyktando Amerykanów. **Po socjalistycznej „rewolucji XXI wieku" nie ma śladu, ale powrotu demokracji nie widać. Za to kwitną rabunek i spekulacyjny kapitalizm.**

Maciej Stasiński

Kiedy 3 stycznia amerykańskie komando spadło desantem z powietrza na tajną kwaterę wenezuelskiego dyktatora Nicolasa Maduro w bazie wojskowej w Caracas, rozgromiło jego kubańską ochronę oraz porwało samego Maduro i jego żonę Cilię Flores, publiczność albo podziwiała brawurę amerykańskich komandosów i zuchwałość prezydenta, który akcję nakazał, albo potępiała ją jako imperialistyczną, nielegalną, bo sprzeczną z prawem międzynarodowym i wszelkimi obyczajami politycznymi.

Prezydent Stanów Zjednoczonych Donald Trump uznał, nie bez racji, że reżim wenezuelski, długoletnia dyktatura odpowiedzialna za zbrodnie przeciw ludzkości oraz gospodarczą i społeczną ruinę swojego kraju, to narkopaństwo szmuglujące do USA przez Karaiby narkotyki, i postanowił z tym bez ceregieli skończyć.

Protektorat amerykański w Caracas

Niezależnie od opinii o tej operacji, niemal powszechnie uważano na świecie, czy to z nadzieją i aprobatą, czy z potępieniem i strachem, że Amerykanie zmuszą dyktaturę do oddania władzy, wesprą opozycję demokratyczną, która półtora roku wcześniej wygrała nieuznane przez reżim wybory, i zacznie się w Wenezueli powrót wolności i demokracji.

Czekała na to nagrodzona właśnie pokojowym Noblem niekwestionowana przywódczyni opozycji Maria Corina Machado, więzieni czy rozgromieni w kraju i organizujący się na wychodźstwie demokraci opozycjoniści oraz miliony Wenezuelczyków, których bieda i ucisk wypędziły z kraju. Mimo imperialnych zapędów i więcej niż wątpliwych referencji demokratycznych samego prezydenta Trumpa uważano, że w tym wypadku USA okażą się heroldem wolności na kontynencie boleśnie doświadczonym zamachami i dyktaturami wojskowymi, jakże często w przeszłości wspieranymi przez Amerykanów, i pomogą Wenezueli odbudować demokrację.

Nic takiego nie nastąpiło.

Z butą i szczerością budzącymi podobne osłupienie, w które wcześniej wprawił opinię publiczną awanturniczym rajdem komandosów na Caracas, Donald Trump oświadczył, że interesuje go tylko wenezuelska ropa naftowa, której to kraj ma największe na świecie zasoby.

Ogłosił, że reżim ma robić, co USA mu każą, tzn. dać amerykańskim koncernom dostęp do zasobów i rafinerii ropy. Namaściły panią Delcy Rodriguez jako tymczasową prezydent i pouczył nowe-stare władze, że jeśli nie będą posłuszne, kolejnych dygnitarzy dyktatury spotka los Maduro. O przywróceniu demokracji milczał, opozycję i osobiście panią Machado, mimo jej wstydliwych umizgów, zignorował, wykluczając jej powrót do kraju.

Przywrócił zerwane stosunki i otworzył ponownie ambasadę USA w Caracas, choć miejsce i rolę dyplomacji zastąpili wywiadowcy i oficerowie CIA, których zadaniem jest pilnować, czy dyktatura robi to, czego od niej żąda rząd USA.

Wenezuelska ropa znowu płynie, głównie do USA, a dochody z niej czerpią Amerykanie, którzy „odpalają" działkę reżimowi w Caracas, żeby miał z czego żyć.

Krótko mówiąc, prezydent USA ustanowił w Caracas protektorat amerykański, czyli zarząd powierniczy amerykańskich interesów. Dyktatura trwa, ale już pod amerykańską kuratelą.

1 RP

eprasa.pl 43ba3d7546

Nowy-stary reżim rodzeństwa Rodriguez

Żeby ten brutalny obraz złagodzić w oczach opinii publicznej, sekretarz stanu Marco Rubio ogłosił, że amerykański rząd ma długofalowy plan, który przewiduje trzy fazy: stabilizację, odbudowę gospodarczą i transformację demokratyczną. W tej kolejności i bez jakichkolwiek granicznych dat czy warunków koniecznych do spełnienia.

Donald Trump z imperialną nonszalancją oświadcza, że być może włączy Wenezuelę do USA jako 51. stan. Wenezuelczycy wolą uważać, że to wielkopański mocarstwowy żart, ale nikt nie wie, do czego zmierzają Amerykanie w Wenezueli.

Nowy-stary reżim, teraz pod wodzą Delcy Rodriguez oraz jej brata Jorge Rodrigueza, szefa tzw. parlamentu, zabrał się do personalnych roszad i porachunków frakcyjnych, zdejmując ze stanowisk niektórych dygnitarzy (w sumie wymieniono 13 z 32 ministrów), jak szefa resortu obrony generała Vladimiro Padrino czy ministerstwa przemysłu Alexa Saaba, zausznika Nicolasa Maduro, prokuratora generalnego czy ombudsmana. Co więcej, Saaba wydano w maju Amerykanom. Jest oskarżony o pranie pieniędzy i już wcześniej siedział tam w areszcie, ale w 2023 roku wymieniono go na obywateli USA więzionych w Wenezueli.

Cały aparat represji, w wojsku, policji i tajnych służbach wywiadu i kontrwywiadu, służący latami do prześladowań przeciwników i buntowników, pozostaje jednak nietknięty. USA zażądały jedynie, by reżim wydalił z Wenezueli doświadczonych oficerów wywiadu i kontrwywiadu oraz komisarzy politycznych z komunistycznej Kuby, którzy od dziesięcioleci pomagali budować machinę represji i tajnej policji, tropili spiski i pilnowali lojalności funkcjonariuszy.

Najważniejsze instytucje państwa, jak państwowa komisja wyborcza (Krajowa Rada Wyborów CNE), i cały wymiar sprawiedliwości, nie mówiąc o legislaturze, pozostają obsadzone przez posłusznych czynowników dyktatury. Nie cofnięto sankcji ani sekwestrów na media, zdelegalizowane partie polityczne nadal nie mogą działać. – Połowa polityków opozycji nie ma praw publicznych, czyli np. biernego i czynnego prawa wyborczego ani prawa do pełnienia urzędów – mówi Delsa Solorzano, działaczka opozycyjnej Zjednoczonej Platformy.

Wybiórczy akt łaski

Powierniczemu zarządowi Wenezueli Amerykanie nie kazali nawet uwolnić więźniów politycznych. Zamiast tego mianowany przez reżim tzw. parlament uchwalił rzekomą amnestię, która z amnestią tak naprawdę nie ma nic wspólnego, a jest warunkowym i wybiórczym aktem łaski. Na wolność wyszli więc tylko niektórzy wytypowani więźniowie. Nie mają na to szans m.in. domniemani spiskowcy wojskowi, osoby winne naruszeń praw człowieka, zdrajcy ojczyzny, terroryści, winni korupcji, zwolennicy obalenia władzy przemocą lub obcej interwencji, czyli zbrodni, za które przede wszystkim reżim skazywał opozycjonistów.

Niektórzy wyszli na wolność, jak choćby Henry Alviarez, szef organizacyjny partii Vente Venezuela Coriny Machado, który dwa lata siedział w katowni El Helicoide, ale wcale nie na zasadzie amnestii. Jest skazany za terroryzm i zdradę stanu i co dwa tygodnie musi się stawić przed sądem, który go skazał. W takiej samej sytuacji jest wielu innych działaczy tej partii, posadzonych po wygranych przez opozycję wyborach w 2024 roku. Reżim uwolnił w sumie warunkowo ok. 600 więźniów politycznych, ale nadal jest ich w Wenezueli około pięciuset.

Dziesiątki opozycjonistów, w tym Maria Corina Machado, którzy zostali pozbawieni praw publicznych i wyjechali za granicę przed prześladowaniami, mogą co najwyżej ubiegać się o ich przywrócenie przed tym samymi sądami, które im je odbierały. Skonfiskowane im majątki nie są zwracane.

Dwoje więźniów politycznych zmarło za kratami w niejasnych okolicznościach, zanim dowiedzieli się, czy w ogóle mają szansę na ułaskawienie. Reżim nie reaguje też na apele wenezuelskiego Kościoła katolickiego, który domaga się wyjaśnienia okoliczności i ukarania winnych. Od 2014 roku zmarło w więzieniach 27 osób. Nigdy nie wyjaśniono, jak do tego doszło, ale powszechnie wiadomo, że w kazamatach ludzie są torturowani.

Pudrowanie trupa dyktatury

Nowy ambasador Wenezueli w USA Felix Plasencia poradził dziennikarzom w Waszyngtonie, by „nie powtarzali głupot" o więźniach politycznych i koszmarach panujących w kazamatach dyktatury.

– Głupotą jest los Fernando Albana wyrzuconego przez okno? Albo los inspektora policji Oscara Pereza zabitego w momencie zatrzymania? – pyta w dzienniku hiszpańskim „El Debate" Antonio Ledezma, były burmistrz Caracas, więzień polityczny, a dzisiaj uchodźca w Madrycie. – To, co dzieje się w La Tumba (Mogiła), El Helicoide, Ramo Verde (Zielona Gałązka) i innych katowniach dyktatury, gdzie działają specjalne cele, cynicznie nazywane „lodówka", „trumna", „akwarium" czy „dom snów", gdzie stosuje się tortury, to też głupota?

Jedyne, co się zmieniło, to fakt, że dyktatura zamyka i prześladuje przeciwników rzadziej i mniej jawnie niż wcześniej. A Wenezuelczycy śmielej demonstrują na ulicach, domagając się uwolnienia wszystkich więźniów i przywrócenia swobód obywatelskich oraz wolnych wyborów.

Reżim wyborów wielkodusznie nie wyklucza. „Odbędą się, kiedy przyjdzie czas" – powtarza szara eminencja reżimu Diosdado Cabello. „Pewnego dnia" – odpowiada dziennikarzom Delcy Rodriguez, ale nie robi nic, by do nich doprowadzić.

Zjednoczona Platforma przedstawiła mapę drogową mającą doprowadzić do przywrócenia demokracji pod nadzorem międzynarodowym, ale została zignorowana przez reżim i przez rząd USA, który rozmawia tylko z dyktaturą i tylko o interesach.

Delcy Rodriguez jest taką samą uzurpatorką jak wcześniej Nicolas Maduro, który zignorował własną klęskę wyborczą w lipcu 2024 i nie oddał władzy zwycięzcy wyborów prezydenckich Edmundo Gonzalezowi (wydalono go za granicę). Tyle że panią Rodriguez mianował Donald Trump.

Z 24 gubernatorów stanowych 23 to nominaci rządzącej monopartii Zjednoczonej Socjalistycznej Partii Wenezueli.

– Rządzi dyktatura pod kuratelą amerykańską – mówi Juan Rafalli, konstytucjonalista z Katolickiego Uniwersytetu im. Andresa Bello. – Jest oczywiste, że ani Amerykanie, ani rodzeństwo Rodriguez nie chcą szybkich wyborów.

Jak na razie za przyzwoleniem USA władza uprawia zabiegi kosmetyczne, pudruje trupa dyktatury, walcząc o zachowanie władzy jak najdłużej oraz uratowanie zrabowanych fortun nomenklatury wywiezionych do Rosji, Chin i rajów podatkowych. Jak trzeba kogoś poświęcić, to poświęci i zapomni o Nicolasie Maduro czy wyda Amerykanom jego kasjera Alexa Saaba.

Kraj jest zrujnowany nie przez wojnę czy konflikt wewnętrzny, ale siłami samej dyktatury. Z Wenezueli w ostatnich latach wyjechało 7-8 mln obywateli (z ok. 30 mln), a kolejne 25 proc. myśli, by pójść w ślady rodaków.

Zmiana gospodarczych drogowskazów

Za to zgoła rewolucyjne zmiany reżim wprowadza w gospodarce, choć zważywszy na ideologiczne sztandary, pod którymi od 1999 roku prowadzili lud wenezuelski Hugo Chavez, a potem Nicolas Maduro, wypadałoby je nazwać kontrrewolucją.

Elita rządząca Wenezuelą zrzuciła czerwone koszule i berety uwiecznione na wizerunkach wodza Hugo Chaveza i zajmuje się pospiesznie niczym rosyjska emigracja lat 20. XX wieku „smieną wiech", czyli zmianą drogowskazów. Przestawiła je ze wskazujących kierunek socjalistycznej rewolucji i szparko przebiera nogami w kierunku wielkich interesów z jankeskim imperium. Dyktatura chyłkiem przywróciła stosunki z Międzynarodowym Funduszem Walutowym i Bankiem Światowym, choć jeszcze rok temu Maduro krzyczał, że kto odda kraj w pacht MFW, będzie zdrajcą.

Z butą i szczerością budzącymi podobne osłupienie, jak rajd komandosów na Caracas, Trump oświadczył, że interesuje go tylko wenezuelska ropa naftowa

Pani Rodriguez również chyłkiem powołała komisję reprywatyzacji setek koncernów, przedsiębiorstw, sieci handlowych i majątków ziemskich, które przez 13 lat swoich rządów Hugo Chavez nacjonalizował.– Reżim masowo rozdaje akcje i udziały w państwowych firmach, ale nie na publicznych jawnych przetargach, ale pokątnie wśród kolesiów z chavistowskiej nomenklatury – mówi portalowi BBC Mundo szefowa organizacji Wenezuela Przejrzysta (Transparencia Venezuela) Merdeces de Freitas.

Wreszcie tzw. parlament uchwalił radykalną reformę (Ustawa o Zasobach Mineralnych i Kopalniach), która otwiera na oścież wrota kapitałowi zagranicznemu do eksploatacji ropy naftowej, gazu, złota i innych cennych kopalin, które są jedynym klejnotem w koronie skądinąd skrajnie upaństwowionego i równie gruntownie zrujnowanego przemysłu wydobywczego i górnictwa. Rzecz jasna pierwszym i głównym beneficjentem tej reformy, podyktowanej przez rząd USA, są koncerny amerykańskie.

Święte motto rewolucji boliwariańskiej głoszone przez z górą 20 lat przez Hugo Chaveza i jego następców: „Przyczyną, prawdziwą przyczyną nędzy, nierówności i wykluczenia społecznego jest kapitalizm. Królestwo najwyższego Chrystusa Zbawiciela nastanie dopiero wtedy, gdy na tej ziemi i na tym świecie zapanuje socjalizm", nowe władze dyktatury chętnie by pogrzebały.

Bieda i targowisko próżności

Korespondenci zagraniczni opisują to, co dzieje się w Caracas, jako bal na okręcie, który utknął na mieliźnie. Rządząca elita oraz jej klienci i wspólnicy krzątają się gorączkowo w tłumie z nagła przybyłych dyplomatów, agentów i wielkich szemranych biznesmenów, głównie Amerykanów, z którymi usiłują dobić targów. Jeszcze przed chwilą byli agentami nienawistnego imperializmu, teraz są partnerami w interesach.

Hotele, restauracje, knajpy i dyskoteki kipią do białego rana. Nowe otwierają się jedna po drugiej.

Kokosy z kontraktów naftowych z monopolem państwowym PDVSA (Petróleos de Venezuela, S.A.), który kruszy się pod naporem koncernów amerykańskich Chevron, ConocoPhillips czy Exxon Mobil albo hiszpańskiego Repsol, są na wyciągnięcie ręki. Łup z zapowiadanej prywatyzacji skrajnie znacjonalizowanej gospodarki czeka za rogiem. Ruch na rynku nieruchomości wzbiera.

Towarów jest nagle w bród, tyle że po kosmicznych cenach, butelka wina w knajpie za 240 dolarów. Kurtka przeciwdeszczowa kosztuje 80 dolarów, rolka papieru toaletowego dolara. 1 dolar to 517 boliwarów legalnie, ale 725 na czarnym rynku. Średnia płaca to 300 dolarów miesięcznie, emerytura czy pensja minimalna – to mniej niż dolar. Według portalu Bloomberg inflacja roczna w lutym wyniosła 600 proc., a w marcu – 649 proc.

Tylko około 10 procent gospodarstw ma stały dopływ energii elektrycznej, a 19 proc. bieżącej wody. W dzielnicach biedoty, tzw. barrios położonych na wzgórzach Caracas, wody i prądu nie ma często przez wiele dni. Dane instytutu badania poziomu życia Encovi z Katolickiego Uniwersytetu Andres Bello za 2025 rok mówią, że 68 proc. ludności przekracza wskaźnik biedy. Sytuacji nie ratują przydziały taniej dotowanej żywności. Prawie połowa dzieci w wieku szkolnym chodzi do szkoły dwa-trzy razy w tygodniu, a 1,2 mln dzieci nie chodzi w ogóle. Około 60 proc. kobiet nie ma pracy.

Reporterzy hiszpańskich gazet opisują za to gorączkową krzątaninę w Country Clubie otoczonym polami golfowymi. Inwestorzy przylatują i dzwonią z USA i Londynu. W tym targowisku próżności bierze udział wyłącznie boliburżuazja reżimowa, czyli nowa oligarchia, i jej zagraniczni wspólnicy. – Jak to okienko okazji do interesów się zamknie, nie wiem, w jakie mroki wpadniemy – mówi anonimowo pewien opozycjonista. – Trzeba odbudować instytucje. To może jedyna taka szansa w historii.

Nie traci jej Corina Machado, która objeżdża kraje Zachodu i agituje za wsparciem sprawy, udziela wywiadów i lobbuje jak może w Waszyngtonie, by USA zaczęła obchodzić przyszłość Wenezuelczyków, a nie wyłącznie amerykańskiego biznesu. Przekonuje, że odbudowa gospodarki potrzebuje stabilnych reguł i gwarancji prawnych, że nie da się jej przeprowadzić na spekulacyjnej i rabunkowej gorączce upadającego państwowego molocha.

Państwo sezonowe

Ale to dobra mina do złej gry, amerykański rząd ignoruje ją i trzyma na oucie. A bez wsparcia USA do kraju, w którym jest wrogiem publicznym numer jeden, nie wróci.
– Stany Zjednoczone mają znaczenie dla sprawy mojego powrotu – mówi w wywiadach.
– Chodzi o wybranie dobrego momentu.

Takie słowa skrywają tylko bezradność, że rząd Donalda Trumpa nie chce jej powrotu, nie zapewni jej bezpieczeństwa, gdyby wróciła samodzielnie, a nade wszystko nie dba o to, by przemiany demokratyczne, do których ma przywódczy mandat przytłaczającej większości społeczeństwa, ruszyły z martwego punktu.

– Społeczeństwo jest znękane, czeka na przemiany, które są odwlekane zbyt długo. Jedynym wyjściem są wolne wybory. Powtarzam to za każdym razem, gdy rozmawiam z Trumpem – oświadczyła dziennikowi „El Pais".

Wenezuelczycy, którzy nie podzielali wiary, że Wenezuela Chaveza wreszcie spełni obietnicę niespełnioną wcześniej przez Związek Sowiecki, „realny socjalizm" w Europie Wschodniej, komunistyczne Chiny czy Kubę Fidela Castro, czują się zawiedzeni. Słabym pocieszeniem latynoskich sierot po socjalizmie jest fakt, że za sprawą Trumpa Stany Zjednoczone, które przez dużą część XX wieku pracowały na wizerunek międzynarodowego żandarma na zachodniej półkuli, wspierając zamachy i dyktatury wojskowe, ale ratowały się jako zimnowojenna przeciwwaga dla totalitarnego komunizmu i kolebka nowoczesnej, liberalnej demokracji i rządów prawa, dumnie do roli żandarma powróciły.

Z punktu widzenia sprawy wolności i demokracji ekipa Donalda Trumpa dopuszcza się bowiem zdrady. Wprawdzie dla niepoprawnych wyznawców antyamerykańskiej lewicy Trump to żadna zdrada, lecz potwierdzenie tego, co zawsze sądzili o USA, ale samej wolności i demokracji w Wenezueli na jotę to nie przybliża. Wenezuela to dzisiaj państwo sezonowe i tymczasowe. Konia z rzędem temu, kto dziś przewidzi, w którą stronę potoczą się jej losy. ●

eprasa.pl 43ba3d7546

KULTURA OBYCZAJE

Gaz do dechy, panie Piotrusiu

Jeśli jakiegoś aktora można nazwać artystą kompletnym, to właśnie jego. Bo czego by się nie chwycił, zamieniał w złoto. Piotr Fronczewski kończy 80 lat.

Andrzej Kulasek

Może trudno będzie panu uwierzyć, ale nigdy nie miałem wymarzonych ról. Chciałem po prostu opowiadać o świecie, bo tak myślę o swoim zawodzie. Nie mówię, że gram, tylko opowiadam. Opowiadanie historii jest w gruncie rzeczy istotą sztuki teatralnej. Używamy do tego cudzego tekstu i dajemy cząstkę siebie. Tyle" – mówił Piotr Fronczewski Mike'owi Urbaniakowi w „Wysokich Obcasach" (2017).

Może i nie miał wymarzonych ról, ale tak się złożyło, że wszytkie swoje role grał tak, jakby właśnie były wymarzonymi. Choćby po latach mówił, że przecież było inaczej.

Profesor Ambroży Kleks

„Cóż, Pan Kleks mnie nie opuści aż do śmierci! Zostanie ze mną po wsze czasy, tym bardziej że polska kinematografia nie zajmuje się produkcjami dla dzieci. To było coś zupełnie przedziwnego, że ten film w ogóle powstał, bo kręciliśmy go w stanie wojennym, kiedy niczego nie było – ani farby, ani deski, ani gwoździa. A trzeba było wyczarować tę bajkę i się jakimś cudem udało" – mówił Fronczewski we wspomnianej rozmowie dla „WO".

Nie opuści nijak, dla wielu pokoleń rodaków profesor Ambroży Kleks będzie miał twarz Piotra Fronczewskiego. Choć on sam przyznawał, że miał opory, by zagrać bohatera z książek Jana Brzechwy, choćby dlatego, że był zbyt młody – podczas kręcenia „Akademii..." miał niespełna 40 lat.

Fronczewski jako prowadzący niezwykłą szkołę dla wyjątkowych uczniów wypadł kapitalnie, choć pamiętam, że po pierwszym seansie (premiera kinowa wypadła trzy dni po moich ósmych urodzinach) w głowie bardziej pozostał mi marsz wilków, wzmocniony jeszcze utworem TSA. Chyba bardziej doceniłem tego bohatera za część drugą, „Podróże Pana Kleksa". Tym bardziej że muzycznie – choć Piotr Fronczewski nieodmiennie powtarza, że śpiewać nie umie (patrz: Franek Kimono) – „Z poradnika młodego zielarza" w jego wykonaniu nie ma konkurencji. No, chyba że „Tatuaż tango" Janusza Rewińskiego i Mariana Glinki.

Fronczewski powrócił jeszcze w „Panu Kleksie w kosmosie", a w „Tryumfie Pana Kleksa" użyczył tylko głosu zanimowanemu bohaterowi. No bo Kleks nie tylko wyglądać musi, ale i brzmieć jak pan Piotr. Pewnie dlatego na nowej wersji „Akademii...", z 2023 roku, zasnąłem. To już nie była moja bajka... (choć z także Piotrem Fronczewskim jako doktorem Paj-Chi-Wo).

• „Akademia Pana Kleksa" (1983), „Podróże Pana Kleksa" (1985), „Pan Kleks w kosmosie" (1988), reż. Krzysztof Gradowski

Inżynier Jacek Kwiatkowski

Jacek i Anka (Gabriela Kownacka) Kwiatkowscy mieszkają w Warszawie z córką Majką i synem Filipem oraz psem Śliniakiem. Potem adoptują jeszcze trójkę dzieciaków: mającego romskie pochodzenie Romka, Mulatkę Elizę i Mongołkę Zosię. „Rodzinka ekumeniczna, bo są ludzie biali, żółci i czarni, brakuje nam tylko Indianina" – opowiadał Piotr Fronczewski o roli w „Rodzinie zastępczej" w programie „Jak to się robi w Polsacie, czyli nasze seriale od kuchni" (1999).

Fronczewski Jackiem Kwiatkowskim był przez lat dziesięć – ostatni odcinek Polsat pokazał 20 grudnia 2009 roku – w tym czasie tłumacząc widzom, jak ważne są tolerancja, walka ze stereotypami czy pomaganie ludziom doświadczonym przez los. Zresztą wcale na „Rodzinie..." nie poprzestał. W 2018 roku wziął udział w kampanii społecznej „Rodzina jest dla dzieci"; w spocie promującym rodzicielstwo zastępcze słyszymy właśnie jego głos. „To było trudniejsze niż monolog Hamleta, bo najważniejsze są niuanse" – komentował.

„Rodzina zastępcza" (1999-2009), Polsat

1 RP

eprasa.pl 43ba3d7546

FOT. EAST NEWS (4), AKPA, BEW

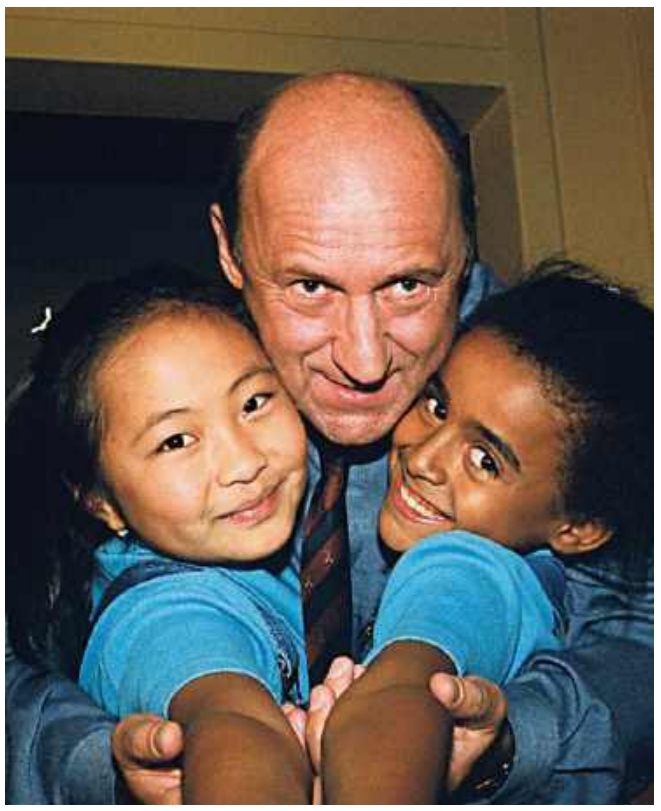

▲ Szpicbródka tego jednego nie planował. że Anita skradnie mu serce

◀ Ambroży Kleks, dla wielu pierwsze skojarzenie z Fronczewskim

◀ Połowa „Rodziny zastępczej": tata Jacek z córkami Zosią (z lewej) i Elizą

◀ Czesław Wiśniak nabrałby absolutnie każdego

▶ Walasek („07 zgłoś się") w towarzystwie pięknej recepcjonistki (Dorota Kamińska)

▼ Tygrys szablozębny Diego, twardziel o miękkim sercu

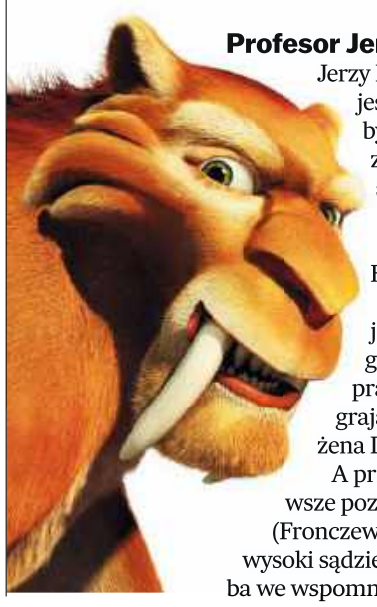

Czesław Wiśniak vel Jacek Ben Silberstein

Film „Konsul" chyba najlepiej pokazuje jego talent aktorski. Bo, podobnie jak portretowany przez niego prawdziwy bohater tej opowieści, oszust Czesław Śliwa, Fronczewski odgrywał nie jedną, ale wiele postaci: więźnia zakładu karnego, rekonwalescenta udającego brata partyjnego dygnitarza, inżyniera czy wreszcie tytułowego konsula otwierającego we Wrocławiu austriacką placówkę dyplomatyczną.

Fronczewski jest tu genialny. „Konsul" to właściwie ciąg scen perełek z jego udziałem. Kiedy jako fałszywy inżynier zaprasza dyrektora zakładu oraz szefa organizacji partyjnej i kierowników działów, aby „ta symboliczna lampka koniaku była dobrym początkiem naszej przyszłej współpracy", a na stole stoi cała bateria żytniej. Albo gdy z okrzykiem: „Bracie, kochany, bracie!", rzuca się na szyję taksówkarza Mitury (Jerzy Bończak), któremu zaraz wstawi historyjkę o cudownie ocalałym z okupacji chłopcu, którego miał uratować ojciec Mitury. Czy kiedy informuje o założeniu we Wrocławiu konsulatu, spełniając toast „za wiktoria wiedeńska, za freundschaft austriacko-polski!". „U nas nie ma austriackiego konsulatu..." – mówi zdziwiony dziennikarz. „Ale jest potrzeba" – ucina Jacek Ben Silberstein.

„Na fabułę Borka składa się pięć anegdot. Wszystkie historie wydarzyły się naprawdę, a tylko w jednej z nich Śliwa nie brał udziału. Z innych z jego życia reżyser miał zrezygnować, obawiając się, że widz potraktuje je jako wytwór nazbyt bujnej wyobraźni scenarzysty. Choćby z tej, w której wcielił się w rolę kuriera dyplomatycznego w randze podpułkownika armii Izraela zakochanego w dziewczynie z poczty" – pisał w „Wyborczej" Jakub Wiewiórski z łódzkiego Muzeum Kinematografii.

• „Konsul" (1981), reż. Mirosław Bork

Profesor Jerzy Dobraniecki

Jerzy Bińczycki w tytułowej roli w „Znachorze" jest wspaniały? No jest. Zresztą, trudno, by było inaczej. „Od razu było wiadomo, że znachora zagra Bińczycki. On się po prostu urodził do tej roli" – opowiadał Jackowi Szczerbie w „Wyborczej" Jacek Fuksiewicz, w 1981 r. kierownik literacki Zespołu Filmowego „Zodiak".

Anna Dymna jako Marysia przejmująca? No ba. Tomasz Stockinger dystyngowany i jednocześnie nonszalancki jak prawdziwy hrabia? Oczywiście. Koncertowo grają też Bernard Ładysz, Artur Barciś czy Bożena Dykiel. Casting trafiony w punkt!

A przecież symbolem „Znachora" już na zawsze pozostanie scena, kiedy profesor Dobraniecki (Fronczewski) mówi z przejęciem: „Proszę państwa, wysoki sądzie, to jest profesor Rafał Wilczur!". Szczerba we wspomnianym artykule o „Znachorze" też zaczyna od tego momentu, pisząc, że gdyby film został zrobiony w Hollywood, zyskałby sławę światową. A miliony widzów ocierałyby łzy, oglądając finałową scenę w sądzie.

Pełna zgoda, choć ze słowami: „Piotr Fronczewski lub jego hollywoodzki odpowiednik", nie mogę się zgodzić. Piotr Fronczewski po prostu nie ma swojego odpowiednika. Jest wyjątkowy.

• „Znachor" (1981), reż. Jerzy Hoffman

Robert Walasek/Paul (Paweł) Kopiński

Z porucznikiem Borewiczem w serialu „07 zgłoś się" drogi Fronczewskiego przecięły się trzykrotnie. Ale zanim do tego doszło, aktor przymierzany był do roli samego Borewicza! Krzysztof Szmagier, twórca serialu, zdradził Piotrowi K. Piotrowskiemu w książce „Kultowe seriale", że proponował rolę dzielnego porucznika trzem aktorom, m.in. Janowi Englertowi i Fronczewskiemu. „Po przeczytaniu scenariusza wszyscy trzej odmówili. Przestraszyli się syndromu Klossa" – wyznał Szmagier.

Nie został Borewiczem, ale w odcinku 14. „Hieny" zagrał Roberta Walaska, kierownika ośrodka wczasowego nad jeziorem, który jest przykrywką dla domu publicznego. Do ośrodka przybywa Borewicz (Bronisław Cieślak), by pod przykrywką prześwietlić brudne interesy. Walasek zatrudnia go jako ratownika.

Fronczewski jako gangus jest fantastyczny – twardy, zdecydowany, bezwzględny także dla zatrudnia-

eprasa.pl 43ba3d7546

nych przez siebie prostytutek. No i te stylizacje! Kto wie, czy to nie najlepszy drugoplanowy bohater „07 zgłoś się", a „Hieny" nie są najlepszym odcinkiem. W rolach pań lekkich obyczajów pojawiły się aktorskie piękności: Grażyna Szapołowska, Laura Łącz, Ewa Sałacka i Dorota Kamińska (jakorecepcjonistka), a także Joanna Pacuła. Na planie serialu 25-letnia aktorka i starszy od niej o 10 lat Fronczewski nawiązali znajomość, która skończyła się burzliwym romansem. Aktor przyznał się do tego po latach żonie, a potem w biografii „Ja, Fronczewski": „Bardzo dużo wtedy pracowałem, od świtu do późnej nocy. Kołowrót. Kierat. Do tego dom z dwójką małych dzieci, czyli brak snu. W pewnym momencie miałem ochotę od tego wszystkiego uciec. Wyrwać się. Dokądkolwiek. I tak się jakoś stało. Wydarzyło się zło. Tyle".

Fronczewski uratował małżeństwo, a Pacuła wkrótce wyjechała do Paryża.

W odcinku 15. „Skok śmierci" Fronczewski mignął w „Klubie Aktora" (pierwsze złe skrzypce tym razem grał Karol Strasburger), ale już w odcinku 19. „Zamknąć za sobą drzwi" będzie go więcej niż samego Borewicza. Gra tu Paula (Pawła) Kopińskiego, zwanego „Kopi", nowojorskiego policjanta polskiego pochodzenia, który zwalcza przestępczość narkotykową. „Wściekły kojot – mówią o nim handlarze narkotyków. Dwukrotnie ranny, dwa razy skazany przez mafię na śmierć [to jest wyczyn swoją drogą!], ogarnięty obsesyjną nienawiścią do białego proszku" – to wizytówka „Kopiego".

Jest śmiertelnie chory na raka trzustki i z tego powodu przeszedł na emeryturę. I ma ciężki życiorys, bo 10 lat wcześniej jego żona zginęła w niewyjaśnionych okolicznościach. Kopiński wyjeżdża do Polski, by właśnie „zamknąć za sobą drzwi", ale jeszcze zanim przekroczy granicę z NRD, spotyka dawnych znajomych z Ameryki: gangsterów Oscara Thomasa pseudonim „Cappuccino" i jego prawą rękę, Adolfa Kranza. Mają rachunki do wyrównania, „Kopi" połączy siły z Borewiczem, bo sprawa będzie poważna, w grze będą też bandy tureckich i jugosłowiańskich przemytników.

Zestaw Fronczewski – Cieślak, podlany zachodnim sosem (odcinek otwiera spacer po Nowym Jorku, gdzie udała się trzyosobowa ekipa, by to nakręcić), przekonał Telewizję Polską, by z odcinka wysmażyć film fabularny i pokazywać go w kinach. Premiera odbyła się w 1988 r., a dopiero potem wyemitowano odcinek serialu (1989).

• „07 zgłoś się", odc. 14., 15. i 19., (1982, 1985, 1989), reż. Krzysztof Szmagier

Szpicbródka

Znów, podobnie jak w „Konsulu", wcielił się w autentyczną postać cwaniaka, spryciarza i przestępcy. Kanwą „Ostatniego występu króla kasiarzy" są losy Stanisława Antoniego Cichockiego ps. „Szpicbródka", przedwojennego kasiarza, znanego ze spektakularnych napadów na banki, a także bujnego życia towarzyskiego. Cichocki był tak barwną postacią, że zainspirował nie tylko Janusza Rzeszewskiego, ale i Juliusza Machulskiego przy kręceniu „Vabanku".

Szpicbródka, przedstawiający się jako Fred Kampinos, kupuje teatrzyk Czerwony Młyn. Obiecuje dyrektorowi (Wiesław Michnikowski), że postawi podupadający przybytek na nogi, ale to tylko przykrywka. Teatr sąsiaduje z bankiem, do którego planuje ostatni skok w karierze. Tymczasem angażuje się w kwestie kabaretowe i zawodowo, i prywatnie – bo zakochuje się w aktorce Anicie (Gabriela Kownacka).

Scenariusz napisał Ludwik Starski (ojciec Allana), przed- i powojenny tekściarz i kabareciarz, który w międzywojniu związany był m.in. ze sławnym kabaretem Qui Pro Quo. „Hallo, Szpicbródka" w 1980 roku, podczas Festiwalu Filmowego w Gdyni, uhonorowano nagrodą Fotel Widza przyznawaną przez Związek Realizatorów Filmowych za największą kinową frekwencją w pierwszym roku wyświetlania. Przychylni filmowi byli nie tylko widzowie, ale też krytycy.

Fronczewski świetnie się bawi na ekranie, a Szpicbródkę gra z przedwojennym wdziękiem i charyzmą eleganta dżentelmena, który może wszystko. A gdy śpiewa – tekst napisany przez Agnieszkę Osiecką do muzyki Seweryna Krajewskiego – „Oddałabym sukienki te i pończoch sto, by z tobą hen, do nieba biec i znów na dno... Bo kiedy w nas przygaśnie blask, ty dla mnie skradniesz jedną z gwiazd...", stopi każde niewieście serce. Choć ja, jak skanuję pamięć w poszukiwaniu „śladów Szpicbródki", słyszę przede wszystkim piosenkę „Hallo, Szpicbródka! Gdzie jesteś, gdzie melinę masz?" autorstwa fantastycznego Ludwika Starskiego.

• „Hallo Szpicbródka, czyli ostatni występ króla kasiarzy" (1978), reż. Janusz Rzeszewski, Mieczysław Jahoda

Franek Kimono

„Dlaczego tak rzadko śpiewasz?" – zapytała Fronczewskiego w radiowej Jedynce Maria Szabłowska w 2017 roku. „Bo ja nie umiem śpiewać" – odparł.

Odważne, acz dyskusyjne stwierdzenie. Bo Franek Kimono ze śpiewaniem wcale nie był na bakier. Choć jak wspomniał w rozmowie z Jackiem Szczerbą dla „Ale Historii" pomysłodawca Franka, kompozytor i aranżer Andrzej Korzyński, Fronczewski najpierw śpiewał utwory Franka jak przedwojenne tanga i to była katastrofa. Korzyński zasugerował potem: „Piotrek, ty to może raczej powiedz. Zachowując frazę i rytm: 'Gaz do de-chy. I wy-puszczam czad, z a-paratury, co ma ty-siąc wat. Zrobił to natychmiast".

Franek Kimono wziął się po części z fenomenu „Wejścia smoka" („Widziałem, jak na ulicach ludzie kreowali się na mistrzów karate" – Korzyński), po części z wizyt kompozytora w dyskotekach, „gdzie koledzy byli didżejami, np. Jacek Bromski czy Krzysztof Szewczyk w Bristolu".

„Franek Kimono był żartem moim i Andrzeja Korzyńskiego, autora części piosenek i pomysłu. W stanie wojennym, gdy było szaro, brudno ponuro i źle. Był próbą opisania tej rzeczywistości z pewnego punktu widzenia. (...) Pewnego dnia przyniósł mi dwa pierwsze teksty – chyba »King Bruce Lee karate mistrz« i »Dysk-dżokej«. Weszliśmy do studia i je nagraliśmy, ale o tym, że te piosenki znalazły się na listach przebojów, dowiedziałem się dopiero od moich malutkich wówczas córek. Siłą inercji Franek stał się bardzo popularną, choć w sumie wirtualną postacią, ponieważ ja nigdy nie koncertowałem" – opowiadał Fronczewski w rozmowie z Marcinem Kostaszukiem dla „Głosu Wielkopolskiego" w 2012 roku.

I tak Fronczewski został ojcem chrzestnym polskiego rapu, jak określił go Marcin Flint w książce „Antologia polskiego rapu". W 2007 roku uznani raperzy Sokół i Pono (dwaj mili chłopcy, jak nazywał ich Fronczewski w wywiadach) zaprosili aktora do utworu „W aucie", gdzie, rzecz jasna jako Franek, rymował: „Jestem barmanem, na tym dansingu, pierwszy raper, nie było jeszcze stringów". W klipie Fronczewski króluje za barem, bo „trzyma bufet i ma układy". Widzimy też Stefana Friedmanna oraz jego syna Wojciecha. „W aucie" okazało się totalnym bangerem granym jak Polska długa i szeroka. Wpada w ucho momentalnie i opuścić go nie chce.

Pamiętam, że w domu mieliśmy książkową pozycję „Piosenki Franka Kimono" autorstwa Korzyńskiego, gdzie efektownie zgrafizowano m.in. teksty wszystkich utworów, a „Tankowanie nocą" było ozdobione sylwetką samochodu i dystrybutora. Chyba, bo to lat temu 40 było...

A co do wokalu Fronczewskiego, to na równi z Frankiem słyszę „Crazy Zdzicha" czy „Asiora-Basiora" z serialu „Tulipan".

Pan Piotruś – Kabaret Olgi Lipińskiej

Niezastąpiony pan Piotruś był jednym z głównych bohaterów Kabaretu Olgi Lipińskiej. To artysta z pretensjami do bycia wielką gwiazdą, która w podupadającym kabareciku, gdzie

FOT. NETFLIX/ROBERT PAŁKA

• **Kociołek, kierownik, a w zasadzie Kierownik hotelu Centrum, gdzie krzyżują się ścieżki bohaterów serialu „Rojst"**

Mój głos to standardowe wyposażenie bez dopłaty – jak w samochodzie. Oczywiście trzeba dbać o własne narzędzia, co nie znaczy, że nie pijam zimnej wódki czy whisky na lodzie

wszystko nieustannie się wali i rozlatuje, wydaje się przebywać za karę, a okoliczności, w jakich się znalazł, zupełnie nie przystają do jego osobowości i talentu („Panie dyrektorze, proszę wytłumaczyć temu chamowi, że ja jestem inteligencja artystyczna").

Dystyngowany, z cygarem, z nieskrywaną pogardą mówi: „Panie Janku, ten kretyn pisze »chałtura« przez o kreskowane" – do pana Janeczka, czyli Jana Kobuszewskiego, o panu Czesiu „Mam grać?" Majewskim czy „Panie Janku, to co mówi, to co to za postać?" – o Sekretarce (Iwona Biernacka).

I to był kabaret. A potem? „Kabaret w Polsce ostatecznie wyzionął ducha i dziś jest to już wymarły gatunek sztuki aktorskiej i estradowej. Bulba" – opowiadał w wywiadzie-biografii „Ja, Fronczewski". A na pytanie, że przecież telewizja co rusz nadaje jakieś noce kabaretowe, odpowiedział: „Noce żywych trupów raczej. To ma wszelkie cechy epidemii. Polski kabaret ostatecznie i nieodwracalnie umarł, gdy z kawiarnianych salek – ciasnych, zadymionych i spowitych oparami alkoholu – przeniósł się do amfiteatrów".

Kierownik Kociołek

Najnowsze wcielenie z serialu „Rojst", Kociołek, kierownik hotelu Centrum, gdzie skupia się życie towarzyskie i biznesowe nienazwanego miasteczka na południowym zachodzie Polski. Wprawdzie po pierwszym sezonie o tej roli tak pisała w „Wyborczej" Marta Bratkowska: „No i co ma do tego wszystkiego Kierownik (Piotr Fronczewski)? Miał tylko robić klimacik? Bo do zagrania nie miał praktycznie niczego. Szkoda", to w kolejnym sezonie było już z tym lepiej. Trzecia odsłona „Rojsta" – „Millenium" – to już głównie opowieść o Kierowniku, ale samego Fronczewskiego tu niewiele: jego bohater ginie w pierwszym odcinku, w dzień swoich urodzin i zaplanowanej w Centrum imprezy, a jego historię śledzimy oczami Filipa Pławiaka, który wciela się w młodego Kociołka.

„Pławiak gestykuluje jak Fronczewski, rusza się jak on i – na co nie sposób nie zwrócić uwagi – jak on mówi. Głosy obu aktorów nałożono na siebie za pomocą sztucznej inteligencji. Zabieg kontrowersyjny, jak niemal każde użycie AI. Ale w tym wypadku, gdy jeden aktor ma grać postać, którą kojarzymy z inną charakterystyczną gwiazdą ekranu, to działa jak rodzaj cyfrowej charakteryzacji. Początkowo zbija widza z tropu, ale ostatecznie tylko pomaga uwierzyć, że to ten sam bohater, ten sam świat" – pisał w recenzji Radosław Czyż.

Przepytał też samego Filipa Pławiaka, jak to jest być Piotrem Fronczewskim. „Czułem ekscytację. Wiedziałem, że chcą mnie jak najbardziej upodobnić do pana Piotra. A tego właśnie szukam w swojej robocie – nowych wyzwań, czegoś, co pomoże mi pokazać się z innej strony. (...) W dwóch pierwszych sezonach Kierownik to postać bardzo enigmatyczna. Starałem się zbudować tego bohatera po swojemu, w oparciu o okoliczności, w jakich się znalazł" – opowiadał.

• „Rojst", „Rojst '97", „Rojst – Millenium" (2018-24), reż. Jan Holoubek

Głos

Niemniej pamiętne role zagrał sam głos Piotra Fronczewskiego, o pięknej barwie, głęboki, charakterystyczny. Coś wspaniałego! „Najmniejsza w tym moja zasługa. Podziękowania należą się Świętemu Piotrowi. Mój głos to standardowe wyposażenie bez dopłaty – jak w samochodzie. Oczywiście trzeba dbać o własne narzędzia, co nie znaczy, że nie pijam zimnej wódki czy whisky na lodzie. Jeżeli jest się świadomym swojego warsztatu i swoich możliwości, to trzeba je pielęgnować. Mam swój specyficzny dźwięk, po którym bywam rozpoznany i dzięki któremu jestem identyfikowany. Nie mam na to żadnego wpływu" – opowiadał skromnie Fronczewski Annie Matusiak z Plejady (2017).

Dziękujemy zatem wszelkim instytucjom, boskim i ziemskim, które sprawiły, że Piotr Fronczewski został obdarzony tym niezwykłym głosem. Głosem, którym mówił tygrys Diego z „Epoki lodowcowej", Pan Iniemamocny z „Iniemamocnych" czy narrator w serii gier „Baldur's Gate". Dla mnie już zawsze będzie się zaś kojarzył z narracją przy serialu „Czarne chmury" i pamiętnym: „Kowal zdradza", którym to tekstem w wieku szczenięcym z lubością przerzucaliśmy się z kuzynem. Jak to brzmiało i brzmi!

• „Czarne chmury", reż. Andrzej Konic (1973)

Teatr

„Film jest jak igrzyska olimpijskie. Pojedynczy występ raz na jakiś czas. Można się przygotować i błysnąć we właściwym momencie. Teatr jest raczej jak Tour de France, piekielnie wymagający wieloetapowy wyścig kolarski. Wielka Pętla. Codziennie trzeba być w gazie, bo każdego dnia jest kolejny etap. Nie ma mowy o słabszym dniu, tu nic się w montażu nie wytnie, nie ma dubli – co wieczór wóz albo przewóz" – to znów z „Ja, Fronczewski".

Bo to teatr jest jego prawdziwą domeną. Zagrał około stu ról, w tym Feuerbacha w „Ja, Feuerbach" (sam też reżyserował spektakl), Fredericka we „Fredericku, czyli bulwarze zbrodni" (reż. Wojciech Adamczyk), Edypa w „Królu Edypie" (reż. Gustaw Holoubek) – wszystkie w Teatrze Ateneum, tytułową rolę Bartleby'ego w spektaklu w reż. Witolda Skarucha w Teatrze Dramatycznym czy dr. Franka Bryanta w „Edukacji Rity" (Teatr 6. Piętro, reż. Maciej Wojtyszko).

I ten człowiek mówi o sobie, że „są tacy, dla których aktorstwo jest rzeczą absolutnie najważniejszą. Ja tego nie mam, nigdy nie miałem" („Ja, Fronczewski"). Na szczęście traktuje je na tyle poważnie, że za efekty możemy tylko podziękować. ●

1 RP

eprasa.pl 43ba3d7546

ADWOKATKA ZWIERZĄT

Z MECENAS **KATARZYNĄ TOPCZEWSKĄ*** ROZMAWIA **MONIKA REDZISZ**

„Szybko się przekonałam, że to bardzo trudny temat i trzeba mieć silną psychikę, żeby się takimi sprawami zajmować".

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

• **Katarzyna Topczewska*** Rocznik 1986. Adwokatka i działaczka społeczna, specjalizująca się w prawie karnym oraz cywilnym. Absolwentka Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Warszawskiego. Już w trakcie studiów rozpoczęła pracę w Ministerstwie Sprawiedliwości jako doradca podsekretarza stanu, a następnie ekspert w Departamencie Prawa Karnego. Znana jest z dużego zaangażowania społecznego oraz działalności na rzecz praw zwierząt – brała udział w wielu głośnych sprawach dotyczących ich ochrony i interwencjach w przypadkach znęcania się nad nimi.

W marcu w Sądzie Okręgowym w Poznaniu odbyła się rozprawa Łukasza S., oprawcy strusia Zenka. Reprezentowała pani w tej sprawie Fundację Viva! i opiekuna Zenka – Jarosława Tylkowskiego z Traperskiej Osady w Bolechówku pod Poznaniem. To straszna historia. Oprawca bił Zenka tępym narzędziem, kopał go, ciągnął za skrzydła i szyję, doprowadził m.in. do złamania przełyku. Ptak nie przeżył.

– Słyszeliśmy wielokrotnie o katowaniu psów i kotów, ale o tym, żeby ktoś chciał zrobić krzywdę strusiowi... Najbardziej wstrząsający był wątek zoofilski. Początkowo było to ukrywane przez prokuraturę, ale ja miałam wgląd w materiał dowodowy, widziałam wiadomości, jakie wymieniali dwaj oskarżeni, i od początku wiedziałam, po co oni tam szli. Ten człowiek miał zamiar zgwałcić strusia. Chciał być pierwszą osobą, która to zrobi i pokaże w internecie.

Zrobił to, żeby się tym chwalić?

– Mało tego! Myślałam, że proces i kara dadzą mu do myślenia, że zacznie się wstydzić tego, co zrobił pod wpływem narkotyków i alkoholu. Ale on już z więzienia próbował do kolegi wysłać gryps, z którego wynikało, że jest z siebie dumny, bo wszystkie media o nim piszą. Nie miał żadnej krytycznej refleksji. Na rozprawie przyznał się do winy i teoretycznie wyraził skruchę, ale nie widziałam w tym szczerości, a jedynie taktykę procesową nastawioną na zmniejszenie wymiaru kary.

Czy ten człowiek nie jest chory psychicznie?

– Biegli stwierdzili, że był poczytalny. Miał natomiast 20 innych zarzutów: był oskarżony m.in. o groźby karalne, spalenie mienia, handel narkotykami. W toku śledztwa co chwilę wychodziły kolejne rzeczy. To zdegenerowany człowiek.

Cała trójka, która poszła wykraść strusia, była pod wpływem mefedronu i alkoholu. Na rozprawie obecni byli świadkowie z tej samej miejscowości, którzy kupowali od oskarżonego narkotyki. Z przebiegu rozprawy można było się zorientować, że popularnym sposobem na spędzanie wolnego czasu tam jest zażywanie tanich narkotyków bardzo niskiej jakości. W mefedronie może być cała tablica Mendelejewa, różnego rodzaju trucizny. Takie substancje po prostu niszczą mózg.

Łukasz S. dostał wyrok siedmiu lat, w tym cztery za znęcanie się nad Zenkiem, trzy za inne zarzuty. Nie słyszałam jeszcze o tak wysokiej karze za znęcanie się nad zwierzętami.

– Na pewno nikt do tej pory nie usłyszał takiej kary za znęcanie się nad zwierzęciem gospodarskim. W ogóle znam tylko jeden wyższy wyrok za znęcanie się nad zwierzęciem – cztery i pół roku za zabicie ze szczególnym okrucieństwem psa. Tak więc to precedensowy wyrok.

Nawet w sądzie zwierzęta gospodarskie mają mniejsze prawa...

– Zgodnie z ustawą o ochronie zwierząt mają dokładnie taką samą ochronę prawną jak inne, jednak w praktyce są traktowane trochę inaczej. Ja przez całe lata miałam problem, żeby w ogóle sprawę o znęcanie się nad zwierzętami gospodarskimi doprowadzić na wokandę.

Kiedy 15 lat temu składałam zawiadomienie o biciu krowy przez rolnika, nawet bie-

eprasa.pl 43ba3d7546

gli stwierdzali, że rolnicy tak się po prostu zachowują i nie ma z czego robić problemu. Bicie, kopanie, rażenie prądem świń podczas rozładunku w rzeźni też było uważane za normalne. Wszystko było umarzane. Dopiero po latach sukcesywnego zaskarżania takich decyzji udało mi się doprowadzić pierwsze takie sprawy do sądów, a nawet uzyskiwać kary bezwzględnego pozbawienia wolności.

Kiedy nastąpiła zmiana?
– Przełomem była sprawa ubojni Witkowo, którą prowadziłam między 2019 a 2022 rokiem. Aktywiści z Fundacji Viva! ujawnili wtedy drastyczne nagrania, na których widać, jak świnie podczas transportu i rozładunku w rzeźni są bite, kopane i rażone prądem. Wtedy coś się ruszyło: biegli uznali, że te zwierzęta czuły ból i cierpiały psychicznie. A sąd stwierdził, że tak nie można.

Jak to się stało, że zajęła się pani sprawami zwierząt?
– Zaczynałam karierę w Ministerstwie Sprawiedliwości, w zupełnie innej działce. Byłam doradcą wiceministra odpowiedzialnego za Departament Legislacyjno-Prawny. Przez moje ręce przechodziły wszystkie projekty dotyczące zmian w kodeksie karnym i cywilnym. Bywałam w Sejmie regularnie, praktycznie na każdym posiedzeniu.

Miałam wtedy okazję poznać posłów, którzy pracowali nad kolejną nowelizacją ustawy o ochronie zwierząt. Zaczęłam przychodzić na ich komisje, nie służbowo, dla siebie, bo interesowałam się tematem. Miałam sporo pomysłów, jak naprawić ustawę o ochronie zwierząt, przygotowywałam więc poprawki. Przedstawiciele organizacji społecznych, których również poznałam wtedy w Sejmie, do dziś wspominają, że pierwszy raz spotkali się na komisji z tak zaangażowaną w sprawy urzędniczką. Poprosili mnie o pomoc przy prowadzeniu ich spraw sądowych. I tak z nimi już zostałam.

Byłam wtedy na aplikacji, więc mogłam już stawać w sądzie i korzystałam z tego w każdej wolnej chwili. Nie miałam żadnej wątpliwości, że moim żywiołem jest sala sądowa, choć praca w ministerstwie bardzo wiele mnie nauczyła. Kiedy zdałam więc egzaminy, odeszłam z ministerstwa i od razu założyłam swoją kancelarię.

Ale dlaczego zainteresowała się pani akurat ustawą o ochronie zwierząt, zaczęła chodzić na te komisje?
– Wychowałam się w domu pełnym zwierząt. Odkąd pamiętam, ratowałyśmy z mamą zwierzęta. Dokarmiałyśmy je, woziłyśmy do weterynarza. Byłyśmy na naszym osiedlu takim dwuosobowym patrolem interwencyjnym. Kiedy widziałyśmy, że właściciel źle je traktuje, dogadywałyśmy się, że zabieramy zwierzaka. Przygarniałyśmy też zabłąkane psy; kiedyś znalazłyśmy suczkę z dziesięcioma szczeniętami w lesie i wszystkie wzięłyśmy do siebie.

Z takiego domu wyszłam, więc kiedy zaczęłam studia prawnicze, zostałam wolontariuszką w białostockim oddziale Towarzystwa Ochrony nad Zwierzętami. Pomagałam im stosować w praktyce nowe przepisy dotyczące ochrony zwierząt, które właśnie wchodziły w życie. Ustawa była, ale mało kto wtedy wiedział, jak z niej korzystać – ani policja, ani prokuratorzy, ani organizacje prozwierzęce. Bo wszystko było nowe.

Kiedy więc 15 lat temu, na początku mojej kariery, składałam wnioski do urzędu gminy o odbiór zwierząt, urzędnicy zupełnie nie wiedzieli, co z tym zrobić. To mi było nawet na rękę, bo popełniali tak podstawowe błędy, że kiedy wydawali decyzje odmowne, nie miałam problemu, żeby je zaskarżać. I zaskarżałam skutecznie. Dzięki temu produkowało się orzecznictwo, które dzisiaj jest w Lexie i z którego można korzystać.

• **Sąd Okręgowy w Poznaniu. Właściciel strusia Zenka Jarosław Tylkowski i adwokatka Katarzyna Topczewska po ogłoszeniu wyroku w sprawie Łukasza S. , oskarżonego o zabicie strusia (1.03.2026)** FOT. PIOTR SKÓRNICKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

To prawda, że zwierzęta muszą być w stanie dramatycznym, żeby można było je odebrać?
– Wtedy faktycznie tak było. Żeby odebrać zwierzę, trzeba było udowodnić zagrożenie życia, więc musiały to być skrajne przypadki. Ale w 2012 roku prawo się zmieniło i dziś mamy już w przepisach zapis „zagrożenie życia lub zdrowia". To jest bardziej pojemna kategoria.

I jak to dzisiaj wygląda?
– Kiedy organizacja dostaje wiadomość, że zwierzę jest źle traktowane przez właściciela, jedzie na interwencję. Jeśli stwierdzi, że właściciel faktycznie się nad nim znęca, zwierzę cierpi i zagrożone jest jego życie lub zdrowie, zabiera je natychmiast. Potem stara się o zatwierdzenie tej czynności.

Są to procedury administracyjne, które toczą się w trybie KPA. Najpierw decyzję wydaje organ pierwszej instancji, od niej można odwołać się do organu drugiej instancji, czyli do samorządowego kolegium odwoławczego. Potem można jeszcze złożyć skargę do Wojewódzkiego Sądu Administracyjnego i skargę kasacyjną do Naczelnego Sądu Administracyjnego. W związku z tym postępowania, które mają stwierdzić, czy organizacja odebrała zwierzę zasadnie, czy nie, trwają latami. To patologiczny system. A przecież obu stronom zależy na szybkiej decyzji: i właścicielom, których własność została naruszona, i organizacji, która musi mieć jakąś legitymację do trzymania tych zwierząt.

Ile trwała pani najdłuższa sprawa?
– 12 lat! Podczas jednego postępowania przeszłam wiele razy całą ścieżkę aż do decyzji NSA. Chodziło o odbiór 20 zagłodzonych koni. Był 2011 rok, ostatni obowiązywania starych przepisów; dosłownie parę miesięcy później weszła w życie nowelizacja z 2012 roku, która dodała przesłankę zagrożenia zdrowia. Ale wtedy miałam konie, które były po prostu bardzo zaniedbane i wychudzone, a musiałam udowodnić zagrożenie życia. To nie było oczywiste.

Kto to stwierdza? Lekarz weterynarii?
– Tak, w takich sprawach powinno powołać się biegłego. Ale z biegłymi często mam problem. Mam kilku biegłych weterynarzy, takich z mojej czarnej listy, którzy nigdy nie widzą cierpienia zwierząt. Zawsze stoją po drugiej stronie. Przy każdym postępowaniu ścieramy się na salach sądowych i przy każdym postępowaniu kwestionuję ich kompetencje. Oni doskonale to wiedzą, czytają moje pisma do sądu z prośbą o wyłączenie ich; w ciągu tych lat urosło to do rangi konfliktu między nami. Na podstawie ich opinii miałam kilka wyroków uniewinniających, które bardzo mnie bolą, bo ja po prostu wiem, że tam doszło do przestępstwa.

Wychowałam się w domu pełnym zwierząt. Odkąd pamiętam, ratowałyśmy z mamą zwierzęta. Dokarmiałyśmy je, woziłyśmy do weterynarza. Byłyśmy na naszym osiedlu takim dwuosobowym patrolem interwencyjnym

Ta bezsilność jest właśnie najgorsza: pomimo że jako pełnomocnik zrobiłam wszystko, nie udało się udowodnić winy oprawcy.

I ci z pani czarnej listy wciąż są powoływani, choć są tak ewidentnie stronniczy? Przecież biegli powinni być niezależni.
– Jeden z nich został automatycznie usunięty, ponieważ popełnił przestępstwo i został skazany prawomocnym wyrokiem, ale kilku innych nadal funkcjonuje. Dziś od razu proszę sąd, żeby ich nie wyznaczał. Oczywiście obrońcy protestują, ale ja tłumaczę, że jest przecież 17 tysięcy lekarzy weterynarii w tym kraju, że jeżeli sąd wyłączy trzech, to nic się nie stanie, prawda? A ja nie będę musiała potem kwestionować ich opinii, wzywać, wielokrotnie przesłuchiwać. Sąd oczywiście nie zawsze się przychyla do mojej prośby.

Od kiedy w ogóle w polskim prawie mamy zakaz znęcania się nad zwierzętami?
– Po raz pierwszy znęcania rozumianego jako zadawanie bólu lub cierpienia psychicznego zakazywało rozporządzenie prezydenta z 1928 roku. Co ciekawe, ochrona obejmowała nie tylko kręgowce, ale – w przeciwieństwie do późniejszych przepisów – także owady. Jako przykłady ustawa wskazywała użytkowanie do pracy zwierząt chorych, rannych, wyczerpanych, bicie zwierząt, szczególnie po głowie, brzuchu, kończynach, przeciążanie zwierząt pociągowych, transport w warunkach powodujących cierpienie, złośliwe drażnienie i straszenie, organizowanie walk zwierząt.

Nas obowiązuje ustawa o ochronie zwierząt z 1997 roku. Tyle tylko, że kary były wtedy zupełnie inne. Zaczynaliśmy od roku pozbawienia wolności do dwóch lat za znęcanie ze szczególnym okrucieństwem. W kilku kolejnych nowelizacjach kary sukcesywnie podwyższano. To samo, jeżeli chodzi o nawiązkę, która na początku była symboliczna. Według ostatniej nowelizacji z 2018 roku mamy karę do trzech lat pozbawienia wolności, a w przypadku znęcania się ze szczególnym okrucieństwem – od trzech miesięcy do pięciu lat.

Szerokie te widełki. Czy to wciąż nie za mało?
– Za mało! Liczę na to, że jeszcze w tej kadencji podwyższymy wyroki. Jest projekt obywatelski, który przewiduje podwyższenie kary. To jedna z niewielu zmian, która nie powinna być dla nikogo kontrowersyjna. Bo wciąż mamy paradoks: kary za zniszczenie mienia są surowsze niż kary za zdrowie i życie zwierzęcia. Czyli ustawodawca twierdzi, że mienie powinno być chronione mocniej niż życie zwierzęcia i jego wolność od cierpienia. Tak być nie powinno.

Ale samo podwyższenie kary nie uzdrowi systemu. Nie sprawi, że kary nagle zaczną być zasądzane w takiej wysokości, jak byśmy chcieli. Że będziemy mieć poczucie, że są sprawiedliwe. Za tym musi iść jeszcze cały kompleks działań edukacyjnych – przede wszystkim szkolenie sędziów i prokuratorów. W sprawie strusia pani prokurator żądała kary dwóch lat pozbawienia wolności, ja pięciu, sąd orzekł cztery. Czyli dwa razy więcej, niż domagała się prokurator! To się zdarza bardzo rzadko. Zazwyczaj jest na odwrót.

Dlaczego prokuratorzy żądają tak niskich kar?
– Zapytałam o to kiedyś pewną panią prokurator, z którą mi się bardzo dobrze współpracowało przy jednej ze spraw: skuteczna, prozwierzęca, kompetentna. Ale przy jednej ze spraw, a dotyczyło to brutalnego pobicia kota, żądała tylko dwóch lat pozbawienia wolności. Podeszłam do niej po rozprawie i mówię: „Pani prokurator, myślałam, że kto jak kto, ale akurat pani będzie żądała maksymalnej kary. Dlaczego nie chciała pani więcej?".

Odpowiedziała, że musi brać pod uwagę to, jak działają prokuratorzy w innych okręgach, żeby wszędzie wnosić mniej więcej podobnie. Zupełnie się z tym nie zgadzam. Jeśli każdy będzie się oglądać na innych, to nigdy nie pójdziemy naprzód. Potrzebujemy odważnych kroków.

A jak zachowują się sędziowie?
– Bardzo różnie. Proszę zwrócić uwagę, że w ciągu jednego miesiąca zapadły dwa wyroki: wyrok czterech lat za zabicie strusia, jednak zwierzęcia gospodarskiego, oraz wyrok prac społecznych za zabicie psa. Tą drugą sprawą zajęłam się dopiero na etapie apelacji; gdy usłyszałam o tak łagodnym wyroku, to nie mogłam tego zostawić. Pies był bardzo schorowany, prawie nie widział, wszystkie jego choroby wynikały z zaniedbania. Poza tym właściciel zrzucał go wielokrotnie ze schodów i pies tego nie przeżył. Mamy więc tu przypadek zabicia zwierzęcia towarzyszącego, a właściciel miał za karę pograbić trochę liści. Proszę zobaczyć, jaka to dysproporcja i jak wiele zależy od indywidualnej wrażliwości sędziego.

Widzi pani różnice w postawach sędziów w małych i dużych miejscowościach?
– Nie chcę generalizować, żeby kogoś nie skrzywdzić, bo bywa oczywiście różnie, ale tak, obserwuję taką zależność. Patrząc statystycznie, lepsze wyroki zapadają w dużych miastach. Ale w grę wchodzi wiele innych czynników.

Mogę podać przypadek byłego senatora Prawa i Sprawiedliwości Waldemara Bonkowskiego, który zakatował swojego psa. Przywiązał go do haka holowniczego i ciągnął za samochodem. W dodatku próbował to ukryć; zakopał zwierzę w ogródku, a kiedy przyszła policja, udawał, że nie wie, o co chodzi. Potraktowany został przez wymiar sprawiedliwości wyjątkowo wręcz łagodnie. Najpierw pierwszym wyrokiem orzeczono mu karę ograniczenia wolności polegającą na wykonywaniu prac społecznych. Po odwołaniu zapadł w końcu wyrok trzech miesięcy pozbawienia wolności i rok ograniczenia wolności. Za zakatowanie swojego psa!

1 RP

eprasa.pl 43ba3d7546

Sąd powinien też brać pod uwagę postawę oskarżonego, a senator nigdy nie wyraził skruchy. Przez cały czas trwania procesu był butny i arogancki. Kpił sobie z sądu, z mediów, z opinii publicznej. Nie dość, że dostał tak niski wyrok, to jeszcze nie stawił się do odbycia kary, dopiero policja musiała doprowadzić go do aresztu. Po półtora miesiąca wyszedł i dostał opaskę elektroniczną. Nawet osoby, które mają na sumieniu jakieś drobne kradzieże, często takiej nie dostają. Zwłaszcza jeśli nie stawiają się dobrowolnie do Zakładu Karnego i nie mają krytycznego stosunku do czynu, który popełnili. A senator Bonkowski z pewnością nie miał; wystarczy posłuchać jego wypowiedzi w mediach. Więc za co on dostał tę opaskę? Za co sąd go nagrodził?

Za to, że był senatorem PiS-u...
– Właśnie. A potem dowiadujemy się, że prac społecznych też nie odbędzie. Karę umorzono mu z uwagi na stan zdrowia. Nie mogłam w to uwierzyć! Czyli człowiek, który bywa na wiecach u pana Brauna i ma siłę, żeby jeździć do Węgier [w 2025 roku był na wiecu poparcia Viktora Orbána, w rozmowie z Agencją Reutera przedstawił się fałszywym nazwiskiem], raptem jest tak chory, że nie może trochę popracować społecznie?

Wydaje się jednak, że w naszym społeczeństwie ta wrażliwość na cierpienie zwierząt bardzo wzrosła. Większość z nas traktuje je jak członków rodziny. Jest to też jedna z niewielu kwestii, która potrafi na chwilę pogodzić polityków. „Piątkę dla zwierząt" popierała także większość posłów PiS.
– To prawda. Na pewno my, jako społeczeństwo, chcielibyśmy, żeby te zmiany zachodziły szybciej. Powiedziałabym, że chcemy rewolucji, a w głowach sędziów na razie zachodzi raczej powolna ewolucja. Ale jest coraz lepiej, kiedyś nie do pomyślenia było, żeby za pobicie kota, który się wycierpiał, ale przeżył, dostać dwa lata bezwzględnego więzienia.

Ile ma pani podobnych spraw rocznie?
– Setkę na pewno. I jest ich coraz więcej. Czy to świadczy o tym, że popełnia się więcej przestępstw, czy raczej, że więcej tych spraw wykrywamy? Ja myślę, że to drugie. Zwłaszcza że teraz mamy dużo większe możliwości, by to robić. To jest jednak potęga mediów, także platform społecznościowych. Wszyscy jesteśmy dziś zaangażowani w szukanie oprawcy.

Pamiętam taką sprawę, chodziło o pobitego szczeniaka, nazywał się Fijo [miała miejsce w 2018 r.]. Podejrzany się ukrywał i wówczas po raz pierwszy w Polsce wydano list gończy za osobą, która ma usłyszeć zarzuty o znęcanie nad zwierzętami. Wtedy też chyba po raz pierwszy opinia publiczna była tak bardzo oburzona. Bo zobaczyliśmy szczeniaka, niewinne psie dziecko, któremu właściciel uszkodził kręgosłup, złamał szczękę, wybił zęby. Pies był sparaliżowany. Operowali go najlepsi specjaliści, ale niestety, nie odzyskał sprawności, jeździ dzisiaj na wózeczku.

Ludzie byli tak zbulwersowani, że gnębiciela szukali wszyscy; nie tylko policja, ale też internauci. Zdarzało się, że odzywali się nawet Polacy mieszkający za granicą, którym wydawało się, że widzieli kogoś podobnego. Dzięki temu, że sprawa stała się tak medialna, po kilku miesiącach sprawca został znaleziony i stanął przed sądem.

Po raz pierwszy też robiliśmy w sprawie o znęcanie się nad zwierzętami eksperyment procesowy w domu oskarżonego. Kiedy wcześniej składałam o to wnioski, prokuratorzy pukali się w czoło. Eksperyment procesowy? W takiej sprawie? A tu się udało.

Na czym to polegało?
– Samego zdarzenia nikt nie widział. Właściciel był wtedy ze szczeniakiem sam w domu. Żona po powrocie zastała psa we krwi. Pojechała z nim do weterynarza, ale nie stać jej było na leczenie i się go zrzekła, a weterynarz zgłosił sprawę Fundacji dla Szczeniąt „Judyta". Tyle wiedzieliśmy.

Właściciel twierdził, że się na psa przewrócił, niechcący, po pijanemu. Nie wydawało mi się to prawdopodobne, żeby pies nie miał instynktu samozachowawczego i pozwolił, by przewalił się na niego stukilowy, zataczający się mężczyzna. Ale biegły, który dostał do zaopiniowania ten przypadek – notabene jeden z mojej czarnej listy – stwierdził, że możliwe jest, że obrażenia psa powstały wskutek upadku człowieka.

Gdyby nie to, że sprawa była już tak rozdmuchana medialnie, sąd mógłby na tej podstawie ją umorzyć. W końcu wszelkie wątpliwości są w procesie rozstrzygane na korzyść oskarżonego. Na szczęście cała Polska patrzyła nam na ręce, więc sąd zezwolił na eksperyment procesowy. Pojechaliśmy do domu, w którym się to wydarzyło, do Chełmży pod Toruniem. Naszym figurantem była maskotka – pluszowy piesek wielkości Fija. Oskarżony pokazywał, jak upadł, technicy zaznaczali ślady, odbyła się rekonstrukcja zdarzenia. Tym razem powołani biegli z Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego stwierdzili, że wersja obrony jest zupełnie nieprawdopodobna. Sprawca dostał półtora roku bezwzględnego więzienia.

W tej chwili reprezentuje pani fundację Judyta w sprawie psów odebranych w dramatycznym stanie z hodowli pod Bolimowem. Czy oprócz hodowczyni jakąkolwiek odpowiedzialność poniesie Polski Związek Kynologiczny, który powinien mieć tę legalną hodowlę pod swoją kontrolą?
– Sprawa jest w toku i mam nadzieję, że dla hodowczyni zapadnie wysoki wyrok. Natomiast Związkowi Kynologicznemu odpowiedzialności karnej przypisać nie można, choć oczywiste jest, że zaniedbał obowiązki; bywa, że przedstawiciele związku nie odwiedzają hodowli na obowiązkowy przegląd miotu, tylko takie przeglądy odbywają się w siedzibie związku. Można ich potępiać tylko moralnie; myślę, że tu siła opinii społecznej jest nie do przecenienia.

Mówiłyśmy o zwierzętach gospodarskich, o zwierzętach domowych. A jak jest z końmi? To nie są nasi domownicy, jak psy ani koty, ale nie są to również zwierzęta gospodarskie, jak krowy, świnie, kury, które z reguły hoduje się na mięso. Mamy do koni tradycyjnie wielki sentyment. Czy to widać na salach sądowych?
– Mnie przede wszystkim boli to, że konie mają u nas wciąż status zwierzęcia gospodarskiego. Uważam, że to powinno się zmienić. Konie powinny mieć w Polsce status zwierząt towarzyszących człowiekowi. Polacy nie jadają przecież koniny. Mamy szacunek do tych zwierząt ze względów historycznych.

Prowadziłam wiele spraw o znęcanie się nad końmi. Najwięcej dotyczy zaniedbania i złych warunków: nieodpowiedniego żywienia, głodzenia, trzymania w rażącym niechlujstwie, w oborniku po pachy. Standardem są poprzerastane kopyta, które prowadzą do deformacji. Miałam takie przypadki, że koń nie był już w stanie chodzić. Żadna operacja ortopedyczna nie wchodziła już w grę, trzeba było go uśpić.

Prowadziłam też sprawę koni z Morskiego Oka, kulawych, kalekich, eksploatowanych do granic swoich możliwości. Albo trenera koni sportowych, który tak prowadził treningi, że zwierzęta po zajęciach były pokrwawione. Niestety, został uniewinniony na podstawie opinii biegłego, tego od Fijo... A była to opinia sprzeczna z opiniami innych lekarzy, ekspertów od koni sportowych.

Nie jemy koniny, ale hodujemy konie na mięso na eksport.
– Spraw z rzeźni trafia do mnie bardzo mało, bo tam nikt postronny nie ma wstępu. Bardzo rzadko się zdarza, żeby jakiś skruszony pracownik zdecydował się nam opowiedzieć o tym, co tam się dzieje. Czasami zdarzają się śledztwa aktywistów; ktoś zatrudnia się tam specjalnie, żeby nagrać filmy, ale to są pojedyncze przypadki. Prowadziłam sprawy dotyczące rozładunku krów i świń przed rzeźnią. Materiał dowodowy pozyskany był z zewnątrz – aktywiści sfilmowali to, co tam się działo, z daleka, przez jakąś dziurę w płocie.

Tematem, który mnie szczególnie boli, jest ubój rytualny. Polska jest w tej chwili jego zagłębiem. Potężne ilości mięsa idą na eksport, bo u nas mniejszości religijnych jest garstka; gdyby chodziło tylko o ich potrzeby, to byłoby marginalne zjawisko. Chodzi o ogromne pieniądze pod płaszczykiem wolności religijnych i nikt nie chce tego ruszyć. Temat jest niewygodny politycznie.

W związku z tym szlachtuje się u nas zwierzęta bez ogłuszania, na żywca. Krowy mają podrzynane gardła i wykrwawiają się w stanie pełnej świadomości. Rozmawiałam o tym z lekarzami weterynarii, którzy przy tym pracują. Błagali mnie, żebym coś zrobiła; mówili, że to jest po prostu nie do zniesienia, że wszyscy są już na leczeniu psychiatrycznym.

Wydaje mi się, że „piątka dla zwierząt" mogła upaść z dwóch względów. Pierwszym była hodowla zwierząt na futra, a drugim właśnie ubój rytualny, który miał zostać ograniczony tylko na potrzeby naszych mniejszości religijnych w Polsce.

Przyczyniła się pani do tego, że przez rok ubój rytualny był zakazany.
– Kiedy w 2011 roku dowiedziałam się, że są u nas masowo rytualnie zabijane zwierzęta, zaczęłam dochodzić, jak to jest możliwe. Obowiązywała nas przecież ustawa o ochronie zwierząt, według której wszystkie zwierzęta kręgowe należy ogłuszać przed ubojem. Znalazłam jednak rozporządzenie ministra rolnictwa Wojciecha Olejniczaka z SLD z 2004 roku, które wyjątkowo dopuszcza odstępstwo od obowiązku ogłuszania w przypadku uboju religijnego.

Rozporządzenie było sprzeczne z ustawą – akt niższego rzędu był sprzeczny z aktem wyższego rzędu. Wysłałam informację na ten temat do wszystkich podmiotów w kraju, które mogą wnieść skargę konstytucyjną. Zareagowała jedna osoba – prokurator generalny Andrzej Seremet, który wniósł skargę do Trybunału Konstytucyjnego, a ten stwierdził niezgodność. Przez rok nie mieliśmy w Polsce uboju rytualnego.

Ale branża bardzo szybko się podniosła. Złożyli własną skargę konstytucyjną i Trybunał po roku orzekł zupełnie inaczej. W mojej ocenie był to wyrok skandaliczny.

Próbowała pani stanąć na drodze wielkiemu biznesowi. Czy nie spotkały pani z tego powodu jakieś nieprzyjemności?
– Najsilniejszą grupą interesów, z jaką się spotkałam, było lobby futrzarskie. To było kilkanaście lat temu, kiedy Szczepan Wójcik, największy hodowca zwierząt futerkowych, miał jeszcze swoje media. Był ściśle związany z portalem swiatrolnika czy telewizją internetową wsensie.pl. To on przez lata był głównym sejmowym lobbystą i skutecznie blokował wprowadzenie zakazu chowu i hodowli zwierząt na futra. Myślę, że to on również powstrzymał choćby przez swoje kontakty z ojcem Rydzykiem „piątkę dla zwierząt".

Padłam wtedy ofiarą nagonki w jego mediach. Hejt skupiał się na prywacie, bo merytorycznie niewiele mogli mi zarzucić, aczkolwiek też próbowali. Kiedy wygrałam konkurs w Ministerstwie Sprawiedliwości na napisanie informatora dla sędziów, prokuratorów i policjantów, zarzucali mi, że jestem koleżanką ministra, choć ja ministra nawet nie znałam; w resorcie pracowałam kilka lat wcześniej.

Prowadzę działalność publiczną i każdy ma oczywiście prawo mnie oceniać i krytykować, czy to jeżeli chodzi o pracę w Sejmie, czy na salach sądowych, ale to nie była merytoryczna krytyka. To było takie kąsanie z nadzieją, że nie wytrzymam presji. Tym bardziej że ja walczyłam dla idei, nikt mi za to nie płacił, więc teoretycznie byłam łatwym celem: nic z tego nie miałam oprócz kłopotów.

Dostawałam też anonimowe pogróżki esemesowe, miałam rozbite szyby w samochodzie, przecięte opony. Nawet nie zgłaszałam tego policji, bo nie byłam w stanie nikogo wskazać, a samochód stał w miejscu, w którym nie było kamer. To było przerażające, ale wiedziałam, że o to właśnie chodzi, żeby mnie przestraszyć. Na szczęście ostatecznie nic złego mi się nie stało. Nikogo nigdy nie złapałam za rękę, ale najgorzej było wtedy, kiedy zajmowałam się tym tematem.

Jak pani to znosiła?
– Musiałam się zahartować. Zaczynając tę pracę, w ogóle się tego nie spodziewałam. Wydawało mi się, że to jest po prostu obiektywnie dobre. Kto i dlaczego mógłby to krytykować? Szybko przekonałam się jednak, że to bardzo trudny temat i trzeba mieć silną psychikę, żeby się takimi sprawami zajmować.

Po raz pierwszy hejt dotknął mnie po sprawie suczki zabranej właścicielowi. Był to starszy już, schorowany człowiek i niedługo po tym, gdy dostał zarzuty o znęcanie się nad psem, zmarł. Wokół fundacji, która się tym zajmowała, zrobił się szum. Ludzie bardzo łatwo dają sobą manipulować. Tu zagrano na emocjach: starszemu człowiekowi zabiera się towarzyszkę życia. Ja także dostałam rykoszetem. Spamowano moją stronę, pisano w komentarzach, że mam krew na rękach, że „wykończyliśmy" starszego człowieka. Zupełnie pominięto stan, w jakim znajdował się jego pies. Ta suczka była tak zaniedbana i schorowana, że także niedługo po odebraniu zmarła.

Hejtują też sami właściciele, którym fundacje odebrały zwierzęta. Skrzykują się w internecie i łączą siły. Mają swoje grupy w serwisach społecznościowych, nawzajem się wspierają. Są na tyle bezczelni, że zakładają stowarzyszenia i biorą udział w postępowaniach swoich kolegów. Zdarza się, że już skazany za znęcanie oprawca występuje w sprawie innego oskarżonego jako przedstawiciel organizacji społecznej. Kaci robią z siebie ofiary. Produkują rolki, na których pokazują jakieś stare zdjęcia pieska na kanapie. Ale tego, że piesek był zabrany od nich w zupełnie innym stanie, już nie pokazują.

Są coraz sprytniejsi. Na przykład zgłaszają na policji kradzież, a organizacje, które czekają dopiero na zatwierdzenie odbioru, spotykają się z konsekwencjami karnymi. Starają się też rozpętać hejt na organizacje prozwierzęce i na ich pełnomocnika, czyli na mnie. Kiedy prowadzę akurat sprawę któregoś z nich, staję się ofiarą zmasowanego ataku. To bardzo często seksistowskie, chamskie komentarze dotyczące wyglądu. Po jakimś czasie nauczyłam się tego nie czytać, ale na początku było mi bardzo przykro.

Ciągłe oglądanie cierpienia zwierząt musi być wyczerpujące emocjonalnie.
– To prawda. Muszę oglądać cały materiał dowodowy, te wszystkie filmy, klatka po klatce. Widziałam już chyba wszystko... To potem rezonuje w człowieku, śni się po nocach. Jeśli ktoś potrafi podchodzić do tego na chłodno, na pewno jest mu łatwiej, ale ja mocno angażuję się emocjonalnie.

Moja patronka powtarzała mi na aplikacji: „Nie możesz angażować się w sprawy swoich klientów. Musisz zachować dystans". Cóż, w sprawy tych klientów nie potrafię się nie angażować. Łamię zasady wpajane mi podczas aplikacji, ale inaczej nie potrafię.

Jeśli zwierzę, które reprezentowałam, żyje, lubię je odwiedzać, najpierw w schronisku tuż po odbiorze, a potem w jego nowym domu. Jadę czasem na drugi koniec Polski, żeby zobaczyć, że jest szczęśliwe. Wtedy mam poczucie, że było warto. To jest coś pięknego, naprawdę. To mi wynagradza wszystko inne w tej pracy. ●

eprasa.pl 43ba3d7546

PAŁAC BAŁTYCKIE

Jeśli chce się zrozumieć historię krajów bałtyckich, **trzeba**

Andrzej Krawczyk

Jadąc z Polski w kierunku Finlandii po Via Baltica, już kilka kilometrów za granicą litewsko-łotewską wjeżdżamy w wielkie i stare kompleksy leśne. I prawie od razu pojawiają się drogowskazy zachęcające do odwiedzenia pałacu i muzeum w miejscowości Pilsrundale – po łotewsku Zamek Rundale.

W przewodnikach znajdujemy określenie „Bałtycki Wersal". I naprawdę warto się skusić, bo zobaczymy widok zapierający dech w piersi. Rzeczywiście Wersal i Ermitaż w jednym. I jeszcze ta brama wjazdowa....

Kraj. Krucjaty w Dolinie Spokoju

Nazwa Rundale jest pamiątką po niemieckim osadnictwie na tych terenach sprzed 500 lat. Pochodzi od staroniemieckiego określenia „Ruhenthal", czyli Dolina Spokoju. W końcu XII i w XIII wieku tereny bałtyckich Livonów zamieszkujących te ziemie od czasów przedhistorycznych opanowali krzyżowcy, którzy pojawili się tu jako Północna Gałąź ówczesnego wielkiego ruchu krucjat.

Przypomnijmy, że krucjaty rozpoczęły się od wezwania papieża Urbana II na Soborze w Clermont w 1095 roku we Francji, żeby ruszać na pomoc chrześcijanom prześladowanym przez muzułmanów w Ziemi Świętej oraz odbić z ich rąk Jerozolimę. Z czasem ten ruch rozszerzył się o ideę „wyzwolenia" od pogan i innych ziem, które nie były jeszcze chrześcijańskie. W latach 50.-70. XII wieku rozpoczęły się więc pierwsze wyprawy ze Szwecji na ziemie dzisiejszej Finlandii i Estonii.

Później dołączyli do nich Duńczycy. Około roku 1180 wypłynęła z Lubeki w Niemczech lokalna krucjata prowadzona przez Augustianina Meinharda z klasztoru w Segeberg na pograniczu duńsko-niemieckim. Krzyżowcy wylądowali w ujściu rzeki Daugawy, niedaleko od miejsca, gdzie dzisiaj znajduje się stolica Łotwy Ryga.

Mniej więcej 10 lat wcześniej osiedlili się tam już pierwsi katoliccy zakonnicy i zaczęli przekonywać mieszkańców do swojej wiary, i chrzcić ich. Notabene w katedrze w Rydze można zobaczyć dzisiaj jedną z oryginalnych chrzcielnic z tego pionierskiego okresu.

Uczestnicy wyprawy Meinharda zbudowali umocnienia, żeby bronić osiedla misjonarzy. Stamtąd zaczęli organizować wyprawy nawracające miejscowych. Meinhard stał się znany z tego, że starał się unikać używania broni i próbował przekonywać do nowej wiary kazaniami.

Święty Meinhard

W 1186 roku został dostrzeżony w Rzymie i nadano mu godność biskupa, a w 1193 roku nowy papież Celestyn III udzielił wszystkim uczestnikom jego krucjaty odpustu generalnego. W 1208 roku Innocenty III ogłosił biskupa Meinharda Świętym.

W 800 lat później 8 września 1993 roku papież Jan Paweł II podczas wizyty w Krajach Bałtyckich odnowił uznanie świętości Meinharda i uczynił 14 sierpnia jego świętem, podkreślając jego zasługi dla rozszerzenia wiary i cywilizacji chrześcijańskiej.

Resztki kościoła Meinharda zachowały się do dzisiaj w Ikškile, ok. 30 km od Rygi, na wysepce na Dźwinie (Daugawie) zwanej wyspą św. Meinharda. Kiedy budowano kościół był tu stały ląd ale w latach 70. XX w. powstała zapora elektrowni wodnej. Żeby ocalić średniowieczne ruiny – zresztą najstarsze ruiny kamiennej budowli sakralnej na Łotwie – teren wokół umocniono, sztucznie podwyższono i powstała wyspa na zalewie.

Co ciekawe, ruiny znajdują się niedaleko od całkowicie zalanego pola bitwy pod Kircholmem w roku 1605, wielkiej glorii polskiej husarii nad armią szwedzką.

Zakon Kawalerów

W roku 1202 w Rydze założono zakon rycerski dla rozszerzenia i obrony chrześcijaństwa przed poganami pod nazwą Fratres Militiæ Christi Livoniae, czyli Zakon Kawalerów Mieczowych. W 1236 roku w bitwie pod Szawlami (dziś na Litwie) z miejscowymi plemionami Zemgalów i Żmudzinów (Żemaitów) zginęła większość rycerzy zakonu. Ci, którzy przeżyli, musieli prosić o wsparcie Braci Niemieckiego Domu Panny Marii w Jerozolimie, czyli zapisanych niesławnie w polskiej historii Krzyżaków. Kawalerowie stali się częścią ich zakonu, chociaż na mocy specjalnej umowy zawartej pod patronatem papieskim we włoskim Vitterbo pozostawiono im autonomię.

Kraj zaczął się powoli zaludniać i cywilizować. W przeciwieństwie do Krzyżaków z Malborka, gdzie dominowali osiedleńcy z Niemiec Środkowych i Południowych, na ziemiach Livonii (później zwanych Inflantami) osiedlali się Niemcy Północni i Duńczycy, a głównym partnerem w Europie Zachodniej była Lubeka i duńska Zelandia. Obie części Zakonu Krzyżackiego niechętnie i podejrzliwie podchodziły do wymuszonej okolicznościami współpracy. Na przykład w decydującej wojnie 1410 roku z Polską zakończonej bitwą pod Grunwaldem decyzją Wielkiego Mistrza Konrada von Vytinghove Zakon Kawalerów Mieczowych nie uczestniczył.

Baronowie z Kurlandii

Państwo krzyżackie zostało w roku 1525 zsekularyzowane i stało się lennem Polski, ale jego liwońską część zsekularyzowano dopiero w roku 1561. Ostatni Wielki Mistrz Gotthard Kettler został pierwszym księciem nowo utworzonego Księstwa Kurlandii i Semigalii. Jego zakonnicy rycerze zapoczątkowali nową klasę społeczną – nazywaną „Szlachtą Bałtycką".

W wyniku emigracji stała się to znacząca grupa w Imperium Rosyjskim znana ze swojej lojalności wobec caratu. Pochodziło z niej wielu rosyjskich generałów, admirałów i dyplomatów. Etnicznie była zdominowana przez Niemców, ale były także rodziny pochodzenia szwedzkiego, duńskiego, polskiego, a nawet... szkockiego. Mało znanym faktem z historii Kurlandii jest to, że brała udział w kolonizacji Afryki w połowie XVII wieku; przez 30 lat istniały trzy kurlandzkie osady nad rzeką Gambia w zachodniej Afryce.

Na terenie dzisiejszej Łotwy i Estonii powstała unikatowa społeczność, której istnienie zakończyła II wojna światowa. Na wsi na tym obszarze dominował specyficzny system rolnictwa folwarcznego. Właścicielami wielkich majątków była niemiecka szlachta, a pracownikami łotewscy i estońscy chłopi. Przez długi czas, w porównaniu z Europą Zachodnią, utrzymywała się tu pańszczyzna – w Kurlandii zniesiono ją w roku 1817 (ale w Imperium Rosyjskim dopiero w 1861 roku).

Materialną pozostałością kultury „baronów kurlandzkich" są liczne dwory ziemiańskie wysmakowane artystycznie i naśladujące pałace. Otaczają je kompleksy zabudowań gospodarczych, domy dla pracowników oraz dworskie obiektów przemysłowe: gorzelnie, browary, tartaki, wozownie. W okolicy dworu budowano też zwykle kaplice i rodzinne cmentarze oraz zakładano starannie utrzymane parki.

Dwór. Twierdza. Pałac

W historii dawnej Kurlandii Rundale odegrało ważną rolę. Na przełomie XV i XVI wieku osiadła tu bogata rodzina Grotthusów (przybyła z Westfalii; część rodziny z czasem sta-

1 RP

eprasa.pl 43ba3d7546

◀ **Widok na pałac i ogród w stylu francuskim. Kompleks składa się z trzech części tworzących niemal zamknięty kwadrat o rozmiarach 86 x 104 m** FOT. GETTY IMAGES

▲ **Fragment imponującej głównej klatki schodowej, która prowadzi od wejścia do westybulu na piętrze. Wygląda tak, jak wyglądała ponad 250 lat temu** FOT. GETTY IMAGES

GO KSIĘCIA

przyjechać do Rundale.

ło się Szwedami lub Polakami), która wybudowała nad jednym z miejscowych jezior obszerny dwór. Z biegiem lat dwór nabierał coraz bardziej obronnego charakteru. Chodziło o powstrzymanie potencjalnych łupieżczych napadów sąsiadów: Litwinów, Rusinów, Polaków, a nawet Tatarów znęconych zamożnością tutejszych ziem.

Od roku 1555 rezydencja w Rundale funkcjonowała już oficjalnie jako zamek obronny i była częścią systemu obronnego Livonii.

26 czerwca 1735 roku majątek Rundale zakupił Ernst Johann von Biron – Niemiec bałtycki i wieloletni „oficjalny" kochanek księżnej Anny Iwanowny, wdowy po księciu Kurlandii Fryderyku Wilhelmie Kettlerze (małżeństwo trwało tylko 2 miesiące).

Księżna Anna była bratanicą cara Piotra I Wielkiego, a Biron umiał wykorzystać swoją pozycję i jej koneksje. Ściągnął do Kurlandii z Petersburga najsłynniejszego wówczas w całym imperium rosyjskim architekta, budowniczego Pałacu Zimowego – Włocha Bartolomeo Francesco Rastrellego, który jest uważany za twórcę stylu architektonicznego nazywanego dzisiaj rosyjskim barokiem.

• **Ernst Johann von Biron (1690-1772). Książę Kurlandii i Semigalii, właściciel majątku Rundale. Bogacz i wizjoner** FOT. DOMENA PUBLICZNA

Najbardziej znany pałac na Łotwie

© GAZETA WYBORCZA MAPA: JOANNA PATYK

Rastrelli dostał rzucające na kolana honorarium i cztery miesiące na przygotowanie projektu rozbudowy pałacu Birona. Rundale miało się stać symbolem jego potęgi. Zachował się projekt, który Biron dostał od niego w styczniu 1736 roku – znajduje się obecnie w zbiorach Muzeum Albertina w Wiedniu.

Kto bogatemu zabroni?

Rozmach i bogactwo Birona przekraczały ówczesne europejskie standardy, bo możliwe były tylko w rosyjskiej despotii. Detale i meble wytwarzano jednocześnie w kilku pracowniach w Petersburgu. Do produkcji elementów glinianych zakontraktowano kilkunastu rzemieślników w Wiedniu, których ulokowano w pobliskim pałacu w Vircawa, gdzie stworzono im warsztaty do pracy.

Rastrelli poprosił o 500 murarzy, ale tu nawet Biron nie był w stanie spełnić żądania. Udało mu się „zorganizować" jedynie 300. A trzeba pamiętać, że Rundale było właściwie pustkowiem. Budowa pałacu była objęta specjalną troską. Murarze i inni rzemieślnicy musieli pracować od rana do wieczora. W listopadzie zrobiło się tak zimno, że trzeba było przerwać budowę. Wznowiono ją 12 kwietnia 1737 roku, a w czerwcu położono dach nad centralną częścią budowli.

Kiedy czyta się historię tej budowy, nie można oprzeć się wrażeniu, że mamy do czynienia ze znacznie późniejszą sowiecką rzeczywistością. W 1737 roku Biron został nowym księciem Kurlandii i nie skończywszy domu Rundale, rozpoczął nową inwestycję: budowę swojej oficjalnej rezydencji w stolicy księstwa Mitawie (dziś Jełgawa). Rzeczywistości nie udało się jednak oszukać, nawet jemu. Prace w Rundale musiały zwolnić, a część robotników przewieziono do stolicy Kurlandii.

Zachowały się notatki z czerwca 1738 roku, z których wynika, że zespół cieśli po przygotowaniu podłóg w 13 komnatach i paneli ściennych w 30, przerwał pracę, bo musiał przenieść się do stolicy. Także na jakiś czas boczne skrzydła pałacu zostały bez dachu.

Przerwa na wygnanie

Pracę przerwano zupełnie w 1740 roku, kiedy po śmierci Anny Iwanowny, która w międzyczasie została carycą Rosji, Biron popadł w niełaskę i został zesłany na Syberię. W roku 1764 powrócił z wygnania do Rundale. Chciał ukończyć budowę, ale i nadać jej nową formę, bo przez 20 lat trochę zmieniły się kanony architektury. Barok był już przeszłością.

Ściągnął więc duńskich i niemieckich architektów, żeby zmienić charakter pałacu na rokokowy. Sprowadzony z Berlina „mistrz marmuru" Johann Michael Graff miał stworzyć kamienny wystrój głównych pomieszczeń: Złotej i Białej Sali, gabinetu Owalnego na kolekcję porcelany i Garderoby Księżnej. Złota Sala miała być salą tronową Księstwa Kurlandii z wymalowaną na suficie apoteozą właściciela. A Biała pierwotnie kaplicą, ale Biron zmienił zdanie i zrobił tu salę balową.

W Petersburgu wykonywali wówczas zamówienia dwaj znani włoscy malarze z tzw. szkoły weneckiej: Francesco Martini i Carlo Zucci. Ernst Johann ich podkupił i na pięć lat zatrudnił w Rundale. Wiemy z zachowanej dokumentacji, że ostatnie zamówienie z 1769 roku opiewało na malowidła sufitowe w 8 reprezentacyjnych komnatach, a w dwóch – Wielkiej Galerii i w Drugim Gabinecie – także na ścianach.

Ostateczne zamknięto urządzanie wnętrz w 1770 roku, kiedy Johann Graff przywiózł z Niemiec lustra do Białej Sali i 22 wazy do dekoracji kluczowych miejsc pałacu.

Ernst Johann zmarł w roku 1772, a pałac odziedziczyła i zarządzała nim wdowa, księżna Benigna Gottlieb. Jej wkładem w rozwój majątku były dwa ogrody: starannie rozplanowany Park Francuski (10 ha) oraz pseudonaturalny, „dziki" Park Myśliwski (34 ha).

Oligarcha z XVIII wieku

Biron to niezwykła postać w dziejach ówczesnej Europy Wschodniej. Pochodził ze średniozamożnej rodziny niemieckich właścicieli ziemskich z Kurlandii, która tytuł szlachecki uzyskała dopiero od polskiego króla Władysława IV w 1638 roku. W pewien sposób można go więc nazwać go polskim szlachcicem. Nazywał się Bühren, ale kie-

eprasa.pl 43ba3d7546

dy zaczął robić wielką karierę, przyjął nazwisko Biron, sugerując, że wywodzi się z francuskiej arystokracji.

Był urzędnikiem w kancelarii księcia Kurlandii, kiedy został przyjacielem, powiernikiem i kochankiem wdowy po księciu. Anna Iwanowna nie interesowała się polityką i administracją; krajem rządził więc Ernest Johann.

W roku 1730, gdy umierająca cesarzowa Rosji Katarzyna I (nie mylić z Katarzyną II, niemiecką księżniczką, żoną Piotra III, a po zamachu stanu i zamordowaniu męża carycą Rosji w latach 1762-96, współsprawczynią upadku Rzeczypospolitej) wydziedziczyła swoją córkę, cesarzową została nieoczekiwanie Anna Iwanowna (bratanica Piotra Wielkiego). Po przeniesieniu się do Petersburga nowa caryca kontynuowała zabawowy, ekscentryczny tryb życia, a faktycznym wielkorządcą Rosji został Biron.

Gromadził tytuły, funkcje, ordery i majątki. Zakupił Rundale, które miało stać się dowodem jego wielkości. W 1737 roku caryca zrobiła mu prezent i mianowała dożywotnim księciem Kurlandii. Pysznił się bogactwem, okradał państwo, karał surowo za winy prawdziwe i domniemane, stworzył Tajną Kancelarię (policję) do śledzenia przeciwników władzy: rzeczywistych i potencjalnych. Zapoczątkował tym samym rosyjską tradycję prowadzącą w XX wieku do Czeka, NKWD i KGB.

Caryca na łożu śmierci w roku 1740 mianowała Birona regentem Imperium Rosyjskiego. Ale po jej śmierci został szybko obalony i skazany na karę śmierci, którą zamieniono mu na zesłanie. Po 21 latach powrócił do łask. Katarzyna II nawet ponownie mianowała go księciem kurlandzkim. Ale Biron starzał się i tracił siły. Zajmował się głównie dokończenie i upiększaniem swoich pałaców w Rundale i w Mitawie. W roku 1769 poprosił o zwolnienie z książęcych obowiązków. Zmarł 29 grudnia 1772 roku.

Sukcesja nieudana

Dzieci Birona interesowały się głównie tym, jak przenieść majątek za granicę i wydostać się z Rosji. Syn Piotr zaczynał od zesłania na Syberię, potem w ramach odwilży został nawet rosyjskim generałem, a od 1763 roku przejął po ojcu zarządzanie Kurlandią. Z tego tytułu w 1764 roku zjawił się w Warszawie i złożył hołd lenny Stanisławowi Augustowi Poniatowskiemu.

Świadomie skupował jednak majątki na Śląsku (przyłączonym w roku 1742 do Prus po wojnie z Austrią) i w Czechach. Jego ulubionym miejscem stał się Żagań i dzisiejszy Syców w Polsce (wówczas pod nazwą Polnisch Wartenberg), któremu król Węgier Maciej Korwin już pod koniec XV wieku nadał pewną autonomię jako tzw. Wolnemu Państwu Stanowemu.

W 1795 r. Biron abdykował jako książę Kurlandii (w wyniku rozbiorów i nacisku Rosji) i przeniósł się do swoich dóbr na Śląsku.

Syców należał do Bironów aż do początku 1945 roku. Piotr Biron starał się nie bywać w Rosji i mieszkał głównie w Żaganiu i w Kudowie. Jedna z jego córek Katarzyna Wilhelmina stała się ważną postacią w czeskiej kulturze znaną każdemu czeskiemu dziecku jako „Księżna Pani" z powieści „Babička" (Babcia) Bożeny Niemcowej.

Pałac lubi faworytów

Rundale wraz z całą Kurlandią po III rozbiorze Rzeczypospolitej zostało wcielone do Rosji. Katarzyna II podarowała majątek bohaterowi wojny rosyjsko-tureckiej, hrabiemu Walerianowi Zubowowi, który był bratem jej ostatniego kochanka, księcia Płatona Zubowa.

Po śmierci Waleriana w 1804 roku majątek odziedziczył Płaton. Nadał bardziej reprezentacyjny charakter wejściu do pałacu i zainstalował kilka kominków w części mieszkalnej. Przede wszystkim jednak umeblował pałac na nowo, bo w 1812 roku zdewastowały go wojska napoleońskie. Sam budynek nie został zniszczony, ale porozbijano lustra, pozrywano i rozkradziono aksamitne tapety i firanki, spalono

▲ **Sala Złota nazywana tronową. Na suficie malowidła przedstawiają cnoty m.in. Siłę, Mądrość, Prawdę i Szczodrość. W środku apoteoza księcia Birona** FOT. UGIS RIBA/SHUTTERSTOCK

▲ **Ze 138 sal i pokoi można zobaczyć 48., a w nich m.in. wspaniałe piece kaflowe. Zachowało się 8, a 20 to kopie oryginałów** SERGII FIGURNYI/SHUTTERSTOCK

wartościową bibliotekę, która był prezentem od Katarzyny II.

Kiedy w 1822 roku Płaton umarł, wdowa po nim wyszła za hrabiego Andrieja Szuwałowa, marszałka dworu carskiego i zarządcę Pałacu Zimowego, czyli w praktyce osobistego księgowego cara Mikołaja I. I to jego herb znajduje się przy wejściu do pałacu.

Wojny. Sowieci. Odrodzenie

Z Rundale jest stosunkowo blisko do dawnych niemieckich Prus Wschodnich, dlatego gdy wybuchła I wojna światowa, większość mebli i wyposażenia wywieziono do Petersburga. Niemcy wkroczyli do Kurlandii w 1915 roku, a pałac od razu zamienili w wielki szpital. Ewakuowali się pod koniec 1918 roku.

W następnych miesiącach rozkradziono wszystko, co jeszcze dało się wynieść. W niepodległej Łotwie budynek przejęło państwo i powstał tu dom dla inwalidów wojennych.

Tuż przed wybuchem II wojny światowej przekazano pałac Państwowemu Muzeum Historycznemu. Planowano go odnowić i stworzyć wielką galerię sztuki. Co ciekawe, w latach 1941-44 niemiecka administracja okupacyjna zezwoliła na działalność muzeum, choć w szczątkowej formie; w każdym razie można było zwiedzać zabytkowe komnaty.

Po wojnie nastała tu sowiecka władza i utworzyła w pałacu coś, co nazywało się centralnym magazynem, w którym przechowywano rekwirowane w dworach krajów bałtyckich meble, przedmioty i rzeźby oraz najrozmaitsze dobra przywożone z Niemiec (równie dobrze mogły pochodzić np. z polskich Ziem Zachodnich i Odzyskanych).

W 1963 roku pałac oddano lokalnym władzom łotewskim, które nie miały jednak środków na utrzymanie tak reprezentacyjnego, choć mocno podupadłego kompleksu. Dlatego od 1964 roku w muzeum regionalnym w pobliskim mieście Bauska prezentowano tylko małą wystawę przedmiotów i części wyposażenia z Rundale.

W 1972 roku, kiedy Łotwa była sowiecką republiką i nic nie wskazywało na to, że historia się zmieni – powołano biuro ds. remontu i utworzenia Muzeum Pałacu w Rundale i rozpoczęto systematyczną, profesjonalną restaurację kompleksu.

Pierwsze sale udostępniono w 1991 roku, kilka miesięcy przed upadkiem ZSRR. W całości muzeum zostało otwarte w roku 2014, po ponad 50 latach prac nad przywróceniem mu świetności.

Jest dziś dumą i chlubą Łotwy, a nawet szerzej – państw bałtyckich. To jeden z najważniejszych zabytków baroku i rokoka w Europie Północnej oraz pamiątka po „zaginionej Atlantydzie", czyli kulturze Niemców bałtyckich.

Muzeum błyszczy dzisiaj

Ze 138 pałacowych komnat można zwiedzać obecnie 48. Oprócz głównych sal wymienionych już w tekście warto odwiedzić ciekawie i naprawdę mądrze przygotowane sale poszczególnych epok: sztuki gotyckiej, renesansowej, manierystycznej, barokowej i neoklasycystycznej, biedermeieru (połowa XIX wieku), „historycyzmu" (koniec XIX wieku), art nouveau (przełom XIX i XX wieku).

Niemniej ciekawe są sale tematyczne:
- pokoje księżnej (nieoryginalne rekonstrukcje: gabinetu, garderoby, sypialnie, toalety),
- rekonstrukcja barokowej kuchni na arystokratycznym dworze (w wariancie z XVIII w.),
- kolekcja ceramiki piecowej i sztuki sakralnej (odnalezione resztki z kościołów)
- kolekcja portretów władców Kurlandii (choć sala nazywa się „Społeczeństwo Kurlandii"),
- historia dwóch rodzin kurlandzkiej arystokracji: von Medem i von Behr (22 portrety pochodzące z rodzinnej kolekcji z Niemiec).

Na parterze i w piwnicy są tematyczne ekspozycje: historia Rundale, jak wyglądał proces odbudowy pałacu, jak wyglądały w XVIII wieku uroczystości pogrzebowe a także rzeźby i metaloplastyka łotewska oraz ogrodów barokowych i „zielonego szkła".

Dzisiaj odrestaurowany pałac otrzymał odpowiednie wyposażenie (szczerze mówiąc, są jeszcze rezerwy). Wspaniały, monumentalny budynek jawi się jako cud architektury zagubiony w łotewskich lasach.

Poza głównym budynkiem do złudzenia przypominającym petersburski Ermitaż z oryginalnego kompleksu zabudowań gospodarczych zachowała się wspaniała stajnia. Odtworzono oba parki. Dumą Rundale jest ogród różany, gdzie – jak twierdzą pracownicy – hoduje się 2,2 tys. gatunków róż. Jest to podobno „największa hodowla róż w rejonie Bałtyku".

W roku 2011, by podkreślić europejski charakteru miejsca, w ogrodzie pałacowym ustawiono dwa kamienie upamiętniające nieznanych żołnierzy pochowanych na terenie parku (groby się nie zachowały) – francuskich z 1812 roku i niemieckich z I wojny światowej.

Rundale stało się ważnym punktem na turystycznej mapie Łotwy. Jest przykładem polityki historycznej małego państwa w dobrym sensie tego słowa. Budowana latami ekspozycja ma pokazać Łotyszom i zagranicznym turystom, że Łotwa była częścią europejskiego świata i zachodniej kultury w najlepszym wydaniu. Jeśli chce się lepiej zrozumieć Europę Północno-Wschodnią i postsowiecką rzeczywistość tej części świata, trzeba odwiedzić pałac w Rundale. ●

Andrzej Krawczyk

• Historyk i dyplomata. Specjalizuje się w historii Europy Środkowej i Wschodniej XX w. Ambasador Rzeczpospolitej w Republice Czeskiej (2001-05), na Słowacji (2009-12), w Bośni i Hercegowinie (2013-18). W latach 2006-07 podsekretarz stanu w Kancelarii Prezydenta

1 RP

POZNAJMY NASZĄ EUROPĘ

• Chcemy rozwijać wśród Polaków poczucie europejskiej tożsamości, pokazując różnorodność krajów członkowskich Unii Europejskiej. Co tydzień na łamach „Magazynu Wyborczej" i w serwisie Wyborcza.pl będziemy publikować teksty opisujące ciekawe miejsca, tradycje i kulturę kolejnych krajów Wspólnoty. W ramach projektu przedstawiamy także działalność Parlamentu Europejskiego i jego wpływ na życie Europejczyków. Analizujemy wyzwania stojące przed Wspólnotą, m.in.: kryzys migracyjny, wojnę w Ukrainie czy walkę z dezinformacją. Działania współfinansowane są przez UE w ramach programu dotacji Parlamentu Europejskiego w dziedzinie komunikacji. Materiały i wypowiedzi zawarte w tekstach przedstawiają poglądy autorów. Parlament Europejski nie odpowiada za ich treść.

eprasa.pl 43ba3d7546

ADAM MICHNIK POLECA

Mieli złoty róg. I znowu zgubili

FOT. EDOARDO FORNACIARI/GETTY IMAGES

Papież Jan Paweł II z wizytą u rabina Elio Toaffa w rzymskiej Synagodze, 13 kwietnia 1986 r.

Dziś każdy może sobie wyciągać z doktryny kościelnej co mu pasuje i ogłaszać się jedynym prawdziwym katolikiem. Także katolikiem antysemitą.

Tadeusz Bartoś*

Wyjść ze zdumienia nie może część opinii publicznej na wieść o antysemickich reakcjach polskich katolików po opublikowaniu listu episkopatu o stosunkach chrześcijańsko-żydowskich.

Wypowiedzi naszych katolików mogą zaskakiwać, skoro opisane w biskupim dokumencie teologiczne rozumienie relacji katolicko-żydowskich jest w obiegu doktrynalnym Kościoła już od ponad 50 lat. Dziwić się też możemy polskim katolikom, gdyż na mocy swej wiary są oni zobowiązani do posłuszeństwa nauczaniu biskupów. Co najmniej od czasów Tomasza z Akwinu posłuszeństwo jest najwyższą cnotą wierzącego.

Aż się proszą kanoniczne upomnienia czy inne stosowne dekrety (oczywiście na piśmie) wobec najbardziej krzykliwych polsko-katolickich antysemitów.

W tle pozostaje inna okoliczność. Do połowy XX wieku katolicyzm na wiele sposobów głosił treści antyżydowskie, jak choćby to, że Żydzi są winni śmierci Jezusa, albo że jeśli się nie nawrócą i nie przyjmą chrztu przed śmiercią, poniosą karę piekła ognistego (sobór florencki, XV wiek).

W obliczu z grubsza 2000 lat chrześcijaństwa antysemickiego ostatnie zmiany ciągle pozostają, jakby nie patrzeć, nowością. Dla niektórych, okazuje się, niestrawną.

Który sobór ważniejszy?

Dzieje powstawania dokumentów Kościoła katolickiego nieprzychylnych Żydom poznać możemy dzięki skrupulatniej pracy historyka (skądinąd katolickiego biskupa i kardynała) Grzegorza Rysia „Chrześcijanie wobec Żydów. Od Jezusa po inkwizycję. XV wieków trudnych relacji". Opowieść o rozmaitych dyskryminujących Żydów kościelnych dekretach daje do myślenia.

Widząc to, polski katolik może zapytać, dlaczego mamy się słuchać Soboru Watykańskiego II i jego deklaracji „Nostra aetate", a nie – dajmy na to – tamtego XV-wiecznego soboru we Florencji i jego obietnicy wiecznego potępienia wszystkich nieochrzczonych przed śmiercią wyznawców judaizmu. Dekret soborowy nie jest przecież prawdziwszy tylko dlatego, że jest późniejszy.

W tle stoi przekonanie o nieomylności nauczania soborów, co jest filarem katolicyzmu. Dogmaty to nie spożywczak, że można wybierać to, na co ma się ochotę. Tymczasem stan faktyczny jest dziś taki, że aby uniknąć sprzeczności, jeden dogmat trzeba przyjąć, a drugi odrzucić.

Sytuacja tym bardziej niepokojąca, że dzięki tzw. prawu Dunsa Szkota wiemy, iż ze sprzeczności wynika wszystko. Przyjmujesz dwa sprzeczne dogmaty, ergo uznajesz dowolne zdanie za prawdziwe. A tego katolicy robić nie powinni.

Mania bycia narodem wybranym to historia nieszczęść i zbrodni

Który naród najlepszy?

Bynajmniej nie jest to moja złośliwość, tym mniej jakaś Schadenfreude, gdy wyłuszczam te kwestie.

Doktryna katolicka od czasów starożytnych soborów funkcjonowała jako zbiory definicji, była swoistą filozofią wyrażaną w postaci teologicznych dogmatów. Że Jezus był prawdziwym człowiekiem i prawdziwym Bogiem, że w Bogu są trzy osoby, a Maryja zawsze dziewica (semper Virgo) poczęła i urodziła Boga (Theotokos), itd. I to są prawdy najwyższej klasy, religijne dogmaty. Raz powiedziane, powiedziane na zawsze. A kto tego nie uznaje - anathema sit [niech będzie wyklęty] (to formuła zwykle kończąca soborowe potępienia).

Ekskluzywność i nietolerancyjność monoteizmów to ważny temat badań Jana Assmanna, uznanego egiptologa, później także filozofa niemieckiego Petera Sloterdijka. W tym duchu polski katolik, zresztą nie tylko polski i nie tylko katolik, lubi być pępkiem świata, uważać, że tylko u nas jest full wypas, tylko nas Bóg wybrał, i tylko my jesteśmy narodem wybranym.

Mniej lub bardziej dyskretne poczucie bycia z lepszej gliny zmajstrowanymi jest dla wybrańców oczywistą oczywistością. Rozkosz daje im osadzone głęboko w organizmie poczucie własnej wyższości, a jakże: w dobrym tonie, serdeczne, zatroskane, współczujące.

Mania bycia narodem wybranym to historia nieszczęść i zbrodni. Także Hitler wymyślił sobie, że tylko on i jemu podobni, niby rasy aryjskiej, są narodem wybrańców. Got mit uns – oczywiście, a całą resztę uzurpatorów trzeba podporządkować bądź zlikwidować.

Uwolnić świat od zagrożenia religijnymi doktrynami monowładzy, monowiedzy i podporządkowania ja-

eprasa.pl 43ba3d7546

ko wyrazu najwyższej ludzkiej doskonałości to istotne zadanie współczesnej myśli filozoficznej i teologicznej.

Drzwi dla każdego otwarte

Katolicka tradycja dogmatyczna ma z grubsza 2000 lat. Co więc się stało, że w XX wieku zaczęto głosić nauki sprzeczne z wcześniejszymi dogmatami?

Zmienił się świat, katolicy ogłosili program uwspółcześnienia doktryny (aggiornamento Jana XXIII). Sobór w latach 60. XX wieku zajął się dogmatem „poza Kościołem nie ma zbawienia", wskazując, że nikt nie zna granic Kościoła, także niewierzący, tzw. ludzie dobrej woli, i oczywiście protestanci, żydzi, muzułmanie – mają jakąś tam szansę, drzwi nie są przed nikim z góry zatrzaśnięte. Zbawienie jest dla wszystkich, skoro Jezus umarł za wszystkich.

Sprawa jest dość śliska, bo jeśli wszyscy mogą być zbawieni, to po co ta zabawa z chrztem, spowiedzią czy wiatykiem [komunią udzielaną w obliczu śmierci], które dotychczas były warunkiem sine qua non zasłużenia sobie na wieczną rozkosz w niebie. Księża mogą się poczuć niepotrzebni, a prawdziwi katolicy zapytać: jeśli bez praktyk religijnych trafię do nieba, po co mam się męczyć?

Z drugiej strony, współczesna wrażliwość coraz mniej znosi głoszoną przez wieki katolicką fantazję, iż większość ludzi będzie się smażyć w piekle. Poluzowano więc gorset tego fundamentalnego dogmatu, likwidując ekskluzywizm soteriologiczny katolików.

A jeszcze 100 lat temu wierni Kościoła ze zrozumieniem przyjmowali koncept opisany np. przez Tomasza z Akwinu, że zbawieni w niebie cieszyć się będą na widok piekielnych cierpień potępieńców. I nie, żeby byli sadystami radującymi oko widokiem tortur. Cieszyć miał ich obraz dziejącej się bożej sprawiedliwości (Tomasz, „Summa Theologiae. Supplementum"). A morał z tego taki: dobry teolog, jak dobry prawnik, zawsze znajdzie zgrabną formułę.

Zmarnowana szansa

Tymczasem grzebanie przy starych kościelnych definicjach wymaga ostrożności sapera. Łatwo wysadzić w powietrze / puścić z dymem całą tę karawanę. Po Vaticanum Secundum, niestety, sprawy nie potoczyły się najlepiej. Implementacja nowości soborowych zawiodła. Nie było komu podjąć wyzwania i odpowiedzieć na oczywiste sprzeczności w katolickiej dogmatyce. Zabrakło saperów-specjalistów.

Próby Hansa Künga z książki „Nieomylny?" (1970), postulat: porozmawiajmy o dogmacie nieomylności papieża (XIX wiek) skończyły się usunięciem go z katedry teologii. Sapienti sat. Na teologów padł blady strach, teologia stała się ryzykowną profesją. A to rażące dziwactwo – papież sam siebie z kolegami biskupami na Soborze Watykańskim I ogłosił nieomylnym – nie zostało poddane rzetelnej refleksji.

Ściganie teologów za nieprawomyślności, gdy w Watykanie panował Jan Paweł II oraz jego przyboczny, dyskretny, subtelny, wręcz nieśmiały strażnik zamordyzmu kard. Ratzinger, wygenerowało zastój: nie da się myśleć twórczo w atmosferze zastraszenia. Zdolni, dociekliwi, inteligentni unikają miejsc, gdzie myślenie (szukanie alternatyw) jest niemile widziane, a wszyscy kochają przyklaskiwanie, zgadzanie się, i popieranie jedynie słusznej racji umiłowanego Ojca Świętego.

Zaprzepaszczono wtedy wielką szansę.

W średniowieczu teologia dała radę

Tymczasem cały system tworzenia i interpretowania dogmatów wymagał przebudowy: potrzebował niebanalnej myśli, poszukiwania nowego paradygmatu, innego niż słowno-definicyjny w duchu klasycznej arystotelesowskiej logiki. Niestety zastraszanie działa na twórczą myśl jak woda święcona na siły nieczyste.

Problem niespójności rozmaitych danych od początku był wyzwaniem dla chrześcijańskiej doktryny. Sprzeczności nie były obce średniowiecznym teologom. Udało im się zmierzyć z wyzwaniem. Także dlatego – co może zaskakiwać – że mieli trochę większą autonomię, mniej byli zastraszani. Połączenie greckiej filozofii z aksjomatami religijnymi wynikającymi z Biblii (articula fidei) było niekiedy zadaniem karkołomnym. Należało ułożyć w sensowną całość rzeczy ewidentnie sprzeczne.

Flagowym przykładem jest doktryna Trójcy: jeden Bóg (w monoteizmie musi być jeden bóg), ale faktycznie dwóch albo nawet trzech kandydatów na bycie prawdziwym Bogiem: Ojciec, Syn, na końcu Duch... I co? I udało się!

Średniowieczna teoria osoby boskiej jako relatio subsistens, gdzie osoba jest czystym odniesieniem, relacją bez członów relacji, była pomysłowa, inspirująca w swojej abstrakcyjnej subtelności. Nie ma już trzech panów (tryteizm), są procesy: rodzenie (Ojciec), bycie zrodzonym (Syn), itd.

Dziś podobne spekulacje znaleźć możemy – toutes proportions gardées oczywiście – w pismach fizyków teoretycznych, gdzie obiekty mikroświata chce się widzieć jako odniesienia, choćby w relacyjnej interpretacji mechaniki kwantowej Carla Rovellego. Zresztą podobnych spekulacji jest tam więcej.

Polski katolik, zresztą nie tylko polski i nie tylko katolik, lubi być pępkiem świata. Uważać, że tylko nas Bóg wskazał i tylko my jesteśmy narodem wybranym

Sprzeczność jest wyzwaniem, prowokuje - największe umysły swoich czasów stają w szranki. Bojowo-ekspansywny duch Zachodu rodził się z tego właśnie: konieczności ułożenia w całość osobliwości nie do pogodzenia. Żadna sprzeczność nam nie straszna!

Także dziś ferment umysłowy w bractwie fizyków teoretycznych sieją nieciągłości między konceptem makro- i mikrokosmosu. Nie spoczną nasi współcześni herosi, dopóki nie wymyślą czegoś, co nie byłoby li tylko bieżącym łataniem dziur, sztrykowaniem (gwara wielkopolska) niespójności.

Średniowiecze to były złote czasy teologii. Wybitne intelekty parały się kwestiami religijnymi. W następnych wiekach najzdolniejsi wybierali rozwijające się dyscypliny nauk empirycznych i matematycznych. Osłabienie kar teologicznych także tu miało swe źródło.

Nowe średniowiecze w teologii nie nadeszło. Zabrakło wolności badań, a także kompetentnych, niestłamszonych teologów.

Niekompetencja zabija

Pozostaje pytanie, czy można dziś wypatrywać jakichś tropów pozwalających rozjaśnić wspomniane wcześniej sprzeczności w katolickiej dogmatyce. W którym kierunku mogłaby podążać teologia, by odpowiedzieć na skalę wyzwań?

Pierwsza ścieżka to idea ewolucji, dojrzewania boskiej prawdy w Kościele w ciągu wieków. Duch działa, rozświetla, coraz bardziej rozświetla. Dlatego potrzebny jest od czasu do czasu upgrade systemu (sobory), by nowe rozjaśnienia wprowadzić do obiegu.

Szkopuł w tym, że oznaczałoby to, iż wcześniejsze rozświetlenia były słabsze. A to trudne do uznania. Na soborze nicejskim (IV wiek) nie mogło być mniej prawdy niż na jakimś średniowiecznym. Te średniowieczne wyglądają na wtórne wobec tych starożytnych, gdzie formułowano zręby doktryny.

Zwłaszcza, że powrót do korzeni, do źródeł, to hasło teologii XX wieku, co zakłada, że na początku było bardziej, bliżej źródła, a z czasem się zamazało. Teoria ewolucji dogmatu, jak widać, to miecz obosieczny. Może jest i przyrost prawdy boskiej w Kościele, która ciągle rozświetla, ale też i oddalenie od źródeł, stąd zamazanie, ubytek, zniekształcenie.

Legendarny Minos, prawodawca Krety, miał co 9 lat chodzić na świętą górę Ida, by tam z Zeusem konsultować prawo, które wcześniej od niego otrzymał. U katolików sobory są takim cyklicznymi konsultacjami. Z czasem coś się gubi i trzeba wracać do pierwotnych danych. Nowe okoliczności, konteksty.

Płynący czas, zmiany w kulturze, w nauce to istotne informacje. Teologowie w XX wieku wręcz uznali, iż ewoluujący świat to jedno ze źródeł teologii (tzw. znak od Boga), a nie tylko, jak było dotychczas, Biblia i dogmaty.

Poszukajmy jeszcze innego tropu. Może ten język definicji stosowany w dogmatyce kościelnej wedle zasad logiki i rzymskiego prawa powinien zostać poddany rewizji? By czytać starożytne i nowożytne dogmaty w innej, niż prawdziwościowej (doktrynalnej) stylizacji? Można by zapożyczyć się u hermeneutów filozoficznych. Zmienić perspektywę. Punktem wyjścia uczynić jednostkowe doświadczenie religijne, przyjrzeć się historii oddziaływania tekstów religijnych.

Wtedy kluczem stałaby się ewolucja rozumienia własnej wiary u każdego wierzącego. I jakoś to później należałoby pozbierać w nowe całości, na synodach, większych, mniejszych, w duchu dialogu i zrozumienia, a nie walki o wpływy i pozycję. Choć w tym miejscu oponenci zapewne odburkną: już to mieliśmy, Luter, Kalwin i ich potomkowie - mówią, co czują, a my mamy głosić prawdę najprawdziwszą, nie jakieś subiektywne doznania.

Te dwie sugestie poszukiwania nowych dróg szkicują pola badawcze teologii, która okazałaby się nauką hermeneutyczną, wnikającą w historię i ewolucję rozumienia tekstów religijnych. Dzięki tym nowym sposobom odczytywania dziejów myśli religijnej mogłoby się pojawić nowe, odmienne rozumienie twierdzeń dawnych soborów. Także w odniesieniu do judaizmu. Bardziej egzystencjalne, mniej dyscyplinarne. A wszystko pod hasłem szukania tzw. woli Boga, badania tego, co chciał on powiedzieć wierzącym w ciągu wieków.

Rzecz wymagałaby twórczej pracy teologów, a o tym, jak wiemy, ani widu, ani słychu. Kwestie te nie przebijają się do mainstreamu współczesnego katolicyzmu. Nie wiedzą o tym nasi kochani proboszczowie i wikarzy, a i z biskupami różnie bywa.

Niekompetencja zabija. Zabija skutecznie.

Zapał i knebel

Nierozwiązane sprzeczności mszczą się i mścić się będą w przyszłości. Dziś każdy może sobie wyciągać z doktryny katolickiej co mu pasuje i ogłaszać się jedynym prawdziwym, najprawdziwszym katolikiem na świecie, posłusznym najprawdziwszej prawdzie. Także katolikiem antysemitą - zgodnie z wielowiekową tradycją kościelną. Mleko się wylało.

Była okazja, na początku lat 70., zapał, wybitni teologowie i... knebel. Nie można wejść dwa razy do tej samej rzeki. Czeka nas postępująca degeneracja katolicyzmu.

Jak to pięknie powiedział kiedyś kolega Wyspiański: „Miałeś, chamie, złoty róg". ●

• Tytuł i śródtytuły tekstu - „Wyborcza"

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

***Tadeusz Bartoś**

• filozof, profesor Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie. Zajmuje się problemami filozofii kultury i ewolucji metafizyki, historii oddziaływania tekstów filozoficznych, historii myśli filozoficznej i religijnej średniowiecza. Ostatnio wydał książki „Klątwa Parmenidesa" (2020) i „Upadek, niemożliwy" (2021).

ZAKONN

Kiedyś jako dominikanin byłem dumny, gdy czytałem rozmowy z ojcem Ludwikiem, współbratem. Dziś dumę zastępuje troska. Czy znajdą się następcy?

Tomasz Dostatni OP

Przed wielu laty, gdy przeczytałem książkę rozmów prof. Bożeny Szaynok z dominikaninem o. Ludwikiem Wiśniewskim, „Duszpasterz", poczułem się dumny, że sam jestem dominikaninem.

Ludwika znam od początku lat 80. XX wieku. Mieszkałem z nim jako student, kleryk w klasztorze w Krakowie, a potem przez wiele lat w Lublinie.

Wtedy w Krakowie zaimponował nam, młodym dominikanom, gdy zaczął z nami chodzić na wykłady z filozofii. A był to w naszym zakonie czas naprawdę znamienitych profesorów: byli to Władysław Stróżewski, Juliusz Domański, Klemens Szaniawski, Zofia Włodek, Barbara Skarga, Karol Tarnowski i inni.

Ludwik, wtedy 50 letni, chciał posłuchać, co w marazmie stanu wojennego ci filozofowie mówią. Miał i ma w sobie dominikańską pasję poznawczą, intelektualną, choć nigdy nie był akademikiem, ale całe życie duszpasterzem akademickim. W Gdańsku, Lublinie, Wrocławiu, Krakowie, Sankt Petersburgu.

Ta pasja w ostatnich 20 latach przerodziła się w pisanie książek. I zabieranie głosu w sprawach ważnych publicznie i dla Kościoła. Od słynnego listu do Edwarda Gierka w 1976 r. aż do listu sprzed kilku tygodni do przewodniczącego episkopatu abp. Tadeusza Wojdy w sprawie Radia Maryja i skandalicznych wypowiedzi Antoniego Macierewicza, wyemitowanych jako rozmyślania między modlitwami.

Ludwik jesienią tego roku kończy 90 lat. Jest słabego zdrowia. A jednak pasja ulepszania świata, bycia głosem sumienia dla wielu swoich wychowanków, którzy są zaangażowani od lat w życie społeczne, polityczne, gospodarcze i życie Kościoła - jest w nim stale żywa.

Ostatnio ukazał się czwarty tom jego osobistych zapisków, które nazywa „Czarne z białym. Zapiski niezależne 2012-2017".

Książki można różnie czytać. Chciałbym zaproponować pewien klucz do tych zapisków. Choć mają swoje rozdziały i zapewne dobrze przemyślane ich tytuły: „Kościół na rozstajach", „Państwo, społeczeństwo, Europa", „Za głosem sumienia" czy „W poszukiwaniu słowa", chciałbym zaproponować lekturę, która skupia się na kilku osobach - takich, które jak mniemam, dla Ludwika coś znaczą. Poprzez swoje działanie, myślenie. Są to ludzie, których większość spotkał osobiście w swoim długim już życiu duszpasterza, dominikanina.

Tomáš Halík

Teolog, filozof, nazywany czeskim Tischnerem. Ludwik Wiśniewski pisze:

„Zacytuję jedno zdanie Halíka: »Jeśli uchodźcy będą u nas konfrontowani

1 RP

eprasa.pl 43ba3d7546

IK DOJRZAŁY, ALE SŁOWA MŁODE

FOT. JAKUB ORZECHOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Ludwik Wiśniewski jesienią kończy 90 lat. Mógłby odpocząć. Ale pasja ulepszania świata i Kościoła mu na to nie pozwala

z nienawiścią, to trzeba sobie jasno uświadomić, że tacy panowie jak Zeman i Klaus [prezydenci Czech] – i inni do nich podobni – w ten sposób wpychają ich w ręce islamskich fundamentalistów. I w ten sposób robią dokładnie to, o co tym fundamentalistom chodzi«".

I dalej: „Halík mówi, że otrzymuje listy, które »wyrzucają go z narodu« za to, że nie podziela ich histerii i przerażenia tą »hołotą, która przychodzi niszczyć naszą piękną, czeską chrześcijańską cywilizację«. Zdaje się, że w Czechach w związku z uchodźcami panuje jeszcze większa histeria niż w Polsce". (25.11.2015)

Abp Józef Życiński

Ludwik Wiśniewski notował w piątą rocznicę jego śmierci: „Czuję się jego dłużnikiem. Nie byłem z bliska świadkiem życia arcybiskupa – inni mają więcej do powiedzenia. A ja tak go widzę: wyczulony na kłamstwa, hipokryzję, udawanie, a nawet przemilczanie. Brat, swat - jeśli mija się z prawdą, był jego zdaniem godny napiętnowania. Nikt z biskupów nie pozwolił sobie na krytykę innego biskupa... tylko on.

Widział w drugim człowieku ludzką godność. Ateista, żyd, muzułmanin - jeśli szukał prawdy, godny był szacunku. Można go uznać za ostrego polemistę, ale też umiał słuchać i się uczył. Dlatego mógł być twarzą Kościoła. Znam bardzo wielu ludzi, którzy poczuli się w Kościele »swojsko«, bo był w nim Życiński.

To osoba niesłychanie utalentowana, ale też człowiek wielkiej pracy". (10.02.2016)

Prof. Albert Krąpiec

Dominikanin, wieloletni rektor Katolickiego Uniwersytetu w Lublinie.

„Dzisiejsza »Gazeta Wyborcza« – pisze Wiśniewski – przynosi obszerną rozmowę z Dariuszem Rosiakiem [autorem książki o Krąpcu]. Wynotowuję dwa twierdzenia. Pierwsze oburzyło mnie do żywego: jest faktem, że »otrzymywał od Służby Bezpieczeństwa zadania i je wypełniał, wynika z notatek [generała MO] Konrada Straszewskiego«...

A z drugim stwierdzeniem się zgadzam. Rozmówcy pytają: »Gdzie byłby KUL, gdyby nie współpraca Krąpca z SB?«.

Rosiak odpowiada: »Najprawdopodobniej uczelnia nie istniałaby w formie, jaką znamy z czasów PRL. Nie powinniśmy zapominać o tym, czym wtedy była. Studenci wyrzucani z innych uczelni mogli wówczas studiować na KUL. (...)

Gdyby nie Krąpiec, KUL zapewne byłby czymś w rodzaju 'technikum dla księży'. Tymczasem uniwersytet zyskał szansę funkcjonowania w szerokim zakresie: możliwości odbudowy i rozbudowy infrastruktury, dynamicznego rozwoju naukowego. Tutaj, w atmosferze dużej swobody intelektualnej, wykształciły się tysiące Polaków«.

Dodam jeszcze, że dla mnie jest coś chorego w tym, że jeden człowiek – i to w dodatku historyk – ocenia życie i działalność drugiego człowieka, a jego werdykt, poniżający zasłużoną osobę, uznawany jest niemal za obowiązkowy. Do oceny działalności Krąpca potrzeba zespołu kompetentnych ludzi – powtarzam to bezustannie". (25.04.2014)

Przypomnę tylko, że Ludwik Wiśniewski w latach 70. XX wieku przez wiele lat mieszkał z o. Krąpcem w klasztorze w Lublinie, a potem także w latach 20. XXI wieku. A sam pamiętam słowa prof. Sawickiego, byłego prorektora u Krąpca w latach 70., jak w debacie o współpracy Krąpca z SB powiedział: „KUL był wart grzechu".

Tadeusz Mazowiecki

Ludwik Wiśniewski pisze: „O tym, że Mazowiecki miał jasny pogląd na problem stosunków państwo-Kościół, osobiście dobrze wiem. Bardzo żywo reagował na moje teksty: list do nuncjusza, a następnie inne artykuły zamieszczone w »Tygodniku Powszechnym«. Chciałbym jednak, aby ktoś profesjonalnie prześledził problem styku chrześcijaństwa i polskości, tak jak rysowało się to u Mazowieckiego. Byłoby to ważne, bo jeśli chodzi o tę kwestię, obracamy się do pewnego stopnia w ciemnościach.

Mazowiecki był ogromnie zatroskany stanem Kościoła – wiem o tym bardzo dobrze. Nad grobem Krzysztofa Kozłowskiego powiedział: »Czekamy, aby katolicyzm polski stał się bardziej chrześcijański, bardziej jednoczący i przyjazny ludziom i światu«.

Marzę, aby teksty Mazowieckiego były czytane przez młodych ludzi, którzy przygotowują się do czynnego udziału w życiu politycznym". (2.11.2013)

Zygmunt Bauman

Wiśniewski pisze: „Badacze nie bardzo wiedzą, co z tą wstydliwą przeszłością Baumana zrobić. A mnie się wydaje, że – jak zawsze – życie człowieka należy rozpatrywać w całości. Nie byłoby Baumana myśliciela, przenikliwego i bezwzględnego, gdyby nie było Baumana młodzieńca, błądzącego i równie bezwzględnego.

Nie jestem znawcą całego dorobku naukowego tego człowieka, ale odnoszę wrażenie, że przez całe życie – świadomie czy też nie – odpowiadał na to, co przeżył w młodości. Bauman nigdy w tekstach i rozmowach nie analizował swoich młodzieńczych lat, ale raz w rozmowie z Tomaszem Kwaśniewskim (2013 r.), powiedział: »Dałem się uwieść«.

Bauman odrzucał etykę posłuszeństwa narzuconą przez autorytety i twierdził, że moralność ma się rodzić z wnętrza każdego człowieka, bo inaczej – to już moje dopowiedzenie - jednostka może »dać się uwieść«.

Uważał, że Zagłada nie należy do zjawisk zamkniętych raz na zawsze w przeszłości; jej scenariusz jest wciąż potencjalnie aktywny i może się realizować. Nie wyciągnięto odpowiednich wniosków z Zagłady, jaką przeżyliśmy. Oby na ich wyciągnięcie nie było zbyt późno". (22.01.2017)

Jan Góra

Dominikanin, twórca holdingu duszpasterskiego: Hermanice, Jamna, Lednica. Wiśniewski tak pisze: „Ojciec Jan napisał książkę »Pijani Bogiem«. I jest to najlepsze określenie ojca Jana Góry – »pijany Bogiem«. Powiedział kiedyś: »Chrystus wypełnia całe moje życie i dlatego pragnę Nim się dzielić«.

Nie był świętoszkowaty. Najbliżsi współpracownicy żalili się niekiedy, że zachowywał się jak kapral. Dodawali: »Mówi pięknie o ojcostwie, ale rzadko bywa cierpliwy jak ojciec«. Działał jak czołg i potrafił ludzi ranić.

Ale niemal wszyscy są zgodni, że był wielkim darem od Pana Boga – dla zakonu, dla Kościoła i dla osób, które spotkały go na drodze swojego życia.

Tacy ludzie, kiedy odchodzą, często pozostawiają żyjącym ważne przesłanie. Ośmielam się podjąć próbę wyakcentowania przesłania, które zostawił nam ojciec Jan Góra. Wydaje się, że punktem wyjścia wielkiej pracy i szaleńczych pomysłów ojca Jana było bolesne odkrycie, że język wiary, którym się obecnie posługujemy, nie niesie już ognia, uroku, entuzjazmu, fascynacji. To stąd zrodziło się pytanie, które stało się w jego życiu zadaniem: jak przekazywać ogień wiary?". (1.12.2017)

Stanisław Pyjas

Student, który zginął w Krakowie w 1977 roku. Opozycjonista. Ludwik Wiśniewski cytuje kazanie pogrzebowe o. Joachima Badeniego, wtedy duszpasterza akademickiego krakowskiej „Beczki". To były dni, kiedy w Krakowie odbywały się juwenalia. Badeni powiedział:

„Dla nas, wierzących, gdy człowiek umiera, staje się budowniczym życia... Co zbudował student Stanisław?... Co zbudował, można widzieć w tej chwili w was, w tym żywym Kościele zebranym na »dziewiątce«, i można było widzieć wczoraj , w tych czy innych miejscach naszego miasta, gdzie stali ludzie młodzi, którzy... mogli się bawić, przebierać i bawić, szaleć. Młodość! Maj! Wiosna!

Ci ludzie jednak stali nieruchomo... i głosili to, co było ich najgłębszym, osobistym, przez nikogo nienarzucanym przekonaniem... Możemy tylko budować mocą i prawdą, żywymi kamieniami, siłą własnych przekonań, naszą postawą!...

Protest! Wielki protest! Bardzo spokojny! Milczący mową żywych kamieni i wołający krwią zabitego". (7.05.2017)

Natan Tanenbaum

Wiśniewski: „Wczoraj zmarł w Sztokholmie Natan Tanenbaum, o którym mało kto w Polsce pamięta. Był to polski (choć pochodzenia żydowskiego) satyryk, poeta i autor tekstów scenicznych. Miał 76 lat. Wyjechał z Polski jesienią 1969 roku, kiedy coraz bardziej narastała fala antysemityzmu; podobno bardzo to przeżywał. Mieszkał w Szwecji, ale żył polskimi problemami.

W 1980 roku, kiedy rodziła się Solidarność, Jacek Kaczmarski dostał przesyłkę, w której był tekst »Modlitwy o wschodzie słońca« autorstwa Natana. Do tekstu Przemysław Gintrowski skomponował muzykę i ta niezwykła modlitwa stała się jednym z hymnów Solidarności: »Każdy Twój wyrok przyjmę twardy/ przed mocą Twoją się ukorzę/ ale chroń mnie Panie od pogardy/ przed nienawiścią strzeż mnie Boże«". (24.02.2016)

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Tych Ludwikowych zapisków o ludziach jest oczywiście więcej. Są też uwagi spisane na gorąco do innych tekstów. Dziś czyta się ów dziennik z zadumą, jako zapis tamtych, nie tak odległych chwil. Ale też jako uwagi starego zakonnika, który chce dalej poruszać sumienia.

Kiedyś jako dominikanin byłem dumny, gdy czytałem rozmowę „Duszpasterz" z o. Ludwikiem. Dziś dumę zastępuje troska. Czy będą następcy, którzy będą formowali nasze sumienia? Dając absolutną autonomię indywidualnemu ludzkiemu sumieniu?

• **Ludwik Wiśniewski** OP, „Czarne z białym. Zapiski niezależne 2012-2017", Wyższa Szkoła Informatyki i Zarządzania w Rzeszowie, Wydawnictwo WAM 2026

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Żenia Berkowicz*

Jak pod gruzem

Jak pod gruzem „obca"/„obcy" się szamotać
Być jak aster, który wzrasta, choć jest słota
Być jak motyl, który w pustej garści został
Święte miejsce nadal puste – nie zarosło
Podaj dłoń na pożegnanie, potem spadaj
„My" czy „swoi" więcej mówić nie wypada
Coś w ściśniętej pięści nagle głucho chruśnie –
To motylek, który raz na dłoni usiadł
Ani słowa aż do wiosny – sześć miesięcy
Pora twarz zamienić w cegłę jak najprędzej
I prześlizgnąć się na topniejącym „przebacz"
Tak do kwietnia jeszcze się doczołgać trzeba
Wtedy lazur po niebiosach się roztoczy
I na twoje święte miejsce ktoś-tam wskoczy
Ale póki ktoś-tam jeszcze się nie zjawił
Święte miejsce nadal tobie się zostawia
Bo w ten jeden punkt pustyni się nie wdusi
Trwać na warcie jakiś strażnik zawsze musi
Kurz przylega – zatem trzeba go zdmuchiwać
I listopad po swej twarzy rozmazywać

17.09.2025

przeł. Józefina Piątkowska

***Żenia (Jewgienija) Berkowicz** - ur. w 1985 r., rosyjska reżyserka, dramaturżka i poetka. W lipcu 2025 r. została skazana na sześć lat kolonii karnej za spektakl teatralny. Wiersz ukazał się 17 września 2025 r. na kanale @berkonovosti, prowadzonym przez jej grupę wsparcia (m.in. rodzinę i prawników) w komunikatorze Telegram, gdzie publikowane są informacje na jej temat.

eprasa.pl 43ba3d7546

ALE HISTORIA

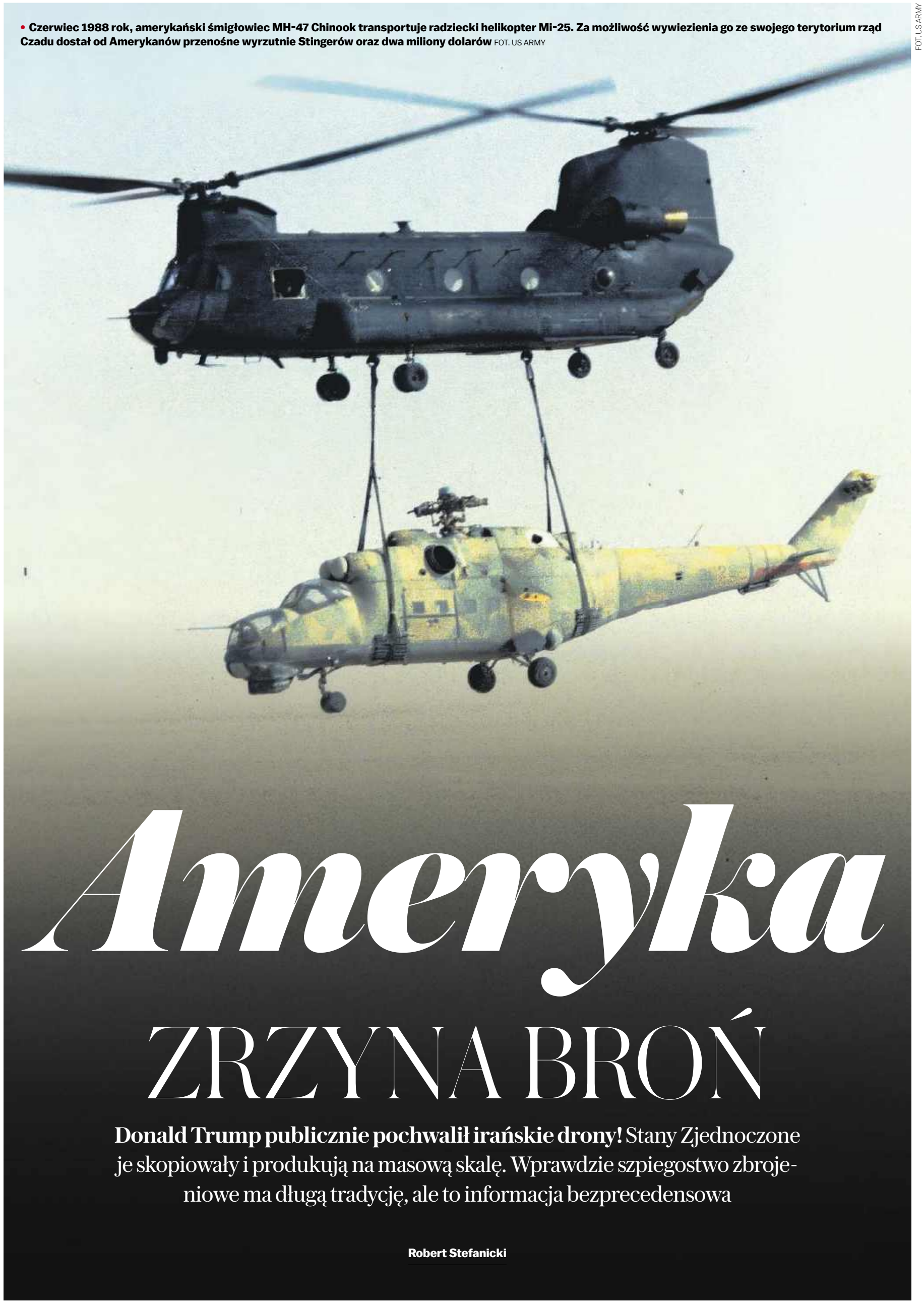

• Czerwiec 1988 rok, amerykański śmigłowiec MH-47 Chinook transportuje radziecki helikopter Mi-25. Za możliwość wywiezienia go ze swojego terytorium rząd Czadu dostał od Amerykanów przenośne wyrzutnie Stingerów oraz dwa miliony dolarów FOT. US ARMY

FOT. US ARMY

Ameryka ZRZYNA BROŃ

Donald Trump publicznie pochwalił irańskie drony! Stany Zjednoczone je skopiowały i produkują na masową skalę. Wprawdzie szpiegostwo zbrojeniowe ma długą tradycję, ale to informacja bezprecedensowa

Robert Stefanicki

1 RP

eprasa.pl 43ba3d7546

Pomysł, że największa potęga militarna świata miałyby zapełniać swoje arsenały kopiami irańskiej myśli technicznej, jeszcze kilka lat temu wydawałby się fantastyczny. Dawniej Amerykanie z zapałem wykradali najbardziej udane wytwory radzieckiego przemysłu zbrojeniowego, ale w innym celu.

Wraz z atakiem USA na Iran pod koniec lutego zadebiutowały nowe amerykańskie drony LUCAS (skrót od Low-Cost Unmanned Combat Attack System – Tanie Bezzałogowe Systemy Uderzeniowe). Zaskakujące jest to, że LUCAS oparto na irańskim dronie Szahid-136.

Amerykanie przespali bezzałogową rewolucję pola walki, chociaż to oni ją zainicjowali: jako pierwsi zaczęli używać dronów na dużą skalę podczas wojny w Afganistanie, tropiąc dowódców talibów i liderów Al-Kaidy. Były to jednak duże maszyny kosztujące miliony dolarów. Wojna w Ukrainie dowiodła, że najskuteczniejszą bronią – zwłaszcza przy uwzględnieniu relacji ceny do jakości – są małe i proste drony jednokierunkowe, zwane też amunicją krążącą. Nie żal ich stracić, bo braki da się szybko uzupełnić produkcją w niewymagających warunkach.

W maju 2025 roku Donald Trump publicznie pochwalił irańskie drony jako tanie w produkcji, a także „bardzo dobre, szybkie i śmiercionośne”. W USA uruchomiono program Replicator, który ma na celu masową produkcję tysięcy takich maszyn.

Swoje korzenie Szahidy mają w RPA, gdzie w latach 80. zaczęto produkować bezzałogowce dla południowoafrykańskiej armii. Zakończenie wojny z Rodezją spowodowało anulowanie zamówień i z czasem dokumentacja trafiła za granicę: najpierw do Izraela, a w 2005 roku, w niejasny sposób, pozyskała ją Irańska Organizacja Przemysłu Lotniczego. Na tej podstawie Irańczycy zaczęli wytwarzać drony, których kolejną wersją jest właśnie Szahid-136.

Po inwazji na Ukrainę Iran zaczął sprzedawać te maszyny do Rosji. Potem Rosjanie je zmodernizowali i przejęli produkcję, a teraz według doniesień wysyłają je Iranowi. Od 2022 roku setki zestrzelonych lub przechwyconych Szahidów trafiły do zachodnich laboratoriów, w tym do USA, gdzie zostały udoskonalone i są produkowane przez małą firmę w Arizonie. Pentagon przyznał, że LUCAS został opracowany metodą inżynierii wstecznej.

Poniekąd to rewanż za 2011 rok, gdy Amerykanie, szpiegując irański program atomowy, stracili nad tym krajem swojego drona RQ-170 typu Stealth. Irańczycy, prawdopodobnie za pomocą rosyjskiego narzędzia walki elektronicznej, zdołali zhakować sygnał GPS i zmusili go do lądowania w niemal nienaruszonym stanie. Potem zorganizowali publiczną wystawę zdobycznej maszyny, a kilka lat później zaprezentowali własne kopie RQ-170, nazwane Szahid-171.

PRZĘDZARKA W PAMIĘCI, UKRADZIONY MOST

Zainteresowanie USA irańskim dronem jest bezprecedensowe. Nie chodzi o samo wykradanie technologii, bo to robiono od dawna. Amerykański przemysł tekstylny, który później zasilił machinę wojenną Waszyngtonu, też był efektem szpiegostwa. Pod koniec XVIII wieku Samuel Slater, 21-letni praktykant w angielskiej przędzalni, zapamiętał konstrukcję przędzarek napędzanych wodą, których władze brytyjskie zakazały eksportować. W 1789 roku wyjechał do Nowego Jorku, gdzie odtworzył przędzarkę z pamięci, a z czasem został potentatem włókienniczym.

Najbardziej znany jest wyścig o przejęcie niemieckiej myśli technicznej i naukowców po upadku Trzeciej Rzeszy. Bez nich nie byłoby lądowania Amerykanów na Księżycu w 1969 roku, opóźniłaby się konstrukcja pierwszych pocisków balistycznych. Niemieckie badania nad skośnymi skrzydłami USA wykorzystały przy budowie myśliwca F-86 Sabre, który miał debiut w 1948 roku.

Po drugiej wojnie światowej Amerykanie dążyli do pozyskania technologii wojskowej przeciwników, ale celem nie było jej kopiowanie, tylko poznanie – chcieli nauczyć się, jak ją pokonać. Wyjątek miał miejsce na początku lat 70. XX wieku, gdy wojskowe Dowództwo Badań i Rozwoju Sprzętu Mobilnego wykorzystało zdjęcia i szkice radzieckiego składanego mostu pływającego do opracowania podobnego.

„W ciągu następnego półwiecza nie było porównywalnych przykładów zawłaszczenia przez Waszyngton potencjału militarnego przeciwnika. Stany Zjednoczone czuły się pewnie, mając przewagę w metodach i środkach prowadzenia wojny, i nie czuły potrzeby kopiowania tego, co robili inni”, napisali w „Foreign Affairs” Michael Horowitz i Lauren Khan, eksperci od bezpieczeństwa narodowego. Autorzy artykułu wezwali Waszyngton, by pilnie przyjął rozproszony model produkcji dronów LUCAS. Wzorem powinien być statek towarowy znany jako „Liberty Ship” – gdy Stany Zjednoczone przygotowywały się do drugiej wojny, prezydent Franklin D. Roosevelt upoważnił do jego produkcji 18 różnych stoczni w całym kraju.

• Projekt Azorian, tajna operacja przeprowadzona w 1974 roku na Pacyfiku. Należący do miliardera Howarda Hughesa statek „Glomar Explorer” miał podnieść z dna radziecki okręt podwodny, który miał na pokładzie pociski balistyczne

FOT. U.S. GOVERNMENT

POLOWANIE NA MIGA

W latach 60. zachodnie armie bardzo chciały poznać słabe punkty wyjątkowo udanego radzieckiego myśliwca Mig-21. Liczne egzemplarze trafiły do Egiptu, Syrii i Iraku. Współpracujący z USA wywiad izraelski postawił sobie za cel wykradzenie choć jednego egzemplarza.

Najpierw próbowano przekupić egipskiego pilota Adnana Kocha, by uciekł Migiem do bazy w Libii. Kontakt nawiązano w 1962 roku w Szwajcarii, gdzie Koch przebywał na wakacjach. Zaoferowano mu milion dolarów i azyl polityczny w USA. Pilot udawał, że się zgadza, a w rzeczywistości powiadomił kontrwywiad. Kiedy agenci przybyli na umówione spotkanie, by sfinalizować plan ucieczki do bazy NATO w Libii, wpadli prosto w ręce egipskich służb. Siatka szpiegowska Mosadu w Kairze została rozbita, a Koch został ogłoszony bohaterem narodowym.

Dwa lata później agentka Mosadu nawiązała relację z kapitanem irackiego lotnictwa Szakerem Mahmudem Jusufem. Po pewnym czasie zaproponowano mu ucieczkę Migiem do Izraela lub do bazy USA. Jednak radzieccy doradcy wojskowi w Iraku byli czujni i zanim Jusuf zdążył podjąć jakąkolwiek decyzję, został zabity.

W 1965 r. kolejny Irakijczyk, kpt. Mohammed Abbas Muslawi, miał odłączyć się od formacji podczas lotu treningowego i skierować w stronę Izraela. Jednak gdy tylko Muslawi zboczył z kursu i przestał odpowiadać na wezwania radiowe, irackie dowództwo pod presją Sowietów kazało go zestrzelić.

Kolejna operacja była sukcesem. W 1966 Mosad znalazł w Iraku pilota, asyryjskiego chrześcijanina, który narzekał na dyskryminację w wojsku i był zły, że kazano mu atakować irackich Kurdów. Munir Redfa zgodził się zdezerterować w zamian za milion dolarów, obywatelstwo Izraela i ewakuację jego rodziny. 16 sierpnia 1966 roku Redfa przyleciał nowiuteńkim Migiem-21 prosto do Izraela. Izraelscy lotnicy przeanalizowali mocne i słabe strony odrzutowca. Następnie, w styczniu 1968 roku, MiG-a wypożyczono Stanom Zjednoczonym, w zamian za zgodę na sprzedaż myśliwców F-4 Phantom.

JAK POWSTAŁA SZKOŁA TOP GUN

Samolot przewieziono na poligon testowy Strefa 51 w Nevadzie. Inżynierowie z Wydziału Zagranicznej Technologii rozebrali go do ostatniego nitu. Analizowano skład stopów metali, jakość spawów i rozwiązania hydrauliczne. Badano też płyny eksploatacyjne, aby sprawdzić, czy zamienniki nie zniszczą silnika.

Kiedy maszyna była już na powrót złożona, przeprowadzono loty testowe. Piloci mieli jedno zadanie: znaleźć słabości myśliwca. Sprawdzano, przy jakiej prędkości wpada w korkociąg, jakie ma przyspieszenie i jak ciasno skręca. Testowano, pod jakim kątem amerykańskie radary do gubią oraz jakie martwe pola widzenia ma pilot.

Odkryto np., że Migi miały fatalną widoczność do tyłu. A także, że silnik wyłącza się przy gwałtownych manewrach na dużych wysokościach. Ta jedna informacja uratowała życie dziesiątkom amerykańskich pilotów w Wietnamie – wiedzieli, że jeśli „wyciągną” Mig-a wysoko i zmuszą do ostrego skrętu, mogą liczyć na to, że jego silnik po prostu zaryczy i zgaśnie.

Wreszcie symulowano walki powietrzne. Amerykańscy piloci z 4477. Eskadry, tzw. Red Eagles, grali rolę agresorów. Podczas pierwszych starć Amerykanie latający na ciężkich F-4 Phantom byli przerażeni tym, jak zwrotny jest mały Mig-17 czy Mig-21. Dzięki testom Amerykanie zrozumieli, że nie mogą wchodzić z nimi w kołowe walki manewrowe. Opracowali taktykę „boom and zoom” – uderz z dużą prędkością i uciekaj, zanim przeciwnik zdąży skręcić.

Program był tajny, nawet inni piloci stacjonujący w bazach obok Strefy 51 nie wiedzieli, co lata im nad głowami. Jeśli przypadkowy pilot zauważył Miga, kazano mu milczeć pod groźbą sądu polowego, a oficjalnie twierdzono, że widział „prototypowy samolot eksperymentalny”.

Wiedza zdobyta w Strefie 51 doprowadziła do powstania szkoły Top Gun, gdzie piloci uczyli się walk powietrznych ze zwrotnymi maszynami radzieckimi. Po wprowadzeniu szkolenia opartego na realnych parametrach Miga „kill ratio” (stosunek zwycięstw do porażek) lotnictwa Marynarki USA w Wietnamie wzrósł z poziomu 2:1 do 13:1.

TAJNA OPERACJA NA PACYFIKU

W 1974 roku CIA przeprowadziła jedną z najbardziej zuchwałych operacji zimnej wojny, Projekt Azorian. Pod pozorem wydobywania konkrecji manganu z dna oceanu statek o nazwie „Hughes Glomar Explorer” spróbował podnieść wrak radzieckiego okrętu podwodnego K-129, który zatonął na Pacyfiku sześć lat wcześniej i spoczywał na głębokości pięciu kilometrów. Amerykanie wydali na to około 800 milionów dolarów (równowartość dzisiejszych czterech miliardów). Miliarder Howard Hughes, którego firmy były wykonawcami kontraktów na broń, samoloty i satelity wojskowe USA, zgodził się użyczyć swojego nazwiska projektowi, ale nie angażował się osobiście w operację.

Celem było przejęcie rakiet R-21 – pierwszych radzieckich pocisków balistycznych wystrzeliwanych z zanurzonego okrętu podwodnego. A także maszyn szyfrujących i ksiąg kodów. W nadziei na ich odczytanie naukowcom zlecono opracowanie metod konserwacji papieru, który przez lata znajdował się pod wodą.

Okręt podwodny zlokalizował wrak za pomocą holowanego, ważącego dwie tony zestawu kamer, lamp stroboskopowych i sonaru. Jednak podczas podnoszenia kadłuba, gigantyczne chwytaki statku „Glomar Explorer” pękły. Większa część okrętu, zawierająca to, co najcenniejsze – kody i rakiety – odłamała się i spadła z powrotem na dno, rozbijając się na drobne kawałki. Amerykanie wyciągnęli tylko dziób z dwiema torpedami nuklearnymi i ciałami marynarzy, którym zorganizowano nabożeństwo żałobne i pochowano na morzu w metalowej trumnie z powodu obaw o radioaktywność.

Wokół Projektu Azorian powstało wiele teorii spiskowych. Najpopularniejsza głosiła, że Amerykanie wyciągnęli cały okręt, a historia o pęknięciu kadłuba była zasłoną dymną. Niektórzy twierdzą, że wydobycie wraku było tylko przykrywką dla innej misji: podpięcia się pod radzieckie kable komunikacyjne na dnie oceanu. Sławna fraza: „Nie możemy ani potwierdzić, ani zaprzeczyć” została ukuta przez CIA specjalnie na potrzeby pytań dziennikarzy o Projekt Azorian. Do dziś nazywa się to „odpowiedzią Glomara”.

UKRADZIONA LATAJĄCA FORTECA

W następnej dekadzie nadarzyła się okazja do zdobycia nowoczesnego śmigłowca. Wojska libijskie wycofały się z Czadu po przegranej wojnie, ale pozostawiły olbrzymie ilości sprzętu wojskowego. Stany Zjednoczone szybko podjęły działania, by pozyskać jego najcenniejsze elementy. W maju 1987 roku siedem czeskich samolotów Aero L-39 Albatros zostało zdemontowanych i przetransportowanych transportowymi Herculesami do USA. Potem amerykański wywiad odkrył, że w pobliżu Ouadi Doum, na starym wojskowym lotnisku znajduje się porzucony śmigłowiec Mi-25 w niezłym stanie. W zamian za zgodę na jego przejęcie rząd Czadu dostał przenośne wyrzutnie Stingerów oraz dwa miliony dolarów.

Zadanie przydzielono 160. Pułkowi Lotnictwa Operacji Specjalnych. W kwietniu 1988 roku jednostka przeprowadziła próbne nocne loty śmigłowców MH-47 Chinook na pustyni w Nowym Meksyku. Pod jeden z tych helikopterów podwieszono ładunek sześciu

eprasa.pl 43ba3d7546

500-galonowych, czyli 1900-litrowych zbiorników na wodę, symulujący wagę Mi-25.

W maju dwa MH-47 przywieziono do Ndżameny, stolicy Czadu, częściowo rozmontowane. Obsługa naziemna pracowała całą noc nad ich ponownym montażem. Żeby zaoszczędzić na wadze, usunięto dodatkowe zbiorniki paliwa.

O północy 11 czerwca Chinooki rozpoczęły 890-kilometrową podróż do Ouadi Doum. Tajemnica i szybkość były kluczowe, ponieważ część sił libijskich pozostała w tym rejonie. Obawiano się też, że Libijczycy mogą zbombardować porzucone śmigłowce, jeśli dowiedzą się o próbie ich odzyskania.

Jeden Chinook podniósł ważącego ponad 8 ton Mi-25 na zewnętrznym podwieszeniu. W drodze powrotnej zrobiono międzylądowanie w Faya-Largeau, gdzie czekał samolot C-130 w roli stacji benzynowej. Drugi postój w celu uzupełnienia paliwa był w Moussoro, na lotnisku obsadzonym przez jednostkę francuskiej Legii Cudzoziemskiej. Francuzi dodatkowo wsparli operację, wysyłając kilka samolotów Mirage F1 do osłony powietrznej.

W momencie lądowania w Ndżamenie rozpętała się burza piaskowa. Kiedy minęła, zdobyczną maszynę 16 czerwca załadowano do transportowca C-5 i pomyślnie przetransportowano do Fort Rucker w USA, gdzie przywrócono mu sprawność. Tak oto Amerykanie zdobyli kompletną, sprawną „latającą fortecę". Analiza opancerzenia i systemów celowniczych Mi-24 pozwoliła im na ulepszenie pocisków przeciwpancernych Hellfire, aby skuteczniej przebijały radzieckie pancerze. Dziś zdobyczny helikopter można oglądać w muzeum lotnictwa w Birmingham w Alabamie.

ZWĘDZIĆ, KUPIĆ, DOSTAĆ SOJUSZNIKÓW

Przez lata w Strefie 51 i innych tajnych bazach zgromadzono pokaźną kolekcję radzieckiego sprzętu. Pozyskiwano go z rozmaitych źródeł, najczęściej od sojuszników ZSRR, którzy zmienili front. Jak Indonezja, która na początku lat 70. zaczęła zwracać się ku Zachodowi. W ramach tajnej umowy USA odkupiło od tego kraju partię Migów-21. Były to pierwsze maszyny, na których amerykańscy instruktorzy uczyli się radzieckiej taktyki walki kołowej.

Po wojnie Jom Kippur (1973) Egipt zerwał sojusz z ZSRR i przeszedł na stronę USA. Prezydent Anwar Sadat w zamian za amerykańską pomoc wojskową przekazał Waszyngtonowi Migi-23, najnowocześniejsze wtedy myśliwce o zmiennej geometrii skrzydeł. Dzięki ich przetestowaniu USA mogły dostosować własne radary. Egipt dał Amerykanom również Migi-21 w najnowszych wersjach oraz systemy rakietowe ziemia-powietrze (SAM).

W latach 80. Stany Zjednoczone kupowały też chińskie samoloty, będące kopiami Mig-21. Było to w okresie odwilży w relacjach Pekin – Waszyngton zakończonym masakrą na Placu Tiananmen. Zakup kilkunastu chińskich Chengdu F-7B (eksportowa wersja J-7) odbył się pod przykrywką firmy cywilnej, aby nie ujawnić transferu broni od komunistycznego państwa do US Air Force. Również te samoloty trafiły do eskadry „Red Eagles", gdzie amerykańscy piloci uczyli się, jak pokonać najpopularniejsze myśliwce świata.

Po zjednoczeniu Niemiec w 1990 roku Luftwaffe nagle odziedziczyła flotę wschodnioniemieckich Mig-29. NATO przez lata wysyłało tam swoich najlepszych pilotów, aby mogli toczyć pozorowane walki z tymi najnowocześniejszymi myśliwcami. Okazało się, że w bliskim kontakcie Mig-29 był niemal nie do pokonania przez ówczesne F-16 czy F-15.

Już po upadku Związku Radzieckiego, w 1997 roku, USA kupiły od Mołdawii 21 sztuk Mig-29. Obawiano się, że Kiszyniów sprzeda te samoloty Iranowi. Amerykanie weszli w posiadanie maszyn zdolnych do przenoszenia broni jądrowej i wyposażonych w zaawansowane celowniki nahełmowe (pilot celuje rakietą, patrząc na wroga), czego USA wtedy jeszcze nie miały dopracowanego w takim stopniu.

Amerykanie desperacko chcieli też poznać sekrety rosyjskiego systemu przeciwlotniczego S-300, który był groźny dla ich lotnictwa. W 1994 roku próbowali odkupić elementy od Białorusi i Ukrainy przez podstawione firmy krzaki. Jednak rosyjski wywiad dowiedział się o operacji i zawczasu wymontował ze sprzedanych do USA za miliony dolarów radarów kluczowe procesory i bloki elektroniki, zastępując je atrapami lub starszymi wersjami. Dostęp do S-300 USA uzyskały w kolejnych latach dzięki współpracy z Grecją, Słowacją i Ukrainą, które miały takie systemy na stanie. ●

• **„Kałka", obraz rosyjskiego malarza Pawła Ryżenki z 1996 roku. Bitwa pod Kałką, do której doszło 31 maja 1223 roku, to przełomowe wydarzenie w historii Rosji. Klęska wojsk rusko-połowieckich w starciu z Tatarami spowodowała uzależnienie państwa od Mongołów. Chan tatarski, leżąc na dywanie i posilając się, bezczelnym wzrokiem patrzy na pojmanego księcia ruskiego** FOT. DOMENA PUBLICZNA

Rosjo, ORDO TY MOJA!

Rosja nie jest ani Trzecim Rzymem, ani nawet spadkobierczynią Bizancjum, tylko mongolską ordą, nosicielką cywilizacji turańskiej – stwierdził sto lat temu modny na prawicy Feliks Koneczny. Co na to współcześni historycy?

Piotr Głuchowski

1 RP

eprasa.pl 43ba3d7546

– „Turański” to słowo ostatnio popularne po prawej stronie sceny politycznej, choć dla przeciętnego słuchacza niejasne – mówi mi językoznawca profesor Jerzy Bralczyk. – Zaliczyłbym je do nieoczywistych pojęć wprowadzonych przez Jarosława Kaczyńskiego, takich jak choćby „ojkofobia”.

– Gdy słyszę, że ktoś peroruje na temat cywilizacji turańskiej, przełączam kanał – zżyma się profesor Grzegorz Motyka, dyrektor Wojskowego Biura Historycznego. – To jest kompletnie niepoważne.

– Systemowe ujęcia historii na wielkim poziomie ogólności, a takim jest pojęcie „cywilizacja turańska”, zawsze będą kontrowersyjne, lecz to nie powód, by je całkowicie odrzucać – oponuje profesor Andrzej Chwalba. – To, co dziś robi Rosja, sprawia, że wraca zainteresowanie koncepcją turańskości i pojawia się coraz więcej głosów ten temat, także wśród jak najbardziej poważnych polityków i publicystów.

„Rosję należy przypisać do cywilizacji turańskiej, której bolszewizm był tylko jednym z przejawów” – mówi w rozmowie z serwisem Polonia Christiana profesor Andrzej Nowak, autor wielotomowych „Dziejów Polski”.

„Zarówno Rosjanie, jak i Ukraińcy to ludzie turańscy, którzy rozumieją tylko argument siły” – ocenia w rozmowie z „Wyborczą” Kamil Klimczak, redaktor ultrakonserwatywnego serwisu Chrobry Szlak.

„Były okresy, kiedy Polska ulegała cywilizacji turańskiej” – pisze w książce „Pomiędzy Wschodem a Zachodem” Wojciech Reszczyński, niegdyś prezenter „Teleexpressu” TVP, ostatnio publicysta Radia Maryja i tygodnika „Sieci”.

„Czas wykorzenić z polskiego życia publicznego tę mentalność turańską, która każe uważać, że my nie jesteśmy zdolni do samodzielnych decyzji, że jakiś suzeren z zewnątrz musi nam te decyzje dyktować” – stwierdza na konferencji prasowej Grzegorz Braun, lider Konfederacji Korony Polskiej.

Co właściwie znaczą mentalność i cywilizacja turańska?

SIEDEM CYWILIZACJI FELIKSA KONECZNEGO

Autorem obu pojęć jest historiozof, krytyk teatralny i publicysta, zmarły w 1949 roku krakus Feliks Koneczny, który w opozycji do uznającego cywilizacje za organizmy społeczne niemieckiego filozofa historii Oswalda Spenglera sformułował teorię, wedle której są one przede wszystkim „metodami życia zbiorowego”.

Polak wyróżnił siedem istniejących za jego życia cywilizacji: bizantyńską (starożytną rzymską), najdoskonalszą jego zdaniem łacińską (z grubsza: chrześcijańską), dalej arabską, bramińską, chińską, żydowską i wreszcie turańską. Nazwa tej ostatniej pochodzi od słowa Tū rā n, którym starożytni Persowie określali ludy żyjące na północ od rzeki Amu-daria, na terenach Wielkiego Stepu.

Społeczność turańska – wedle Konecznego – nie rozwinęła więzi społecznych wyższych niż rodowe. Ludy turańskie łączyły się jedynie w celach wojennych, tworząc ordy, czyli olbrzymie zbrojne kupy będące bronią atomową swoich czasów. Największe ordy utworzyli Hunowie i Mongołowie; mniejsze – Rosjanie i Kozacy. Główne cechy cywilizacji turańskiej (a także – zdaniem Konecznego – współczesnej Rosji) to, po pierwsze, indyferentyzm religijny; po drugie, zasada, wedle której władców nie obowiązuje moralność; po trzecie, brak rozwoju nauki kompensowany przyswajaniem sobie obcych wynalazków w dziedzinie wojskowości.

Choć Koneczny napisał książki poświęcone osobno cywilizacjom łacińskiej, bizantyńskiej i żydowskiej (wszystkie wydane pośmiertnie), nie ma jednej pracy historiozofa poświęconej cywilizacji turańskiej. Istnieje jednak wybór jego pism na ten temat skompilowany przez profesora nauk leśnych Macieja Giertycha, ojca Romana.

Książkę „Cywilizacja turańska Rosji” wydała w 2020 roku Księgarnia Patriotyczna Antyk. Opowieść o państwie moskiewskim w wydaniu Konecznego jest czasami zgodna, a miejscami fascynująco odległa od tego, czego uczono nas w szkołach.

DROGA ZE SZWECJI NAD BOSFOR

Zaczyna się w roku 838, kiedy „pojawiło się w Konstantynopolu poselstwo od skandynawskiego ludu zwącego się Rus”. Rzeczeni Skandynawowie odkryli drogę przez rzekę Newę, a dalej „przez szereg jezior do Dniepru i Wołgi, do Bagdadu i Konstantynopola”. Tak powstała opisywana później w ruskich latopisach „put’ iz Warjag w Greki”, czyli droga z kraju Waregów (teren obecnej Szwecji) do stolicy Bizancjum.

Z czasem północny początek tego szlaku, „ubogie krainy pomiędzy jeziorem Pejpus a jeziorem Ilmen”, to znaczy między dzisiejszą Estonią a Nowogrodem Wielkim, „zyskiwały coraz więcej w oczach Rusów”. Stali się oni „odkrywcami skarbu tej krainy, który polega na tym, że jest ona łącznikiem wszelkich dróg wodnych spajających Morze Bałtyckie z Czarnem i Kaspijskim, a więc jest także kluczem do opanowania całej połowy świata”.

Mieszkańcy tej „połowy” przed pojawieniem się Rusów byli w większości poddanymi rozciągającego się od Kaukazu po Kijów i Smoleńsk kaganatu Chazarów – stepowych władców wyznania mojżeszowego, którzy ściągali z podległych im osad „od dyma miecz”, czyli jednego poborowego z każdego ogniska domowego. Rusowie przejęli ten system, co wedle Konecznego jest ważne, ponieważ w ten sposób „dym stał się podstawową jednostką poboru rekruta, daniny w naturze i później w pieniądzu (...) jednostką, na której oparł się cały system ciężarów państwowych”.

„Skutek musiał być taki, że ludność nie kwapiła się z zakładaniem nowych dymów”, a rodziny zdolne do budowy drugiej chaty „gniotły się zamiast tego we wspólnej”. W efekcie „rozwój dobrobytu nie pociągał za sobą równoległego rozwoju kultury indywidualnej”.

Kolejnym spadkiem, który Rusowie przejęli po kaganach chazarskich, był zwyczaj ściągania daniny przez lokalnych władyków. Koneczny: „Musieli brać na siebie całe odium u ludu, by się utrzymać przy władzy”.

Tak powstał system „tworzenia rodzimych administratorów obcego hegemona” znany „z innych stron świata i czasów”, ale „nigdzie tak nie wydoskonalony jak w dorzeczu Wołgi i Dniepru”.

MOSKWA, ZAGRABIONA DZIEDZINA KUPCA KUCZKI

Państwo Rusów nominalnie zostało ochrzczone w roku 866 (kniaź Askold z Kijowa), a potem ponownie w 957 (księżna Olga Mądra). Nie była to jednak jeszcze chrystianizacja kraju.

Koneczny: „Jedyną wspólnością ludów w dorzeczu Dniepru i Wołgi nie była religia, ale wybierana przez Olgę dań, czyli wspólne poddaństwo polegające na panowaniu Rusów normandzkich”. Stąd nazwa państwa Ruś „nie ma w sobie etnograficznego znaczenia”, a jest jedynie określeniem przybyłych zza Bałtyku odbiorców daniny, której pobór zreformował wielki książę kijowski Światopełk II, po ojcu Rurykowicz, po matce wnuk Mieszka II Lamberta.

Kniaź Światopełk sprowadził z zachodu Żydów, którzy „zorganizowali sprawy skarbowe, podnosząc wydatnie dochody książęce”. Prócz „miecza od dymu” pojawiły się opłaty targowe oraz „daniny od dochodów dotychczas nieopodatkowanych”.

Koneczny: „Kijowianie tak Żydów znienawidzili, że ledwie Światopełk w 1113 roku zamknął oczy, rzucili się na dzielnicę żydowską i ją rozgrabili”. Był to najprawdopodobniej pierwszy pogrom w historii Europy.

Tymczasem 750 kilometrów na północ, w śródleśnej osadzie nad rzeką Moskwą, żył kupiec imieniem Kuczko, któremu powodziło się tak dobrze, że w 1147 roku wielki książę kijowski Jerzy Dołgoruki ożenił swego syna Andrzeja (znanego historii jako Bogolubski) z córką Kuczki, Ulitą. Według Konecznego „nie pomogło to jednak, gdy Kuczko przeciwstawił się księciu. Spór rozstrzygnięto mordem: Kuczko został zabity, a jego posiadłości przejął Dołgoruki”.

Ponieważ nazwa osady – Kuczkowo – denerwowała kniazia, „nie używano jej dalej, omawiając miejscowość jako osadę nad Moskwą”, zaś „pierwotna nazwa poszła w zapomnienie”. Tworząca się na północy (z perspektywy Kijowa – za lasami) moskiewska Nowa Ruś przejęła w ten oto sposób, jak pisze Koneczny, „grzech pierworodny wschodniej Słowiańszczyzny: turańską rozbieżność społeczeństwa a państwa”.

MIĘDZY LITWĄ, PIASTAMI I POŁOWCAMI

Bogolubski jako pierwszy z Rurykowiczów uznał, że położona za puszczami Moskwa może być więcej warta niż Kijów.

Koneczny: „Zalesie było bezpieczne od koczowników, zaludnione spokojną ludnością fińską, a opatrzone obficie grodami i drużynami dawało panowanie nad rozstajami wielkich dróg handlowych oraz nadawało się do wzniesienia potęgi dynastycznej”. Pojawił się jednak nowy czynnik: „Litwa, która szybko zorganizowała się w państwo”.

„Ta Litwa, co w XII wieku nieśmiało stawiała pierwsze kroki na ziemi ruskiej, z początkiem XIII stulecia występuje jako potęga, przed którą drżą i korzą się pojedyncze państwa ruskie, a której nieraz siły kilku państw sprostać nie mogą”. „Kraik nie szerszy, jak na 30 mil”, posyła oddziały zbrojne na Włodzimierz Wołyński, Psków i Wielkie Łuki. Przy tym „nie słychać o żadnym oporze społeczeństwa przeciw zaborom litewskim na Czarnej Rusi – a wszak to chrześcijanie przechodzili pod władzę pogan! Widocznie było im pod nowym zwierzchnictwem lepiej, bo bezpieczniej (...). Poczynał już ludzi mierzić nierząd książęcy Rurykowiczów”.

Z tego samego powodu „dawna ziemia Grodów Czerwieńskich i najbliższe krainy” (czyli okolice założonego w 1250 roku Lwowa) oddały się „pod zwierzchnictwo Piastów”.

Jednocześnie wschodnie księstwa ruskie wpadły pod wpływy wywodzących się z Wielkiego Stepu Połowców – następców Chazarów. „Zna historia takie przypadki, że społeczeństwo jakieś oddaje się wpływom kultury niższej, ale brutalnie konsekwentnej – pisze dalej Koneczny. – Połowiecki kult siły fizycznej potrzebnej do łupieży, by żyć cudzym kosztem, doszedł [na Rusi] do tego, że siła ta stała się sama sobie celem i wyrodziła się w brutalność, zamiłowanie do niszczenia dla samej przyjemności niszczenia jako świadectwa przewagi”.

Tak zatem „z dwóch przeciwnych stron oddziaływały na Ruś dwa biegunowo odmienne wpływy. Wpływ Polski podnosił kulturę, czego dowodem choćby umowa zawarta z Piastami w 1229 roku, żeby na wojnie nie brać do niewoli ludzi nieuzbrojonych – pierwsze średniowieczne międzynarodowe humanitarne prawo wojenne. (...) Silniejszym był jednak wpływ połowiecki niosący handel ludźmi, który to wpływ ogarnął Ruś południową aż do Czernihowa i Perejesławia” – konkluduje Koneczny i przechodzi do kwestii kluczowej.

I NADSZEDŁ KAGAN WSZYSTKICH KAGANÓW

„Przyszedł w nasze strony jakiś lud jadowity, barbarzyński (...) Bogu jednemu wiadomo, co oni za jedni i skąd wyszli” – głosi ruski latopis z 1224 roku.

eprasa.pl 43ba3d7546

Dziś wiemy, że wyszli z terenów między ziemiami Połowców i Chinami zaś w drodze do Europy obeszli Kaukaz od południa. Nazywamy ich wspólnie Mongołami, choć Koneczny pisze, że to nazwa zwodnicza, bo „najeźdźcy mówili narzeczem tureckim, tak różnym od mongolskiego jak francuski od niemieckiego". Mongołowie nie byli zatem narodem, lecz cywilizacją polityczną utrzymującą się z rzemiosła wojennego, co „w konsekwencji doprowadziło do ciągłej, systematycznej zdobywczości jako najwyższej racji życia".

„Wyobraźmy sobie zaciężne najemnictwo ogarniające całe narody", a będziemy mieli przed sobą klasyczne „państwo cywilizacji turańskiej", gdzie rody i plemiona nie łączą się wedle wyznania, rasy czy wspólnej przeszłości, ale według aktualnej przynależności do sztandaru. Koneczny: „Losy wojny, świecąca lub gasnąca gwiazda danego kondotiera rozstrzygały o tworzeniu się i zaniku ludów, zwłaszcza tureckich".

Takim kondotierem był urodzony w 1162 roku Temudżyn, który pobił „wszystkie plemiona tureckie, mongolskie i tatarskie na północ od pustyni Gobi". Kazał się nazywać kaganem wszystkich kaganów, czyli Dżyngis-kaganem. 45 podległych sobie ludów wyznających islam, szamanizm, buddyzm, a nawet chrześcijaństwo, uformował po wojskowemu i nazwał Niebieskimi Mongołami – oznaczało to tyle, co naród wybrany przez ogólnie pojętą Opatrzność. Jako że państwo Dżyngis-chana opierało się na wschodzie o Chiński Mur, na południu o wspomnianą pustynię i Himalaje, od północy zaś rozciągał się Sybir – ci, którzy nie chcieli się podporządkować, uchodzili na zachód, by „błądzić po szerokim świecie, zabrawszy z sobą nieco trzody i koni". „Był w języku tureckim termin na takiego miłośnika luźności: kozak". Inne słowo: tatar (również tatir) „oznaczało po prostu łąkę, czyli step i stepowy tryb życia".

W 1223 roku na te luźno wypełnione tatarami i kozakami łąki między Dnieprem a Wołgą „wkroczyła armia w regularnych korpusach, we wzorowej karności, z ogromnymi zapasami paszy, mąki i wina oraz z taborem urzędników, w znacznej części Chińczyków zaprowadzających zaraz po zwycięstwach administrację w imieniu kagana wszystkich kaganów". Ten, jak pisze Konieczny, „szedł na Połowców i Bułgarów nadwołżańskich", zaś „Ruś nie wchodziła całkiem w jego plany i by nie weszła nigdy, gdyby książęta ruscy nie byli go zaczepili".

PAŃSTWOWOŚĆ PRZEZ CIEMIĘŻENIE

Prowadzący wojska turecko-mongolskie Subutaj (Subedej), zajmując ziemie połowieckie aż po Krym, wysłał do Rusinów poselstwo złożone z azjatyckich chrześcijan, którzy oznajmili kniaziom, że Dżyngis-chan, pan Niebieskiej Ordy, Syn Świetlistej Łani, nie myśli o krokach wojennych przeciw ich dziedzinom. Książę kijowski Mścisław Romanowicz rozkazał posłów zabić. Była to straszna obraza chana, jednak Subutaj ścierpiał i wysłał kolejnych posłów, którzy niczego nie wskórali. Armia połowiecko-ruska spotkała się więc z Tatarami nad rzeką Kałką przepływającą przez obecny Donbas i – jak wiemy – poległa.

Ruś popadła w mongolskie jarzmo dziwnie podobne chazarskiemu. Teraz to Rurykowicze musieli zbierać daniny dla panów z dalekiego wschodu. Koneczny: „Książę musiał gwarantować kaganowi określone dochody, inaczej narażał osobę swoją, a księstwo na łupieski najazd (...). Dotychczas była rozbieżność społeczeństwa a państwa, odtąd nastanie przeciwieństwo. Państwowość utrzymuje się pod zwierzchnictwem mongolskim przez ciemiężenie społeczeństwa".

Z jednej strony „dopiero administracja tatarska przemieniła luźne panowanie Rurykowiczów i Połowców nad Rusią w działające państwo", z drugiej „stanowisko każdego Tatara na Rusi było odtąd wyniesione ponad wszelkie prawo". Przykładowo: baskak, czyli mongolski poborca podatków w Kursku, „zakładał na cudzych gruntach osady, aby pracowały na jego rachunek", a gdy miejscowi ziemianie próbowali się skarżyć „radził sobie w najprostszy sposób: kazał ich wieszać".

Koneczny: „Postępujące po śmierci Dżyngis-chana zdziczenie Tatarów przyniosło ludom Rusi samowolę zwierzchników, zdzierstwo fiskalne, rozkwit handlu niewolnikami [których sprzedawano Arabom] i wszystkie plagi bezprawia". Co gorsza: „sami Rurykowicze zacieśniali więzy własnego poddaństwa", co było zdaniem historiozofa „zjawiskiem historycznym jedynym w swoim rodzaju".

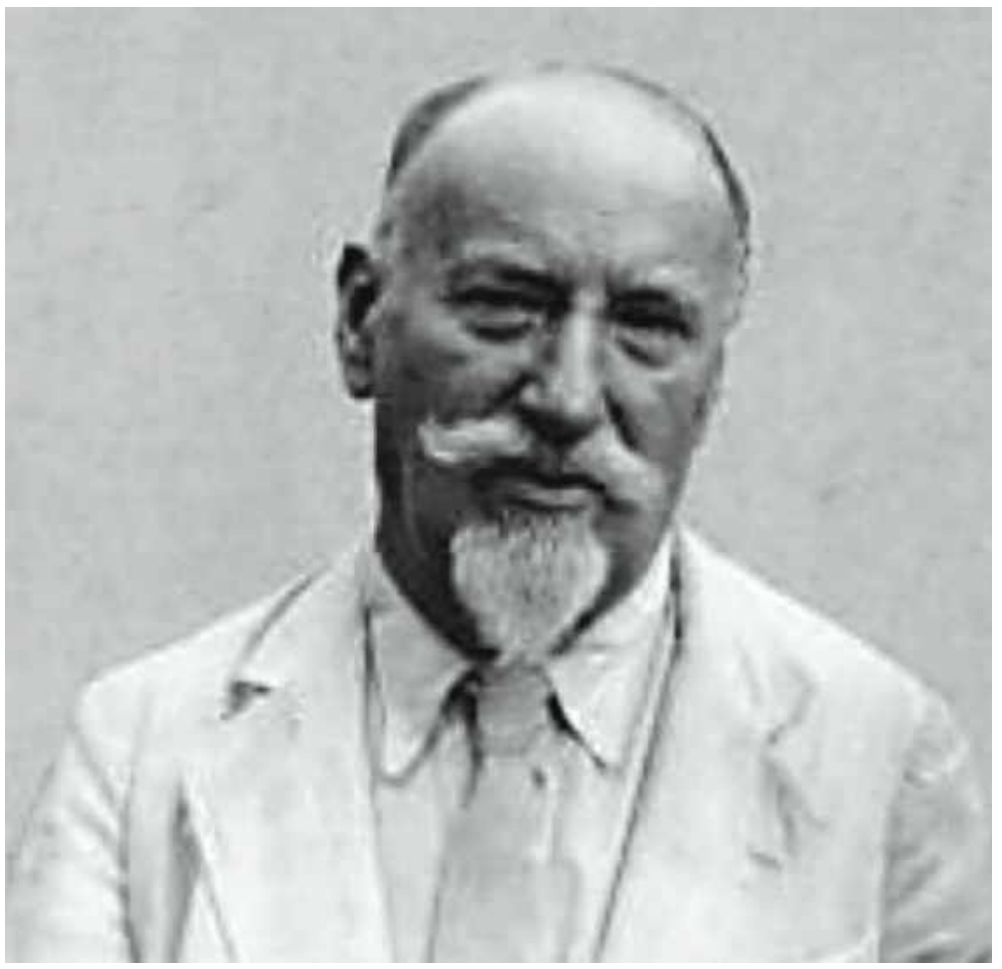

• **Feliks Koneczny (1862-1949), historiozof, publicysta, krytyk teatralny**
FOT. DOMENA PUBLICZNA

• **„Książę Michał czernichowski w obozie Batu Chana", obraz Wasilija Smirnowa z 1883 roku. Książę został wezwany przez tatarskiego władcę do Ordy w 1246 roku. Przed wejściem do jego namiotu kazano mu pokłonić się tatarskim bożkom, a kiedy odmówił, Batu Chan kazał go stracić** FOT. HERITAGE IMAGES/GETTY IMAGES

JEDEN JEST TYLKO CAR PRAWDZIWY – CHAN Z SARAJU

W 1263 roku książę twerski Jarosław, młodszy brat księcia włodzimierskiego Andrzeja, posłał do chana prośbę o jarłyk na Włodzimierz, czyli przywilej i obowiązek ściągania daniny z księstwa brata. „Gdyby nie podstępny krok Jarosława, mógłby jarłyk spaść do znaczenia formalności, nadawanym będąc każdorazowo głowie Rurykowiczów" – pisze Koneczny. Tymczasem „Jarosław sam wskazał dworowi chańskiemu, jak można skrępować dynastię zasadą, że wpierw trzeba otrzymać jarłyk, aby rządzić, i że może go dostać ktokolwiek".

Odtąd prawa krajowe Rusi straciły znaczenie wobec woli chana, ród Rurykowiczów zaś „składał się już nie z grupy gotowych do wzajemnej pomocy sojuszników, ale luźnej gromady osobistych wrogów". Niebawem ruscy książęta „stali się jedynie tatarskimi dostojnikami" zawisłymi bezpośrednio od ordy. „Starali się na wyścigi o przyjaźń chańskiego dworu" ulokowanego w nadwołżańskim Saraju, „kopiąc pod sobą dołki w ordzie, działając intrygami i przekupstwem, przypochlebiając się serwilizmem i dobrowolnym zwiększaniem daniny".

Kultura polityczna Wielkiego Stepu „obniżyła się do tego stopnia, że panować oznaczało łupić". Z początkiem XIV wieku mongolska administracja, która niegdyś „była zawiązkiem porządków państwowych na Rusi (...), skurczyła się do fiskalizmu".

„Fatalną przechodzili książęta Rurykowicze szkołę w systemie, w którym urząd a krzywda ludzka znaczyło to samo" – pisze dalej Koneczny. I pyta: „Jakież to idee rodziły się w Moskwie" u schyłku średniowiecza? Odpowiedź autora: żadne.

„Wszystkie posłannictwa Moskwy-Rosji zostały wymyślone przez cudzoziemców, importowane, wmówione, a przyjęte z udanym przejęciem, kiedy niosły zysk". Gdy pochodzący z Bułgarii metropolita kijowski Cyprian Serb namawiał wielkiego księcia moskiewskiego Wasyla Dymitrowicza do zrzucenia jarzma tatarskiego i poddania się władzy Bizancjum, ten odparł: „Jeden jest tylko car prawdziwy", ten rezydujący w Saraju.

TURANIZM ZNÓW W NATARCIU

Ów przytoczony przez Konecznego dialog między biskupem a kniaziem dotyka sedna myślenia historiozofa o Rosji. Ta nie jest mianowicie żadnym Trzecim Rzymem czy spadkobierczynią Bizancjum. Jest tatarsko-mongolską ordą skopiowaną przez wschodnich Słowian i rządzących nimi Waregów w formie, która przyjmie z czasem miano Imperium Rosyjskiego.

A co w takim razie z Zoe Paleolog i dwugłowym bizantyńskim orłem, którego Moskwa przyjęła za własny?

Koneczny: „Zoe Paleolożanka przybyła [w 1472 roku] z orszakiem humanistów. Lecz [wielki książę moskiewski] Iwan III Srogi i jego dworzanie nie chcieli nic innego jak tylko

eprasa.pl 43ba3d7546

rzeczy wojskowe. Nie tylko nie ma w źródłach najmniejszych śladów wprowadzenia ceremoniału bizantyńskiego, lecz napotyka się wskazówki wyraźne i liczne, jako ceremoniał ogromnie skomplikowany przedostał się do Moskwy od carów tatarskich”.

„Ci sami humaniści, którzy wykładali we Włoszech Homera i Platona, nie zdołali nikogo w Moskwie nauczyć gramatyki. [Za to] majstrów wszelakich importowano, ile się tylko dało, najchętniej ludwisarzy [czyli twórców armat]. Pod koniec XV wieku Moskwa górowała już w rzemiośle wojennym nie tylko nad Tatarami, ale i nad Litwą”. Pozostała jednak państwem turańskim i – co gorsza – zaczęła tę „turańską metodę życia społecznego narzucać innym krajom”, jak choćby Rzeczypospolitej.

Dalej było jedynie gorzej. Zdaniem profesora Andrzeja Nowaka turanizm osiągnął szczyt ekspansji w II połowie XX wieku, gdy opanował połowę Europy i Azji jako porządek sowiecki. A teraz, po rosyjskiej agresji na Kijów, znowu jest w natarciu.

Co na to inni historycy?

– Przed wojną prace Feliksa Konecznego mieściły się jeszcze na pograniczu filozofii cywilizacji. W świecie obecnym to już się kompletnie zdezaktualizowało

DR HAB. TOMASZ STRYJEK

NIESZCZĘSNY KONECZNY NADAL STRASZY...

– Moim zdaniem to jakieś prawicowe szaleństwo – mówi cytowany już profesor Motyka. – Temat raczej dla historyka idei. Radziłbym zasięgnąć opinii profesora Stryjka.

Dr hab. Tomasz Stryjek pracuje w Instytucie Studiów Politycznych PAN i zaczyna od tego, że koncepcja cywilizacji Konecznego nie ma dziś statusu nauki.

– Przed wojną jego prace mieściły się jeszcze na pograniczu filozofii cywilizacji. W świecie obecnym to już się kompletnie zdezaktualizowało. Po II wojnie światowej podejście do cywilizacji jako aktora historii, czegoś niezmiennego, zostało zarzucone jako nazbyt wartościujące, hierarchizujące i w konsekwencji – dyskryminujące. Z czasem postmodernizm podważył samo pojęcie cywilizacji jako bytu w sensie ontycznym. Historycy uznali, że cywilizacje to konstrukty myślowe.

Aż wystąpił Samuel Huntington ze swoją tezą o zderzeniu cywilizacji jako napędzie dziejów...

– Huntington, w odróżnieniu od Konecznego, nie hierarchizował, lecz opisywał cywilizacje: zachodnią, prawosławną, islamską, latynoamerykańską... Za jego sprawą samo pojęcie „cywilizacja jakaś tam” wróciło do słownika. Po zamachach 11 września publicyści uznali, że słowa Huntingtona o „wojnie cywilizacji, która nadaje bieg historii”, były proroczymi. Mimo to kategoria „cywilizacja” do nauki już nie wróciła – pozostała w słowniku publicystów. Naukowiec nie określi dziś Rosji mianem cywilizacji – ani trurańskiej, ani prawosławnej. Powie raczej o Imperium Rosyjskim – zlepku różnych kultur.

Tezy Konecznego krytykuje również profesor Hieronim Grala, badacz dziejów Rusi i dyplomata, po roku 2000 dyrektor Instytutu Polskiego w Sankt Petersburgu i Moskwie.

– Nieszczęsny Koneczny nadal straszy. Prawicowe wydawnictwa tłuką jego książki z teoriami, które już w chwili pisania – przed wojną – były odrzucane przez ówczesną naukę. Rozmach pisarstwa Konecznego może imponować, ale jego oczytanie w literaturze przedmiotu kuleje. Snuje na kartach dywagacje wynikające z pobieżnej jedynie lektury źródeł, bez znajomości szczegółów, za to z dużą dozą apriorycznych uprzedzeń wobec Wschodu. Koneczny po prostu nie lubił Rosji, nie lubił też Żydów, napisał antysemicką „Cywilizację żydowską”... Z czasem jego poglądy stały się szkodliwe społecznie i edukacyjnie, dając nieprzygotowanym umysłom grunt dla rozwoju fobii wobec Rosji. Chociaż paradoksalnie jego trzytomowa historia tego kraju jest dziełem bardzo dobrym, zawiera mnóstwo trafnych definicji... tylko że przy tym zaprzecza jego własnej teorii cywilizacji.

TE DZIEŁA USTAWIŁBYM NA PÓŁCE „KURIOZA”

Także profesor Rafał Wnuk – dyrektor Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku – uważa, że spuścizna Konecznego nie jest do końca poważna: – Cywilizacje jako niezmienne, trwałe i bezalternatywne byty... nie widzę w tym jakiejś głębi. Co oczywiście nie przeczy faktowi, że współczesna Rosja ukształtowała się w dużej mierze pod wpływem ordy mongolskiej. Niemniej jednak Koneczny nie jest autorem, który mógłby wyjaśnić studentowi, jak działa dzisiejszy świat.

Podobnie twierdzi profesor Andrzej Friszke, historyk i członek rzeczywisty PAN: – Dla mnie „cywilizacje” nie są kryteriami nauki. Ale prawica to pojęcie kocha. Nasi narodowcy próbowali nawet zaliczyć Niemców do cywilizacji turańskiej. Odkurzają dziś Konecznego, bo on był konserwatywny, polski, katolicki, krytyczny wobec liberalizmu.

Pasuje do antyoświeceniowej wizji świata, takiej z lat trzydziestych XX wieku, którą politycy prawicy próbują nam sprzedać, udając, że to nauka.

Jeszcze ostrzej wypowiada się doktor Janusz Marszalec, specjalista od historii Polski: – Nie znam żadnego historyka, który by poważnie traktował Feliksa Konecznego. Dla mnie to intelektualny odchył. W dyskursie uniwersyteckim jego prace nie funkcjonują – no, chyba że ktoś chce pokazać historię historiozofii albo opisać stan świadomości historycznej w słusznie minionym stuleciu. Zarówno prace Konecznego o „cywilizacji turańskiej”, jak i jego książkę „Cywilizacja żydowska” ustawiłbym na półeczce „kurioza”.

LUDZIE LUBIĄ MĄDRE WYRAŻENIA

Jedynym – prócz Andrzeja Nowaka – znalezionym przeze mnie historykiem, który daje Konecznemu szansę, jest wspomniany już profesor Chwalba: – Próby sklasyfikowania cywilizacji pojawiły się już w wieku XIX – zaczyna. – Słowo „cywilizacja” oznaczało wówczas „wyższość, doskonałość”. Różnicowało narody na cywilizowane, cywilizujące się i te zupełnie niecywilizowane, czyli najgorsze. Koneczny poszedł tym śladem i sklasyfikował kultury wedle swego uznania, tworząc między innymi pojęcie „cywilizacji turańskiej”.

Spotykam się z opiniami, że dzisiejsze działania Rosji dowodzą trwałości turanizmu i że Koneczny miał rację... nie wykluczam tego. Przez większość historyków on jest traktowany jako dziwak z zakurzonej przeszłości, natomiast czytelnicy wciąż jego książki kupują. W wielu tekstach dzisiejszych badaczy historii pobrzmiewają tezy, które swoje początki mają u Konecznego. A wojna w Ukrainie spowodowała wręcz renesans jego teorii.

– Pańscy koledzy historycy mówią mi, że te teorie poszły do lamusa.

– Z lamusa można też wyjść.

– Abstrahując od naukowej wartości pojęcia „cywilizacja turańska”, sądzę, że samo słowo może się w Polsce przyjąć – przewiduje profesor Bralczyk. – Bo ludzie po prostu lubią tego typu mądre wyrażenia, których znaczenie pojmują często jedynie intuicyjnie. ●

Jasne strony dziejów

Spowiedź z cudzych grzechów

Prezydent Karol Nawrocki i jego współpracownicy demonstrują – nie wiem, czy w pełni świadomie – bardzo starą i bardzo niebezpieczną postawę wyższościową wobec Ukrainy.

Brzeziecki

Ogłoszony przez prezydenta Karola Nawrockiego zamiar odebrania prezydentowi Ukrainy Wołodymyrowi Zełenskiemu Orderu Orla Białego, nawet gdyby ostatecznie nie został zrealizowany, jest jednym z najszkodliwszych posunięć obecnego prezydenta RP (wziąwszy pod uwagę weto w sprawie SAFE, konkurencja jest duża). Odebranie orderu jest afrontem tak niesłychanym, że może być wykonane chyba tylko wobec notorycznego przestępcy. Jak to wpłynie na stosunki polsko-ukraińskie, szkoda gadać.

Słowa Karola Nawrockiego były reakcją na nadanie przez prezydenta Ukrainy jednostce wojskowej nazwy bohaterów UPA. Pewnie, że lepiej, gdyby tej nazwy nie nadano, jednak również nasi bohaterowie mogą budzić sprzeciw u innych narodów i trzeba z tym żyć.

Tymczasem Ukraińcy nadal stoją – trudno wciąż powtarzać te banały, ale widać trzeba – przed groźbą unicestwienia narodu. W tej sytuacji potrzeba symboli narodowych jest paląca i przy ich ocenie nie wolno nam, w bezpiecznej Polsce, stosować normalnych pokojowych kryteriów. Te zaś polskie ugrupowania polityczne, co gloryfikują Narodowe Siły Zbrojne, szczególnie kolaborancką Brygadę Świętokrzyską, powinny trzy razy ugryźć się w język, zanim zaczną pouczać inne narody, które organizacje można czcić, a których nie.

Duch Stańczyka u Wyspiańskiego w „Weselu” (akt II, scena VII) wyrzuca Dziennikarzowi demagogię i ironizuje, jak łatwo i przyjemnie jest „za swojego bliskiego uczynić publiczną spowiedź” – „spowiedź [...] cudzych grzechów” (słabszym z teologii przypominam, że spowiedź z definicji dotyczy jedynie występków własnych, nie cudzych).

Otóż pouczanie Ukraińców, jak mają się rozliczyć ze zbrodnią wołyńską, to jest właśnie spowiedź z cudzych grzechów. Każdy naród ma w swej historii rzeczy dobre i złe i każdemu narodowi potrzebni są ludzie, którzy zwracają na te złe uwagę. Ale to muszą być przedstawiciele danego narodu, nie sąsiedzi. Wskazywanie na zło w ukraińskiej historii jest naturalnym zadaniem ukraińskiej inteligencji, podobnie jak wskazywanie na zło w historii Polski jest zadaniem inteligencji polskiej.

Prezydent Karol Nawrocki i jego współpracownicy demonstrują – nie wiem, czy w pełni świadomie – bardzo starą i bardzo niebezpieczną postawę wyższościową wobec Ukrainy. Okazują niezachwiane przekonanie, że my w stosunkach z Ukrainą jesteśmy stroną pokrzywdzoną, że Ukraińcy muszą nas przeprosić, a wtedy my, ewentualnie, z naszej pańskiej łaski, Ukraińcom wybaczymy, opatrując to wybaczenie tysiącem warunków, i ciągle stawiając nowe, tak aby nigdy do końca Ukraińcy nie mieli poczucia, że sprawa jest już zamknięta; by ciągle można było stawiać nowe żądania.

Innymi słowy, postawa polskiej prawicy buduje w społeczeństwie polskim przekonanie, że historyczne stosunki polsko-ukraińskie są mniej więcej takie jak historyczne stosunki polsko-niemieckie, tj. że Ukraińcy, podobnie jak Niemcy, są narodem, który Polaków prześladował, i że winni są Polakom choćby symboliczne – a może i nie tylko, choć o odszkodowaniach od Ukrainy na razie się nie mówi – zadośćuczynienie.

Otóż chciałbym przypomnieć, i to nie po raz pierwszy, rzecz banalną: przez kilkaset lat to Rusini byli pod panowaniem polskim, nie odwrotnie. Oczywiście jest tysiąc niuansów – Rzeczpospolita była państwem wielonarodowym, nie tylko polskim, a ruska szlachta zachowywała swą kulturę (o czym mówią świetne prace ukraińskich historyczek Natalii Jakowenko i Natalii Starczenko). Jednak przecież nie była to rzeczpospolita równouprawnionych wolnych narodów (być może stałaby się taką, gdyby ugoda hadziacka doszła do skutku). Była krajem polskiej dominacji, nie bezwzględnej, nie całkowitej, ale wyraźnej. W efekcie duża część historii stosunków polsko-ukraińskich (polsko-ruskich, polsko-kozackich itp.) jest dla Ukraińców dziedzictwem upokorzenia. Przerażająco zapadło w świadomość zbiorową obu narodów przekonanie, że Polacy to panowie, Rusini to chamy.

O tym, jak strasznie takie spojrzenie utrudniało jakikolwiek kompromis w okresie międzywojennym, możemy wyczytać w świetnej książce prof. Włodzimierza Mędrzeckiego o inteligencji polskiej na międzywojennym Wołyniu. Teraz, kiedy Ukraińcy mają niepodległe państwo, kiedy z powodzeniem walczą z Rosją – bohatersko oddając życie również za nas wszystkich – te stereotypy się powoli zacierają. Wyższościowa postawa Karola Nawrockiego budzi je ponownie. ●

Andrzej Brzeziecki – historyk, dziennikarz, publicysta

eprasa.pl 43ba3d7546

PANDORA

KOBIETA CYBORG

Nie miała emocji, pamięci, przeszłości ani przyszłości. Zeus zaprogramował ją do wykonania jednej misji: otwarcia fatalnego słoja cierpienia, który miał zawsze nękać śmiertelników.

FOT. WIKIPEDIA

Z **ADRIENNE MAYOR** ROZMAWIA **KASPER KALINOWSKI**

• **„Pandora", obraz z 1881 roku autorstwa Lawrence'a Almy-Tademy, holenderskiego malarza tworzącego w Anglii** FOT. ALAMY STOCK PHOTO/BE&W

KASPER KALINOWSKI: Wielu historyków wiąże początki robotyki ze średniowieczem, ale pani cofa się o ponad dwa tysiące lat – co odkryjemy, szukając korzeni technologii w antycznej mitologii?

ADRIENNE MAYOR, HISTORYCZKA, AUTORKA KSIĄŻKI „BOGOWIE I ROBOTY. JAK LUDZIE STAROŻYTNOŚCI WYMYŚLILI SZTUCZNA ŻYCIE": Wielu historyków twierdzi, że pierwsze automaty powstały w średniowieczu i wykorzystywały mechanizmy zegarowe. Niektórzy filozofowie nauki twierdzili nawet, że w starożytności nikt nie był w stanie wyobrazić sobie samobieżnych urządzeń lub automatów, ponieważ taka technologia jeszcze nie powstała. Wydaje się to jednak wątpliwe – w końcu jak może nastąpić innowacja, jeśli ludzie nie wyobrażają sobie tego, co jeszcze nie istnieje?

Zastanawiałam się więc, czy możliwe jest, że koncepcja robotów mogła zostać wymyślona już w starożytności.

Odkryłam, że ludzie wyobrażali sobie automaty już w czasach Homera, ponad 2500 lat temu. Część mitów opisywała naśladowanie natury za pomocą biotechne, czyli „życia przez rzemiosło".

Roboty, istoty syntetyczne i samobieżne urządzenia pojawiają się w starożytnych mitach o Odyseuszu, Jazonie i Argonautach, czarownicy Medei, wykonanym z brązu strażniku Talosie, genialnym rzemieślniku Dedalu, Prometeuszu czy Pandorze – sztucznej kobiecie stworzonej przez boga kowalstwa Hefajstosa.

Jako bóg wynalazków i technologii Hefajstos stworzył w swojej pracowni na Olimpie wiele cudów, z których korzystali zarówno bogowie, jak i on sam. Homer opisał niektóre z wynalazków Hefajstosa – automatyczne bramy, które otwierały się i zamykały dla rydwanów bogów, oraz zestaw 20 inteligentnych miechów, które Hefajstos wykonał do własnej kuźni. Wymyślił również flotę bezzałogowych wozów, które mogły dostarczać ambrozję bogom na niebiańskie bankiety i wracać po opróżnieniu.

Jednym z niesamowitych dzieł była grupa Złotych Dziewic – wyglądały jak prawdziwe kobiety, ale były wykonane ze złota. Obdarzono je zdolnością poruszania się, siłą, rozumem i „całą wiedzą bogów". Przewidywały wszystko, czego potrzebował Hefajstos. Złote Dziewice naprawdę brzmią jak starożytna wersja sztucznej inteligencji. Hefajstos skonstruował również parę ziejących ogniem brązowych byków dla króla Ajetesa, aby ten zabił Jazona i Argonautów, a także stworzył realistyczne automatyczne lwy i psy do ochrony królewskich pałaców.

Oznacza to, że tysiące lat przed średniowiecznymi i wczesnonowożytnymi maszynami, a nawet całe wieki przed innowacjami technologicznymi starożytności, które umożliwiły powstanie rzeczywistych, samobieżnych urządzeń, w mitologii greckiej analizowano pomysły dotyczące tworzenia sztucznego życia. Sztuczna inteligencja i roboty były możliwe do wyobrażenia już w starożytności. To, co naprawdę mnie zaskoczyło, to fakt, że starożytne mity przewidują niektóre z praktycznych i etycznych dylematów, przed którymi stoimy obecnie w związku ze sztuczną inteligencją i robotyką.

To kiedy możemy mówić o powstaniu pierwszego mitycznego robota?

– Talos to pierwszy robot, który pojawił się w mitologii greckiej około 2700 lat temu. Był gigantycznym, wykonanym z brązu androidem wykonanym przez Hefajstosa na zlecenie Zeusa jako prezent dla króla Minosa z Krety. Co ciekawe, poeta Hezjod (ok. 700 roku p.n.e.) szczegółowo opisał wewnętrzną budowę i źródło zasilania Talosa, który spełnia tym samym współczesne definicje robota. Talos poruszał się samodzielnie i wchodził w interakcję z otoczeniem, posiadał wewnętrzne źródło zasilania – wewnątrz brązowego automatu znajdowała się tętnica lub rurka. Siłą napędową Talosa był ichor, tajemniczy płyn życia bogów. Pulsował w przewodzie biegnącym od jego szyi do kostki. Wewnętrzny system życiowy Talosa był zamknięty śrubą przy jego kostce. Zadaniem Talosa była obrona Krety przed najeźdźcami. Został zaprogramowany przez Hefajstosa do rzucania głazami, aby zatopić obce statki zbliżające się do wybrzeży Krety. W walce wręcz Talos potrafił rozgrzać swoje ciało do czerwoności, chwytać ofiary i piec je żywcem.

Talos pojawia się pod koniec „Argonautiki", eposu o Jazonie i Argonautach oraz ich słynnej wyprawie po Złote Runo. Kiedy Jazon i jego ludzie wylądowali na Krecie, byli skazani na śmierć z rąk Talosa. Na szczęście dla nich czarodziejka Medea wymyśliła, jak obezwładnić Talosa, wykorzystując połączenie perswazji i technologii.

Talos był jedynie bezduszną maszyną z brązu czy istotą obdarzoną świadomością i emocjami?

– Cóż, w micie o Talosie Medea domyśliła się, że ten brązowy robot może mieć pewne cechy ludzkie. Domyśliła się słusznie. Medea przekonała Talosa, że może uczynić go nieśmiertelnym – ale tylko wtedy, gdy pozwoli Jazonowi odkręcić wspomnianą śrubę w kostce. Talos się zgodził. Oznacza to, że dało się go przekonać i podjął decyzję samodzielnie – to cechy ludzkie. Starożytne malowidła na wazach z V wieku p.n.e. przedstawiają Jazona używającego narzędzia do usunięcia śruby. Kiedy śruba została usunięta, siła życiowa automatu wypłynęła jak stopiony metal. Tak więc Talos został stworzony i zniszczony za pomocą technologii.

Jeden ze starożytnych malarzy waz przedstawił nawet łzę spadającą z oka robota, gdy ten upadał. Wiemy również, że Sofokles napisał tragedię o Talosie. Wydaje się, że starożytni Grecy wyobrażali sobie Talosa jako swego rodzaju cyborga, półmaszynę, półczłowieka, zdolnego do pewnego rodzaju świadomości i emocji i że odczuwali współczucie dla robota, który został oszukany przez Medeę.

Starożytni mieli również obsesję na punkcie młodości? Znajdziemy to w mitach?

– Czarownica Medea twierdziła, że posiada zdolność odmładzania starych baranów. Zamieniała je w młode jagnięta przez umiesz-

eprasa.pl 43ba3d7546

czenie ich w swoim magicznym kotle zawierającym specjalne składniki. Stryj Jazona Pelias został ugotowany na śmierć, gdy Medea oszukała jego córki, wmawiając im, że mogą odmłodzić starca, naśladując jej czynności.

Grecy z pewnością zastanawiali się nad praktycznymi i etycznymi problemami związanymi z dążeniem do wiecznego życia. W wierszach i mitach proste, dobre życie lub osiągnięcie chwały i sławy są lepsze niż życie wieczne.

Istniał również tragiczny mit o Titonosie z Troi. Był tak przystojny, że zakochała się w nim Eos, bogini świtu. Jako bogini była oczywiście nieśmiertelna i nie mogła się pogodzić z myślą, że Titonos, który był śmiertelnikiem, pewnego dnia umrze. Poprosiła innych bogów, by uczynili jej kochanka nieśmiertelnym. Spełnili prośbę. Eos zapomniała poprosić jednak, by pozostał młody, silny i piękny. Biedny Titonos zestarzał się i stał się kruchy, a potem stawał się coraz starszy i słabszy, aż w końcu bogini ze smutkiem umieściła sędziwego kochanka w złotej komnacie, gdzie spędzi wieczność jako wyschnięta skorupa człowieka, który nie może umrzeć.

Ten mit rodzi pytania o konsekwencje pragnienia nieśmiertelności u śmiertelników. Wielu starożytnych poetów mówiło o wartości odwagi i heroizmu. To jednak cechy charakterystyczne wyłącznie dla śmiertelników. Nikt nigdy nie nazwał nieśmiertelnego boga odważnym ani heroicznym.

Hefajstos stworzył również Pandorę. Możemy ją porównać do starotestamentowej Ewy, skoro też utrwaliła krzywdzące przekonania wobec kobiet?

– Pandora była wytworem technologii, a nie martwą rzeczą ożywioną przez boga. W tym sensie nie przypominała wcale Ewy. Co ważniejsze, Pandora nie przypominała wcale dziewczyny z sentymentalnej, bajkowej wersji, którą zna większość ludzi. Niewinna młoda kobieta ulega ciekawości i otwiera zakazany słoik, nieumyślnie pozwalając nieszczęściu i kłopotom wydostać się na świat. W oryginalnym micie o Pandorze nie ma mowy o niewinności, a ciekawość nie jest w ogóle wspomniana. W oryginale mściwy, wszechmocny Zeus nakazał Hefajstosowi stworzyć pułapkę (dolos) oraz piękne zło (kalon kakon), które miało stanowić karę dla ludzkości za przyjęcie ognia od Prometeusza.

Pandora została opisana jako sztuczna kobieta, stworzona, a nie zrodzona. Zeus wysłał tego złowrogiego fembota jako karę. Nie posiadała więc emocji, pamięci oraz przeszłości ani przyszłości. Została zaprogramowana do wykonania jednej misji. Jej jedynym zadaniem było otwarcie fatalnego słoja cierpienia, który miał na zawsze nękać śmiertelników. Zeus wysłał pięknego fembota na Ziemię jako narzeczoną dla Epimeteusza, brata Prometeusza. Prometeusz, który zawsze starał się chronić ludzi przed tyranem Zeusem, ostrzegł brata, aby nie przyjmował Pandory. Ostrzegał, że „dar” Zeusa przyniesie katastrofę. Ale Epimeteusz nie posłuchał. Był oczarowany pięknem sztucznej kobiety. Dopiero gdy było już za późno, pożałował swojej decyzji.

W micie o Pandorze imiona odgrywają bardzo ważną rolę. W starożytnej Grecji imię Prometeusz oznaczało „przewidywanie”, czyli zdolność do wyprzedzania wydarzeń. Imię Epimeteusz oznaczało natomiast „spojrzenie wstecz”, czyli niemożność patrzenia w przyszłość. Te imiona naprawdę doskonale oddają sedno mitu.

Jednym z najważniejszych motywów w książce jest rozróżnienie między tym, co zrodzone, a tym, co stworzone. To odróżnia je od magicznych istot obecnych w mitach każdej kultury?

– Starożytni poeci opisywali Talosa, Pandorę i inne realistyczne sztuczne istoty jako „stworzone, a nie zrodzone”. Te cuda zostały zbudowane przy użyciu tych samych narzędzi, materiałów i metod, z których korzystali ludzcy rzemieślnicy, ale z niesamowitym efektem, ponieważ ich twórcą był bóg obdarzony nadludzką kreatywnością i mocami. Kluczowe sformułowanie „stworzone, a nie zrodzone” podkreśla technologiczne, niebiologiczne pochodzenie Talosa, Pandory czy innych sztucznych zwierząt i androidów. Te cuda uznawano za dzieła technologii. To odróżnia je od martwej materii, której życie zostało magicznie nadane przez zaklęcie lub rozkaz boga.

A może przypomina to czasy dzisiejsze? Odpowiednio zaawansowana technologia jest nieodróżnialna od magii? Może dzisiejsze algorytmy uczenia maszynowego i technologia czarnej skrzynki sprawiają, że wracamy do punktu wyjścia, w którym technika znów wydaje nam się magią?

– Wspomniałeś o czarnej skrzynce i o tym, jak powraca ona do sytuacji bezradności i podziwu dla magii. Zgadzam się. Jednym z uderzających przesłań mitu o sztucznej istocie Pandorze i jej zapieczętowanym dzbanie nieszczęścia jest to, jak została przedstawiona Epimeteuszowi. Jako kuszący prezent, obiekt o nieodpartej urodzie. W ten sam sposób są nam zazwyczaj przedstawiane sztuczna inteligencja i roboty. Jako coś pozytywnego i korzystnego. Podobnie jak Epimeteusz jesteśmy ślepi na potencjalne szkody i katastrofy. Symbol zapieczętowanego dzbana Pandory nabiera nowego znaczenia. Obecnie sztuczna inteligencja i uczenie maszynowe, mające dostęp do ogromnych zbiorów danych, przekształciły się już w technologie typu czarna skrzynka. Logika działania i systemy podejmowania decyzji są tajemnicze nie tylko dla użytkowników, ale również dla ich twórców. Czarująca magia zaawansowanej technologii nabiera obecnie cech niebezpiecznej, niepowstrzymanej czarnej magii.

Powołuje się pani na współczesny termin „dolina niesamowitości”. Starożytni mogli jej doświadczyć?

– Dolina niesamowitości odnosi się do uczucia, które odczuwamy, gdy sztuczna istota wydaje się prawdziwa, ale jest w niej coś dziwnego lub nie do końca w porządku. Wydaje się żywa lub świadoma, ale nie prawdziwa.

W starożytnych greckich świątyniach rzemieślnicy wytwarzali naturalnej wielkości, hiperrealistyczne posągi bogów i bogiń, które wyglądały jak żywe. Wydawało się wręcz, że oddychają. Posągi miały inkrustowane oczy, rzęsy i zęby z kości słoniowej, a ich skóra była pomalowana barwionym woskiem, aby wyglądała jak ludzka. Niektóre z posągów potrafiły nawet podnosić ręce, otwierać drzwi lub obracać głowy, mrugać i płakać. Wyobraź sobie, jak wyglądałoby spotkanie z jedną z tych realistycznych rzeźb w świątyni nocą, oświetlonej jedynie światłem księżyca lub lampy oliwnej. Doświadczenie to przypominałoby efekt niesamowitej doliny.

Nie należy prosto przekładać współczesnych pojęć technologicznych na starożytność. Jak więc mówić o robotach w Grecji, żeby nie popaść w tanią sensację?

– Kiedy przyglądamy się starożytnym mitom, w których wyobrażano sobie, jak bogowie mogli konstruować automaty, powinniśmy pamiętać, że cofamy się w czasie o ponad dwa tysiąclecia. Jednym ze sposobów myślenia o mitach, które zebrałam w mojej książce, jest uznanie tych opowieści za eksperymenty myślowe. Mity należą do pierwszych opowieści science fiction. Spoglądanie wstecz na mitologię grecką może się wydawać ironiczne, ponieważ pędzimy ku przyszłości zamieszkanej przez zaawansowane roboty i sztuczną inteligencję. Jednak świadomość, że ludzie od wieków rozważają kwestię sztucznego życia, zmusza do myślenia. Uważam, że wyrafinowanie i głębia tych starożytnych marzeń o technologii sprawiają, że są one istotne dla dzisiejszego myślenia.

Często mówi się, że technologia podąża za science fiction. W rzeczywistości już w IV wieku p.n.e. Grecy zaczęli konstruować prawdziwe samobieżne urządzenia i automaty oparte na dźwigniach, kołach pasowych, zębatkach, parze, hydraulice i innych mechanizmach. Jednym z pierwszych prawdziwych automatów był sztuczny ptak, który faktycznie potrafił latać. Prawdopodobnie był napędzany parą. W IV wieku p.n.e. skonstruował go inżynier Archytas, przyjaciel Platona. Mnóstwo działających automatów i samobieżnych urządzeń w epoce hellenistycznej – od IV wieku p.n.e. do I wieku n.e.– zostało zainspirowanych wyobraźnią genialnych inżynierów i wynalazców. Myślę, że studiowanie starożytnych mitów o sztucznym życiu może pomóc nam zrozumieć ponadczasowy związek między wyobraźnią a nauką.

Może mity odpowiadają na te same lęki co nowe technologie? Gdyby zmienić terminy, mamy współczesne dylematy etyczne związane z rozwojem technologii. Zgodzi się pani?

– Tak, powiedziałbym, że starożytne mity o cudownej technologii zawierają obawy i wątpliwości dotyczące konsekwencji interakcji automatów ze śmiertelnikami. W ten sposób mity zapowiadają współczesne dylematy, z którymi się zmagamy, pędząc ku przyszłości zdominowanej przez sztuczną inteligencję. Jednym z bardzo racjonalnych obaw, które pojawiają się wraz z dzisiejszym postępem sztucznej inteligencji i systemów nadzoru, jest to, że taka technologia sprzyja tyranii. Związek między tyranią a technologią jest widoczny w kilku starożytnych mitach greckich o sztucznych istotach i automatach. Należy zauważyć, że to autokratyczni władcy zlecają i wdrażają w tych mitach wiele automatów. Surowy król bogów Zeus nakazuje Hefajstosowi zbudować zabójczego robota Talosa dla tyrana, króla Minosa. Hefajstos wykonał również przerażające roboty-byki dla innego tyrana, króla Ajetesa. Zeus nakazał Hefajstosowi również stworzyć Pandorę, aby uwięzić i ukarać ludzkość na wieczność. Wykonał też mechanicznego orła dla Zeusa, aby ten porwał śmiertelnego młodzieńca Ganimedesa i torturował Prometeusza, wyrywając mu codziennie kawałek wątroby. Technologia wydaje się sprzyjać tyranii, a tyrani mają skłonność do poszukiwania technologii, nawet w mitologii.

Mityczne wynalazki i starożytna technologia miały też mroczną stronę. Wiemy coś o ich wykorzystaniu do mordowania czy torturowania ludzi?

– Związek między tyranią a technologią istnieje nie tylko w mitach, ale także w czasach historycznych. Znajdziemy go w dziejach kilku tyranów, którzy zlecali budowę maszyn i automatów służących do torturowania i mordowania. Na przykład około 550 roku p.n.e. sadystyczny król Sycylii Falaris kazał rzemieślnikowi zbudować realistycznego, ziejącego ogniem byka z brązu, aby w jego wnętrzu spalać wrogów żywcem. Około 200 roku p.n.e. brutalny Nabis, ostatni król Sparty, torturował swoich poddanych za pomocą robotycznej figury stworzonej na wzór swojej żony, okrutnej królowej Apegi.

Obaj autokraci zostali później zabici w czasie gwałtownych powstań. Filip II Macedoński i inni potężni władcy sponsorowali konkursy na budowę katapult i innych śmiercionośnych machin wojennych. Obawa, że technologia sprzyja tyranii, jest uzasadniona. Zawsze powinniśmy pytać, kto zleca tworzenie systemów sztucznej inteligencji, kto je wdraża, kto naprawdę na tym zyskuje i jakie będą tego koszty.

Starożytni rozwinęli odpowiednik dzisiejszej bioetyki?

– Mity pokazują, że autokratyczni władcy są zainteresowani zaawansowanymi technologiami, aby kontrolować i wyrządzać krzywdę. Zauważmy, że w mitach cuda techniki, takie jak te stworzone przez Hefajstosa, są łagodne i nieszkodliwe, gdy ograniczają się do użytku bogów na Olimpie. Jednak gdy takie sztuczne istoty jak Pandora zostają wysłane na Ziemię, aby wchodzić w interakcje z ludźmi, sprawy przybierają zły obrót dla ludzi.

Mitologia wyraźnie sugeruje, że potrzeba umysłu Prometeusza, aby przewidzieć ukryte kwestie moralne. Być może kolejnym przesłaniem mitów jest to, że naśladowanie i próba prześcignięcia natury jest czymś fascynującym i atrakcyjnym w „niebiańskiej”, abstrakcyjnej sferze, ale sztuczne byty mogą być bardzo niebezpieczne, gdy przeniesie się je na płaszczyznę ludzką.

Wynalazki zmuszały ich do postawienia pytania, co to znaczy być człowiekiem. Jak na nie odpowiadali?

– To pytanie przypomina mi słynny fragment z „Antygony”: „Siła jest dziwów, lecz nad wszystkie sięga/ Dziwy człowieka potęga”. Tak twierdzi wielki grecki dramaturg Sofokles, bo żadne inne stworzenia nie mają umiejętności i śmiałości, by żeglować po wzburzonych morzach, orać ziemię, ujarzmiać konie i tury, polować i łowić ryby, ustalać prawa i toczyć wojny, budować miasta i nimi zarządzać. Człowiek jako jedyne ze stworzeń posługuje się mową, „myśli dał skrzydła”, jest „na wszystko z radą (...) gotów” i bezustannie wynajduje sposoby, by pokonać siły natury.

Sofokles zakończył ostrzeżeniem: wynalazki i innowacje ludzi są rzeczywiście cudowne, ale pamiętajcie, że mogą przynosić zarówno dobro, jak i zło.

A gdyby miała pani wskazać jeden mit, który każdy badacz AI powinien przeczytać, który by to był i dlaczego?

– Nie potrafię wybrać między Talosem a Pandorą. Starożytna opowieść o Talosie zawiera dwie ważne lekcje dla twórców robotyki i sztucznej inteligencji: automaty i inne byty biotechnologiczne nie zawsze działają lub zachowują się tak, jak zamierzali ich twórcy i użytkownicy. I bez względu na to, jak zaawansowana jest wasza technologia, zawsze znajdzie się jakiś haker-czarodziej, taki jak Medea, który potrafi wykorzystać jej słabe punkty.

Mit o Pandorze niesie ze sobą istotne przesłanie dla tych, którzy tworzą sztuczną inteligencję: bądźcie sceptyczni jak Prometeusz, zawsze patrzcie w przyszłość i przewidujcie tragiczne konsekwencje. Nie bądźcie jak Epimeteusz, zachwyceni powierzchownym urokiem i krótkoterminowymi korzyściami. ●

Adrienne Mayor

• badaczka starożytności związana z Uniwersytetem Stanforda, specjalizuje się w antyku i historii nauki. Autorka wielu książek, m.in. „The Amazons: Lives and Legends of Warrior Women Across the Ancient World” oraz „The Poison King: The Life and Legend of Mithradates, Rome's Deadliest Enemy”, która znalazła się w finale National Book Award.

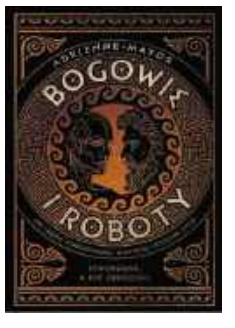

Bogowie i roboty. Jak ludzie starożytności wymyślili sztuczna życie

Adrianne Mayor, tłum. Violetta Dobosz

Znak Horyzony

eprasa.pl 43ba3d7546

weekendówka

LODOWY BJÖRN

Ponoć wszystko zaczęło się rakiety. Złotej rakiety. Nie wykonanej ze złota, ale o złotym kolorze.

„Mój ojciec był niezłym pingpongistą, naprawdę niezłym. Kiedyś, gdy byłem małym chłopcem, zabrał mnie na jakiś lokalny turniej, który wygrał.

Do wyboru były różne nagrody, wśród nich rakieta tenisowa. Bardzo mi się podobała więc zacząłem błagać ojca, by wybrał właśnie tę nagrodę. Wybrał ją i potem mi podarował. Pamiętam, że zaraz następnego dnia poszedłem odbijać piłkę tenisową o drzwi naszego garażu. I tak to się zaczęło" – opowiadał Patowi Cashowi w magazynie „Open Court" telewizji CNN Björn Borg.

I cóż, tak to się zaczęło. Kto wie, co by się stało, gdyby Rune Borg nie dał się przekonać synowi.

A tak w wieku 18 lat został w 1974 roku najmłodszym zwycięzcą wielkoszlemowego Rolanda Garrosa (urodziny świętował w trakcie turnieju), pokonując w finale Hiszpana Manuela Orantesa.

Na paryskich kortach będzie triumfował jeszcze pięciokrotnie, w tym cztery razy z rzędu, w latach 1978-81.

Seryjnie wygrywał też „po drugiej stronie lustra", czyli na trawiastych kortach Wimbledonu (w Paryżu gra się na ceglanej mączce). Najstarszy wielkoszlemowy turniej tenisowy wygrywał pięć razy z rzędu (1976-1980), a ten ostatni triumf, przeciwko 21-letniemu Johnowi McEnroe, uważany jest za jeden z najwspanialszych tenisowych pojedynków w historii dyscypliny. W sobotę, 5 lipca 1980 roku Amerykanin zdmuchnął Borga z kortu wygrywając 6:1. Dwa kolejne sety padły jednak łupem Szweda, który w czwartej partii prowadził 5:4 i miał dwie piłki meczowe. McEnroe przetrwał, doprowadził do stanu 6:6 i tie-breaka. Absolutnie kosmicznego, w którym obronił 5 meczboli a Borg sześć piłek setowych. Ostatecznie wygrał McEnroe 18-16 i trzeba było rozegrać piątego seta. Borg wytrzymał presję i wygrał 8:6. O tym meczu traktuje film z 2017 roku zrealizowany w koprodukcji szwedzko-fińsko-duńskiej ze Sverrirem Guðnasonem i Shią LaBeoufem w rolach głównych.

McEnroe wziął rewanż niemal równo dwa miesiące później, w finale US Open, w następnym pięciosetowym thrillerze (Borg nigdy nie wygrał tego turnieju, choć cztery razy był w finale), lepszy był także w finale Wimbledonu w 1981 roku. Czwartej lewy Wielkiego Szlema nigdy nie poważał – w Australian Open zagrał tylko raz, w wieku 17 lat, dochodząc do 3. Rundy.

Zakończył karierę niespodziewanie, w wieku lat 26, mając na koncie 11 tytułów wielkoszlemowych. McEnroe, z którym potem połączyła go przyjaźń próbował mu to wyperswadować. Borg wrócił jeszcze na chwilę, potem próbował odbudować karierę na początku lat 90., ale bez sukcesów.

Tego, co osiągnął zwany „Ice Manem" – Człowiekiem z Lodu – wystarczy jednak aż nadto. A że dziś Björn Borg kończy lat 70., przeto dzisiejszą „Weekendówkę" poświęcamy Szwecji. Grattis på födelsedagen, Björn!

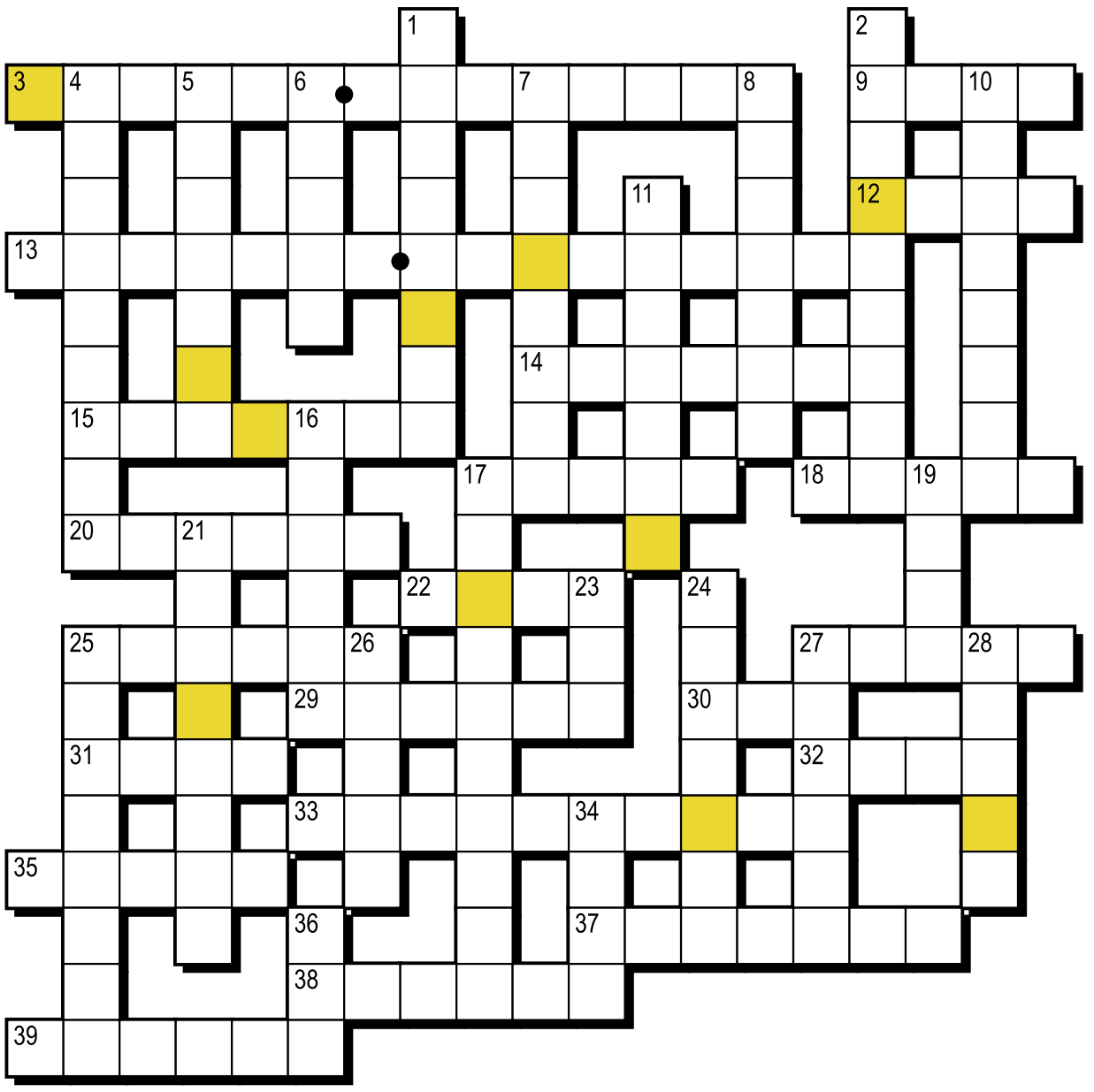

KRZYŻÓWKA SZWEDZKA
Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:
3) napisała „Dzieci z Bullerbyn", „Lottę z ulicy Awanturników"
9) ogólnie o głównym składniku potrawy o nazwie surströmming
12) Rooney, zagrała w „Dziewczynie z tatuażem" – ekranizacji powieści Stiega Larssona
13) zadecydował o uhonorowaniu Olgi Tokarczuk prestiżową nagrodą
14) popadła w nią Oleńka podczas potopu szwedzkiego
15) druga co do wielkości wyspa Szwecji
17) na nogach Charlotte Kalli, Ingemara Stenmarka
18) taneczne ... piosenek Abby, np. „Gimme! Gimme! Gimme!"
20) Szwedzki Kucharz
22) szwedzkie – podwójne, z ześrubowanymi skrzydłami otwierającymi się do wnętrza
25) Karol Linneusz
27) Dr. ..., nigeryjsko-szwedzki piosenkarz („It's My Life")
29) trzy prestiżowe statuetki, którymi uhonorowano Ingrid Bergman
30) ... żużlowy, miejsce zmagań Tony'ego Rickardssona, Ove Fundina
31) kursuje ze Świnoujścia do 26 pionowo
32) nad Sundem – łączy szwedzkie Malmö z Kopenhagą
33) film z Ingrid Bergman w roli Ilsy Lund
35) Tom, zagrał w filmie „Mężczyzna imieniem Otto" – ekranizacji powieści Fredrika Backmana
37) parlament Szwecji
38) imię Celsjusza, szwedzkiego fizyka i astronoma z XVIII w.
39) Max, szwedzki producent i kompozytor, współpracował m.in. z Britney Spears i Taylor Swift

Pionowo:
1) Kalmarska – w szwedzkiej części Bałtyku
2) powieści Henninga Mankella
4) szwedzka metropolia
5) w ręku Matsa Wilandera, Stefana Edberga
6) szwedzki ... (drewniany, modułowy)
7) szwedzka – w sali gimnastycznej
8) Pan ..., ukochany makak Pippi
10) duńska wyspa nad duńsko-szwedzką cieśniną
11) duet znany z hitów „Joyride", „The Look", „It Must Have Been Love"
16) surowiec pozyskany z jarzębu szwedzkiego
17) potraw, na talerz – ze stołu szwedzkiego
19) jeden z trzech pierwiastków z nazwą pochodzącą od szwedzkiej miejscowości Ytterby
21) „Tam, gdzie rosną ...", w reżyserii Ingmara Bergmana
23) ... tenisa, wśród nich Björn Borg
24) Karol Linneusz
25) mieszkanka szwedzkiego miasta na północ od jeziora Ekoln
26) bałtycki port w Skanii
27) imię Duplantisa, króla tyczki
28) Max von Sydow
34) imię Ericssona, założyciela szwedzkiej marki telekomunikacyjnej
36) wielbiciel zespołów Europe, Ace of Base, The Cardigans

Leszek Rydz

Rozwiązanie „Weekendówki" nr 207 z 30.05:
Poziomo: 5) mąka ziemniaczana 9) frytkownica 10) poemko 11) stulecie 12) orka 13) kotlet 14) Reksio 15) stonka 17) dietetyk 19) irga 20) amerykany 21) pyzy 22) zagony 25) denar 26) pęd 28) kluseczki 29) placek 32) siewca 33) wykopki 34) irys 35) łupina
Pionowo: 1) kartoflanka 2) piwo 3) pieczenie 4) farmer 6) mundurki 7) zapleśnienie 8) Stowarzyszenie 9) frykas 11) stragany 12) ocet 16) tarka 18) przepisy 21) Pyrlandia 22) zakąska 23) grule 24) Niemcy 27) deko 30) Kresy 31) skup. **Hasło: PIURE ZE SMALCEM**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY Kraj/34426992

1 RP

eprasa.pl 43ba3d7546

wysokieobcasy.pl

wysokie obcasy

wyborcza

USCHI WASER

Latem odebrano mnie matce

– rozmowa Emilii Sułek

ISSN 1506-9087 Dodatek do „Gazety Wyborczej". Sprzedaż łącznie z „Wyborczą" wysokieobcasy.pl NR 23 (1394) SOBOTA – CZWARTEK, 6-11 CZERWCA 2026

Czy tradwife znajdzie tradhusbanda?

NATALIA MAZUR

Jakąś dekadę temu – jeszcze zanim Instagram nałożył filtr tradwife na pracujące w domu kobiety – podczas pewnego festiwalu celebrującego wielokulturowość brałam udział w spotkaniu z dziewczyną, która przez małżeństwo weszła w konserwatywną społeczność. – Pracuję zawodowo, choć nie muszę. Obowiązkiem męża jest mnie utrzymać, a gdyby z jakichś względów nie dał rady, zobowiązanie spada na wspólnotę – opowiadała.

Ciekawa była reakcja publiczności – raczej progresywnej i feministycznej. Westchnęłyśmy tęsknie – niby każda po cichu, a zrobił się chór. Wiele z nas wzdychało z dystansem, może nawet ironicznie – jesteśmy świadome, z czym może się wiązać materialne uzależnienie od partnera. Ale cóż, tęsknimy za wolnością od materialnych trosk, od pogoni za kolejnymi zleceniami, martwienia się, czy wystarczy na ratę kredytu.

Trend tradwife, tradycyjnych żon, celuje w takie tęsknoty. Roztacza wizję życia, w którym twoim głównym zadaniem jest dbałość o estetykę śniadaniówek, wyłożenie szuflad papierem, upieczenie kurczaka i zrobienie paznokci. Rachunki bierze na siebie mąż. W wersji instagramowej, milczącej o kosztach, może to się wydać kuszące.

Zastanówmy się jednak poważnie: czy tradwife znajdzie tradhusbanda? Skoro ona ma być jak Betty Draper z „Mad Men", to czy on zgodzi się zostać Donem? Będzie na podwójnym etacie zarabiał na dom i na dzieci, najlepiej całą gromadkę? Zrezygnuje z budowania relacji z tymi dziećmi? W pojedynczych przypadkach to się uda, ludzie dokonują różnych życiowych wyborów. Tradwife może też wyjść za dziedzica majątku lub zamożnego przedsiębiorcę. Ale żeby trend mógł ponieść się szerzej, przedsiębiorca musiałby dwa razy więcej płacić pracownikom, a także zgodzić się na wyższy podatek, by z jednej pensji mógł dobrze żyć z rodziną także urzędnik, policjant i nauczyciel.

Tym, którym śni się, że zostaniemy tradycyjnymi żonami, nie chodzi jednak o wywrócenie kapitalistycznego porządku i zdjęcie z połowy ludzkości troski o finansowy byt. Celem jest pokazanie kobietom miejsca w szeregu. Mamy pracować zawodowo i czuć się nie na miejscu, pracować w domu – i czuć się niewystarczające. I przez to nie realizować swojego potencjału.

– Jeśli kobiety nie mają realnej władzy, jeśli ich praca i głos nie są cenione, jeśli nie uczestniczą w przywództwie i reprezentacji, demokracja staje się zagrożona – mówi Jennifer Siebel Newsom, z którą w najnowszym numerze „Wysokich Obcasów" rozmawia Joanna Wróżyńska. Pierwsza partnerka stanu Kalifornia podkreśla znaczenie publicznej obecności kobiet i dekonstruowania stereotypów na nasz temat.

Właśnie to staramy się robić w naszym tradycyjnym medium, kierowanym nie przez algorytm działający na potrzeby big techów, lecz przez grono redaktorek. Pokazujemy różnorodność kobiecych doświadczeń. Dziękujemy, że jesteście z nami! ▲

Natalia Mazur – redaktorka „Wysokich Obcasów"

JUŻ W SPRZEDAŻY „WYSOKIE OBCASY EXTRA"

■ **NA OKŁADCE: Michelle Pfeiffer:** Aktorka wszechstronna • **Agnieszka Żulewska:** Z piaskiem w butach ■ **TEMAT NUMERU:** Gaslighting to manipulacja. Anna Wendzikowska, Ania Rusowicz, Joanna Racewicz, dr Małgorzata Gamian-Wilk ■ **TWARZE:** David Attenborough, Lisa Kudrow, Anna Starmach, Wojciech Tochman, Dawid Ogrodnik, Maria Przybyłko-Potocka ■ **PSYCHOLOGIA:** Powrót do matki - reportaż. Felietony: Katarzyna Kucewicz, Olga Woźniak ■ **KULTURA:** Agnieszka Drotkiewicz, Mariusz Szczygieł, Aleksandra Boćkowska ■ **MODA:** Koreańskie inspiracje ■ **PODRÓŻE:** Austria ■ **KUCHNIA:** Pastaman

www.wysokieobcasy.pl wysokieobcasy wysokieobcasy.pl listy@wysokieobcasy.pl

REDAGUJĄ:
Monika Tutak-Goll
– REDAKTORKA NACZELNA
Katarzyna Pawłowska
– zastępczyni redaktorki naczelnej

REDAKTORKA PROWADZĄCA NUMER:
Natalia Mazur

KULTURA:
Paulina Reiter, Joanna Wróżyńska
URODA, ZDROWIE I KUCHNIA:
Aleksandra Lubańska-Czubak
MODA, STYL ŻYCIA:
Magdalena Kacalak

DYREKTORKA KREATYWNA:
Marta Teresa Szamburska

GRAFICY:
Katarzyna Trzeszczkowska, Agata Łuszcz, Dariusz Sierant

PROJEKT MAKIETY:
Jacek Utko
DZIAŁ FOTOGRAFICZNY:
Marta Błażejowska
Magdalena Stroka-Felicka
FOTOLITOGRAFIA:
Łukasz Irzyk, Mariusz Rosa
KOREKTA:
Sylwia Sass

PRODUKCJA:
Dorota Jezierska

INTERNET:
szefowa serwisu
Magdalena Karst-Adamczyk
Natalia Mazur
Agnieszka Mularczyk
Magdalena Stroka-Felicka
Natalia Waloch
Joanna Wróżyńska
INSTYTUT DOBREGO ŻYCIA:
szefowa serwisu
Anna Woźniak
SEKRETARIAT:
Patrycja Wierzbicka

WYDAWNICTWO:
Wyborcza sp. z o.o.
PREZESKA ZARZĄDU:
Aleksandra Sobczak

LICENCJE NA TREŚCI:
licencje@wyborcza.pl
SZEFOWA WYDAŃ SPECJALNYCH:
Karolina Jaroszewicz
DYREKTOR BIURA REKLAMY:
Marek Wilk
KIEROWNICZKA SPRZEDAŻY:
Wioletta Napurka
SZEF PROMOCJI:
Agnieszka Placek

Z-CA SZEFA PROMOCJI:
Katarzyna Stożek
DYREKTOR KOLPORTAŻU:
Michał Szałański
NAŚWIETLANIE I DRUK:
P/mint House of Print

ADRES REDAKCJI:
ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa, tel. 22 555 43 26
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo do ich redagowania i skracania.
Na stronie 28 zamieszczony jest materiał reklamowy

„Wysokie Obcasy" nr 23 (1394)
NA OKŁADCE:
USCHI WASER
FOT. JULIA MUERI/ARCHIWUM PRYWATNE USCHI WASER

LIST TYGODNIA

Baranek

Bardzo poruszył mnie tekst o kobietach, które w ciąży dowiadują się, że ich dziecko będzie śmiertelnie chore; ogromnie im współczuję; tym matkom i ich rodzinom.

W marcu byłam u córki w siedlisku. Jest to ciekawy czas, kiedy na świat przychodzą młode krów, owiec, kóz.

Stałam przy zagrodzie owiec, towarzyszył mi Muniek, pies pasterski (dokładnie: bos – biały owczarek szwajcarski). W pewnym momencie pies zaczął niespokojnie biegać wzdłuż ogrodzenia. Patrzyłam na malutką owieczkę (potem okazało się, że był to baranek); stała przy ścianie stajni na drżących nóżkach. W pewnej chwili podeszła do niej owca, przy tym maleństwie wyglądała jak szara góra. Pies zaczął kopać pod ogrodzeniem. Owca bardzo mocno uderzyła głową to maleństwo, pchając je na ścianę. Krzyknęłam. Owca odeszła, zrobiła małe kółko po zagrodzie, wróciła i cała scena się powtórzyła. Pies kopał pod ogrodzeniem; ja, krzycząc, rzuciłam w nią patykiem. Odeszła, by po chwili wrócić i pchnąć maleństwo raz jeszcze. Pies był już w połowie pod ogrodzeniem. Przybiegła córka, wzięła z zagrody maleństwo, pies wrócił i zaczął wylizywać baranka (te psy mają instynkt opiekuńczy; usłyszałam, że jego siostry próbują nawet wylizywać małe kurczaki).

Córka przyniosła butelkę owczego mleka, maluch rzucił się na smoczek i po chwili zaczął się krztusić, wiercić, kopać – nie chciał pić. Za chwilę dostał butelkę mleka krowiego, bardzo szybko ją opróżnił i chciał więcej. Więc miał coś, jakiś gen, który powodował, że nie pił owczego mleka. Wtedy inaczej spojrzeliśmy na zachowanie tej niby okrutnej owczej matki. Kierowana instynktem ratowała swoje dziecko – w zagrodzie pełnej dużych i małych owiec maluch byłby skazany na powolną śmierć z głodu.

Pomyślałam wtedy o ludzkich matkach i ich dramatycznych dylematach. U zwierząt jest instynkt, u ludzi miłość, marzenia, oczekiwania, wreszcie normy i opinia społeczna. Bardzo, bardzo współczuję matkom, rodzinom, które muszą się mierzyć z tak trudną sytuacją.

A baranek przeżył, wylizywany przez Muńka, karmiony co dwie godziny krowim mlekiem. Teraz jest prawie tak duży jak jego siostra bliźniaczka, potrafi już jeść siano i ziarno. Nadal dostaje trzy butelki mleka dziennie. Krowiego mleka. ▲ **Grażyna Domagała**

NAGRODY

Autorka listu otrzyma zestaw AA LAAB PDRN Advanced Repair w duchu filozofii smart aging oraz książkę „Wenecja. Niezatapialna" Jonathana Keayes'a, Wydawnictwo Literackie

OGŁOSZENIE

JENNIFER SIEBEL NEWSOM

Pierwsza *partnerka*

Jeśli kobiety nie mają realnej władzy, jeśli ich praca i głos nie są cenione, jeśli nie uczestniczą w przywództwie i reprezentacji, demokracja staje się zagrożona

JENNIFER SIEBEL NEWSOM

– wielokrotnie nagradzana reżyserka filmowa, wpływowa orędowniczka i liderka opinii w dziedzinie równości płci i dobrostanu dzieci. Matka czwórki dzieci. Jest Pierwszą Partnerką Kalifornii, założycielką The Representation Project i współzałożycielką California Partners Project

Jennifer Siebel Newsom i Gavin Newsom podczas parady w San Francisco w 2010 r. Obok: Akcja sprzątania parku w Los Angeles, 2023 r.

Z **JENNIFER SIEBEL NEWSOM**, REŻYSERKĄ, PIERWSZĄ PARTNERKĄ KALIFORNII, ROZMAWIA **JOANNA WRÓŻYŃSKA**

d

Dość nietypowo mówi pani o sobie nie jako o pierwszej damie Kalifornii, ale jako o pierwszej partnerce. Skąd taka decyzja?

– Przede wszystkim chciałam zasygnalizować, że w niedalekiej przyszłości urząd gubernatora może objąć kobieta albo osoba ze społeczności LGBTQ+, która będzie dzielić życie z partnerem lub partnerką. Chodziło o oswojenie takiej rzeczywistości. Ale zależało mi również na podkreśleniu znaczenia partnerstwa. W społeczeństwie tak niejednolitym i zindywidualizowanym jak Stany Zjednoczone zawsze istnieje ktoś, kto zajmuje się tymi wszystkimi „innymi" rzeczami, by umożliwić drugiej osobie realizację jej celów. Partnerstwo okazuje się więc czymś fundamentalnym, zwłaszcza w społeczeństwie takim jak amerykańskie.

Historycznie praca kobiet wykonywana w domu pozostawała niewidoczna. Nie doceniamy potrzeby troski i opieki w takim stopniu jak choćby kraje nordyckie. Chciałam więc podkreślić, że wszyscy mamy życie poza pracą – życie, w którym troska o innych jest niezbędna i ma realną wartość – i być partnerką dla kobiet w Kalifornii i kalifornijskich rodzin.

Jest nawet takie powiedzenie, że za każdym wielkim mężczyzną stoi wielka kobieta.

– W Stanach też posługujemy się podobnym stwierdzeniem. Nie ma nic złego w byciu pierwszą „damą". Patrzyłam na takie osoby jak Hillary Clinton, Michelle Obama, a w Kalifornii Anne Gust Brown i Maria Shriver, które były oczywiście damami, ale zarazem także partnerkami.

Kiedy z europejskiej strony Atlantyku przyglądam się Stanom Zjednoczonym, odnoszę wrażenie, że następuje zmiana w postrzeganiu roli kobiet i powrót do tradycyjnych wartości. W serwisach społecznościowych popularność zdobywa trend tzw. tradwives, promujący w skrócie model rodziny, w którym kobieta rezygnuje z kariery zawodowej na rzecz prowadzenia domu.

– Technologia stała się obecnie bronią skrajnej prawicy. Środowiska konserwatywne są bowiem znacznie bardziej przywiązane do tradycyjnych ról płciowych i norm społecznych, według których miejsce kobiety jest w domu, a mężczyzny w sferze publicznej. To, co obserwujemy w obszarze nowych technologii, pokazuje, że sztuczna inteligencja, generatywne AI i platformy społecznościowe są wykorzystywane do uciszania kobiecych głosów, osłabiania naszej sprawczości i spychania kobiet z powrotem do domu. Coraz więcej osób dostrzega jednak, co się dzieje, i rozumie, że taki kierunek może być katastrofalny nie tylko dla społeczeństwa, lecz także dla gospodarki i demokracji.

Warto pamiętać, że większość Amerykanów żyje dziś w gospodarstwach domowych opartych na dwóch dochodach albo prowadzonych przez samotnego rodzica. Kobiety są więc kluczowe dla tworzenia dobrobytu ekonomicznego nie tylko w Kalifornii, ale w całym kraju. Poza tym są one niezbędne również do tego, żeby demokracja mogła prawidłowo funkcjonować i się rozwijać. Jeśli kobiety nie mają realnej władzy, jeśli ich praca i głos nie są cenione, jeśli nie uczestniczą w przywództwie i reprezentacji, sama demokracja staje się wówczas zagrożona. Właśnie dlatego obserwujemy dziś, jak Ameryka coraz bardziej skłania się ku autorytaryzmowi, a amerykańska demokracja jest tak krucha.

Założyła pani organizację non profit The Representation Project i jest także współzałożycielką California Partners Project. Na czym skupiają się główne działania tych inicjatyw?

Jennifer Siebel Newsom ze studentami John Liechty Middle School, 2007 r. i podczas wizyty w Panchimalco w Salwadorze, 2019 r.

– Założyłam The Representation Project po premierze mojego filmu „Miss Representation" na festiwalu Sundance. Okazało się bowiem, że nie tylko zainteresowanie samym filmem było ogromne, ale też pokazało potrzebę dalszej edukacji i działań na rzecz sprawiedliwości płciowej. The Representation Project wykorzystuje więc film, edukację i kampanie społeczne po to, by budzić świadomość, zmieniać postawy oraz zachowania związane z funkcjonowaniem stereotypów i norm płciowych, a ostatecznie wpływać na trwałą transformację kultury.

Większość mężczyzn to przecież dobrzy ludzie. *Problemem jest niewielka grupa niepewnych siebie, słabych*

Natomiast California Partners Project powołałam do życia jako uzupełnienie mojej pracy w biurze pierwszej partnerki stanu, ponieważ moja poprzedniczka, choć formalnie nosiła tytuł pierwszej damy, w rzeczywistości pełniła przede wszystkim funkcję doradczyni swojego męża. Nie miałyśmy budżetu ani własnego biura, zaczynałyśmy więc z zaledwie trzyosobowym zespołem. Dziś ten zespół jest już większy.

California Partners Project powstał po to, by prowadzić badania i opowiadać historie poza strukturami administracji tak, aby kwestie dobrobytu i bezpieczeństwa ekonomicznego kobiet, a także zdrowia i dobrostanu dzieci, na trwałe zakorzenić w polityce i świadomości społecznej Kalifornii. Organizacja stała się więc naturalnym partnerem naszej działalności.

Jakie są największe i najważniejsze wyzwania, z którymi się mierzycie?

– Kobiety wciąż zarabiają mniej niż mężczyźni za tę samą pracę i jest to problem o głęboko historyczny. W przypadku kobiet należących do mniejszości rasowych i etnicznych ta różnica jest jeszcze bardziej drastyczna. Jednocześnie skumulowanym efektem niższych dochodów jest także ogromna luka majątkowa. Kobiety w Kalifornii tracą każdego roku 82 miliardy dolarów z powodu nierówności majątkowych. Latynoski i czarne kobiety dysponują zaledwie ułamkiem majątku, który przeciętnie przypada białym mężczyznom.

W kapitalistycznym społeczeństwie brak majątku oznacza brak realnej sprawczości, a bez niej trudno mówić o pełnym wykorzystaniu własnego potencjału. Równocześnie badania dotyczące zdrowia kobiet są dramatycznie niedofinansowane. W Kalifornii znikoma część środków przeznaczanych na badania medyczne dotyczy zdrowia kobiet. Z tego jeszcze mniej trafia na badania nad nowotworami u kobiet, a pozostała, śladowa część obejmuje wszystkie pozostałe obszary ich zdrowia. Wyraźnie więc widać, że przez lata ignorowaliśmy kwestie zdrowotne dotyczące kobiet. I znów, chodzi tu nie tylko o Kalifornię, ale o całe Stany Zjednoczone.

Jak, bez efektywnej opieki zdrowotnej i ekonomicznego bezpieczeństwa, mamy realizować swój potencjał? Jednocześnie, jeśli chodzi o bezpieczeństwo, to właśnie kobiety są najbardziej narażone na przemoc. Obserwujemy gwałtowną nagonkę na kobiety, podsycaną i wzmacnianą przez platformy społecznościowe, nowe technologie oraz generatywną sztuczną inteligencję, które umożliwiają i normalizują takie zjawiska jak doxing, czyli publiczne ujawnianie prywatnych danych bez zgody, najczęściej w celu zastraszenia, pornografia typu deepfake, nękanie, cyberprzemoc, stalking, groźby śmierci czy gwałtu wobec kobiet zabierających głos i manifestujących swoją sprawczość. To wszystko ma nas uciszyć. Kobietom coraz trudniej jest nawet wyobrażać sobie własną obecność w życiu publicznym i do niej aspirować. Nie chodzi tylko o zawody związane z działalnością publiczną, ale o samą obecność w przestrzeni publicznej.

A więc znów: bez opieki zdrowotnej, bezpieczeństwa i bez majątku kobiety nie będą w stanie w pełni wykorzystać swojego potencjału. Ostatecznie zaszkodzi to samym Stanom Zjed-

FOT. PATRYK OGORZAŁEK/IMPACT; CARLOS AVILA GONZALEZ/THE SAN FRANCISCO CHRONICLE VIA GETTY IMAGES, HANS GUTKNECHT/MEDIANEWS GROUP/LOS ANGELES DAILY NEWS VIA GETTY IMAGES, SARAH REINGEWIRTZ/MEDIANEWS GROUP/LOS ANGELES DAILY NEWS VIA GETTY IMAGES, AP PHOTO/SALVADOR MELENDEZ, PATRICK T. FALLON/BLOOMBERG VIA GETTY IMAGES; AMANDA EDWARDS/GETTY IMAGES FOR WOMEN'S MARCH LOS ANGELES; AP PHOTO/DANNY MOLOSHOK

Po lewej: Jennifer Siebel Newsom przemawia podczas Marszu Kobiet w Los Angeles w styczniu 2019 r. Po prawej: Jennifer Siebel Newsom, Gavin Newsom - wówczas kandydat na gubernatora Kalifornii z ramienia Partii Demokratycznej - i ówczesna senator Kamala Harris (2018 r.). Na dole - Jennifer Siebel Newsom rozmawia z Glorią Steinem po premierze filmu „Miss Representation" w 2011 r.

noczonym. Kalifornia ma przecież czwartą największą gospodarkę świata. Jeśli kalifornijskie kobiety, które są właścicielkami 40 proc. przedsiębiorstw, nie będą mogły w pełni uczestniczyć w życiu gospodarczym, ucierpi całe PKB. Jeśli kobiety nie mają władzy i nie są reprezentowane w przywództwie, demokracja zaczyna słabnąć. Dlatego to wszystko działa wyłącznie na korzyść naszych przeciwników.

Hejt wobec kobiet, zwłaszcza na różnych platformach społecznościowych, rośnie lawinowo. Czy według pani jest jakiś sposób, żeby temu zaradzić systemowo?
– Musimy wspierać się nawzajem. Także mężczyźni, którzy sprawują władzę i zajmują wysokie pozycje, powinni stać po naszej stronie. Jednocześnie, tak, jak pani wspomniała, potrzebne są systemowe mechanizmy ochronne. Można wspierać innowacje, ale muszą im towarzyszyć odpowiednie zabezpieczenia, którymi są np. przejrzystość i odpowiedzialność po stronie firm technologicznych. Konieczne jest również odpowiednie ustawodawstwo – od obowiązku usuwania określonych treści aż po realne sankcje za utrwalanie szkodliwych zachowań.

I jeszcze jedno: większość mężczyzn to przecież dobrzy ludzie. Problemem jest niewielka grupa – i trudno tu nawet użyć słowa „źli", bo jest ono zbyt proste – raczej kilku niepewnych siebie, kruchych, słabych, drapieżnych mężczyzn, którzy bezkarnie szerzą w internecie szkodliwą mizoginię. Dlatego to na firmach technologicznych spoczywa obowiązek, by takich użytkowników pociągać do odpowiedzialności, a jeśli są to boty – usuwać je z platformy i egzekwować wobec nich zasady.

Wspomniała pani o swoim filmie „Miss Representation" z 2011 r. To dokument, który analizuje sposób, w jaki kobiety są przedstawiane w amerykańskich mediach, i jaki ma to wpływ na społeczeństwo, politykę i samoocenę kobiet. Wnioski nie są optymistyczne. Co więc możemy zrobić my, przedstawiciele mediów, żeby zmienić ten obraz?
– Media powinny dekonstruować stereotypy, są bowiem największym nośnikiem kultury w naszych czasach, jednocześnie przekazem i przekaźnikiem. Dlatego powinny odzwierciedlać strukturę społeczeństwa oraz złożoność i różnorodność doświadczenia kobiet. To, co w Stanach Zjednoczonych zrobiła stacja Fox News [eksponując atrakcyjność fizyczną prezenterek], jest moim zdaniem szczególnie szkodliwe dla norm płciowych, stereotypów oraz potencjału dziewcząt i kobiet, ponieważ wpakowano nas w kaftan bezpieczeństwa kobiecości, który bardziej dotyczy naszej seksualności, wyglądu, młodości i urody niż tego, co mamy do powiedzenia. W tym sensie, powiedziałabym, że jest to jeden z najbardziej destrukcyjnych przykładów utrwalania ograniczających stereotypów i norm.

Media powinny więc działać dokładnie odwrotnie: rozbijać te ograniczające schematy, zapewnić kobietom władzę i wpływy oraz zadbać o to, by rady nadzorcze, kadra kierownicza i osoby występujące na antenie rzeczywiście odzwierciedlały całe spektrum kobiet w społeczeństwie, a nie jedynie jego wąski wycinek. Firmy medialne powinny także stać murem za swoimi dziennikarkami, a jeśli są one nękane, doxowane lub otrzymują groźby w internecie, powinny podejmować kroki prawne wobec firm technologicznych. ▲

Wywiad był możliwy dzięki organizatorom konferencji Impact w Poznaniu. Kolejna edycja odbędzie się w dniach 12-13 maja 2027 r.

USCHI WASER

ur. 1952 w Szwajcarii, aktywistka pamięci, walczy o prawa i zadośćuczynienie dla Jeniszów, którzy w XX wieku objęci zostali programem Kinder der Landstrasse, mającym na celu eliminację kultury Jeniszów z krajobrazu kulturowego Szwajcarii. W latach 1926-1973 około 2 tys. dzieci zostało przymusowo odebranych rodzicom, prawdziwa liczba nie jest znana

Z Bogiem i państwem *mam rachunek otwarty*

Program Kinder der Landstrasse cieszył się ogromnym poparciem społecznym, robił przecież tyle dobrego dla dzieci. W ramach dbania o naszą przyszłość zabierano nas z domu, by zrobić z nas ludzi osiadłych. Tyle że moja rodzina była osiadła

Z **USCHI WASER**, PREZESKĄ FUNDACJI NAPRZÓD JENISZE, ROZMAWIA **EMILIA SUŁEK**

Masz dobre wspomnienia związane z matką?
– Niestety nie. Moja matka była osoba złamaną. Właściwie sadystką. Próbuję wyjaśnić, dlaczego. Co i kto jej zrobił. Niewiele wiem jednak o swojej rodzinie.

A co wiesz? Może podsumujmy.
– Wiem, że matka była najstarsza z 12 rodzeństwa. Znam imiona dziadków. Nie znam ich dat urodzenia. Że jestem Jeniszką, dowiedziałam się w sierocińcu. Ktoś przezywał mnie Fecker (włóczęga). Zaczęłam pytać, co to znaczy. Wtedy objaśniono mi, że jestem inna niż reszta tych lepszych dzieci.

W ilu dokładnie ośrodkach mieszkałaś?
– Matce odebrano mnie, jak miałam siedem miesięcy. Odwieziono pod konwojem policyjnym do pierwszego sierocińca, a potem do kolejnego. I tak się zaczęło. Do ukończenia 14. roku życia byłam w 27 ośrodkach i u rodzin zastępczych. W międzyczasie bywałam u matki, w różnych miejscach, w których mieszkała.

Dlaczego właściwie odebrano cię matce?
– Matka urodziła mnie jako panna. Miała 20 lat. Mieszkała kątem u obcych ludzi, którym pomagała w domu, trochę zajmowała się domokrążną sprzedażą różnych towarów pierwszej potrzeby. To był typowy zarobek osób z naszej społeczności. Młoda dziewczyna z brzuchem – państwo polowało na takie kobiety.

W Szwajcarii do końca lat siedemdziesiątych nieślubne dzieci państwo niejako z automatu odbierało matkom. Kobiety prawa wyborcze otrzymały w 1971 roku, ale dopiero pod koniec dekady weszła w życie reforma prawa rodzinnego. W przypadku Jeniszów dochodził jeszcze program Kinder der Landstrasse (Dzieci ulicy) fundacji Pro Juventute. Co robiła ta fundacja?
– Pozbawiała rodziców praw rodzicielskich by chronić dzieci przed tym, co państwo nazywało „włóczęgostwem". Pro Juventute jest fundacją, miała jednak do dyspozycji wszystkie organy państwa, włącznie z policją. Program Kinder der Landstrasse finansowany był przez państwo i z datków. Cieszył się ogromnym poparciem społecznym, robił przecież tyle dobrego dla dzieci. W ramach dbania o naszą przyszłość zabierano nas z domu, by zrobić z nas ludzi osiadłych. Tyle że moja rodzina była osiadła. Więc to było zupełnie bez sensu.

Ile dzieci zostało w ten sposób odebranych rodzicom?
– Tylko w ramach programu Pro Juventute było to niemal 600 osób. Ale różne inne instytucje w całym kraju robiły to samo. Dziś uważa się, że około dwóch tysięcy dzieci z rodzin Jeniszów i Sinti było ofiarami tej polityki. Nie da się powiedzieć, ile dokładnie, bo dzieciom zmieniano imiona i nazwiska, oddawano do adopcji. Są tacy, co do tej pory nie wiedzą, co ich spotkało.

Ty też przez wiele lat nie wiedziałaś, że jesteś jednym z dzieci objętych programem. A co myślałaś?
– Że matka mnie nie chciała. Jej późniejsze zachowanie wobec mnie nie wskazywało na jakąś wielką miłość.

A jednak matka nie chciała zrzec się praw rodzicielskich.
– Próbowała walczyć, ale nie miała szans. Odebrano jej dziecko, ale i tak musiała płacić państwu za moje utrzymanie, całe 50 franków miesięcznie, to spora suma (dziś byłaby to równowartość ok. 1200 zł – red.). Teoretycznie powinien płacić mój biologiczny ojciec. Ale nie płacił. Matka żyła w strasznej biedzie. Nikogo nie obchodziło, skąd weźmie pieniądze.

> Program Kinder der Landstrasse zrobił z nas ludzi bezdomnych, *naznaczył nasze życie tułaczką*

Poznałaś swojego ojca?
– Kim jest, dowiedziałam się dopiero z lektury moich akt. To był żonaty mężczyzna.

Jakie były losy twojego rodzeństwa?
– Matka miała nas czworo. Z trzema różnymi mężczyznami. Dla państwa to była patologia. Młodsza siostra i brat wychowali się z matką, bo mieli potwierdzone ojcostwo. Najmłodsza siostra trafiła do rodziny zastępczej. Tak jak ja, była dla państwa dzieckiem nielegalnym. Dokładnie takim językiem o nas mówiono.

A potem matka nagle wyszła za mąż.
– Chciała zmienić swój los. Mieć jakiś status, wreszcie być mężatką. On nie był Jeniszem. Miał samochód, maszynę do pisania. Pisał pisma urzędowe dla wielu osób z naszej społeczności.

I wykorzystywał seksualnie ciebie, pasierbicę. Ile lat miałaś, jak zrobił to po raz pierwszy?
– Jedenaście. Matka poszła na egzamin na prawo jazdy. Młodsze rodzeństwo ojczym wysłał po jakieś sprawunki. Zasłonił okna, włączył głośno telewizor. Nie miałam żadnych szans.

I zobowiązał cię do milczenia.
– Obiecywał, że będzie wstawiał się za mną u matki. I faktycznie, w domowych awanturach brał potem moją stronę. A matka była brutalna. Potrafiła nas zbić trzepaczką do dywanów, patelnią. Ojczym domagał się za to potem zapłaty.

Jesteś w stanie powiedzieć, ile razy to się zdarzyło?
– To trwało przez kilka lat. Regularnie. Scenariusz był zawsze ten sam. Okna, telewizor. Musiałam przynieść ręcznik z łazienki.

Ojczym nie był jedyny.
– Zgwałcił mnie też brat matki, kiedy nocował u nas w domu. Broniłam się, bez skutku. Nazajutrz opowiedział matce o tym stosunku. Dała mi za to w twarz. Uznała, że to ja jestem winna. A potem oddała mnie za karę do ośrodka wychowawczego Zum guten Hirten.

Miałaś 14 lat, gdy trafiłaś do ośrodka. Prowadziły go siostry ze zgromadzenia Matki Bożej Miłosiernej od Dobrego Pasterza. To był najgorszy okres w twoim życiu?
– Zdecydowanie. To było więzienie. Dookoła ośrodka stał mur, nad nim były jeszcze trzy rzędy drutu kolczastego. Ośrodka praktycznie nie można było opuszczać. W salach ściany były tylko do połowy, by siostry miały nas pod kontrolą także w nocy. Były kary cielesne, za próbę ucieczki izolatka. Do tego praca. I modlitwa. Dużo modlitwy.

Pamiętasz, o co się modliłaś?
– O tatę. Strasznie chciałam mieć ojca. Widziałam, że są dzieci, które miały obydwoje rodziców. Pan Bóg był jednak głuchy. Może nie słucha takich dzieci jak my.

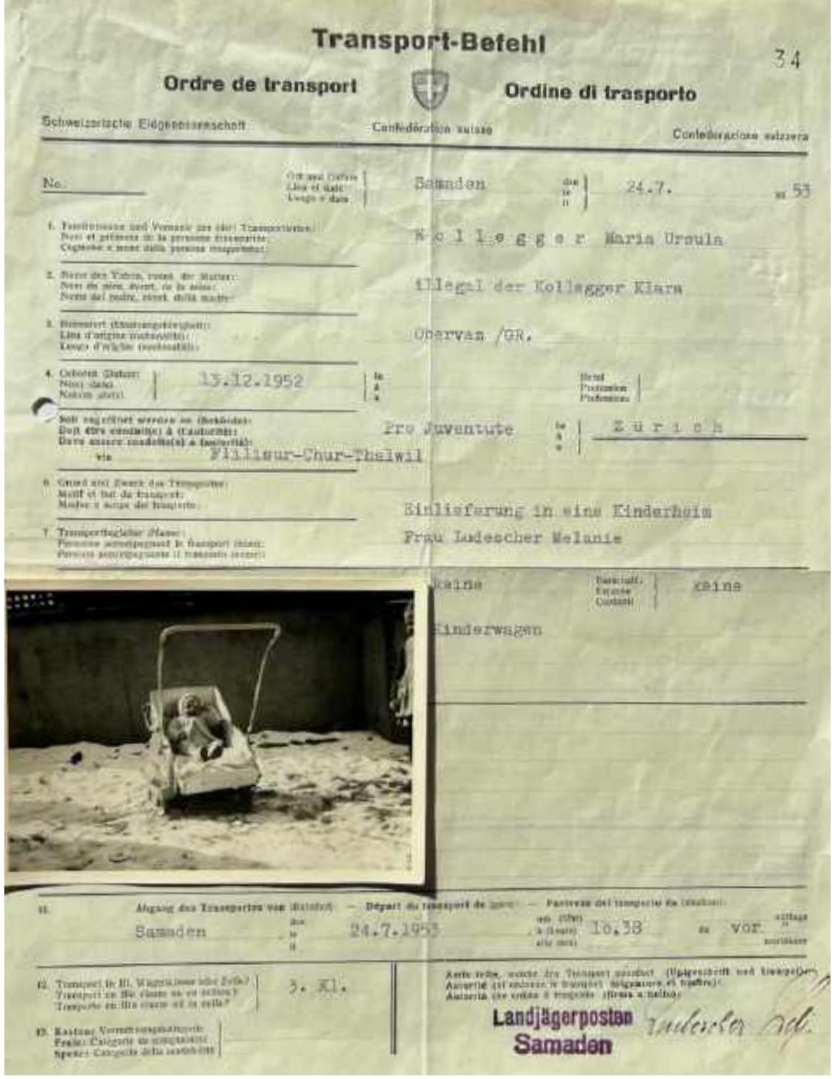
Transport-Befehl
Ordre de transport
Ordine di trasporto
Schweizerische Eidgenossenschaft
Confédération suisse
Confederazione svizzera
No.
Samaden
24.7.
Kollegger Maria Ursula
Illegal der Kollegger Klara
Obervaz /GR.
13.12.1952
Pro Juventute
Zürich
via Filisur-Chur-Thalwil
Einlieferung in eine Kinderheim
Frau Ludescher Melanie
keine
keine
Kinderwagen
Abgang des Transportes von
Samaden
24.7.1953
10.38
vor
3. Kl.
Landjägerposten
Samaden

A potem przestałaś się modlić.
– Siostry kładły nam do głowy, że jeśli będziemy się dużo modlić, wszystko zmieni się na lepsze. Ale nic się nie poprawiało. Raz podcięłam sobie żyły, licząc na to, że wyślą mnie do szpitala, że tam jacyś obcy ludzie zaopiekują się mną i zabiorą do domu. Nic takiego się nie stało. Lekarz zszył mi rękę i odesłał na salę. Wtedy pogodziłam się z tym, że jeśli umrę, nikt nie przyjdzie na mój pogrzeb. Pożegnałam się z nadzieją i z Bogiem.

Matka była religijna?
– Była dewotką. Potrafiła nas stłuc, a potem kazać odmawiać z nią różaniec. Co wieczór w domu czytało się katechizm. Po jej śmierci z siostrą wyrzuciłyśmy całe szuflady świętych obrazków, butelek z wodą święconą i innych dewocjonaliów.

Z tym czytaniem to chyba nie było takie proste. Twoja matka umiała czytać?
– Niespecjalnie. Nie wiadomo, czy w ogóle była w szkole. Ale umiała się podpisać.

A ty?
– Skończyłam pięć klas. W niektórych byłam pół roku, inne powtarzałam. Gdyby popatrzeć na listę obecności, to więcej mnie nie było niż było. W Szwajcarii jest obowiązek nauki. Ciekawe, że w moim przypadku nie obowiązywał. Musiałam to nadrobić w dorosłym życiu.

Nauczyciele nie wzywali rodziców? Nie pytali, czemu cię nie ma w szkole?
– Ale ja opuszczałam szkołę nawet, gdy mieszkałam u sióstr zakonnych. Teoretycznie obowiązywała tam dyscyplina. To znaczy, że edukacja takich dzieci jak ja nie była dla państwa priorytetem.

Sobota w ośrodku była dniem pisania listów. Można było pisać do rodziców, do opiekuna prawnego. Głównie listy pod linijkę sióstr zakonnych, pełne wdzięczności raporty z postępów w nauce. Ty napisałaś list do swojego opiekuna prawnego, w którym opisałaś przemoc seksualną, której doświadczyłaś. Nosi on tytuł „Akt oskarżenia", wyrażasz w nim życzenie, by sprawa trafiła do sądu. Miałaś 14 lat. Skąd wzięłaś na to siłę?
– To nie była siła. To było głębokie poczucie niesprawiedliwości. To ja byłam ofiarą, a żyłam w więzieniu. On, sprawca, cieszył się wolnością. Wierzyłam, że zostanie ukarany.

Po tym liście aresztowany zostanie i wuj, i ojczym. Wuj się przyzna, zostanie skazany na osiem miesięcy w zawieszeniu. Ojczyma sąd uniewinni, mimo tego, że wykorzystywał cię seksualnie przez lata. Dlaczego?
– Matka stanęła za nim murem. Wydała mi w sądzie fatalne świadectwo. Ale dowiedziałam się o tym dopiero jako dorosła kobieta.

Z ośrodka wychodzisz jako osiemnastolatka i wracasz do matki i ojczyma. Dlaczego?
– Byłam nieprzygotowana do samodzielnego życia. Nie miałam nic i nikogo. Moi oprawcy byli jedynymi ludźmi, jakich miałam na świecie.

I znów byłaś zależna od matki, bo wtedy w Szwajcarii pełnoletność osiągało się dopiero w wieku 20 lat.
– Ale pół roku później wyszłam za mąż i uwolniłam się od matki. Mój mąż był Jeniszem, ale z rodziny wędrownej. To był dobry czas. Wynajęliśmy mieszkanie, urodziła nam się córka. Mąż był cudowny, pod warunkiem, że nie pił. Wtedy robił się agresywny. Kiedy od niego odeszłam, matka stanęła po jego stronie, razem próbowali zabrać mi dziecko. Ostatecznie jednak im się to nie udało.

U zakonnic skończyłaś kurs szycia, ale niedługo pracowałaś jako krawcowa.
– Do dziś nienawidzę szyć. Wolałam pracę w gastronomii, handlu. Wykonywałam też różne prace biurowe. Pracowałam na stróżówce w domu starców. Dopiero po czterdziestce zrobiłam dyplom jako opiekunka Spielgruppe [grupy przygotowującej do przedszkola]. Zawsze marzyłam o pracy z dziećmi.

Całe szczęście, były to lata wzrostu gospodarczego, pracę można było znaleźć bez problemu. Ale jako matka dwójki dzieci miałaś pod górkę.
– Z ojcem mojej drugiej córki świadomie nie wzięłam ślubu. Nie chciałam znów znaleźć się w sytuacji, że będę z kimś walczyć o prawo do opieki nad dzieckiem. Ale mój drugi partner ojcostwo uznał jeszcze przed porodem. Dzięki temu córka była bezpieczna. Dość szybko się rozstaliśmy.

W 1972 roku Hans Caprez z magazynu „Beobachter" zaczął pisać o tym, że Pro

FOT. CAROLINE MINJOLLE; JULIA MUERI

Juventute przemocą odbiera Jeniszkom dzieci. Jego śledztwo doprowadziło do zamknięcia programu Kinder der Landstrasse w 1973 roku. Czytelnicy byli jednak oburzeni, że ktoś szkaluje tak szanowaną fundację, odwoływali subskrypcję. Z czasem sprawa trafiła do telewizji. Ty wciąż nie wiedziałaś, że to też twoja historia.
– W tych materiałach padało nazwisko Alfred Siegfried. Tak nazywał się inicjator programu, były nauczyciel, który pożegnał się z zawodem, bo miał sprawę o molestowanie. Potem zaczął pracę w Pro Juventute. Znałam to nazwisko, bo Siegfried przez kilka lat był moim opiekunem prawnym. Zaczęło mi coś świtać. Kiedy w 1986 roku ogłoszono, że Jenisze mogą ubiegać się o dostęp do swoich akt, uznałam, że trzeba spróbować. Zwróciłam się o pomoc do fundacji Naschet Jenisze (Naprzód Jenisze). Akta Pro Juventute objęte są klauzulą tajności. Osoby bezpośrednio dotknięte programem mają jednak prawo do wglądu do akt. Nie miałam pojęcia, co w nich znajdę.

Przyszły pocztą?
– Tak. Kiedy przyszła pierwsza transza, aż usiadłam z wrażenia. Najpierw ze względu na ilość. Sam pierwszy rok mojego życia to 85 stron różnych papierów. Całość to ponad osiemset stron skondensowanej nienawiści do dziecka. I to od pierwszych chwil jego życia. Na ich podstawie zaczęłam rekonstruować swoją biografię. Tyle że ta jej wersja była jeszcze gorsza od tej, którą znałam wcześniej.

W dokumentach Pro Juventute piszą o tobie, że jesteś wyjątkowo nieudanym dzieckiem, a „włóczęgostwo" masz we krwi. Ale to nie było najgorsze. Bo potem dostałaś akta sprawy sądowej o wykorzystywanie seksualne.
– I wtedy zawalił mi się świat.

Co w nich było?
– Wszystko to, co sprawiło, że mój ojczym nie został skazany. Na przykład ośmiostronicowy raport z mojego „prowadzenia się", w którym matka opisuje, jakim koszmarnym byłam dzieckiem. Przedstawia mnie jako leniwe i zakłamane dziecko. Jako rozerotyzowaną mitomankę, która rzekomo narzucała się mężczyznom już jako kilkuletnia dziewczynka. To na pewno napisał ojczym, na swojej maszynie do pisania, ale matka to podpisała. Moje ciotki i wychowawczynie też pisały na mnie kalumnie. Przeciwko mnie użyto nawet cytatu z mojego wypracowania, gdzie chwalę się bujną wyobraźnią. Sąd uznał, że cała historia o gwałtach była zmyślona. Tyle że ojczym miał sprawę o stręczycielstwo, zanim ożenił się z matką. Tego sąd nie wziął pod uwagę.

Matka miała nas czworo. Z trzema różnymi mężczyznami. *Dla państwa to była patologia*

Kiedy w twoje ręce trafiły akta sprawy, miałaś 37 lat. Właściwie byłaś zadowolona z życia.
– Tak. Uważałam, że mimo wszystko jakoś mi się w życiu udało. Samodzielnie wychowywałam dwie córki. Jak na szwajcarskie warunki byłam biedna, ale miałam małe mieszkanie, samochód. I nagle wpadłam w najczarniejszą otchłań.

Miałaś różne myśli. Jakie?
– Nienawidziłam siebie i kraju, który mi to zrobił. W najlepszych chwilach chciałam wyjechać, w najgorszych się zabić. Było blisko.

Twoja starsza córka miała wtedy siedemnaście lat, mieszkała już sama. Ty mieszkałaś z młodszą córką, która miała lat siedem. Zdecydowałaś się oddać ją rodzinie zastępczej. Dlaczego?
– Byłam na najgłębszym dnie. Wiedziałam, że w tym stanie nie mogę zapewnić jej właściwej opieki. Powierzenie jej rodzinie zastępczej było jedynym odpowiedzialnym rozwiązaniem. Sama wybrałam opiekunów dla córki. Mieszkali niedaleko mnie. Od początku było jasne, że weekendy będziemy spędzały razem. Po pięciu latach córka oświadczyła, że chce wrócić do mnie. Ja byłam już stabilna. Od tej pory byłyśmy razem.

Co pomogło ci przetrwać najtrudniejsze lata?
– W dzieciństwie pomagała mi przyroda. Do dziś rozmawiam ze zwierzętami. Potem, już jako nastolatka, zaczęłam pisać wiersze. Uciekałam też w świat fantazji. Wyobrażałam sobie, że jestem kimś innym. Dziś powiedziałoby się, że byłam odporna. Ale ja nie lubię

tego słowa. Bo jest używane jako usprawiedliwienie dla zła. Potem pomogła mi działalność publiczna. W którymś momencie stałam już na moście. I powiedziałam sobie, że to jednak nie jest koniec. Że pójdę do mediów i będę opowiadać o swoim życiu.

W latach 90. zostałaś prezeską fundacji Naschet Jenische. Jednym z zarzutów organizacji reprezentujących Jeniszów jest to, że państwo dało im wgląd do akt, ale nic więcej. Z traumą musieli radzić sobie sami.
– Dokładnie. Poddani zostaliśmy retraumatyzacji. Wielu z nas to ludzie z problemami, z uzależnieniami, w trudnej sytuacji materialnej. Wielu nie stać na psychologa. Ja próbowałam szukać pomocy terapeuty. Żaden z nich nie był przygotowany na obsługę takiego przypadku.

Gdy patrzysz na setki ludzi okaleczonych przez Pro Juventute, myślisz, że tobie się udało?
– W pewnym sensie. Mogłam przecież się zabić. Mogłam mieć nieudaną próbę samobójczą i leżeć sparaliżowana w łóżku. Mogłam zacząć pić lub brać narkotyki, jak moja najmłodsza siostra. Ta, która trafiła do adopcji.

Czy masz już dostęp do wszystkich swoich akt?
– Nie. Do dziś uzbierałam jakieś 3500 stron, ale to jeszcze nie wszystko. Wiele dokumentów pozostaje wciąż w sierocińcach, w kantonach, w kościele. Walczę też o dostęp do akt mojej matki. Program Kinder der Landstrasse działał od 1926 roku. Matka też była nim objęta. Sama przez ileś lat mieszkała w ośrodku Zum guten Hirten. Kiedy wreszcie przeczytam jej akta, dowiem się – mam nadzieję – jaka spotkała ją krzywda. Krzywda, za którą wyżywała się na nas.

Twoja matka zmarła pięć lat temu. Wybaczyłaś jej?
– Nauczyłam się z tym żyć. Jednak o przebaczeniu nie może być mowy. Ale to, że trzymała stronę ojczyma, mnie nie dziwi. Tak robi wiele kobiet w podobnych sytuacjach.

Mówisz, że masz otwarty rachunek z Panem Bogiem. A z państwem?
– I to jaki! Przez wiele lat, jako dziecko, myślałam, że zawiodła mnie moja rodzina, ale wierzyłam w mój kraj. Myślałam, że przynajmniej na Szwajcarię zawsze mogę liczyć. To było błędne myślenie.

JENISZE

– mniejszość narodowa w Szwajcarii, według oficjalnych danych liczy około 30 tys. osób. Historycznie Jenisze prowadzili wędrowny tryb życia. Od kilku stuleci osiedlani byli przymusowo, dziś zaledwie jedna dziesiąta wciąż sezonowo migruje. Poza Szwajcarią Jenisze mieszkają we Francji, Niemczech i Austrii

Czego oczekujesz?
– Zadośćuczynienia. Ale nie finansowego. Tak się tego wyliczyć nie da. Rekompensaty pieniężne wypłacano nam dwa razy, ale te pieniądze to policzek dla ludzi, którym państwo zniszczyło życie. Nie wierzę w zadośćuczynienie, wierzę w rehabilitację. Większy sens miałaby renta dla ofiar.

Szwajcarski parlament wystosował w 2013 roku ogólne przeprosiny dla osób, które państwo odbierało rodzicom, ale bez rozróżnienia na to, czy to była rodzina szwajcarska, czy nie. Podobne praktyki stosowano też bowiem do innych kobiet, które miały nieślubne dziecko. Uważasz, że coś idzie w dobrą stronę?
– Z tymi przeprosinami to akurat idzie dość słabo. Nie jestem też przekonana, czy można porównywać los Jeniszów i szwajcarskich matek, którym zabierano dzieci. W naszym przypadku celem była kulturowa anihilacja. Dotyczyło to nie tylko Jeniszów, ale też Sinti. Państwo chciało kraju bez Wędrownych, jak nas nazywano – to w bardziej eleganckiej wersji. Albo włóczęgów, jak mówiono kolokwialnie.

Mimo to w zeszłym roku powstała ważna ekspertyza prawna, która daje nadzieję na przyszłość.
– Tak. Pod naciskiem naszych organizacji rząd zamówił ekspertyzę profesora prawa na Uniwersytecie Zuryskim Olivera Diggelmanna. Miał ustalić, czy działania Pro Juventute były naruszeniem praw człowieka. Ekspertyza mówi jasno: były. W pierwszym programie telewizyjnym, w którym wystąpiłam, w 1989 roku, powiedziałam przed kamerami: uważam, że to było przestępstwo. Teraz potwierdzili to prawnicy. Mam z tego ogromną satysfakcję.

Wiele osób chciało jednak innej konkluzji, że to była polityka ludobójstwa albo kulturobójstwa. Bo przecież chodziło o wynarodowienie, o pozbawienie tych dzieci własnej kultury, zabranie rodzicom możliwości przekazania tej kultury kolejnym pokoleniom.
– Tak. I zresztą właśnie dlatego – bo nie wyrosłam w mojej społeczności – wiele osób może mnie uznać za nieprawdziwą Jeniszkę. Proszę zwrócić uwagę, ile lat zajęła nam walka o to, by taka ekspertyza w ogóle powstała. Młyny systemu sprawiedliwości mielą powoli.

Sama ekspertyza to jednak za mało. Ty oczekujesz, że państwo dokona bardziej gruntownego rachunku sumienia.
– Tak. Bo państwo zrzuca winę na Pro Juventute. Tyle że odpowiedzialność ponoszą też władze kantonalne, policja, Kościół, nawet biznes prywatny. Przecież w ośrodku Zum guten Hirten wykonywaliśmy bezpłatną pracę dla różnych firm krawieckich. Podobnie było w innych zakładach opiekuńczych. To była praca przymusowa, praktycznie niewolnictwo. Wreszcie, i to jest najtrudniejsze, współwinny jest też wymiar sprawiedliwości.

Oczekujesz nie tylko słów, ale i czynów. Jakich czynów?
– Na przykład, że dzieci będą uczyły się o Jeniszach w szkole. O tym, że jesteśmy pełnoprawną częścią kultury tego kraju. Na razie nie zanosi się na to.

W 1988 roku parlament uznał Jeniszów za mniejszość narodową. Ale dopiero w 2020 roku, w odpowiedzi na długoletnie starania środowisk Jeniszów i Sinti, obiecał, że wycofa z oficjalnego użycia termin „Wędrowni". Długo czekałaś na tę zmianę.
– Ogromna większość naszych rodzin była osiadła. Dopiero program Kinder der Landstrasse zrobił z nas ludzi bezdomnych, naznaczył nasze życie tułaczką. Nie dość, że nie znam historii mojej rodziny, to jeszcze nigdzie, ale to naprawdę nigdzie, nie miałam domu ani swojego miejsca na ziemi. Państwo chciało nas osiedlać, osiągnęło cel całkiem przeciwny.

Co dziś dla ciebie oznacza bycie Jeniszką?
– To trudne pytanie. Lubię rozmawiać w naszym języku. Chyba lubię wolność, choć przez dużą część życia byłam jej pozbawiona. Jestem Jeniszką. To moja tożsamość. Ale zapłaciłam za nią zbyt wysoką cenę. ▲

Kobiety do *energetyki*

Zapotrzebowanie na kompetencje informatyczne nadal będzie olbrzymie, ale zamiast uczyć się samego kodowania, lepiej rozwijać się w tzw. modelu T-shaped

TEKST
MAGDALENA WARCHALA-KOPEĆ

Po pandemicznym rozkwicie rynek IT przechodzi poważną zmianę. Firmy ograniczają rekrutację programistów juniorów. Cięcie kosztów umożliwia im automatyzacja części prostszych zadań przy pomocy AI. Z analizy danych portali rekrutacyjnych, jak choćby Pracuj.pl, wynika, że wśród ofert z branży IT dominują te dla seniorów, ekspertów z zakresu sztucznej inteligencji i uczenia maszynowego czy specjalistów do spraw jakości.

Rynek pracy w branży technologicznej nie kurczy się, tylko przesuwa z masowego zatrudniania „juniorów od wszystkiego" do selektywnego popytu na kandydatów z konkretną specjalizacją. Widać to szczególnie w Polsce. Raport „No Fluff Jobs 2026" wskazuje, że prawie 60 proc. ofert dotyczy seniorów, a tylko blisko jedna na 20 ofert adresowana jest do juniorów.

– Rynek technologiczny przechodzi dziś jedną z najważniejszych zmian ostatnich dekad. Przez lata młodym ludziom powtarzano: „Idź do IT, naucz się programować, znajdziesz dobrą pracę". Dzisiaj ta odpowiedź jest zbyt wąska – mówi Bianka Siwińska, prezeska Fundacji Edukacyjnej „Perspektywy".

PRACY CORAZ MNIEJ

Co zatem z osobami, które przebranżowiły się do pracy w sektorze IT w czasach dobrej koniunktury? Osobom, które wchodzą do tej branży po krótkim kursie programistycznym, celując w prostą ścieżkę junior developera, manual testera albo frontenda z podstawowym portfolio, najtrudniej odnaleźć się na rynku.

Wiele z nich skuszonych zostało do wyboru takiej ścieżki rozwoju perspektywą wysokich zarobków i możliwością pracy zdalnej. Teraz zderzają się z rzeczywistością: gwałtownym spadkiem liczby ofert, a co za tym idzie, także stawek. Analitycy rynku wskazują, że dobrą strategią będzie łączenie nowych kompetencji technicznych ze swoją dawną branżą. Doświadczenie zdobyte w dziedzinie finansów, logistyki, sprzedaży, HR, energetyki, produkcji, administracji czy medycyny może dawać im przewagę nad osobami, które kształciły się wyłącznie w dziedzinie informatyki.

Zainteresowanie studiami informatycznymi spada. W roku akademickim 2024/25 informatyka była drugim najpopularniejszym kierunkiem w Polsce, z liczbą kandydatów na studia sięgającą 35 716 osób. W rekrutacji na bieżący rok akademicki informatyka spadła na piąte miejsce na liście najpopularniejszych kierunków. Zgłosiło się na nią 26 248 zainteresowanych, co oznacza spadek o 9 468 zgłoszeń w zaledwie rok.

NIE ZAMYKAJCIE WYOBRAŹNI

Eksperci podkreślają, że na umiejętności informatyczne nadal będzie olbrzymie zapotrzebowanie. Ale zamiast uczyć się samego kodowania, należy postawić na tzw. model T-shaped.

To koncepcja opisująca profil kompetencji pracownika, symbolizowana przez dwie osie umiejętności przypominające literę „T". Pionowa kreska, symbolizująca głębokość, oznacza specjalistyczną wiedzę ekspercką i wysokie umiejętności w jednej, konkretnej dziedzinie. Pozioma kreska, ilustrująca szerokość, ozna-

Perspektywy Women in Tech Summit, największa w Europie konferencja i targi kariery skierowane do kobiet działających w branży technologicznej, IT oraz obszarach STEM, odbędą się 10-11 czerwca 2026 w Warszawie

FOT. ISTOCK/GETTY IMAGES

cza ogólną wiedzę z wielu różnych obszarów oraz zdolność do współpracy z innymi specjalistami.

– Informatyka nadal jest ważna, ale kończy się prosty mit, że wystarczy krótki kurs i podstawowe portfolio, aby wejść do dobrze płatnej pracy technologicznej. Dlatego mówimy młodym kobietom: uczcie się programowania, ale nie zamykajcie swojej wyobraźni w jednym frameworku. Łączcie software z energetyką, AI z medycyną, cyberbezpieczeństwo z finansami, automatykę z przemysłem, dane z klimatem, elektronikę z obronnością, fizykę z kwantami, inżynierię z odpowiedzialnością społeczną. Pytanie, które młoda osoba powinna sobie dziś zadać, brzmi: „Gdzie moja wiedza techniczna będzie naprawdę potrzebna i jaki problem świata, gospodarki albo społeczeństwa pomogę dzięki niej rozwiązać?". Właśnie na to pytanie odpowiada Perspektywy Women in Tech Summit 2026 – mówi Siwińska.

„Perspektywy" Women in Tech Summit 2026 to jedno z największych wydarzeń skupiających kobiety zainteresowane technologiami. Tegoroczna edycja, zaplanowana na 10-11 czerwca w Warszawie, odbywa się w momencie szczególnym.

CZTERY SILNIKI POPYTU

– Widzimy równocześnie kilka potężnych procesów: rewolucję AI, rosnące znaczenie cyberbezpieczeństwa, transformację energetyczną, rozwój przemysłu 5.0, inwestycje w obronność i dual-use, przyspieszenie w technologiach kwantowych, kosmicznych, półprzewodnikowych i jądrowych. To są konkretne miejsca pracy, konkretne projekty, konkretne laboratoria, fabryki, centra danych, sieci energetyczne, systemy płatnicze, platformy medyczne, satelity, reaktory i algorytmy, które będą decydować o bezpieczeństwie, konkurencyjności i jakości życia – mówi Siwińska.

Na te potrzeby rynku odpowiadają nowe kierunki studiów, otwierane w ostatnich latach na polskich uczelniach, łączące się z inwestycjami strategicznymi, bezpieczeństwem, transformacją energetyczną i zmianą rynku technologicznego.

W Polsce szczególnie ważne są obecnie cztery „silniki" popytu na inżynierów:

- planowana budowa pierwszej w kraju elektrowni jądrowej na Pomorzu,
- rozwój offshore wind, czyli energetyki wiatrowej na Bałtyku,
- rekordowe wydatki na technologie obronne i dual-use, czyli technologie cywilne możliwe do wykorzystania w celach wojskowych,
- a także cyfryzacja przemysłu, oparta na sztucznej inteligencji, cyberbezpieczeństwie i automatyce.

Do tego doliczyć należy niszowe, ale strategiczne obszary, jak kosmos, kwanty, fotonika, półprzewodniki i infrastruktura danych.

Pierwsza elektrownia jądrowa w Polsce ma powstać w lokalizacji Lubiatowo-Kopalino w gminie Choczewo na Pomorzu. Aktualizacja Programu Polskiej Energetyki Jądrowej wskazuje start pracy pierwszego bloku w 2036 roku, a Ministerstwo Edukacji Narodowej prognozowało, że w szczycie budowy zaangażowanych w nią będzie ponad 10 tys. osób: od inżynierów po techników, elektryków, mechatroników, spawaczy, monterów i operatorów.

> 80 proc. małych i średnich firm w UE ma trudności ze znalezieniem pracowników *z kompetencjami STEM*

ODCZAROWAĆ ATOM

Wykształcenia części niezbędnych kadr podjęła się Politechnika Krakowska, która od przyszłego roku akademickiego uruchomi na studiach drugiego stopnia z zakresu budownictwa nową specjalność: budownictwo w energetyce jądrowej.

– To pierwsza taka inicjatywa w Polsce. Na wielu uczelniach są kierunki związane z energetyką jądrową, ale zanim elektrownie będą obsługiwane, ktoś musi je wybudować – mówi prof. Lucyna Domagała, dziekan Wydziału Inżynierii Lądowej Politechniki Krakowskiej.

Studia z zakresu energetyki jądrowej uczelnia uruchomiła już rok temu na poziomie inżynierskim, studia drugiego stopnia uruchomione zostaną od marca 2027 roku.

Energetykę jądrową na poziomie inżynierskim studiować można również na Politechnice Częstochowskiej. Uczelnia wskazuje, że sektor jądrowy w Polsce może wygenerować około 40 tys. miejsc pracy w perspektywie 50 lat, nie tylko w elektrowniach, ale też w urzędach, biurach projektowych, zespołach inwestycyjnych i eksperckich. Ten sam kierunek na studiach uzupełniających magisterskich wprowadziła także Politechnika Gdańska.

Dlatego na tegorocznym Summitcie zostanie wydzielona specjalna przestrzeń „Nuclear. Powered by Women".

– Chcemy odczarować atom: pokazać, że energetyka jądrowa to nie tylko fizycy reaktorowi, ale także inżynierki budownictwa, automatyczki, elektryczki, specjalistki od cyberbezpieczeństwa, projektantki systemów, chemiczki, materiałoznawczynie, ekspertki od bezpieczeństwa radiologicznego, prawniczki, menedżerki projektów, specjalistki od komunikacji społecznej, jakości, logistyki i regulacji. To ogromny ekosystem kompetencji – mówi Siwińska.

Krajowa polityka energetyczna zwraca się nie tylko w kierunku atomu, ale również w kierunku energii wiatrowej. Polska rozwija obecnie pierwszy etap morskich farm wiatrowych na Morzu Bałtyckim o docelowej mocy około 5,9 GW. Sama farma Baltic Power, która jest najbardziej zaawansowanym przedsięwzięciem tego typu w Polsce i wkracza w fazę instalacji na morzu, ma mieć około 1,2 GW mocy i zasilać ponad 1,5 mln gospodarstw domowych. Polskie spółki planują również stworzenie kablowca, który będzie wykorzystywany do budowy i serwisu morskich farm wiatrowych na Bałtyku.

Szacunki dla całego sektora mówią o około 34 tys. etatów w fazie inwestycyjnej i około 29 tys. w późniejszym utrzymaniu oraz eksploatacji farm wiatrowych.

ZIELONE TECHNOLOGIE I OBRONNOŚĆ

Dlatego Politechnika Gdańska zaczęła kształcić kadrę potrzebną do pracy w morskiej energetyce wiatrowej już w 2019 na studiach podyplomowych. Uruchomienie kolejnej edycji studiów na tym kierunku związane jest bezpośrednio z oczekiwanym w najbliższych latach intensywnym rozwojem rynku morskiej energetyki wiatrowej w Polsce.

W projekcie Polityki Energetycznej Polski do 2040 roku przewidziano realizację morskich farm wiatrowych o łącznej mocy ponad 10 GW, co czyni z Polski potencjalnego lidera branży w Europie. Celem

studiów jest przygotowanie profesjonalnej kadry na potrzeby tak dużego rynku.

Rynek ten jest jednak kosztowny i zmienny, a decyzje inwestycyjne w Europie bywają opóźniane, dlatego warto nabywać kompetencje bardziej szerokie i uniwersalne, z zakresu elektroenergetyki, automatyki, mechaniki czy logistyki morskiej.

Studia inżynierskie z zakresu elektroenergetyki podjąć można na Politechnice Krakowskiej i kontynuować na studiach II stopnia (specjalność w ramach kierunku elektrotechnika i automatyka).

Z kolei Politechnika Śląska oferuje pokrewny kierunek inżynierski o nazwie zielone technologie. Jego studenci nauczą się o odnawialnych źródłach energii, recyklingu, nowoczesnych materiałach i technologiach przyjaznych środowisku.

Uczelnia z Gliwic prowadzi również kierunek „zrównoważona konsumpcja i produkcja". To pierwszy w Polsce interdyscyplinarny kierunek studiów, który łączy zagadnienia na styku ekologii, ekonomii, technologii oraz nauk społecznych.

Polskie uczelnie odpowiadają również na potrzeby związane z rozwojem sektora obronnego. Politechnika Śląska rozwija kierunek „inżynieria systemów obronności". Studia mają przygotować absolwenta do pracy w sektorach: obronnym, bezpieczeństwa ludności cywilnej oraz energetycznym.

Politechnika Krakowska od przyszłego roku akademickiego zamierza kształcić studentów na kierunku materiały i technologie dla obronności.

KOSMOS I KWANT

Z kolei Wojskowa Akademia Techniczna stawia na kierunek technologie przełomowe, bliski potrzebom dual-use, obejmujący zagadnienia takie jak optoelektronika, fotonika, fizyka kwantowa, systemy elektroniczne i telekomunikacyjne, technologie kosmiczne, automatyzacja i wspomaganie decyzji. Jego profil odpowiada zarówno przemysłowi, jak i obronności.

Z bezpieczeństwem publicznym łączy się także kierunek technologie inżynierskie w kryminalistyce na Politechnice Śląskiej. Odpowiada on na deficyt specjalistów technicznych, zwłaszcza w wykrywaniu i zwalczaniu cyberprzestępczości, przestępstw bankowych i internetowych.

Technologie kosmiczne/Space Technologies to z kolei anglojęzyczne studia uruchomione w zeszłym roku akademickim na Akademii Górniczo-Hutniczej. Odpowiadają one na rozwój obserwacji Ziemi, przetwarzania danych satelitarnych, misji kosmicznych i zastosowań kosmicznych w medycynie oraz bezpieczeństwie.

Po angielsku studiować można również technologie kwantowe na Politechnice Poznańskiej. Program łączy fizykę kwantową, informatykę klasyczną i kwantową, AI, fotonikę, elektronikę i inżynierię materiałową. To kierunek przygotowujący do programowania komputerów kwantowych, komunikacji kwantowej i kryptografii.

Z kolei Politechnika Wrocławska uruchomiła studia z inżynierii kwantowej, łączące fotonikę, technologie materiałowe, informatykę kwantową i energetykę światła. W 2025 r. na tej uczelni uruchomiono komputer kwantowy Odra 5.

Odpowiedzią na automatyzację, robotyzację i cyfrowe sterowanie procesami jest kierunek technologie przemysłu 5.0 na Politechnice Gdańskiej.

KOMPETENCJE DAJĄ ODPORNOŚĆ

Z kolei kierunki takie jak inżynieria danych i sztuczna inteligencja na Politechnice Śląskiej czy informatyka z cyberpsychologią na Politechnice Krakowskiej przesuwają akcent na odpowiedzialne projektowanie systemów, interakcję człowiek–komputer, etykę AI i bezpieczeństwo.

Eksperci podkreślają, że wybierając studia, warto pytać nie tylko o nazwę kierunku, ale także o laboratoria, projekty realizowane wspólnie z firmami, praktyki, dostęp do aparatury, koła naukowe, język angielski i możliwość pracy przy projektach przemysłowych. Kierunek z trudną matematyką, fizyką, elektroniką lub mechaniką może być mniej modny niż „czyste IT", ale może dawać większą odporność na automatyzację.

Raporty europejskie pokazują, że problem braku pracowników z kompetencjami STEM (Science, Technology, Engineering, Mathematics) nie dotyczy tylko Polski. Niemal 80 proc. małych i średnich firm w UE ma trudności ze znalezieniem pracowników z kompetencjami STEM połączonymi z kompetencjami w zakresie technologii informacyjno-komunikacyjnych, sztucznej i inteligencji czy technologii kwantowych.

Europa chce zaradzić temu, zachęcając dziewczęta oraz kobiety do wyboru tych ścieżek, w ramach programu Digital Europe 2025–2027. Z kolei europejski przemysł obronny mierzy się z gwałtownym popytem na inżynierów, specjalistów AI, data scientistów, mechaników i spawaczy. – To wszystko prowadzi do jednego wniosku: kompetencje techniczne stają się kompetencjami bezpieczeństwa, odporności i sprawczości. Dla jednostki, dla firmy, dla państwa, dla Europy – podsumowuje Bianka Siwińska. ▲

FOT. ADRIAN LACH; EMERSON MILLER/PARAMOUNT+

TEATR

Nasza rubaszna *cielesność*

Co z „zipless fuckiem" i podobnymi mu fantazjami dziś – czy kobiety mogą i potrafią zupełnie swobodnie fantazjować?

Z **WERONIKĄ SZCZAWIŃSKĄ**, REŻYSERKĄ TEATRALNĄ, ROZMAWIA **PAULINA REITER**

„Strach przed lataniem" Eriki Jong to światowy fenomen. Książka sprzedała się w ponad 20 milionach egzemplarzy. Stała się manifestem kobiecego wyzwolenia seksualnego. Zaczyna się jak dobry żart – Isadora Wing jest na pokładzie samolotu do Wiednia z 117 psychoanalitykami na pokładzie, z których sześciu było jej analitykami, a siódmego poślubiła. Następnie mamy opowieść o jej frustracjach w małżeństwie i opis jej fantazji seksualnych. Po 50 latach do wydania przenosisz tę opowieść na deski teatru. Co cię w niej kręci?

– Wspaniała, niepoprawna narratorka i jej wspaniały, zabawny stosunek do świata, ciała i seksualności. Pierwszy raz czytałam „Strach przed lataniem" na studiach, na początku lat dwutysięcznych. Chociaż ta książka została napisana w 1973 roku, była na uniwersytecie wciąż traktowana jako coś trochę wstydliwego, wywołującego rumieniec. Poważnie traktowały ją za to polskie feministki, rozumiejąc znaczenie „Strachu..." dla drugiej fali feminizmu w Stanach Zjednoczonych. Powieść zrobiła na mnie wtedy duże wrażenie, ale chyba nie umiałam się przed sobą samą przyznać, dlaczego. Przeczytałam ją w skrytości i w skrytości ją przeżyłam. Bardzo zapamiętałam finał, zabawną epifanię Isadory, głównej bohaterki, której doznaje podczas okresu, leżąc w wannie.

Po latach wróciłam do tej historii, bo poszukiwałam silnej bohaterki, ale też bohaterki, która nie będzie ideałem, nie będzie pomnikiem ani wytworem naszych pobożnych życzeń na temat kobiecości, tylko będzie się mierzyła ze sobą i ze światem. I bohaterki z poczuciem humoru. Strasznie wkurza mnie backlash, konserwatywny zwrot, który ma dziś miejsce na różnych polach życia. Myślę, że Isadora Wing może nam dziś wiele podarować.

Erica Jong podarowała językowi angielskiemu sformułowanie „zipless fuck", które stało się kultowe i oznacza niezobowiązujący seks, o którym marzy Isadora.

– W spektaklu korzystamy z nowego, bardzo fajnego tłumaczenia Anny Dzierzgowskiej, która przełożyła je na „wyjebany zamek". Trochę się tym bawimy, używając też angielskiej wersji, bo to powiedzonko stawia jednak opór językowi polskiemu. „Zipless fuck", marzenie o spotkaniu seksualnym wolnym od uwikłań, poza układami, ma dla nas w spektaklu dwie konsekwencje. Pierwsza to forma przedstawienia, które opiera się na prawie fantazji. Druga to postawienie pytania o to, co z „zipless fuckiem" i podobnymi mu fantazjami dziś – czy kobiety mogą i potrafią zupełnie swobodnie fantazjować? Czy jest na to przestrzeń w sferze publicznej? Jak daleko jesteśmy od zachodniego 1973 roku, czy coś, co mogło oburzać wtedy, nadal oburza, czy jest raczej oczywistością? Mam podejrzenie, że w niektórych aspektach to, o czym pisze Jong, może w Polsce nadal być awangardowe.

Na przykład?

– To, co najbardziej lubię w tej książce i co staram się na scenie pokazać – rubaszną cielesność, która w powieści jest wszechobecna. Jong korzysta z tradycji literackich, które umożliwiają zbudowanie takiego portretu kobiecości, gdzie jest miejsce na ludyczność, na śmiech, na wpisanie seksualności w cielesne bycie w świecie. Według mnie to nadal rzadka perspektywa, by mówić o ciele poza pruderią, ale też odnotowywać jakieś jego śmieszne i pokraczne przygody. Mam poczucie, że w naszym teatrze często rozmawiamy o ciele albo w wymiarze traumy i skrzywdzenia, albo w wymiarze opiekuńczym. Gdzieś znika takie codzienne, nieskrępowane życie ciała.

Wspomniałaś o tym, że Isadora Wing nie jest do końca kobietą, którą łatwo polubić. Za co ją lubisz i co cię w niej drażni?

– Na pewno lubię ją za ducha przygody. To bohaterka, która mierzy się odważnie ze światem, z mężczyznami i z samą sobą. To kobieta, która jest na drodze do porzucenia samooszukiwania się, chociaż ta droga jest pokrętna, co wydaje mi się wspaniałe. Już wspomniałam o jej stosunku do seksualności i ciała, który jest pełen zabawnego dystansu, braku obciachu. Mam poczucie, że bez Isadory Wing nie byłoby takich współczesnych postaci jak Fleabag.

To, co jest w niej problematyczne, jest jednocześnie jej siłą – to bohaterka bardzo egocentryczna. To gigantyczne kobiece ja, beznadziejnie na dodatek heteroseksualne. To wielka podmiotka, która dla swojej fantazji jest gotowa podpalić świat, nawet kosztem innych. Z jednej strony to jest trudne, ale z drugiej tęsknię za takimi bohaterkami kobiecymi, które pokazują, że mamy prawo popełniać błędy, rewidować różne wersje siebie, żywo odpowiadać na rzeczywistość – być po prostu pełnymi ludźmi.

W samej książce jest więcej wątków problematycznych dotyczących Isadory. Jej niepoprawność obejmuje także swobodne posługiwanie się etnicznymi stereotypami, które dzisiaj bardzo rażą, a nie śmieszą. Ten aspekt musi pozostać w latach siedemdziesiątych, nie zabierzemy go do naszego spektaklu.

W roli Isadory Wing obsadziłaś Martę Nieradkiewicz. Jak ją kreuje?

– Isadora będzie bardzo autorską kreacją Marty, idącą za jej skojarzeniami. To jest aktorka o niezwykłej sile. Ma w sobie coś, co uwielbiam – połączenie żywiołu z niezwykłym warsztatem aktorskim i totalnym poczuciem humoru. Marta, podobnie jak Isadora, nie boi się śmieszności i zabawy, niesamowicie obchodzi się ze swoją fizycznością. Wraz z Martą i z choreografką Alicją Czyczel pracujemy nad tym, by ciało Isadory było rozwibrowanym kręgosłupem naszego spektaklu.

Myślę, że Marta podziela też moje przekonanie, że ta powieść jest bardzo potrzebna dziś, bo kobiety nadal mają problem ze zrozumieniem swoich pragnień. Kobietom w naszym pokoleniu może zabrakło w najwcześniejszych doświadczeniach jakiejś mapy cielesności i szczerości wobec samych siebie. Konsekwencją są różne perypetie, komiczne i zupełnie nieśmieszne. Ciekawa jestem bardzo, jak na ten spektakl będą reagować młodsze widzki, bo chociaż widzę zmianę wokół siebie, to nie jestem pewna jej mocy.

Marta Nieradkiewicz jest starsza niż Isadora w powieści. Kiedy czytałam książkę na studiach, zapamiętałam ją jako kobietę w średnim wieku, sfrustrowaną mężatkę. Odświeżając sobie „Strach przed lataniem", z zaskoczeniem odkryłam, że jej bohaterka ma 29 lat.

– Miałam dokładnie tak samo. Powieściowa Isadora jest już po rozwodzie, dodajmy, że bardzo traumatycznym, w drugim związku małżeńskim, który był piękny, ale się wypalił – i to wszystko przed trzydziestką. Wiemy, że to jest jakoś inspirowane życiorysem samej Jong. Teraz czas biograficzny płynie trochę inaczej. Kiedy pracowaliśmy z Piotrkiem Wawrem jr., autorem scenariusza, nad koncepcją adaptacji, podjęliśmy decyzję, że teraz to jest rola dla aktorki starszej od książkowego pierwowzoru. Marta jest po czterdziestce, podobnie jak ja, ale sądzę, że to jest ciekawe, bo okolica czterdziestki dziś to jest czas, kiedy kobiety w jakimś sensie odkrywają siebie na nowo. Znajdują odwagę, by dokonać rewizji swojego doświadczenia. ▲

„Zipless fuck" to marzenie o spotkaniu seksualnym *wolnym od uwikłań*

STRACH PRZED LATANIEM wg powieści Eriki Jong, adaptacja Piotr Wawer jr., reżyseria Weronika Szczawińska TR Warszawa, premiera 12 czerwca

SERIAL

Z Montany do Teksasu

W świecie Beth Dutton nie ma spokoju, niezależnie czy to Montana, czy Teksas, problemy zdają się za nią podążać. Niektóre sama prowokuje, inne są co prawda dziełem przypadku, ale i tak sprawiają, że spokój, którego zdaje się, że jednak pragnie, pozostaje poza zasięgiem. Ile razy będzie jeszcze w stanie zaczynać wszystko od zera i czy w końcu nie znudzi się to także widzom?

„Dutton Ranch" („Ranczo Duttonów") to spin-off popularnego serialu „Yellowstone", stworzonego przez obdarzonego midasowym dotykiem Taylora Sheridana. Oznacza to tyle, że dwójka bohaterów znanych z „Yellowstone" dostała własny serial, który choć nawiązuje do tego, co działo się wcześniej, jest właściwie osobną historią. Beth – dziedziczka spuścizny swojego ojca Johna, tragicznie zmarłego gubernatora Montany, ale przede wszystkim ranczera, głęboko przywiązanego do ziemi, jest zmuszona opuścić miejsce, w którym się wychowała, i które dla jej rodziny znaczyło właściwie wszystko. Jej stosunek do rancza przodków był ambiwalentny, ale raczej nie można odmówić jej miłości do górskich krajobrazów Montany. Wraz ze swoim mężem Ripem i przybranym synem Carterem, kupuje ranczo w Teksasie, gdzie ma nadzieję na chociaż odrobinę spokojnego życia. Szybko okazuje się jednak, że nie będzie jej to dane. Beth to postać, która karmi się konfliktem, jej siłą napędową jest rozwiązywanie problemów, a tych nie będzie jej brakowało.

„Dutton Ranch" pod wieloma względami zbudowane jest według tego samego schematu, co „Yellowstone". Mamy więc wielkie ranczerskie rodziny, które majątków i pozycji dorobiły się dyskusyjnymi metodami, którym nieobca jest przemoc i zbrodnia, i które nieustannie walczą o przetrwanie. W tle są historie poszczególnych bohaterów, ich porywy serca, które, jak to w życiu bywa, też przysporzą problemów. Do Beth i Ripa, granych przez Kelly Reilly i Cole'a Hausera, publiczność „Yellowstone" zdążyła się już przyzwyczaić, w „Dutton Ranch" dołączyli do nich Annette Bening i Ed Harris. Bening, jako Beluah Jackson, właścicielka rancza 10 Petal, nie ustępuje na krok, Beth. ▲ **(Joanna Wróżyńska)**

„DUTTON RANCH" („Ranczo Duttonów"), dziewięć odcinków, po jednym co tydzień w piątek. Dostępne w SkyShowtime

KSIĄŻKA

Spotkania na koniec świata

Nowa proza Anny Arno to rzecz oryginalna i błyskotliwa. Poetycka, pełna rezygnacji opowieść o spotkaniach, które się nie odbyły i świecie, który coraz bardziej przeczuwał swój zbliżający się koniec.

Ten zbiór tekstów, zawieszonych formalnie gdzieś pomiędzy esejem, reportażem historycznym i poetycką prozą, zaczyna się iście brawurowo: od rozważań o tym, czy Wittgenstein i Hitler, którzy chodzili do tej samej szkoły, mogli się spotkać i co z takiego spotkania mogłoby wyniknąć.

W kolejnych tekstach z ceniona i niezwykle wszechstronna pisarka – ma przecież w dorobku i nagradzaną poezję, i biografie, i teksty historycznoliterackie, a nawet bardzo swoistą prozę podróżniczą – przenosi uwagę na świat sztuki. Bada zwykłe życie, emocjonalne rozterki, podróże i relacje, a nawet banały codzienności najważniejszych twórców kultury środkowoeuropejskiej z przełomu XIX i XX wieku. Na kartach jej nowej książki pojawiają się m.in.: Rilke czy Trakl – artyści pozostający na granicy wyklęcia, ale i na granicy istnienia, tworzący sztukę mroczną, pozbawioną światła i wypraną z nadziei. Arno szuka połączeń między nimi, relacji artystycznych, życiowych, czasem, po prostu, finansowych. Dekadenckiego wymiaru jej prozie z nadaje powtarzający się motyw spotkań, które się nie odbyły, a mogły mieć znamienny wpływ na swych uczestników, ale i na całą epokę, a także spotkań, które miały miejsce, ale okoliczności sprawiły, że nie miały mocy i, ostatecznie, sensu.

Jeszcze bardziej ponure są te teksty za sprawą, przebijającego się spod powłoki codziennych życiowych problemów, przeczucianadchodzącego końca czasów.

Czytanie tej książki wywołuje więc wstydliwie radosne napięcie, między nieuchronnie udzielającym się pesymizmem, a potężnym zachwytem nad jej talentem i przenikliwością. ▲ **(Przemysław Gulda)**

ANNA ARNO, Do Pana kieruję moje milczenie, Wydawnictwo Znak

ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI POLECA WIERSZ

Pierwsze dni wiosny: lektura

porządkowanie papierów przeglądanie lekarskich adnotacji
jakby miało się nadzieję na odwrót pośród aktów własności
papierów z gminy ostatnich numerów „pszczelarstwa"
książka

pachnie klubowymi obserwuję na papierze wstydliwe ślady
ojcowskiej lektury na mszy proboszcz cytuje z niej fragment
wiersza który ma świadczyć o miłości czuję wstyd
bowiem nie świadczy

podczas podniesienia rozluźniam pięści uspokaja mnie
dopiero myśl o ulubionym scyzoryku ojca
który włożyłam do trumny
na chwilę przed

MAŁGORZATA LEBDA jest utytułowaną poetką i pisarką, a powyższy wiersz pochodzi z tomu „Sprawy ziemi" (WBPiCAK)

MARTA FREJ RYSUJE

Człowiek z *wody*

– Co my tam będziemy robić? – zapytał ktoś cicho. Grupa okazała się bardzo dobrze dobrana: nikt nie miał pojęcia, na czym polega kanioning

TEKST **AGNIESZKA MULARCZYK**

Ależ pięknie i biało – pomyślałam. I dotarło do mnie, że mam otwarte oczy. Chwilę wcześniej, gdy zjeżdżałam po głazach kilka metrów w dół, myślałam tylko o tym, żeby je zamknąć, zanim wpadnę do wody. Ale wszystko wydarzyło się tak szybko.

Gdy zleciałam pod wodę, nagle wszystko wyhamowało; poczułam się, jakbym oglądała film w zwolnionym tempie. Spojrzałam nad siebie, w stronę powierzchni. Mam do niej pół metra? Mniej? Więcej? Byłam głębiej, niż się spodziewałam. Spróbowałam płynąć w górę, ale rwący nurt niósł mnie, jak chciał. Moje niezgrabne ruchy zdawały się nie robić na nim wrażenia.

Czułam się jak mucha w smole, z tą różnicą, że zamiast czarnej mazi otaczały mnie bąbelki powietrza, które sprawiały, że woda wyglądała, jakby była biała. Skoro widzę je wyraźnie, to znaczy, że soczewki kontaktowe chyba mi nie wypłynęły. Przy mojej wadzie wzroku bez szkieł widziałabym tylko biel. No i nie wiem, jak bym poszła dalej w dół kanionu.

Ale tego wszystkiego nie zdążyłam pomyśleć tam, pod wodą. Mój mózg podzielił się na dwie połowy – jedna podziwiała piękno spienionej wody i to, jak mnie, nomen omen, płynnie niosła. Drugą zdominował lęk. „Nie panikuj" – zganiłam się w myślach. Ile to już trwa? Czy wystarczy mi powietrza w płucach? Osoby, które skoczyły tu przede mną, były przecież pod wodą

tylko chwilę. Dlaczego ja się tak długo nie wynurzam? Czy to się kiedyś skończy?

I nagle nurt wyrzucił mnie na płyciznę. Na powitanie usłyszałam głośny śmiech. Ciekawe, jaką miałam minę, gdy próbowałam stanąć na nogach, walcząc z nagle odzyskanym ciężarem ciała i nasiąkniętego wodą kombinezonu.

TRUDNA NATURA

Jak ja tam wylądowałam? Czy raczej wpadłam? Poza tym, że jak śliwka w kompot? Umiem pływać, ale zjazd prawie ośmiometrową rynną wyrzeźbioną w głazach do rwącego górskiego potoku to nie to samo co skok z łódki do jeziora. Lubię aktywnie spędzać czas, ale na poziomie rekreacyjnym. W granicach komfortu.

Aż pojawiło się na moim mailu zaproszenie na „outdoorowy" wyjazd prasowy do doliny Ötztal w austriackim Tyrolu. Rejon słynie przede wszystkim ze sportów zimowych – to tutaj znajduje się Sölden, jeden z najbardziej znanych ośrodków narciarskich Austrii. Za to jednym z najbardziej znanych ludzi z tej okolicy jest Ötzi, nazywany też „człowiekiem lodu". Znalazła go we wrześniu 1991 roku para niemieckich turystów, którzy wędrowali po wznoszących się w końcu doliny Alpach Ötztalskich. Ötzi leżał zamrożony w lodowcu na wysokości 3210 m n.p.m. Początkowo uznano, że jest zmarłym tragicznie turystą. Dopiero po wydobyciu go z lodowca odkryto, że zwłoki są zmumifikowane, a znalezisko stało się archeologiczną sensacją. Ötzi przeleżał w tym miejscu około 5300 lat. Zginął od strzały, miał mniej więcej 46 lat. Musiał być niezłym zakapiorem, skoro uciekał aż na lodowiec, gdzie dopadł go pech. No i ostry górski klimat, który zamroził jego ciało na tyle wieków.

Dziś na okoliczne lodowce jest znacznie łatwiej dotrzeć i tego po zaproszeniu do doliny Ötztal się spodziewałam. Jednak w programie wyjazdu był kanioning. Wstyd się przyznać, nie wiedziałam, co to jest, a w zaproszeniu była jedynie informacja, że organizatorem jest Area 47, ośrodek sportów i rekreacji położony nad rzeką Ötztaler Ache. No i że trzeba mieć z sobą kostium kąpielowy i ręcznik. Czyli będziemy robić coś w wodzie albo na wodzie. Nie wpadłam na dość oczywisty pomysł zapytania sztucznej inteligencji. Szybko dowiedziałabym się, że to „ekstremalna aktywność outdoorowa polegająca na przemieszczaniu się w dół wąwozów i kanionów przy użyciu różnych technik – marszu, wspinaczki, zjazdów na linie, skoków do wody, pływania i ślizgania się po naturalnych skalnych zjeżdżalniach. Najczęściej odbywa się w górskich rzekach lub wąwozach, gdzie woda przez tysiące lat wyrzeźbiła skały".

> Anuk uprzedziła, że brzegi kanionu są strome, *a kto przetrwał zjazd z mostu, przetrwa już wszystko*

Sztuczna inteligencja tym razem nie halucynowała. Gdybym wtedy wiedziała to, co wiem teraz, to pewnie przekazałabym zaproszenie komuś innemu, kto granice komfortu ma elastyczniejsze. Mam już więcej lat niż Ötzi, nie muszę przed nikim i niczym uciekać tam, gdzie natura jest może i piękna, ale niezbyt człowiekowi sprzyjająca. Skoro do tej pory stroniłam od sportów ekstremalnych, to teraz jest już trochę za późno, by próbować. Bo nawet jakby głowa chciała, to ciało już nie da rady.

ZABAWA DLA WYBRANYCH

Znalazłam się w grupie pięciorga dziennikarzy z różnych krajów. – Rano musicie być punkt godz. 9 w bazie kanioningu ośrod-

ka Area 47. Nie możecie się spóźnić – mówiła nam wieczór wcześniej Anna Katharina Pony z Ötztal Tourismus.

– Co my tam będziemy robić? – zapytało któreś z nas. Grupa okazała się bardzo dobrze dobrana: nikt nie miał pojęcia, na czym polega kanioning. Anna zapewniła, że nie mamy się czym martwić, bo jesteśmy zapisani na zajęcia dla początkujących. Poza tym to świetna zabawa.

Nasz niepokój budziła prognoza pogody: w nocy zapowiadano duże ochłodzenie, od rana miało padać, a temperatura przed południem miała nie przekroczyć 12 stopni. Prognoza nie zachęcała nie tylko do sportów wodnych, ale nawet do wychodzenia na zewnątrz.

Rano szybko jedliśmy śniadanie, patrząc na szare niebo przez mokre od deszczu okna. Czy my chcemy wejść do wody?

STRÓJ CZYNI FACHOWCA

W bazie kanioningu czekała na naszą grupkę instruktorka Anuk ubrana w piankowy kombinezon. Tonem nieznoszącym sprzeciwu powiedziała, że mamy słuchać jej uważnie, bo od tego zależy nasze bezpieczeństwo. Upewniła się, czy wszyscy umiemy pływać, i zaczęła opowiadać, co nas czeka. Z każdym jej słowem na twarzach moich współtowarzyszy pojawiało się coraz więcej niepewności. Własnej miny na szczęście nie widziałam.

Mieliśmy przejść kilometrową trasę wiodącą dość ostro w dół korytem rwącego górskiego potoku Nederbach, skakać do wody i zjeżdżać na linie z kilkunastu metrów.

Słuchaliśmy Anuk, stojąc w deszczu i trzęsąc się z zimna. A może z emocji? – Droga zajmie nam dwie godziny; jeśli ktoś nie czuje się na siłach, może teraz zrezygnować. Po wejściu do kanionu nie będzie takiej możliwości.

Raz się żyje – pomyślałam. Przecież nie mogę się wycofać, zanim zobaczę, na czym ta zabawa polega. Anuk kazała nam wejść do hangaru, w którym na wieszakach wisiały kombinezony podobne do tego, który miała na sobie, i stały regały z zestawami skarpet, butów i kaskami. Mieliśmy wybrać piankę w odpowiednim rozmiarze, nie za luźną.

Pianka zaskoczyła mnie ciężarem i temperaturą – była zimna, a do tego wilgotna. Ja mam to założyć bezpośrednio na kostium kąpielowy? Przy 10 stopniach Celsjusza? Ale wystarczyło spojrzeć na Anuk, drobną i ciągle uśmiechniętą dziewczynę. Gdy widziała na czyjejś twarzy cień wątpliwości, pokrzykiwała tonem nieznoszącym sprzeciwu: „Szybko, szybko, przebieraj się!”.

Mieliśmy zostawić wszystkie nasze rzeczy – plecaki, dokumenty, telefony; kombinezon nie miał żadnych kieszeni, więc nawet nie było gdzie schować chusteczki do nosa. Stanęłam przed lustrem: przynajmniej wyglądam fachowo.

Ruszyliśmy autokarem w głąb doliny do miasteczka Ötz, gdzie skręciliśmy na drogę wijącą się zakosami ostro w górę. Myśl, że kanioning to świetna zabawa, wydała mi się niedorzeczna. Widoki przysłaniały nam deszczowe chmury.

SERCE I UŚMIECH

Autobus zatrzymał się przy wąskim i starym moście. Pod nim w dole głośno szumiał rwący potok Nederbach. Anuk, niezrażona naszymi minami, wręczyła nam uprzęże podobne do tych wspinaczkowych, ale bardziej zabudowane z tyłu. I wciąż szeroko się uśmiechając, pokazała most: – Po kolei przechodzicie przez barierkę, ustawiacie się przodem do mnie, wychylacie do tyłu na ugiętych nogach, a ja was opuszczę. Zjedziecie 16 metrów w dół.

Prosto do potoku. Bezpośrednio pod nami było widać coś w stylu niecki otoczonej głazami. Woda była w niej spokojniejsza niż rwący nurt obok, ale za to głębsza, powyżej kolan. Na wszelki wypadek stanęłam na końcu naszej krótkiej kolejki do zjazdu. Pierwsze osoby Anuk opuściła w tempie ekspresowym. Zrobiłam oczy kota ze Shreka: – Mnie opuszczaj wolniej! Proszę!

Anuk uśmiechnęła się jeszcze szerzej. „Czy ona ma serce?” – ledwie to pomyślałam, a już byłam na dole. Przy lądowaniu nie udało mi się ustać, przykucnęłam i poczułam, jak lodowata woda wlewa mi się do kombinezonu na plecach. Było głębiej, niż wydawało mi się z góry, a kombinezon chyba jednak wybrałam trochę za luźny.

Ruszyliśmy w dół rzeki, innego wyjścia nie było. Anuk uprzedziła, że brzegi kanionu są strome, a kto przetrwał zjazd z mostu, przetrwa już wszystko. Niepewność zniknęła z naszych twarzy, a uśmiech Anuk okazał się zaraźliwy.

WODNA SIELANKA

Przed nami była wymagająca, ale piękna trasa prowadząca korytem potoku; z zakrętami i wodospadami. Już na samym początku drogi doceniłam strój do kanioningu. Buty idealnie trzymały się mokrych skał.

AGNIESZKA MULARCZYK

redaktorka „Wysokich Obcasów”

Pozwalały iść pewnym krokiem. A gruby – ok. 5-7 mm – i elastyczny kombinezon izolował od twardych i ostrych kamieni i świetnie utrzymywał temperaturę ciała, mimo że już na samym początku górą wlała mi się do niego woda. Po dłuższej chwili skakania z kamienia na kamień stwierdziłam, że pogoda – 8-10 stopni i deszcz – nam dopisała. Gdyby świeciło słońce, narzekałabym, że jest mi za gorąco. Deszcz nie miał najmniejszego znaczenia, bo przed nami było jeszcze kilka zjazdów na linie, na końcu których czekała na nas woda. A pod wodospadem trudno uniknąć zamoczenia głowy. A już na pewno przy skokach „na bombę” z wysokości mniej więcej 4 metrów...

No dobra, przyznam się, nie odważyłam się skoczyć. Pływać umiem, ale nigdy nie skakałam z takiej wysokości. Zasłoniłam się też argumentem o soczewkach – nie wiem, czy nie wypłyną mi z oczu, jeśli wpadnę pod wodę bez okularów pływackich. Osoby, które bały się skoczyć, Anuk opuszczała na linie albo wskazywała zejście po skałach.

Gdy doszliśmy do ślizgu – ośmiometrowej zjeżdżalni wyrzeźbionej przez wodę w skale – Anuk powiedziała: „Dacie radę”. Kazała mi ułożyć się w pozycji półleżącej na plecach, ręce skrzyżować z przodu ciała i... lekko mnie popchnęła.

No i wpadłam na całego.

Szkoda tylko, że jedyną moją pamiątką są wspomnienia. Nie mam żadnych zdjęć, bo telefon czekał na mnie w ciepłej szatni. Dobrym rozwiązaniem byłaby kamera GoPro. Ale czy wspomnienia nie wystarczą?

Więcej: www.oetztal.com

Wyjazd został zorganizowany przez Narodowe Biuro Promocji Austrii Österreich Werbung.

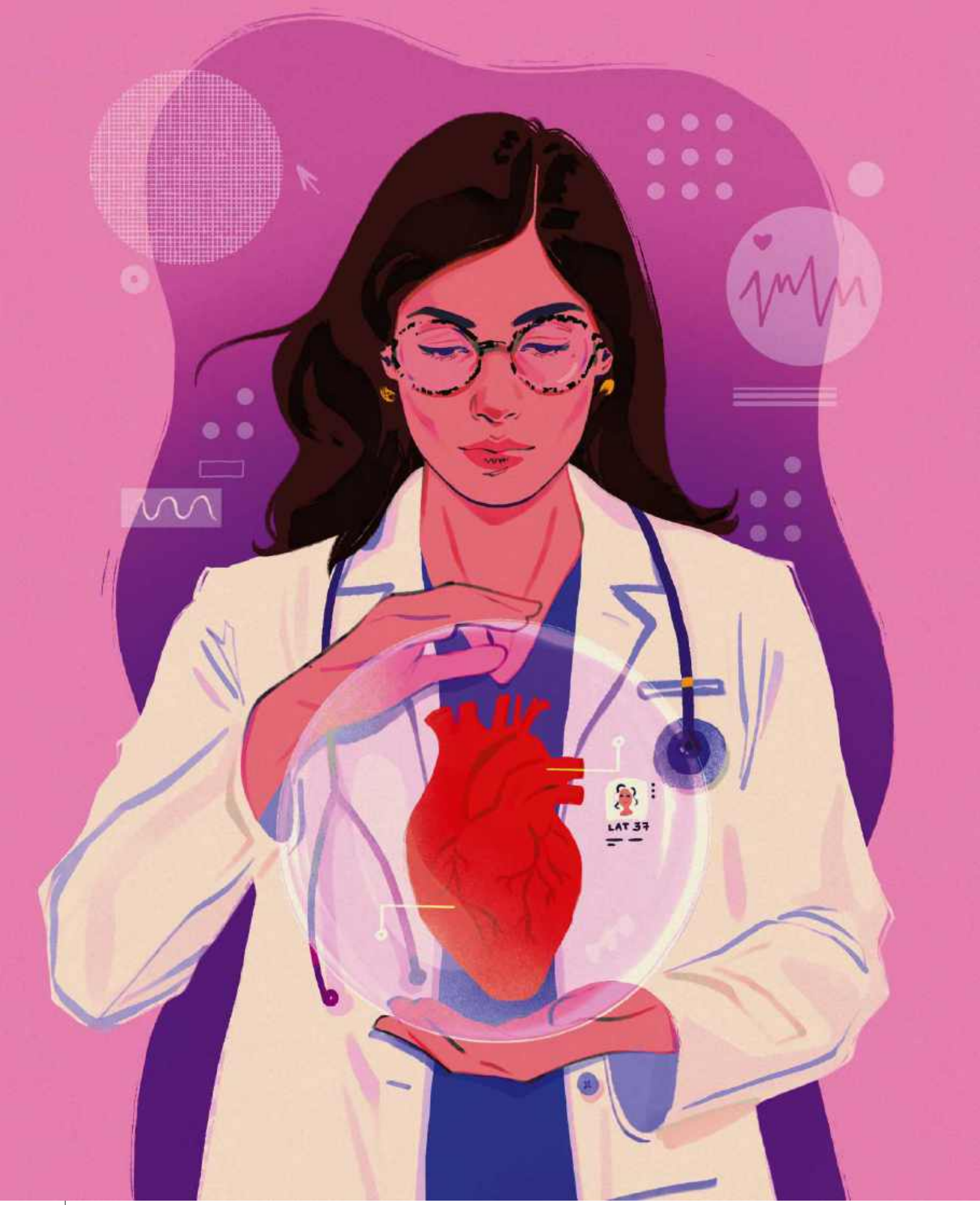
LAT 37

Atak młodego *serca*

Największym problemem zawałów u młodych ludzi jest to, że nikt się ich nie spodziewa – ani pacjenci, ani lekarze

TEKST **IRENA CIEŚLIŃSKA**
RYSUNEK **MADGA PANKIEWICZ**

Pacjentka numer 1 ma 34 lata, pracuje w banku. Siedzi przy biurku od dziewiątej do siedemnastej, czasem dłużej. Do pracy jeździ samochodem, po pracy dzieci, zakupy, dom. Wieczorem kanapa. Ma lekką nadwagę. Cholesterol trochę podwyższony, lekarz wspominał o diecie, ale bez nacisku. Pali pół paczki dziennie, głównie w pracy. Czuje się dobrze. Po wejściu na trzecie piętro łapie zadyszkę, ale kto by nie złapał? Ucisk w klatce zrzuca na stres. Zawał przychodzi w sobotę rano. Przy śniadaniu.

Pacjentka numer 2 ma piątkę dzieci, przyjeżdża na porodówkę w Grudziądzu w 37. tygodniu. Zaczynają się skurcze, dziecko donoszone, ułożone pięknie główką w dół, wszystko w normie. No, może poza wagą – za każdym razem w ciąży trochę przybierała, teraz waży 108 kg przy 165 cm wzrostu, cukrzyca ciążowa kontrolowana dietą. Skarży się na ćmienie w nadbrzuszu i ucisk w klatce piersiowej. Nic ostrego, raczej dyskomfort niż ból. Ciśnienie w normie, tętno lekko przyspieszone, przytomna, wydolna, spokojna. Lekarz przy EKG mówi: „uniesienia odcinka ST w kilku odprowadzeniach". Kiedy pyta, co to jest, słyszy: zawał. O jedenastej dziesięć przez cesarskie cięcie przychodzi na świat Adaś – 3580 gramów, 55 centymetrów i 9 punktów w skali Apgar. Chwilę potem pacjentka trafia na kardiologię.

Pacjentka numer 3 nie ma czasu chorować. Prowadzi własną działalność, pracuje dużo, je nieregularnie: kawa rano, coś w biegu w ciągu dnia, wieczorem najada się do syta. Od kilku lat ma nadciśnienie. Bierze leki, ale nieregularnie. Kiedy się kończą, odkłada wizytę. Cukier też ma podwyższony, ale ciągle „na granicy", więc nic z tym nie robi. Kołatanie serca, niepokój, brak powietrza przy wysiłku zrzuca na przemęczenie. Na urlop jedzie wykończona. Wierzy, że teraz odetchnie i trochę zadba o siebie. Planuje sporo ruchu, odnowę biologiczną, opalanie, basen. Na pierwszym dłuższym spacerze traci oddech. Najpierw myśli, że to atak paniki. Nawet w szpitalu nie wierzy, że to zawał.

To nie są wymyślone opowieści. Każda z nich wydarzyła się naprawdę i została opisana w krajowej literaturze medycznej. Podobne historie pojawiają się też w mediach – zwykle opatrzone alarmującym hasłem: „epidemia zawałów wśród młodych". Jest w tym ziarnko prawdy: rzeczywiście wśród pacjentów z zawałami jest coraz więcej młodych ludzi.

EPIDEMIA ZAWAŁÓW SERCA

Faktem jest jednak, że owa epidemia to tylko złudzenie statystyki. Liczba zawałów nie rośnie tak, jak sugerują nagłówki. Od lat 90. XX w. choroby serca coraz rzadziej kończą się śmiercią. Lepsze leczenie, szybsza diagnostyka i skuteczniejsza profilaktyka zrobiły swoje. Niestety, ta poprawa nie dotyczy wszystkich w równym stopniu. Najwięcej zyskują na niej starsi. Są pod opieką lekarzy, mają rozpoznane nadciśnienie, kontrolują cholesterol, biorą leki, częściej trafiają na badania profilaktyczne.

– Młodzi z postępów medycyny korzystają w mniejszym stopniu – mówi prof. dr hab. med. Krzysztof J. Filipiak, dyrektor Centrum Medycznego Kształcenia Podyplomowego w Warszawie, jeden z najbardziej wpływowych polskich kardiologów, według tegorocznej „Listy 100" Pulsu Medycyny. – Życie przyspieszyło. Młodzi są skoncentrowani na pracy, mają poczucie, że są zdrowi, więc profilaktykę odkładają na później. Do lekarza trafiają rzadko, zwykle wtedy, gdy coś się dzieje. A nadciśnienie i wysoki cholesterol nie bolą i długi czas nie dają żadnych objawów.

– Nie bez znaczenia jest też to – dodaje prof. Filipiak – że wciąż nie ma u nas obowiązkowej edukacji zdrowotnej. Rosną kolejne pokolenia, które nie wiedzą, co oznacza zdrowy styl życia czy zdrowe odżywianie. I jeszcze jedno: – Polska wykonała ogromny skok cywilizacyjny, ale jednocześnie zgubiła wiele mechanizmów, które pilnowały zdrowia: badania bilansowe dzieci, gabinety medycyny szkolnej, obowiązkowe badania w zakładach pracy. Dziś przy własnej działalności czy pracy poza etatem można całymi latami nie widywać lekarza.

I tu pojawia się iluzja procentów. Starsi częściej się leczą i rzadziej trafiają do szpitala z zawałem. W efekcie z grupy pacjentów z problemami sercowymi ubywa przede wszystkim osób starszych, a młodsi stają się w niej bardziej widoczni.

ZAWAŁ: JAK TO SIĘ ROBI

Zawał to w gruncie rzeczy „uduszenie" kawałka serca. Jak każdy narząd, serce potrzebuje tlenu. Dostaje go wraz z krwią płynącą naczyniami wieńcowymi – cienkimi tętnicami oplatającymi je jak siatka. Jeśli któraś się zamknie, krew przestanie docierać do fragmentu mięśnia. Komórki pozbawione tlenu zaczną umierać już po kilkunastu minutach.

Zamknięcie naczynia zwykle jest finałem procesu, który trwa latami i długo nie daje żadnych objawów. We krwi krąży cholesterol, tłuszcz niezbędny do budowy komórek i produkcji hormonów. Organizm stale transportuje go tam, gdzie jest potrzebny, i odbiera stamtąd, gdzie zrobiło się go za dużo. Ponieważ cholesterol nie rozpuszcza się we krwi, podróżuje w „opakowaniach". Cząsteczki LDL dowożą cholesterol do tkanek, HDL zbierają jego nadmiar i odwożą do wątroby. Dopóki między jednym a drugim kierunkiem panuje równowaga, naczynia pozostają czyste. Kiedy jednak cholesterolu krąży za dużo, albo gdy mechanizm jego „odbioru" działa zbyt słabo, część cząsteczek LDL zaczyna zatrzymywać się w ścianie tętnicy.

Organizm traktuje to jak uszkodzenie i wysyła komórki odpornościowe. Te pochłaniają cholesterol, ale same obumierają i zostają w ścianie naczynia. Tak powstaje

blaszka miażdżycowa – miękka struktura przykryta cienką „czapeczką”. Jeśli pęknie, w kilka minut może powstać skrzep zamykający naczynie.

Ślady miażdżycy można znaleźć już u dzieci, a pierwsze zmiany w tętnicach obserwuje się nawet w życiu płodowym. Przez wiele lat można więc „psuć” naczynia i nie czuć żadnych konsekwencji. Problem polega na tym, że nie u wszystkich ten proces przebiega w tym samym tempie. U części osób przyspiesza, bo mają wyższe stężenie cholesterolu z powodów genetycznych. Czasem dlatego, że kilka czynników ryzyka nakłada się na siebie i wzmacnia. Palenie uszkadza ścianę naczyń, ułatwia odkładanie się cholesterolu i sprzyja powstawaniu skrzepów. Dieta bogata w tłuszcze nasycone zwiększa stężenie cholesterolu we krwi. Brak ruchu zaburza mechanizmy jego transportu i usuwania. Stres i niedobór snu rozregulowują gospodarkę hormonalną i metaboliczną, która to wszystko kontroluje.

ZAWAŁ NIE ZAWSZE BOLI TAK, JAK SIĘ SPODZIEWAMY

W szkolnych schematach wygląda to prosto: silny, gniotący ból za mostkiem, promieniujący do lewej ręki. – Ale spektrum objawów u osób młodszych, a szczególnie u młodych kobiet, jest często mniej typowe – mówi prof. Filipiak. – Ból nie musi być zlokalizowany w środku klatki piersiowej. Może pojawić się między łopatkami, w okolicy żuchwy, czasem bardziej przypomina pieczenie albo zgagę niż ucisk. Zdarza się kłucie, które łatwo zrzucić na przeciążenie, nerwoból albo problemy z kręgosłupem. Część pacjentek trafia najpierw do lekarza z podejrzeniem choroby żołądka, nie serca. To utrudnia rozpoznanie. Tym bardziej, że także zapis EKG u młodych osób bywa mniej jednoznaczny niż u pacjentów z długoletnią historią chorób sercowo-naczyniowych.

Różni się również sam mechanizm zawału. U starszych pacjentów najczęściej odpowiada za niego pęknięcie blaszki miażdżycowej. U młodszych częściej mamy do czynienia z innymi przyczynami. – Każdy kardiolog pamięta takie przypadki – głównie u młodszych kobiet – kiedy zawał był skutkiem skurczu tętnicy wieńcowej albo samoistnego rozwarstwienia jej ściany – zwraca uwagę prof. Filipiak.

To ostatnie schorzenie polega na tym, że ściana tętnicy zaczyna się rozdzielać,

jakby „rozpruwać” od środka. Są też przypadki niedokrwienia bez typowych zmian miażdżycowych, związane z zaburzeniami pracy bardzo drobnych naczyń. Wspólny mianownik jest jeden: obraz nie pasuje do tego, czego się spodziewamy. A to zwiększa ryzyko, że zarówno pacjent, jak i lekarz przez chwilę pomyślą o czymś innym.

GORZEJ NIŻ NA STAROŚĆ

Intuicyjnie wydaje się, że młodszy organizm powinien lepiej sobie radzić. Że „silniejsze serce” ma większe szanse wyjść z tego bez większych strat. To nie zawsze jest prawda.

– Mamy w praktyce klinicznej większe kłopoty z takim zawałem – mówi prof. Filipiak. – Po pierwsze, czasem nie myślimy, że ból w klatce piersiowej u młodej osoby może oznaczać zawał. To usypia czujność i wydłuża diagnostykę. Pamiętam młodą pacjentkę, która zgłosiła się na izbę przyjęć z powodu nudności i wymiotów, uczucia zawrotów głowy. Dopiero wykonane na izbie przyjęć EKG było początkiem podejrzenia zmian niedokrwiennych.

U osób starszych choroba rozwija się latami. Tętnice zwężają się powoli, milimetr po milimetrze. Organizm ma czas się do tego przystosować. Powstają tzw. krążenia oboczne, dodatkowe drogi, którymi krew może ominąć zwężone miejsce. To trochę jak objazdy w mieście. Jeśli główna ulica jest częściowo zamknięta, ruch rozkłada się na mniejsze drogi. Nie jest idealnie, ale da się przejechać.

– U młodych tego mechanizmu często jeszcze nie ma, dlatego zawał bywa bardziej rozległy – wyjaśnia prof. Filipiak. – Dlatego uszkodzenie może być większe, a przebieg bardziej gwałtowny.

Zawał nie zaczyna się w sobotę rano przy śniadaniu. Zaczyna się dużo wcześniej, tylko długo nie daje o sobie znać. A tak niewiele trzeba, żeby znacząco zmniejszyć ryzyko.

– Jeśli zadbamy o kilka podstawowych rzeczy – nie palimy, kontrolujemy ciśnienie, cholesterol i cukier, ruszamy się i utrzymujemy prawidłową masę ciała, ryzyko zawału można zmniejszyć nawet o 80-90 proc. – podsumowuje prof. Filipiak. Problem w tym, że większość z nas zaczyna o tym myśleć dopiero wtedy, gdy jest za późno. ▲

ZAWAŁ BEZ MIAŻDŻYCY – CZY TO MOŻLIWE?

Choć najczęściej zawał kojarzy się z „zatkaną” tętnicą, u blisko 20 proc. młodszych pacjentów tętnice wieńcowe są prawidłowe albo tylko nieznacznie zmienione, a mimo to dochodzi do niedokrwienia serca. Najczęstsze mechanizmy to:

- **Nagły skurcz tętnicy wieńcowej**
  Może się to zdarzyć np. pod wpływem stresu, nikotyny lub substancji psychoaktywnych.
- **Zakrzep bez wcześniejszej blaszki**
  Krew staje się bardziej krzepliwa (np. w ciąży, przy niektórych chorobach lub przy stosowaniu antykoncepcji hormonalnej) i tworzy skrzep w naczyniu.
- **Rozwarstwienie tętnicy (dyssekcja)**
  Ściana naczynia pęka od środka i blokuje przepływ krwi.
- **Działanie substancji zewnętrznych**
  Kokaina, amfetamina, a nawet niektóre leki mogą wywołać skurcz naczyń albo zaburzenia krzepnięcia

ZAWAŁ NIE KAŻDEGO BOLI TAK SAMO

Najczęściej zawał kojarzy się z jednym obrazem: silny, ściskający ból w klatce piersiowej, promieniujący do ręki. I rzeczywiście – tak bywa. Ale nie zawsze. U mężczyzn częściej: silny, narastający ból w klatce piersiowej, uczucie ucisku, „gniotącego ciężaru”, ból promieniujący do lewej ręki, żuchwy lub pleców, poty, duszność. U kobiet częściej: dyskomfort zamiast ostrego bólu, uczucie zmęczenia, osłabienia, duszność, kołatanie serca, nudności, ból w nadbrzuszu, niepokój, który trudno jednoznacznie nazwać

KIEDY ROBI SIĘ CIEMNO

Jeśli tak jak ja lubicie zapachy Serge Lutens, spodoba wam się nowy La nuit tombée. Ma oddawać tajemniczą aurę pory dnia, kiedy zapada zmrok. Są mroczne, orientalno-drzewne. Główne nuty kompozycji to kadzidło, paczula i cedr. ***(50 ml/690 zł, Douglas)***

CERA OD DANUCERY

Po 30 latach pracy w USA jako kosmetolożka Danuta Mieloch stworzyła markę kosmetyków Danucera i pięciostopniową metodę pielęgnacji, której częścią jest krem anti-aging Supreme oparty na peptydach roślinnych, skwalanie, enzymach bakteryjnych, ekstrakcie z wąkroty azjatyckiej i pochodnej wit. C. Oprócz kosmetyków Danucera powstało luksusowe SPA w centrum Warszawy, gdzie są dostępne zabiegi Danucery i inne, m.in. usługi fryzjerskie na kosmetykach Oribe. ***(krem 50 ml/695 zł)***

RADZĄ SOBIE Z TRĄDZIKIEM

Nowości Medidermy na trądzik to zabieg Salipeel Balance, peeling chemiczny oraz krem Purifying Control As Ultra, nawilżająco-matujący żel oparty na kwasie salicylowym i niacynamidzie. ***(50 ml/175 zł, w gabinetach)***

DUET NAWILŻAJĄCY

Nowa linia Nuxe Prodigieuse® [HYALU] BOOST odpowiada na potrzeby skóry zmęczonej, odwodnionej i pozbawionej blasku. Jej sercem jest nawilżające połączenie kwasu hialuronowego i kwasu poliglutaminowego. Zawiera też sfermentowany ekstrakt z żeńszenia i witaminę C. ***(sztyft pod oczy 30 ml /109 zł, serum 30 ml/149 zł)***

TRIO 3 W 1

Bardzo cenię kosmetyki Avène. Nowością są trzy Ultra Serum SPF50+, łączące ochronę UV z ultralekką formułą i działaniem pielęgnacyjnym. W składzie jest opatentowany filtr Triasorb™ chroniący przed UVB, UVA i HEV. Serum wypełniające zawiera niacynamid i kwas hialuronowy. ***(30 ml/99 zł, Superpharm)***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (6); OPRAC. ALEKSANDRA LUBAŃSKA-CZUBAK

W SPRZEDAŻY

wysokieobcasy extra

GASLIGHTING, czyli manipulacje w naszych relacjach
Rodzice to robią dzieciom, kobiety kobietom,
mężczyźni kobietom, i na odwrót

PSYCHOLOGIA: Powrót do matki

URODA: Rytuały w menopauzie

DAVID ATTENBOROUGH kończy 100 lat

DWIE OKŁADKI DO WYBORU!